



Uwodzicielka

SAGA RODU CYNSTERÓW

STEPHANIE
LAURENS

Stephanie Laurens

Uwodzicielka

*Tłumaczenie:
Magdalena Słysz*

1.

Kwiecień 1848 roku
Glasgow

- Dzień dobry, panie Carrick.

Thomas, który składał parasol, podniósł głowę i uśmiechnął się do pani Manning, recepcjonistki w średnim wieku, siedzącej za kontuarem w holu Carrick Enterprises.

Niewiasta władczy gestem wyciągnęła rękę.

- Ja się z tym zajmę, proszę pana.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Thomas podszedł do recepcjonistki i posłusznie oddał jej parasol.

Kiedy brała go od niego, kąciki jej ust uniosły się z aprobatą; mimo że była z natury surowa, miała słabość do Thomasa. Biura firmy zajmowały połowę parteru budynku przy Trongate od frontu, w pobliżu ruchliwego centrum miasta, i owdowiała matrona rządziła swym imperium żelazną ręką, ale sprawiedliwie.

- Przed południem nie ma pan żadnych umówionych spotkań... a po południu tylko naradę z przedstawicielami Colliers. - Spojrzała na drugą stronę holu. - I rano nie przyszło nic takiego, czym musiałby się pan zająć.

Naprzeciwko recepcji, pod ścianą, biegł długi wypolerowany kontuar, nad którym znajdowały się liczne wnęki. Za nim Dobson, główny urzędnik, spokojnie sortował listy i paczki; były żołnierz i generalnie człowiek milczący tylko skinął głową, kiedy Thomas spojrzał w jego kierunku.

Zwracając się ponownie do pani Manning, mruknął:

- W takim razie skorzystam z okazji, by przejrzeć rachunki z zeszłego miesiąca.

- Znajdzie je pan na sekretarce za pańskim biurkiem.

Hol był wyłożony dębową boazerią o pięknych słojach. Na częściowo przeszklonych drzwiach, przez które wszedł Thomas, widniała nazwa firmy i jej logo - zarys parowca nad drewnianą skrzynią - zręcznie wykute w żelazie i pozłoczone. Okrągłe żyrandole z żyłkowanego szkła, wiszące na ciężkich łańcuchach pod kasetonowym sufitem, rzucały typowe dla lamp gazowych stonowane światło. Wokół panowała atmosfera powściągliwej zamożności - która niewiele zdradzała.

Jednakże za Carrick Enterprises nie kryły się bynajmniej stare pieniądze. Nieżyjący ojciec Thomasa, Niall, zajął się importem i eksportem zaledwie przed trzydziestu pięciu laty; jako drugi w kolejności syn, bez widoków na przejęcie rodzinnego majątku, musiał sam radzić sobie w życiu.

Przyłączył się do niego szwagier, Quentin Hemmings. Choć ojciec Thomasa dawno zmarł, Quentin wciąż brał czynny udział w prowadzeniu firmy.

Kiedy Thomas ruszył w stronę otwartych drzwi, prowadzących do zewnętrznych biur, w progu pojawił się właśnie on, patrząc na plik dokumentów, które niósł.

Niemal tak wysoki jak Thomas, Quentin sprawiał wrażenie majątnego dżentelmena, zdecydowanie, choć nie demonstracyjnie zadowolonego ze swego losu – w rzeczy samej nie mógł narzekać na małżeństwo, rodzinę i zajęcie. Być może jego brązowe włosy zaczęły się nieco przerzedzać, jednakże twarz i sylwetka świadczyły, że był pełnym energii mężczyzną, aktywnym we wszystkich sferach życia.

Wyczuwając przeszkodę na drodze, Quentin podniósł wzrok. Kiedy zobaczył Thomasa, aż się rozpromienił.

– Thomasie, mój chłopcze. Witaj. – Wskazał trzymane w ręce papiery. – To umowy z Bermuda Sugar Corporation. – Jego orzechowe oczy się zasepiły. – Jest jedna kwestia...

Piętnaście minut później, uzgodniwszy z Quentinem, że należy uzyskać więcej gwarancji dotyczących dostawy z Bermuda Sugar, Thomas wreszcie przeszedł przez drzwi i ruszył wąskim korytarzem z biurami od ulicy i magazynami po przeciwnej stronie. Korytarz kończył się imponującymi drzwiami, które prowadziły do dużego narożnego gabinetu należącego do Thomasa. Gabinet Quentina znajdował się w przeciwległym narożniku budynku.

Thomasa dzieliło od drzwi jeszcze pięć kroków, gdy z przyległego pokoju wyszedł inny dżentelmen z dokumentami w dłoni – kuzyn Humphrey, jedyny syn Quentina; podniósł głowę i ujrawszy Thomasa, zatrzymał się z uśmiechem.

Kiedy Thomas przystanął i patrząc na niego, uniósł sarkastycznie brew, uśmiech tamtego przybrał szelmowski wyraz.

– Będziesz musiał wytypować wybrankę spośród najpiękniejszych panien w Glasgow, i to szybko, bo inaczej rozpęta się damska wojna. A jeśli chodzi o wrogie działania, to panie wykazują większą inwencję niż kiedykolwiek sam Napoleon. Na podłogach sal balowych poleje się krew... przynajmniej metaforycznie. Zapamiętaj moje słowa, młody człowieku.

Thomas się zaśmiał.

– Skąd o tym wiesz? Czy raczej powinienem spytać: od kogo.

– Od starej lady Anglesey. Przyparła mnie do muru i zaczęła wypytywać o ciebie oraz twoje zainteresowanie przechadzkami. Szczęśliwie – ciągnął Humphrey – uczepliłem się ramienia Andrei, która pełniła funkcję mojej tarczy obronnej, lecz i tak zostałem zatrudniony jako posłaniec. – Andrea była narzeczoną Humphreya, choć jeszcze formalnie się nie zaręczyli.

Poprzedniego dnia Thomas wraz z Humphreym towarzyszył Quentinowi i jego żonie Winifred na wieczorku towarzyskim. Uważany za jedną z najlepszych partii w Glasgow, stanowił obiekt zainteresowania wszystkich swatek, a jeszcze bardziej przedsiębiorczych młodych dam, które przyciągał nie tylko jego majątek, lecz także powierzchowność i zalety charakteru.

Westchnął.

– Chyba pewnego dnia będę musiał dokonać wyboru, ale wciąż żywię nadzieję, że znajdę kogoś takiego jak Andrea. – Kobietę, która wzbudzi jego zainteresowanie i uwagę. Z którą poczuje prawdziwą więź.

– Cóż. – Wciąż uśmiechając się szeroko, Humphrey klepnął go w ramię. – Nie wszystkich spotyka szczęście bogów.

Thomas parsknął śmiechem. Zerknął na papiery w ręce kuzyna.

Humphrey machnął nimi skwapliwie.

- Palisander, niestety, pojechał do Bristolu. - W jego głosie dało się słyszeć zde-
nerwowanie. - Może uda mi się przekonać firmę, że Glasgow byłoby lepszym ce-
lem.

- To stanowiłoby ładny dodatek do mahoni, w który wchodzimy. - Thomas poki-
wał głową. - Daj mi znać, jeśli coś załatwisz.

- Och, na pewno o tym usłyszysz... na pewno. - Machając dokumentami, Humph-
rey oddalił się korytarzem, niewątpliwie, by zasięgnąć rady jednego z handlowców,
jak najlepiej świsnąć umowę, żeby nie powiedzieć skraść sprzed nosa, kupcom
z Bristolu.

Thomas wszedł do swego gabinetu. Zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku za
drzwiami, po czym je zamknął i zbliżył się do biurka. Nie okrążył go i nie zasiadł
przy nim od razu, najpierw się przed nim zatrzymał. Lekko muskając czubkami pal-
ców gładki blat, wyjrzał przez naroże okno. Przed nim rozciągała się ruchliwa
Trongate, którą spieszyli przechodnie i jeździły powozy; zza szyby dochodziły stłu-
mione pokrzykiwania woźniców i trzaskanie batów. Wzrok Thomasa przyciągnęło
odbicie słońca w grafitowych wodach Clyde, widocznej po lewej stronie między
dwoma budynkami.

To miejsce - ten gabinet - stanowiło centrum jego życia, które budował wokół po-
zycji współwłaściciela Carrick Enterprises. Następnym krokiem w drodze do celu
był wybór małżonki, odpowiedniej kobiety dla dżentelmena, jakim zamierzał się
stać - filara zamożnej społeczności ze wspierającą żoną przy boku, dziećmi uczęsz-
czającymi do dobrych szkół i domem w najlepszej dzielnicy. I może chatą do polo-
wań w szkockich górach. Miał dość jasną tego wizję.

Z wyjątkiem jednego. Najważniejszego.

Choćby nie wiadomo ile młodych panien z dobrych rodzin, o większej lub mniej-
szej urodzie i doskonałej pozycji towarzyskiej, podsyłała mu ciotka, po prostu nie
widział wśród nich żadnej dla siebie, nie potrafił zobaczyć.

Ponieważ nie mógł zapomnieć Lucilli Cynster, której obraz wciąż miał żywo w pa-
mięci.

Przez ponad dwa lata celowo jej unikał; żywił nadzieję, że wrażenie, jakie na nim
zrobiła, zblednie, jeśli nie zobaczy jej ponownie, nie usłyszy jej głosu - jego zmysłów
nie będzie drażnić jej bliskość. Tak się jednak nie stało.

Nie musiał nawet zamykać oczu, aby ujrzeć ją w wyobraźni: szmaragdowozielone
oczy, trochę kocie, w twarzy o subtelnych rysach, otoczonej aureolą ognistorudych
włosów; kolor jej tęczy, jasnoróżowe usta i te płomienne loki podkreślała jesz-
cze nieskazitelna alabastrowa cera.

Żadna inna młoda dama, którą spotykał na swej drodze, nie mogła jej dorównać.
Wszystkie wydawały się pozbawione wyrazu. Bezbarwne.

I nie chodziło tylko o powierzchowność; Lucilla miała także fascynującą duszę i to
ją wyróżniało w jego oczach.

Była cudowna. Urzekająca.

Bardzo mu się podobała, działała na zmysły i w niepojęty sposób zawładnęła jego
świadomością. Niepojęty przynajmniej dla niego.

Uchodziła za kogoś w rodzaju czarodziejki; nietrudno było zrozumieć dlaczego.

Bo oto stał i myślał o niej, podczas gdy stanowiło to ostatnią rzecz, jakiej by chciał i jakiej potrzebował.

Stanowczo kręcąc głową, by otrząsnąć się z myśli o Lucilli i pozbyć się jej obrazu sprzed oczu, obszedł biurko i zasiadł w stojącym po drugiej stronie wygodnym skórzanym fotelu. Jeśli nie mógł myśleć o młodych kobietach, które nadawałyby się na żonę, to przynajmniej mógł skupić się na interesach – jedynej sferze życia, do której rzadko wkradała się myśl o Lucilli.

Przez następnych kilka godzin przeglądał faktury z minionego miesiąca. Wszystko szło doskonale; ze względu na obecność portu handel towarami kwitł, a firma osiągnęła tak wysoką pozycję, że teraz zbierała plony zasiane dawno przez jego ojca i Quentina. Choć Quentin wciąż aktywnie działał w firmie, Thomas i Humphrey uważali, że to do nich należy jej rozwijanie, a on ich do tego otwarcie zachęcał.

Biznes prosperował znakomicie. Ale było to jednocześnie absorbujące zajęcie.

Słyszając pukanie do drzwi, Thomas podniósł głowę.

– Proszę.

W progu stanął Dobson z małym plikiem listów w dłoni.

– Poczta, proszę pana. Właśnie przyszła.

– Dziękuję. – Thomas odłożył pióro, odchylił się na oparcie fotela i założył ręce na karku.

Dobson położył korespondencję na tacy, która stała na brzegu biurka i, skłoniwszy głowę, wycofał się z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Thomas opuścił ręce, odprężył się na chwilę, a potem usiadł prosto i wziął listy. Było ich pięć. Sortując je, znalazł trzy zawiadomienia z banku, w którym firma miała konto; zawierały wykazy płatności. Gruba koperta pochodziła od znajomego kapitana żeglugi handlowej; od czasu do czasu donosił o nadarzających się w dalekich portach korzystnych transakcjach, jakie mogły według niego zainteresować Carrick Enterprises. Trzymając ją w dłoni, sięgnął po nóż do papieru, kiedy jego wzrok padł na ostatni list z pliku.

Na zwyczajnej kopercie napisano: „Pan Thomas Carrick” – nazwisko było grubo podkreślone. W lewym rogu, po przeciwnej stronie od znaczka: „Bradshaw, Carrick”.

Odłożywszy list od kapitana, Thomas wziął ten od Bradshawa i zerknął na znaczek.

Casphairn.

Ściągając brwi, podniósł nóż do papieru i rozciął kopertę. Zawierała dwie kartki. Wyjął je i wygładził, a następnie oparł się wygodnie i zaczął czytać, coraz bardziej zaintrygowany.

List napisał Bradshaw, jeden z farmerów na terenie posiadłości Carricków. Jej właścicielem i głową klanu był Manachan Carrick – „ten” Carrick, stryj Thomasa. Thomas urodził się w Carrick Manor, w rodzinnym majątku, ale był to w pewnym sensie przypadek, zbieg okoliczności. Spędzał tam z rodzicami letnie miesiące, a kiedy zginęli – miał wtedy dziesięć lat – mieszkał we dworze przez rok, otoczony opieką, wspierany i wychowywany przez klan. Był za to wdzięczny Manachanowi i reszcie rodziny, lecz z biegiem czasu, kiedy doszedł do siebie i wrócił do normalnego, chłopięcego życia, Manachan i Quentin, jako jego współopiekunowie, uznali, że

będzie dla niego najlepiej, jeśli pójdzie do szkoły w Glasgow i zamieszka z Quentinem, Winifred oraz ich dziećmi. I tak też się stało.

Thomas wciąż każdego lata odwiedzał Carricków, spędzając od kilku tygodni do kilku miesięcy z czworgiem dzieci Manachana i innymi członkami rodu, a najwięcej z nim samym.

Był z Manachanem związany bliżej – wówczas i obecnie – niż z Quentinem, z którym widywał się codziennie. Nawet w młodszym wieku intuicyjnie wyczuwał, że Manachan bardzo kochał Nialla i po śmierci brata przeniósł to uczucie na jego syna, który stał mu się równie drogi.

Quentin, Winifred i Humphrey stanowili w Glasgow rodzinę Thomasa, jednak to Manachan był jego ukochanym stryjem. Doskonale się rozumieli i ta wzajemna więź wynikała z czegoś pierwotnego.

I właśnie ze względu na tę więź tak trudno mu było teraz zrozumieć list Bradshawa.

Nie chodziło o szczegóły – te zdawały się dość oczywiste. Bradshaw – Thomas bez trudu mógł sobie wyobrazić tego krzepkiego mężczyznę, skoro stykał się z nim od lat – donosił, że mimo odpowiedniego czasu, przez co rozumiał okres siewu, żaden z farmerów nie dostał jeszcze przydziału ziarna.

Coraz bardziej marszcząc czoło, Thomas spojrzał niewidzącym wzrokiem na drugą stronę pokoju; odbiegł myślami od handlu morskiego oraz wpływu pory roku na transport i przypomniał sobie znaczenie marcowych zasiewów na wsi. Ziemie Carricków leżały na zachodnich nizinach, w Galloway i Dumfries. Chyba było już za późno na siewy?

Ponownie skupiając się na liście, jeszcze raz przeczytał prośbę Bradshawa o to, aby interweniował u Manachana w sprawie dostawy ziarna.

Dlaczego Bradshaw nie może pomówić z nim sam? Tego Thomas nie mógł zrozumieć. Jeśli w posiadłości wystąpił jakiś problem, to Manachan jako głowa klanu był osobą, do której należało się zwrócić. Dotychczas zawsze tak postępowano i nikt nigdy nie bał się tego zrobić. Gdyż mimo budzącej lęk reputacji Manachan cieszył się wielkim szacunkiem, a także miłością. Może zachowywał się jak zrzędlivy stary drań, ale był jednym z nich i Thomas dobrze wiedział, że służył klanowi wiernie, nigdy, przenigdy go nie zawodząc.

Manachan walczyłby o klan do ostatniego tchu.

Na tym polegała rola przywódcy, do której się urodził; wokół tego obracało się całe jego życie.

Owszem, ostatnio Manachan trochę niedomagał i w ciągu minionego roku odstąpił część obowiązków związanych z codziennym zarządzaniem posiadłością najstarszemu synowi, Nigelowi. Jednakże Thomas nie wyobrażał sobie, by stryj nie stał u steru i nie wiedział o wszystkim, co się dzieje w klanie.

Thomas dowiadywał się o tym wszystkim z listów, w tym kilku od Manachana – choć, jak teraz sobie uświadomił, w ostatnich miesiącach nie dostał od niego ani jednego. Otrzymał krótkie pismo od radcy prawnego klanu i od samego Nigela. A także korespondencję od Nolana, drugiego syna Manachana, i od Niniver, jego jedynej córki, którzy pytali go, kiedy planuje następną wizytę. W żadnym z tych listów jednak nie pisano wyraźnie o zmianach, raczej je sugerowano.

Thomas nie był w Carrick Manor od dwóch lat – w ciągu których próbował bezskutecznie zrobić następny krok w życiu – a to z tego prostego powodu, że w Casphairn Manor, leżącym w Vale of Casphairn, za południową granicą ziem Carricków, mieszkała Lucilla Cynster.

Od piętnastych urodzin, zawsze kiedy tam przyjeżdżał, w taki czy inny sposób natykał się na nią. Czasami tylko ją widział, a czasami zamieniał z nią kilka słów. Wiedział, że nigdy nie zapomni Wigilii, którą spędzili razem uwięzieni podczas śnieżycy w małej chacie jednego z zagrodników.

Podczas jego ostatniej wizyty w Carrick Manor spotkali się na balu myśliwskim. Rozmawiali i tańczyli walca – i wyglądało na to, że tego doświadczenia również nigdy nie zapomni.

By ruszyć dalej wybraną przez siebie drogą życiową, musiał wymazać wspomnienie Lucilli, co wiązało się z unikaniem wizyt w posiadłości Carricków.

Bradshaw sugerował w liście, że coś w majątku jest nie tak. Czy jednak była to prawda, czy tylko domysły farmera? A może Thomasa ponosiła wyobraźnia?

Skrzywił się na tę myśl. Ostatni raz przesunął wzrokiem po liście, po czym rzucił go na bibularz. Miał świadomość, że na otwarcie czeka gruba przesyłka od kapitałna, być może zawierająca wizje ekscytujących możliwości, jakie Nowy Świat stwarza dla Carrick Enterprises...

Nagle odsunął się od biurka i wstał.

Klan był ważniejszy niż firma.

Narzucił na ramiona płaszcz i zerknął przez okno. Wiatr się nasilił; Thomas zdjął z wieszaka kapelusz i wyszedł z gabinetu. Miejsce za kontuarem w recepcji było puste; pani Manning pewnie pisała pod dyktando Quentina albo Humphreya. Dobson jednak znajdował się na stanowisku. Kiedy uniósł głowę, Thomas spojrzał mu w oczy.

– Idę się przejść. – Piękny zegar na ścianie nad wnękami wskazywał kilka minut przed dwunastą. – Pewnie zjem obiad poza firmą. Proszę powiedzieć pani Manning, że wrócę na spotkanie z zarządem Colliers.

Dobson skinął głową.

– Dobrze, proszę pana.

Thomas pchnął drzwi, szybko zszedł po schodach i znalazł się na tłocznej Trongate. Ruszył przed siebie, gdzie oczy poniosą – znał tak dobrze miasto, że nie musiał nawet się zastawiać, dokąd chce iść, tylko czego mu potrzeba.

W tej chwili potrzebował przestrzeni, powietrza i jako takiej ciszy, by rozważyć ewentualności i możliwe sposoby postępowania. Low Green nad brzegiem Clyde wydało się odpowiednie tej części jego umysłu, która zawiadywała nogami. Ruszył więc w głąb Trongate, skręcił w Saltmarket i podążył chodnikiem na południe, w stronę stalowej wstęgi, jaką stanowiła rzeka.

Gdy tak szedł ulicą, myśląc o implikacjach domysłów Bradshawa – które nie zostały wyraźnie przedstawione – był tylko na wpół świadomy, kogo mija.

Jednak dotarł do niego głos, który przywołał go do rzeczywistości.

– Nie wiem. Jest brązowy. Dlaczego wszystkie są tego roku brązowe?

Zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadł na niego idący za nim posłaniec.

Chłopak odskoczył do tyłu i wymamrotał przeprosiny, po czym wyminął Thomasa

i ruszył dalej. Ten ledwie to zauważył, ponieważ jego uwagę zajmowało dwóch mężczyzn stojących przed szeroką witryną sklepu z odzieżą dla mężczyzn; dyskutowali o leżących za szybą kapeluszach.

Thomas zamrugał, a potem się uśmiechnął.

- Nigel. Nolan.

Panowie się odwrócili, wyraźnie zdziwieni.

Thomas zbliżył się do nich i wyciągnął rękę.

- Ależ spotkanie. Co was sprowadza do Glasgow?

Właściwie to go nie interesowało; cokolwiek ich tu sprowadziło, byli odpowiedzią na jego ciche modlitwy. Mógł się od nich dowiedzieć, co kryje się za listem Bradshawa, nie jadąc do Carrick Manor.

Nigel - starszy, nieco wyższy od Nolana, choć z dziesięć centymetrów niższy od Thomasa - przez chwilę patrzył na niego bez zrozumienia, a potem się rozpromienił.

- Thomas! - Uścisnął mu dłoń. - Dobrze cię widzieć!

- Wzajemnie. - Nolan, blondyn o niebieskich oczach, w przeciwieństwie do Nigela, który miał ciemne włosy i orzechowe oczy, ujął jego rękę, gdy tylko puścił ją Nigel. - Nie chcieliśmy przeszkadzać ci w pracy, a tyle się tutaj dzieje! - Wskazał otoczenie. - Jest co robić.

- Jak długo tu jesteście? - zapytał Thomas.

- Jeden dzień - odpowiedział Nolan.

Thomas chciał porozmawiać o liście Bradshawa, ale ulica nie była odpowiednim do tego miejscem. Zapytał więc, wsadzając dłonie do kieszeni płaszcza:

- Jedliście już obiad?

Nigel pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

Nolan wyjął zegarek z dewizką - piękny przedmiot, którego Thomas wcześniej u niego nie widział - i spojrzał na tarczę.

- Już dwunasta... jak ten czas leci!

- Jeśli nie macie innych planów - zaczął Thomas - pozwólcie, że zaproszę was na obiad do mojego klubu. - Wskazał kierunek, z którego przyszedł. - Prescott przy Princes Street... to niedaleko stąd.

Bracia spojrzeli po sobie, a potem odwrócili się uśmiechnięci do Thomasa.

- Wspaniały pomysł - odrzekł Nigel.

Nolan kiwnął głową.

- Przy okazji opowiesz, co u ciebie... papa zawsze jest tego ciekaw i chętnie się dowie.

„Przy okazji opowiesz, co u ciebie... papa zawsze jest tego ciekaw i chętnie się dowie”.

Prescott Club był najlepszym w Glasgow klubem dla dżentelmenów, wyrafinowanym i powściągliwie eleganckim. W ciągu następnych dwóch godzin spędzonych w tych czcigodnych murach, w okazałej jadalni, a potem w zacisznym kącie palarni, Thomas się przekonał, że uwaga Nolana stanowiła raczej uprzejmą odpowiedź niż wyraz prawdziwych intencji.

Okazało się bowiem, że obu panów interesuje niewiele poza ich własnymi osobami, a jeśli już, głównie były to ewentualne rozrywki, które mogłyby przemówić do ich hedonistycznych dusz.

Thomas zdążył zapomnieć, dlaczego z czworga dzieci Manachana, ci dwaj – prawie w tym samym wieku co on – tak działali mu na nerwy.

Nigel i Nolan szybko mu o tym przypomnieli.

Chociaż, jeśli chodzi o wiek, między nim a Nigelem było zaledwie trzynaście miesięcy różnicy, między Nigelem a Nolanem zaś drugie trzynaście, Thomas zawsze czuł się przy nich jak jeśli nie ojciec, to co najmniej stryj. Za każdym razem miał wrażenie, że są od niego młodszy o dobrych dziesięć lat; zainteresowanie końmi, wszelkiego rodzaju wyścigami konnymi oraz spódniczkami bardziej przystawało mężczyznom dwudziestoletnim, a nie dobrze wychowanym dżentelmenom zbliżającym się już do trzydziestki.

To zresztą także było względne. Większość znajomych Thomasa lubiła piękne konie, ale temat ten nie dominował w rozmowach, które prowadzili. Większość dżentelmenów w ich wieku przejawiała zainteresowanie sportami królów, niewielu jednak grało na wyścigach, a jeszcze mniej obracało się w podejrzanych kręgach związanych z tą dziedziną, które Nigelowi i Nolanowi najwyraźniej były dobrze znane. Co zaś do kobiet, różnica między towarzyskimi wizytami Thomasa w salonach znużonych dam a wyczynami Nigela i Nolana w miejscowych domach publicznych nie mogła być większa.

Zadowolony, że to spotkanie w dzień powszedni i klub nie jest zatłoczony, Thomas cierpliwie słuchał dość chełpliwej paplaniny kuzynów, aż wreszcie znalazł odpowiedni moment, by zauważyć:

– Z listów wnoszę, że w pewnym stopniu przejąłeś zarządzanie posiadłością. – Tu spojrział na Nigela.

Ten odpowiedział, kiwając głową:

– Starszy pan traci siły... jest już zbyt słaby, by jeździć konno po okolicy.

– To nie żadna choroba – włączył się Nolan. Wkładając do ust kolejnego kandyzowanego orzecha, wzruszył ramionami. – Tylko wiek.

– W rzeczy samej. – Nigel opuścił wzrok na stół między nimi. – Nie dawał już sobie rady, więc poprosił mnie o pomoc... bym przejął organizacyjną stronę prowadzenia majątku. Nadzorowanie farmerów i tak dalej. Więc się tym zająłem.

Wyglądało na to, że robił to pomiędzy jedną eskapadą a drugą. Thomas przełknął tę informację i podjął łagodnie:

– Słyszałem, że w tym roku były jakieś kłopoty z dostawą ziarna... i jeszcze nie przystąpiono do zasiewów.

Nigel mruknął lekceważąco i machnął ręką.

– Wszystko jest pod kontrolą. Przechodzimy na nowy system, który będzie dla klanu korzystniejszy. Tyle że na razie nie wszyscy to rozumieją.

Thomas zaczął się zastanawiać, jak niezasianie ziarna może przynieść lepsze plony.

Zanim jednak zdążył pociągnąć ten temat, Nolan poruszył się niespokojnie.

– Dlaczego o to pytasz? – Kiedy Thomas spojrział w jego niebieskie oczy, uniósł jasne brwi. – Nie wiedziałem, kuzynie, że utrzymujesz tak bliskie kontakty z klanem.

Thomas szybko rozważył możliwe odpowiedzi, nie dostrzegł jednak powodu, by robić uniki; poza tym uznał, że będzie lepiej, jeśli Nigel się dowie, iż farmerzy, wszyscy należący do klanu, wyraźnie się niepokoją. W odpowiedzi na uwagę Nolana, skłonił więc głowę.

- Napisał do mnie jeden z farmerów i wspomniał o tym problemie. - Nie widział potrzeby, by wymieniać nazwisko Bradshawa ani wspominać, że ten go prosił, by porozmawiał z Manachanem.

Teraz, kiedy już wiedział, czym kuzyni się zajmują i jak bardzo nie interesuje ich to, co dzieje się w majątku, zaczął mieć wątpliwości, czy Nigel wypełnia swoje obowiązki tak dobrze, jak mu się zdaje. A zakres odpowiedzialności Manachana był duży, bardzo duży.

Nigel umilkł, jakby trawił tę wiadomość, lecz w końcu pokiwał głową.

- Nie wiedziałem, że tak bardzo się tym zaniepokoiłi. Ale możesz być spokojny... zajmę się tą sprawą.

Thomas się zawahał, po czym odparł:

- Może wystarczy, jeśli wyjaśnisz swoją nową strategię. - Na czymkolwiek polega.

- Właśnie. - Nigel skinął głową bardziej zdecydowanie. - Zrobię to.

- Dziś wieczorem wracamy. - Nolan opróżnił kieliszek, odstawił go i rozparł się w fotelu. Pochwycił spojrzenie brata nad niskim stolikiem. - Chyba już pójdziemy. - Spojrzał na Thomasa i uśmiechnął się do niego. - I pozwolimy ci, kuzynie, wrócić do pracy.

Nigel chrząknął i dopił drinka. Thomas zrobił to samo i wstał, gdy kuzyni się podnieśli.

We trzech wyszli z klubu. Zatrzymali się na schodkach, by uścisnąć sobie dłonie i pożegnać się serdecznie, choć z pewnym skrepowaniem.

Potem Nigel i Nolan udali się do stajni, gdzie zostawili powóz, a Thomas ruszył w drogę powrotną na hałaśliwą Trongate.

Zagłębił się w fotelu za biurkiem. Na bibularzu wciąż leżał list od Bradshawa. Popatrzył przez chwilę na te kartki, potem wziął je i złożył, a następnie schował do dolnej szuflady po lewej stronie, gdzie trzymał korespondencję dotyczącą posiadłości.

Kiedy zamykał szufladę, powróciło do niego pytanie, co dwaj kuzyni robili w Glasgow. Pytał ich o to, ale nie odpowiedzieli, w każdym razie niekonkretnie. Rozwodzili się o swoich hulankach, prawdziwych i być może zmyślonych, lecz nie wspomnieli, co ich tu sprowadziło. Thomas wiedział, że szkatuły klanu nie są na tyle zasobne, by pokryć koszty hulaszczego trybu życia, o jakim mówili kuzyni; musieli mijać się z prawdą. Albo przesadzali, albo konfabulowali. A najpewniej jedno i drugie.

Jednak coś musiało sprowadzić ich do Glasgow - jakaś sprawa. Bo po co by tu przyjechali?

Po chwili wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie przybyli w interesach związanych z posiadłością. - A posiadłość i jej interesy nie były jego sprawą. - Poza tym, na szczęście, nie jestem stróżem swych kuzynów.

Doszedłszy z ulgą do tego wniosku, wziął pierwszą teczkę ze stosu na biurku; otworzywszy ją, zabrał się do analizy dotychczasowej współpracy z Colliers, linią żeglugową z siedzibą w Manchesterze. Miała ona zamiar nawiązać nowe kontakty w Glasgow i liczyła, że firma Carrick Enterprises, z którą zawarła już kilka lukratywnych kontraktów, jej w tym pomoże.

Dwadzieścia minut później pukanie do drzwi zapowiedziało Quentina. Wuj stanął w progu, patrząc na niego, po czym z uśmiechem wskazał głową teczkę, którą trzymał Thomas.

- Colliers?

Thomas odłożył dokumenty.

- Będą tu o czwartej.

- Pamiętaj, że po spotkaniu z nimi masz być na kolacji przy Stirling Street. - Kiedy Thomas zmarszczył nos, Quentin uśmiechnął się szeroko. - Twoja ciotka przysłała liścik, w razie gdybyś, nie daj Boże, zapomniał.

Thomas westchnął i odchylił głowę na wysokie oparcie fotela.

- Kolejne młode damy.

- Niewątpliwie. - Na twarzy wuja malowało się rozbawienie. - A ponieważ ani one, ani ty nie zamierzacie się poddać, musisz to jakoś przetrwać.

Gdyby tylko Thomas miał pewność, że na końcu czeka go godziwa nagroda. Podniósł wzrok i skinął głową.

- Przyjdę.

Słyszając jego ponury ton, Quentin parsknął śmiechem i wyszedł.

Wejście wuja wyrwało Thomasa ze stanu skupienia; myślami znowu powrócił do kwestii powodu przyjazdu kuzynów do miasta.

Otrząsnął się z tego i skupił znowu na aktach Colliers.

- Niezależnie od tego, co ich tu ściągnęło, nie muszą jechać w góry... i z tego powinienem się cieszyć.

A ponieważ nie było potrzeby, aby tam jechał, mógł się skoncentrować na kolejnych poczynaniach, które miały mu zapewnić upragnione życie.

Musiał tylko znaleźć młodą damę na tyle silną, pełną życia i interesującą, by wyparła z jego pamięci Lucille Cynster.

Dwa dni później Thomas wkroczył rankiem do biura Carrick Enterprises i zastał Dobsona przed biurkiem pani Manning. Oboje patrzyli na list leżący na środku biurka. W powietrzu można było wyczuć pewne napięcie.

Dobson i pani Manning spojrzeli na Thomasa i urzędnik już sięgał po list, gdy kobieta go uprzedziła.

- Dzień dobry, panie Carrick. Poślaniec właśnie to przyniósł. - Podała mu list.

- Ach tak. - Thomas podszedł i wziął przesyłkę. - Dziękuję.

Dobson sarknął.

- Dziwne, że na pana nie wpadł.

Thomas przed wejściem widział wybiegającego z budynku posłańca, ale w tej części miasta było ich tak wielu, że ich obecność stanowiła powszedni widok. Właśnie się zastanawiał, dlaczego ta konkretna przesyłka wywołała takie poruszenie, gdy pani Manning dodała usłużnie:

- To z Casphairn, proszę pana.

Teraz także Thomas się zaniepokoił.

- Och. - Czyżby Manachan? A może chodziło o coś innego? Przyjrzał się kopercie, ale nie została zaadresowana ręką stryja. Zawierała dobre czy złe wiadomości? - Będę w swoim gabinecie.

Bez pośpiechu i nie patrząc więcej na przesyłkę, ruszył korytarzem do gabinetu, a po wejściu do niego podszedł do biurka. Wziął nóż do papieru, rozciął kopertę i wyjął pojedynczą kartkę złożoną dwa razy. Z kamienną miną, panując nad emocjami, rozłożył list i przeczytał...

...że Bradshawowie, cała rodzina, czyli siedem osób: mąż, żona, ich dwóch synów i trzy córki, dzień wcześniej poważnie się rozchorowali. To właśnie ten Bradshaw niedawno do niego pisał.

Wiadomość pochodziła od ich sąsiada, niejakiego Forreстера, który potwierdził, jak donosił wcześniej Bradshaw, że farmerom nie dostarczono ziarna na siew i, z tego, co było wiadomo, nawet go nie zamówiono; nikt nie miał pojęcia, co robić. Forrester wyjaśniał, że udał się z rodziną do Bradshawów, z którymi był spokrewniony, i na miejscu się dowiedział, że wszyscy poważnie zaniemogli. Posłał po uzdrowicielkę, która mieszkała we dworze. Bradshaw jednak go prosił, aby przede wszystkim napisał do Thomasa - gdyż jego zdaniem komuś się nie spodobało, że powiadomił go o problemie z ziarnem na siew.

Thomas spojrzał niewidzącym wzrokiem za okno. Dobry Boże. Nie było powodu, by łączyć nagłą chorobę rodziny z listem Bradshawa w sprawie ziarna. Jednak w tych okolicznościach Thomas nie dałby głowy, że między tymi dwoma wydarzeniami nie ma związku. Powiedział o liście Nigelowi i Nolanowi i choć nie wyobrażał sobie, że kuzyni mogliby zrobić coś tak niegodziwego - głupiego, owszem, lecz otrucie z zimną krwią całej rodziny byłoby już podłością - to przecież nie wiedział, komu przekazali tę informację.

Tak samo jak nie mógł wiedzieć, co dzieje się w posiadłości Carricków.

Może komuś zależało, by farmerzy nie dostali ziarna.

Rodziny chorują z różnych przyczyn. Na szczęście wezwano zielarkę i jeśli Bradshawowie jeszcze żyją... Miejmy nadzieję, że ich z tego wyciągnęła.

Thomas ją znał, niejaką Joy Burns; była oddana swemu powołaniu. Wiedział, że kobieta robi, co w jej mocy, nie miał co do tego wątpliwości.

Mimo niejasnej sugestii zawartej w liście na pozór nie było powodu, by łączyć te dwie sprawy. Chociaż Thomas nie wymienił nazwiska farmera, który do niego napisał, każdy, kto znał ludzi na terenie posiadłości, domyśliłby się, że to wygadany i często wojowniczy Bradshaw wystąpił ze skargą. A jego rodzina zachorowała dzień po powrocie Nigela i Nolana do Carrick Manor.

Jak uświadomił sobie Thomas, nie była to jedynie kwestia związku między tymi trzema faktami - że dostał od Bradshawa list, wspomniął o tym kuzynom i rodzina farmera zachorowała - ale także czasu, w którym to wszystko nastąpiło. I to go najbardziej zaniepokoiło.

Działał w świecie interesów od prawie dziesięciu lat. Gdyby zetknął się z taką sytuacją w handlu, ani przez chwilę nie pomyślałby, że to zbieg okoliczności.

Stał w gabinecie, patrząc za okno, i jednocześnie usiłował poskładać w całość nie-

liczne fakty, którymi dysponował. Coś działo się w posiadłości Carricków – a on nie miał pojęcia co.

Po dłuższej chwili rozważań nad stojącym przed nim wyborem, obrócił się szybko, wyszedł za drzwi i ruszył do gabinetu Quentina po przeciwnej stronie korytarza.

Ostatecznie klan był najważniejszy. Ważniejszy niż wszelkie względy osobiste.

Musiał pojechać do posiadłości i dowiedzieć się, co się tam dzieje. Był to winien klanowi, Bradshawom i Forresterom, a najbardziej Manachanowi.

Dopuszczał myśl, że jego interwencja okaże się niepożądana czy nawet niekonieczna; żywił nadzieję, że to drugie, ale niezależnie od wszystkiego, nie mógł zignorować ponowionej prośby w liście od Forreстера.

Musiał pomóc. Nie miał innego wyjścia.

2.

Było już dobrze po południu, kiedy Thomas Carrick wjechał na dziedziniec stajni za Carrick Manor. Stukot kopyt jego siwego wałacha na kocich łbach wywabił z budynku najpierw jednego, potem drugiego i wreszcie trzeciego członka klanu.

Najpierw zjawił się Sean. Potężny stajenny chwycił Ducha za uzdę; gdy wielki koń się uspokoił, mężczyzna spojrzał na Thomasa z ulgą.

- Co za widok dla starych zmęczonych oczu!

Zaraz za nim nadeszli Mitch i Fred, obaj uśmiechnięci i emanujący serdecznością.

- Witamy z powrotem, panie Thomasie! - zawołał Fred.

- Ano! - Mitch zadarł głowę, żeby spojrzeć Thomasowi w oczy. - Dobrze pana widzieć.

Ten odwzajemnił ich uśmiechy.

- Ja też cieszę się, że tu jestem.

Była to zdawkowa odpowiedź, ale kiedy zeskoczył z siodła, uświadomił sobie, że mówi prawdę. Gdy tylko zjechał z traktu i skręcił w długi podjazd, ogarnęła go zwyczajna radość na myśl o spotkaniu ze starymi przyjaciółmi i krewnymi, którzy byli bliscy jego sercu.

Wręczając Mitchowi lejce, powiedział nie tylko do trzech mężczyzn, ale także do siebie:

- Nie powinienem był wyjeżdżać na tak długi czas.

Wrócił jednak do rzeczywistości i spojrzał na Seana, najstarszego z całej trójki i oficjalnie głównego stajennego.

- Forrester napisał mi o Bradshawach.

Cokolwiek tam się działo, ci trzej nie maczali w tym palców. Thomas wiedział, z kim trzymają - z Manachanem i resztą klanu - i nie mogłaby tego zmienić żadna siła na ziemi. Poza tym wszyscy trzej byli tak jak Thomas sierotami, które Manachan przygarnął i którymi się zaopiekował.

- Ano. - Z twarzy Seana także zniknął uśmiech. - Złe wieści.

- Złe uczynki, jeśli chce pan znać moje zdanie - mruknął Mitch.

Sean zerknął na podwładnego - ale, jak zauważył Thomas, nie zanegował sugestii, że to efekt czyjejś złej woli.

Przestąpił z nogi na nogę.

- Zobaczę, co głowa klanu ma do powiedzenia.

- Ano. - Fred pokiwał głową. - Niech pan tak zrobi. Lepiej, by jaśnie pan wiedział, co tu się wyprawia.

Thomas, który już miał zwrócić się w stronę domu, zatrzymał się w pół kroku i utkwiał wzrok w pozbawionej wyrazu twarzy Freda. Potem spojrzał na Mitcha i wreszcie na Seana; żaden z nich nie spojrzał mu w oczy, tylko wszyscy ukradkiem zerknęli na siebie.

- Manachan wie o Bradshawach, prawda?

Stajenni wymienili spojrzenia, po czym Sean – wciąż unikając wzroku Thomasa, któremu wydało się to bardzo dziwne – wzruszył ramionami.

– Skąd mamy wiedzieć, no nie? Wiemy tylko, że wszystkim nam zakazano mówić mu czegokolwiek, co mogłoby go zdenerwować.

– Pod karą odprawienia – dodał Mitch mrukliwie.

Sprawy zdecydowanie miały się inaczej niż kiedyś – nie tak, jak Thomas sądził. Skinął więc krótko głową.

– Pójdę i pomówię z nim.

Kiedy się odwracał, Sean zapytał jeszcze:

– Czy pan zostanie?

Zmierzając już w stronę domu, Thomas obejrzał się przez ramię.

– Pewnie pojedę do Bradshawów. – Wskazał ruchem głowy Ducha. – Na razie odprowadźcie go do stajni.

Sean podniósł palec do czoła, jakby salutował.

Z rękami w kieszeniach płaszcz Thomas ruszył do domu, wszedł po schodach i przeciął ganek. Bynajmniej niezdziwiony tym, że drzwi nie są zamknięte na klucz – była to prowincja, i to dość głęboka – otworzył je i wkroczył do holu.

Gdzie ujrzał zamęt.

Pośrodku przedsionka stały cztery osoby; rozmawiały nerwowo i wykazywały wszelkie oznaki konsternacji. Kamerdyner Ferguson marszczył czoło i wyglądał na zatroskanego, podczas gdy ochmistrzyni, pani Kennedy, była tak wytrącona z równowagi, jak Thomas jeszcze nie widział. Dwaj lokaje, którzy czekali nieopodal, wyraźnie się niepokoiли.

Wszyscy czworo spojrzeli na Thomasa, gdy ten przystanął za otwartymi drzwiami. Przez moment byli zdezorientowani; Thomas uświadomił sobie, że ma za sobą światło, więc nie widzą, kto wszedł. Odwrócił się, zamknął drzwi i zrobił krok do przodu; wtedy go rozpoznali i na ich twarzach pojawiła się ulga.

Thomasowi ścisnęło się serce.

– Dowiedziałem się o Bradshawach. Przyjechałem więc, by zobaczyć się z jaśnie panem.

Ferguson mruknął pod nosem:

– Dzięki Bogu. – Głośniej zaś powiedział: – Witamy w domu, panie Thomasie.

Pani Kennedy dygnęła i powtórzyła słowa kamerdynera. Lokaje, których Thomas znał z dawnych lat, na przywitanie skinęli głowami.

Wszyscy wyraźnie uradowali się na jego widok, co było miłe... i jednocześnie niepokojące.

Ferguson zerknął na jednego z lokajów.

– Grant pana zaprowadzi...

Thomas, ściągając brwi, nie dał mu dokończyć.

– Gdzie jaśnie pan?

Ferguson i pani Kennedy spojrzeli na siebie, a wtedy ochmistrzyni odparła ostrożnie:

– W swoim pokoju, panie Thomasie. Ostatnio rzadko z niego wychodzi.

Thomas miał ochotę przekląć. Kiedy był tu ostatnim razem, Manachan w świetnej formie jeździł konno po okolicy.

- Znam drogę, sam trafię. Ale co tu się dzieje?

Służący znowu wymienili spojrzenia, lecz tym razem znowu z ulgą. Wszyscy byli zadowoleni, że spytał.

- Chodzi o Faith Burns. - Ochmistrzyńni splotła dłonie przed sobą. - To główna pokojówka.

Thomas kiwnął głową.

- Pamiętam ją.

- No właśnie. - Ferguson przesunął dłonią po włosach, czego nigdy nie robił, bo zwykle był bardzo opanowany. - Otóż zaginęła. Była tu zeszłego wieczoru. Nie wydarzyło się nic szczególnego. Ale rano się nie pojawiła... a w każdym razie nikt jej nie widział.

- Jej łóżko zastaliśmy zaścielone - włączyła się pani Kennedy. - Trudno powiedzieć, czy w nim spała, czy nie.

- A jej siostra... nasza uzdrowicielka Joy... pojechała w nocy do Bradshawów - ciągnął Ferguson - więc nie można jej spytać, czy wie, co się z dziewczyną stało.

Pani Kennedy założyła ręce na piersi i ujęła się za łokcie.

- To do Faith niepodobne, by tak wstać z łóżka i sobie pójść.

- A co z jej pozostałymi krewnymi? - zapytał Thomas.

Ferguson pokręcił głową.

- Są ostatnie z Burnsów i żadna z nich nie wyszła za mąż.

Thomas zastanowił się.

- Nie ma innego wyjścia, trzeba zorganizować poszukiwania. Niech Sean i pozostali rozpytają o nią w okolicy na wypadek, gdyby Faith miała powód, by opuścić w nocy dom.

Kamerdyner skinął głową.

- Zajmę się tym.

Pani Kennedy zrobiła przejętą minę.

- Jakoś mi się nie wydaje, by Faith wyszła, nie mówiąc nikomu ani słowa, ale jest spokrewniona z Wattсами. Sean mógłby z nimi pogadać.

Thomas nagle uzmysłowił sobie, czego - a raczej kogo - brakuje.

- A gdzie Nigel?

Ferguson nie prychnął, ale jego mina mówiła wszystko.

- Pojechał do Ayr z panem Nolanem. Ruszyli w drogę wczesnym rankiem.

Przyjechali z Glasgow, by następnego dnia znowu opuścić dom? Thomas starał się zachować kamienny wyraz twarzy. Co tych dwóch kombinuje? Jeśli Manachan był zbyt słaby, by rządzić klanem, Nigel powinien być na miejscu, by go zastępować.

Spojrzał na panią Kennedy, a potem znowu na Fergusona.

- Czy Edgar jest u jaśnie pana? - Edgar był służącym Manachana, człowiekiem milczącym i niezwykle lojalnym.

Ferguson potwierdził skinieniem głowy.

- Siedzi z nim cały czas. Jeśli nie robi czegoś przy nim, to jest w pobliżu, na wezwanie.

Thomas starał się zachować spokój. Mówili o Manachanie, jakby był niesprawny... Zdjął płaszcz i podał go Fergusonowi.

- Pójdę na górę. Będę u jaśnie pana, gdybyście mnie potrzebowali.

Ominawszy służących, ruszył w głąb przedsionka i przeszedł pod łukowym sklepieniem do holu, który znajdował się u podnóża głównych schodów. Pokonując po dwa stopnie naraz, udał się na górę.

Galeria wyglądała tak samo, jak pamiętał; ogólnie w domu niewiele się zmieniło.

Oprócz tego, że teraz Manachan rzadko kiedy opuszczał swój pokój.

Thomas wiedział, gdzie to jest, choć nieczęsto bywał w środku. Stryj nie był młody, ale do tej pory nie narzekał na zdrowie, prezentował wręcz doskonałą formę.

Stanąwszy przed ciemnymi dębowymi drzwiami, Thomas przystanął, aby przygotować się na to, co za nimi ujrzy. Wiedział, że Manachan „niedomaga”, ale trudno mu było sobie wyobrazić, by „niedomagający” Manachan nie wychodził z pokoju, zostawił swój klan i zasadniczo zrezygnował z roli przywódcy.

To nie byłby ten Manachan, którego znał.

Podniósł rękę i zastukał lekko do drzwi. Spodziewał się, że usłyszy głos stryja wołający gniewnie: „Wejść!”. Ale zamiast tego rozległy się ciche kroki i drzwi się uchylły.

Wyjrzał zza nich Edgar, wąski korytarz za jego plecami łączący sypialnię Manachana i jego salonik był pogrążony w ciemności. Służący, wysoki i szczupły, o pociągłej twarzy i bladej cerze, z ciemnymi włosami opadającymi na szerokie brwi, zamrugał – a kiedy rozpoznał Thomasa, na jego obliczu pojawił się wyraz ulgi.

– Pan Thomas! Jak się cieszę, że pana widzę.

Thomas nie miał cienia wątpliwości, że serdeczny ton Edgara odzwierciedla jego uczucia. Do diaska! Co się tu dzieje?

Zanim zdążył powiedzieć, że chciałby zobaczyć się z Manachanem, Edgar się odwrócił. Zostawiwszy drzwi otwarte, wycofał się na lewo do sypialni.

– Jaśnie panie... niech pan zobaczy, kto przyjechał!

Thomas wszedł za próg. Zatrzymał się na chwilę, by przyzwyczaić oczy do mroku, po czym zamknął za sobą drzwi i wkroczył do sypialni.

Manachan spoczywał na łóżku, na kołdrze, w pozycji półleżącej, wsparty na kilku poduszkach. Choć jego nogi okrywał szal, był ubrany: w koszulę, spodnie, fular i aksamitną bonzurkę.

Chociaż miał ziemistą cerę i znacznie schudł od czasu, kiedy Thomas widział go ostatnio, wciąż był potężnym mężczyzną. Nie sprawiał już wrażenia silnego, ale pozostał muskularny i zachował jeszcze sporo ciała.

Jednakże już ruch głowy, kiedy zwrócił ją w stronę drzwi, zdradził, jaki jest słaby. Znużony. Apatyczny, w sposób świadczący o przewlekłej chorobie. Oczy, które spojrzały Thomasowi w twarz, były tej samej niebieskiej barwy, jaką zapamiętał, ale zniknęły z nich bystrość i przenikliwość, które charakteryzowały stryja – czy raczej nie tyle zniknęły, ile przygasły.

Tak jakby Manachan spoglądał na świat z daleka, przez woal.

Przez chwilę wpatrywał się w Thomasa, a potem złagodniał i na jego ustach pojawił się uśmiech. Podniósł z wysiłkiem dłoń.

– Thomas, mój chłopcze. Dobrze, że przyjechałeś w odwiedziny.

Thomas podszedł i wziął go za rękę. Drugą dłonią chwycił krzesło o prostym oparciu, przyciągnął je do łóżka i usiadł na nim. Przyjrzawszy się twarzy stryja, próbował ukryć szok.

Ale choć Manachan bardzo osłabł, umysłowo był sprawny jak dawniej i teraz się skrzywił.

- Nie, jeszcze nie umieram. Tyle że spuściłem z tonu. Ale nie pogarsza mi się, chociaż nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Mówiąc „ciii”, Edgar próbował go uciszyć.

Thomas pochwycił spojrzenie stryja.

- Jak długo to trwa, stryju? Kiedy przestałeś wychodzić z pokoju?

Manachan ściągnął brwi, jakby usiłował sobie przypomnieć, a potem zerknął na służącego.

- Zmogło go w sierpniu - pospieszył z cichym wyjaśnieniem Edgar. - Potem wstawał i znowu się kładł, ale nie wrócił już do dawnej formy.

Manachan sarknął.

- Niestety, nawet w przybliżeniu. Wygląda na to, że moja dawna forma zniknęła i niewiele z niej zostało. - Jego wzrok zbystrzał. - Nie ma już ze mnie wielkiego pożytku, ale na szczęście jest Nigel, który przejął pałeczkę.

- Wciąż to jaśnie pan jest głową klanu - zauważył Edgar, zanim zdążył zrobić to Thomas i w jego głosie wyraźnie było słychać upór oraz zaciętość.

Manachan mruknął lekceważąco:

- Żadna ze mnie głowa klanu, skoro nie mogę wyjść i dopilnować spraw.

Kiedy skierował wzrok na Thomasa, ten spojrzał mu w oczy.

- Skoro o tym mowa, stryju, dlaczego do mnie nie napisałeś?

Starszy pan nieznacznie wzruszył szerokimi ramionami.

- Co mam powiedzieć? Jestem już stary, chłopcze. Pokutuję za dawne grzechy i nic nie mogę na to poradzić. Wszystkich nas czeka starość.

Thomas spojrzał z przyganą na Edgara.

Służący odparł:

- Powiedziano nam, byśmy nie zawracali panu głowy... stanem jaśnie pana.

Thomas znowu popatrzył na stryja.

Ten uściśnął jego rękę.

- Pozwól mi zachować godność, chłopcze. Niech tylko ten, kto musi, widzi, jak nisko upadłem.

Thomas przełknął to z trudnością - i jednocześnie ogarnęło go poczucie winy, że przyjechał do posiadłości dopiero teraz, że przez całe dwa lata trzymał się z daleka, dążąc do realizacji własnych celów i tchórzliwie unikając Lucilli Cynster.

Zaczerpnął głęboko powietrza i wypuściwszy je, powiedział:

- Dobrze... co nie znaczy, że się z tym godzę.

Nie godził się z obecnym stanem rzeczy tak bardzo, że nie wiedział, od czego zacząć, by go zmienić, lecz tego dnia miał pilniejsze sprawy na głowie.

Ponownie skupiając się na najważniejszych obecnie problemach - przed którymi stał klan i jego przywódca - spojrzał Manachanowi w oczy.

- Dostałem list od Bradshawa, a potem także Forreстера, z wiadomością, że są jakieś kłopoty z dostawą ziarna na wiosenne zasiewy. Obaj prosili mnie, bym porozmawiał z tobą o tej sprawie, stryju.

Manachan zmarszczył brwi; jego wzrok zbystrzał, co na chwilę znalazło odbicie w wyrazie twarzy.

- Ziarno na siew? Ale przecież... - W jego oczach pojawiło się zdziwienie. Spojrzał na Edgara. - Który dziś?

To pytanie zostało wypowiedziane nieco bardziej stanowczo - wciąż słabym głosem, ale już tonem, który Thomas znał z przeszłości. Widocznie w starszym panu tkwił jeszcze dawny duch.

- Dwudziesty kwietnia - skwapliwie podpowiedział Edgar.

Manachan znowu popatrzył na Thomasa.

- Ziarno powinno już być zasiane, czyż nie? A przynajmniej właśnie wysiewane.

Thomas kiwnął głową.

- Ale go nie dostarczono, w każdym razie farmerom na północy... choć przypuszczam, że żadnym.

Manachan, wciąż zdziwiony, znowu zapadł się w siebie.

- Musi być jakieś opóźnienie... - Patrząc na Thomasa, rzucił: - Zapytaj Nigela... on będzie wiedział, o co chodzi.

- Nigel i Nolan są w Ayr, i to od kilku dni. Wcześniej byli w Glasgow... nie wiem, jak długo.

Manachan nie miał o tym pojęcia, świadczyła o tym jego mina. Ponownie ściągnął brwi, tym razem groźniej.

- A teraz - podjął Thomas, oswabadzając rękę z uścisku stryja i wstając - zanie mogli Bradshawowie. I to poważnie. Cała rodzina.

- Co?! - Manachan łypnął na niego, po czym spojrzał pytająco, wręcz oskarżycielsko, na Edgara.

Służący złożył dłonie i zaćwierkał niewinnie:

- Zakazano nam martwić pana jakimikolwiek złymi wiadomościami.

- Ki diabeł?! - Ton Manachana nie wróżył nic dobrego temu, kto wydał ten zakaz. Starszy pan milczał przez moment, a potem znowu spojrzał na Thomasa. - Dokąd idziesz?

- Jadę na farmę Bradshawów.

- To dobrze. Jedź i dowiedz się, co tu się, u licha, dzieje. Weź ze sobą Joy, naszą zielarkę.

- Już tam jest... wezwali ją Forresterowie, pojechała zeszłego wieczoru.

- Przynajmniej ktoś tu myśli - mruknął Manachan. Po chwili podniósł głowę i zerknął na Thomasa spod krzaczastych brwi. - Miej oczy i uszy otwarte, chłopcze. Dowiedz się, ile możesz... nie tylko o chorobie Bradshawów, ale także o dostawie ziarna. Skoro Nigela nie ma, musimy zasięgnąć informacji u innych, nie ma rady.

Thomas skinął głową, ale ta uwaga go zaniepokoiła, gdyż sugerowała, że cała odpowiedzialność za funkcjonowanie posiadłości spoczywa teraz na barkach Nigela. Nigel mógł zastępować Manachana, jednakże Thomas nie wyobrażał sobie, aby stryj całkowicie zrzekł się władzy, do tego stopnia, aby nie chcieć ingerować.

Ale przecież nie wiedział, jak słaby stał się Manachan. Może ta zmiana była konieczna.

- Po powrocie przyjdę i zdam relację.

Kiedy Manachan kiwnął głową, Thomas odwrócił się i wyszedł za drzwi. Cicho zamknąwszy je za sobą, zatrzymał się, przejęty zmianami, które tu zaszły, i zaniepokojony tym, co się dzieje, potem jednak się otrząsnął i zszedł na parter.

Odebrał płaszcz od Fergusona, od którego się dowiedział, że nadal nie odnalaziono Faith Burns, opuścił dom i udał się z powrotem na dziedziniec stajni.

Mitch czekał z Duchem w budynku między boksami.

- Chciałem, byostał jeszcze w cieple.

Thomas uśmiechem wyraził podziękowanie.

Kiedy dosiadał wierzchowca, Mitch dodał:

- Sean pojechał do Wattsów sprawdzić, czy wiedzą coś o Faith. To dziwne... nie jest przecież taka, by miała się ulotnić bez żadnej informacji, zresztą dokąd by poszła?

Thomas się skrzywił i pokiwał głową; było to słuszne spostrzeżenie. Lecz pokojówka nie mogła przecież tak po prostu zniknąć.

- Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, jadę do Bradshawów... z polecenia jaśnie pana.

Mitch kiwnął głową.

- I dobrze. Mam nadzieję, że Joy im pomoże. Będę czekał na wieści.

Thomas wyprowadził Ducha na dziedziniec. Słońce zachodziło za Rhinns of Kells i powoli nastawał zmierzch.

- Wątpię, bym wrócił przed nocą.

- Ale na wszelki wypadek będziemy pana wypatrywać.

Thomas skłonił głowę, po czym dźgnął piętami gładkie boki Ducha. Wielki siwek płynnie przeszedł w kłus, a potem w cwał. Wyjechawszy z terenu stajni, Thomas skierował konia na północ i popuścił mu cugli.

Gospodarstwo Bradshawów znajdowało się na północnej granicy ziem Carricków, gdzie teren był mniej górzysty, a pola bardziej rozległe. Jadąc w tamtym kierunku, Thomas zauważył, że wiele pól leży odłogiem; niektóre częściowo obsiano, ale na żadnym zboże jeszcze nie wzeszło. Na terenie posiadłości głównie hodowano owce, a oprócz nich niewielką trzodę i dwa małe stada kóz; jedynie garść farmerów miała ziemie nadające się do uprawy roli i większość uzyskanego ziarna szła na całoroczne potrzeby klanu.

Jednak jak dotąd pola nie zostały obsiane i farmerzy się niepokoiли, że zbiory okażą się niewystarczające - że zamiast dwóch będzie tylko jeden - co dla Thomasa było w pełni zrozumiałe: z tego, co pamiętał, klan wykorzystywał większość produkowanego u siebie ziarna.

Gdy wreszcie wjechał na niewielkie wzniesienie, na którym stał kamienny dom Bradshawów, cienie się wydłużyły. Ponieważ jednocześnie wyraźnie się ochłodziło, ze zdziwieniem zobaczył, że drzwi stoją otworem.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by się upewnić, że z kominów nie wydobywa się dym - co już zdecydowanie wzbudziło jego niepokój. Zbliżał się koniec kwietnia i chociaż zima już ustąpiła, ciepłe dni, nie mówiąc o wieczorach, miały dopiero nadejść.

Zsiadł z Ducha, przywiązał go do jednego z pierścieni umocowanych na palu po jednej stronie wejścia, a następnie podszedł do drzwi i zajrzał przez nie do środka. Z zewnątrz dochodziło niewiele światła, a okna były starannie zasłonięte i nie paliła się żadna lampa. Thomas nie mógł przeniknąć wzrokiem mroku spowijającego podłużne pomieszczenie, ale i tak nikogo tam nie było. Niczego także nie usłyszał,

w domu panowała niczym niezmacona cisza.

Podniósł rękę i zastukał w drewnianą framugę.

- Halo? Bradshaw?

Nikt się nie odezwał. Jednak z głębi domu dobiegło go skrzypienie i cichy okrzyk.

Thomas przekroczył próg. Zostawiając za sobą otwarte drzwi, wszedł do głównego pomieszczenia z łukowatym przejściem i ruszył długim korytarzem w głąb domu, krzyk dobiegł z tamtej strony.

Pierwsze drzwi, które napotkał, były otwarte. Pchnął je i znalazł się w sypialni Bradshawów. Pani Bradshaw leżała skulona na fotelu przy wygaszonym kominku. Wyglądała okropnie, jej twarz miała niezdrowy odcień, a siwiejące włosy były rozpuszczone i potargane. Chociaż całkowicie ubrana, na widok Thomasa ani drgnęła; oddychała ustami, płytko i szybko. Na podłodze obok fotela widniały na wpół wyschnięte wymiociny.

Thomas przeniósł wzrok na łóżko. Spoczywał na nim Bradshaw. On również był ubrany, ale tak jak żona leżał skulony, a poza tym wyglądał na wychudzonego i zmierzniętego. I także zwrócił na podłogę obok łóżka zawartość żołądka, a jego skóra miała ten sam kolor co u małżonki.

W przeciwieństwie do niej był przytomny, ale ledwie; kiedy Thomas na niego spojrział, próbował podnieść rękę na przywitanie - błagalnym gestem - lecz zabrakło mu sił.

Widząc ten gest i rozpaczliwą prośbę w jego umęczonych oczach, Thomas poczuł, że ściska mu się serce.

- Poczekaj. - Zastanowiwszy się szybko, czego musiał dowiedzieć się przede wszystkim, zapytał: - Gdzie uzdrowicielka? Dotarła tu?

Bradshaw zdołał tylko nieznacznie kiwnąć głową.

Thomas ściągnął brwi i zerknął w głąb korytarza. Mając zamiar kontynuować poszukiwania, odwrócił głowę i zobaczył, że Bradshaw zwilża spierzchnięte usta.

- Przyjechała zeszłego wieczoru. - Te słowa stanowiły zaledwie tchnienie. - Byli tu Forresterowie... to oni ją sprowadzili.

Thomas zbliżył się do łóżka. Szybko zlustrował szafkę nocną i toaletkę, ale nigdzie nie dostrzegł wody, którą mógłby podać Bradshawowi. Ignorując smród, pochylił się i utkwiał spojrzenie w ustach farmera.

Ten przyjął to z wyraźną ulgą. Zdobył się na wysiłek i wydyszał:

- Joy przyjechała, zbadała nas, a potem zajrzała do dzieci. Wetknęła głowę i powiedziała, że coś nam przyrzadzi... słyszałem, jak idzie do kuchni i rozmawia z Forresterem. - Zamknął oczy. Twarz mu stężała. Wydał jęk, kiedy jego ciałem wstrząsnął paroksyzm bólu.

Thomas patrzył na to bezradnie.

Gdy spazm się skończył, Bradshaw z drzeniem zaczerpnął powietrza i szepnął:

- I już nie wróciła.

Thomas nie był uzdrowicielem, mógł kierować się tylko intuicją. Uścisnął ramię Bradshawa.

- Odpoczywaj. Sprowadzę pomoc. - Prostując się, mruknął: - Trzymaj się.

- Dzieci... - jęknął Bradshaw.

- Sprawdź, jak się mają. - Odwrócił się i poszedł to zrobić, nie wiedząc, czego

się może spodziewać.

Ku swojej uldze zastał dzieci żywe, choć w podobnym stanie do rodziców.

Wszyscy mieli takie same gwałtowne bóleści. Pięcioro dzieci leżało w łóżku bez sił, prawie nieprzytomnych. Również były ubrane.

Forresterowie zastali całą rodzinę chorą i posłali po zielarkę. Thomas nie obrażał sobie, by opuścili krewnych w takim stanie – chyba żeby zjawiała się uzdrowicielka. Joy Burns pewnie uznała, że zdołała pomóc Bradshawom. Przyjechała późnym wieczorem, zbadała ich, zorientowała się, co im dolega, i odesłała Forresterów do domu. Wszystko to musiało się zdarzyć w ciągu nocy.

Ale Bradshawowie nie wiedzieli jej od tamtej pory ani nie dostali od niej żadnych wiadomości.

Minął prawie cały dzień. Gdzie więc była Joy?

Thomas przystanął w drzwiach sypialni rodziców, by powiedzieć Bradshawowi:

– Muszę znaleźć Joy i dowiedzieć się, co się dzieje. Sprowadzę pomoc najszybciej, jak się da.

Bradshaw zdołał nieznacznie kiwnąć głową i znowu zamknął oczy.

Thomas wrócił do głównej izby – pokoju dziennego, jadalni i kuchni jednocześnie, choć ta ostatnia była częściowo oddzielona od reszty. Za łukiem wejścia dostrzegł wielki kominek wykorzystywany do gotowania; znajdował się na przeciwległej ścianie kuchni, jednakże ani w nim, ani w kominku bliższym części dziennej nie palił się ogień.

Zerknąwszy na dwór przez otwarte okno, Thomas zobaczył, że zapada noc. Nie było sensu odsłaniać okien. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się już do panujących w środku ciemności, rozejrzał się wokół i zauważył na stole lampę. Ominąwszy kanapę i fotele, poszedł tam, by ją wziąć – ale okazało się, że nie ma w niej nafty, która, sądząc po knocie, wypaliła się do końca.

Odstawił lampę i poszedł do kuchni. Pomyślał, że znajdzie tam zapałki i inną lampę.

Na kamiennej podłodze leżała skulona Joy Burns. Wyglądała jeszcze gorzej niż jej podopieczni.

Thomas przeklął. Przez chwilę nie mógł nawet myśleć. Obszedłszy uzdrowicielkę, pochylił się nad nią.

– Joy?

Podniósł jej rękę. Była bezwładna, pozbawiona życia.

Dotknął twarzy kobiety, poczuł chłód. Lekko poklepał ją po policzku, potem mocniej, lecz powieki ani drgnęły. Miała wciąż tę samą minę.

Oddychała, ale tak płytko, że ledwie słyszał. Nie dostrzegł żadnych śladów, które by świadczyły, że wymiotowała, ale pozycja, w jakiej leżała – podwinięte ręce i nogi, podciągnięta spódnica – świadczyły o wielkim cierpieniu. Próbował zbadać puls na szyi, ale wyczuł tylko lekkie drżenie.

Bradshawowie być może spali wyczerpani, ale nie stracili przytomności, nawet dzieci.

Joy – uzdrowicielka – była nieprzytomna.

Sytuacja wydawała się poważna. Życie ośmiu osób – siedmiorga Bradshawów oraz Joy – wisiało na włosku, a z nich wszystkich w największym niebezpieczeń-

stwie była zielarka.

Thomas nie mógł pomóc żadnemu z nich - w każdym razie nie natychmiast.

Przeklinając pod nosem, ujął Joy, modląc się o to, by - choć była nieprzytomna - nie przysparzać jej więcej cierpienia. Prostując się, podniósł kobietę. Była wysoka i dobrze zbudowana, a do tego jeszcze bezwładna, lecz zdołał przenieść ją pod łukiem.

Ominąwszy stół, położył ją delikatnie na wytartej kanapie, przed wygaszonym kominem.

Cofnął się i spojrzał na palenisko, zastanawiając się, czy warto tracić czas na rozpalenie ognia, i uznał, że nie.

Członkowie jego klanu rozpaczliwie potrzebowali pomocy, a zważywszy na to, że wśród chorych była zielarka, zrozumiał, że tylko w jednym miejscu znajdzie ratunek.

Ruszył na złamanie karku do Vale. Pojechał na wschód, dotarł do drogi biegnącej obok wsi Casphairn, potem skierował się na południe i wreszcie skręcił w długi podjazd wiodący do Casphairn Manor.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd tędy jechał. Ale wtedy kłusował niespiesznie, wioząc przerzucone przez siodło dwa szczenięta, małe charty. Podarował je - Artemis i Apolla - Lucilli i jej bratu bliźniakowi, Marcusowi. Zbliżając się do dworu, zaczął się zastawiać, czy psy jeszcze żyją.

Zatrzymawszy się przed schodami na ganek, zeskoczył z siodła. Puścił wodze, wiedząc, że Duch nie odejdzie, po czym kilkoma susami pokonał stopnie i chwycił żelazny łańcuch, który gdzieś w środku był przytwierdzony do dzwonka; pociągnął za niego i usłyszał dalekie dzwonięcie.

W ciągu niespełna minuty rozległy się miarowe kroki i w drzwiach stanął kamerdyner - ten sam, którego Thomas pamiętał z ostatniej wizyty.

Służący spojrzał na Thomasa i ku jego zdziwieniu uśmiechnął się do niego.

- Pan Carrick, nieprawdaż?

Thomas skinął głową, nie mógł odwzajemnić uśmiechu.

- Ja... i mój klan... potrzebujemy pomocy. Jadę z farmy Bradshawów na północy. Cała ich rodzina... on sam, jego żona i pięcioro dzieci... są bardzo chorzy i cierpią. - Przerwał, by zaczerpnąć tchu, ponieważ ścisnęło go w piersi. - Poszła tam nasza zielarka, lecz chyba źle z nią. Jest nieprzytomna i nie mogłem jej docucić.

- Wielkie nieba! - Kamerdyner był poruszony i przejęty. - Wobec tego potrzebuje pan pomocy panny Lucilli.

Thomas powstrzymał się od ściągnięcia brwi.

- Liczyłem, że sprowadzę Algarię... a jeśli nie, to lady Cynster.

Kamerdyner przybrał jeszcze bardziej współczującą minę.

- Obawiam się, proszę pana, że Algaria jakiś czas temu zmarła, a lady Cynster wyjechała z lordem Richardem na kontynent. W ich zastępstwie... by się tak wyrazić... rządy sprawuje panienska Lucilla, która zresztą zna się na ziołach jak nikt. I na pewno pomoże... nie ma co do tego wątpliwości.

Thomas wiedział, że tak, lecz... Zaciskając szczęki, zmusił się, by kiwnąć głową. Dobro klanu było ważniejsze niż względy osobiste.

- Doskonale. Mogę więc z nią pomówić?

Kamerdyner skrzywił się z ubolewaniem.

- Jest w tej chwili w gaju, ale niedługo wróci.

Pogodziwszy się z tym, że będzie musiał zwrócić się do samej Lucilli, spotkać się z nią, spojrzeć jej w oczy, znowu usłyszeć jej głos, Thomas nie zamierzał czekać dłużej.

- W gaju?

- Świętym gaju. - Służący wskazał na północ. - Modli się tam do Pani. Jest z nią panicz Marcus.

Patrząc w tamtym kierunku - prosto jak strzelił ku ziemiom Carricków - Thomas zmrużył oczy.

- Gdzie dokładnie rośnie ten gaj?

3.

Lucilla skończyła się modlić.

Małą polanę otaczały stare, gęsto rosnące drzewa – buki, świerki, jodły oraz brzozy – tworząc świątynię żywej zieleni. Ich gałęzie splatały się nad głową dziewczyny, chroniąc ją przed wiatrem, a w efekcie także przed całym światem.

Otworzywszy oczy, cicho odetchnęła. Po części modlitwa, po części medytacja, po części zaś nawiązywanie kontaktu z otaczającą ją ziemią – a także ze swą boginią – te ciche chwile jak zwykle dawały jej poczucie spokoju i bezpieczeństwa oraz więzi z życiem i własnym przeznaczeniem, nicią tkaną przez los wśród miriadów innych.

Powoli, uroczyście odsunęła się od kamienia w kształcie płyty stanowiącego ołtarz, przed którym klęczała; pierwotnie grubo ciosany, z biegiem stuleci coraz gładszy, stał się bardziej symbolem i praktyczną podporą niż cymkolwiek innym.

Wstała, czując, jak spódnica do jazdy konnej omiata jej nogi, i zatrzymała się na chwilę. Lekko przesunęła opuszkami palców po gładkim kamieniu i jeszcze na moment oparła się zewowi świata istniejącego poza gajem. Wiedziała, jakie czekają tam na nią rozterki, lecz nie mogła przed nimi uciec.

Nie miała zwyczaju unikać życia, ponadto nie było jej to pisane.

Poddając się temu, co nieuniknione, zakończyła medytacje i powróciła myślą nie do swych obowiązków w Vale, do funkcji, którą pełniła, zadań, które wykonywała sprawnie i dobrze, lecz do swej obsesji. Smętnych rozważań nad przeznaczeniem i tym, kiedy wreszcie się ono wypełni.

Czekała na to od dziesięciu lat.

Razem z kuzynką Prudence i ich najlepszą przyjaciółką, Antonią Rawlings, dziewięć lat wcześniej została wprowadzona do towarzystwa. Tak jak się spodziewała, nie wpadł jej w oko żaden dżentelmen, do wzięcia czy nie. Jednakże wiedziała już, że przyszłość czeka na nią nie na południe od granicy, lecz tutaj, na ziemiach Pani.

I mężczyzna, którego miała poślubić, był tu – czy raczej bywał. Sądziła, że z czasem znajdzie do niej drogę. W ciągu minionej dekady spotykali się kilkakrotnie i za każdym razem więź między nimi – prawdziwa, intensywna, niezaprzeczalna – stawała się coraz bardziej ognista, silniejsza, nieodparta. I on też był tego świadom, ulegał tej niepowstrzymanej sile tak samo jak ona.

Wyrabiała w sobie cierpliwość, choć z natury była jej obca.

I czekała.

Niecierpliwość była groźna, stanowiła pożywkę tego jej lekkomyślnego, samowolnego „ja”, które dawno temu nauczyła się trzymać w ryzach.

Więc czekała dalej.

Ostatnio zaczęła się zastanawiać, czy czekanie to właściwa droga. Czy nie powinna raczej działać, zrobić coś, by doprowadzić do tego nieuniknionego mariażu. Choć działanie byłoby niewątpliwie bardziej zgodne z jej temperamentem niż bierność, za każdym razem, gdy zadawała sobie to pytanie, słyszała odpowiedź: nie.

Czekaj. Miała czekać, aż on do niej przyjdzie.

Wiedziała jednak, że jeśli ten mężczyzna się nie pośpieszy, nie będzie dobrze nastrojona, kiedy wreszcie się zejda.

Ostatnim razem spotkali się na balu myśliwskim przed dwoma laty. Gawędzili i za-
tańczyli walca – tak że serce jej rosło. Walc. Nieuniknione chwile i ich konsekwen-
cje – nie można było ich pomylić, opacznie zrozumieć. Zignorować.

Po tamtej nocy spodziewała się jego wizyty lada dzień. Przez następny miesiąc
żyła w stanie upojnego wyczekiwania. Ale się nie zjawił.

Co więcej, od tego czasu nie postawił stopy na ziemi Pani.

Nagle pochwyciła jakiś odgłos – poruszonego kamienia na ścieżce wiodącej do
gaju.

Jej zmysły natychmiast się wyostrzyły. Choć rozum podpowiadał, że to jakieś zwie-
rzę, może ptak, serce wybiegło na przód, wyczuło – i zrozumiało.

Odwróciła się powoli.

Jakby wreszcie ściągnęła go myślami, stał w odległości trzech metrów, w miejscu,
gdzie kręta ścieżka prowadząca do gaju wychodziła na polanę. Według legendy tyl-
ko wybrańcy Pani i ich towarzysze mogli wkroczyć do gaju – a przecież on miał być
jej towarzyszem i małżonkiem...

Wyglądał... jeszcze bardziej jak ktoś dla niej, niż pamiętała. Jak idealny obiekt jej
pożądania. Brązowe włosy, tak ciemne, że wydawały się niemal czarne, okalały
modnie ostrzyżonymi kosmykami kształtną głowę. Wygięte w łuki wyraziste brwi
stanowiły oprawę dla oczu o dziwnym, ujmującym odcieniu złotego bursztynu, hip-
notyzującego połączenia jasnego orzecha i złota. Nad szczupłymi policzkami wzno-
siły się wydatne kości policzkowe, które stanowiły dopełnienie kwadratowej brody
i pięknie wykrojonych ust.

Nie zapomniała o jego wzroście – był znacznie wyższy od niej – ani o sylwetce, po-
tężnych mięśniach w zestawieniu z długimi kośćmi; bez trudu mogła sobie wyobra-
zić, że jego ciało stworzył na swoje podobieństwo jakiś bóg.

Był uderzająco przystojnym mężczyzną, ale uwagę każdej kobiety najbardziej
przykuwała nieopisana siła, która od niego biła. To dominowało we wrażeniu, które
stwarzał.

Zauważając ze zdziwieniem, że był w stroju bardziej odpowiednim do miasta,
w płaszczu narzuconym na surdut, złożyła dłonie i zaczerpnęła tchu. Potem podnio-
sła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Thomas Carrick.

Nie powiedziała nic więcej. Cóż miała mówić? Nie chciała wpaść z tę samą pułap-
ką co dwa lata wcześniej, kiedy uznała, że jego obecność coś znaczy.

Thomas odwzajemnił spojrzenie zielonych oczu Lucilli. Dlatego właśnie jej unikał
- z powodu tego spojrzenia, niewypowiedzianego wyzwania.

Odnosił wrażenie, że jako kobieta przemawiała do wszystkiego tego, co było
w nim męskie – wystarczyło tylko, by na niego spojrzała, a już czuł, że wczepia się
w jego duszę pazurami.

Miała w sobie – nie, ucieleśniała – pewną wyniosłość, arbitralność, władczą kobie-
cą pewność siebie, która go fascynowała i przyciągała.

Nie istniała na świecie nic bardziej przyziemnego niż fizyczny pociąg. To jednak

sięgało głębiej, było silniejsze, bardziej ekscytujące.

Nie wspominając o całej reszcie, która stanowiła o jej niezaprzeczalnym powabie.

Nie sięgała mu nawet do ramienia; była drobna, delikatna, lecz kształtna i kobieca. Swoje słynne rudy włosy upięła tego dnia w kok z tyłu głowy, zostawiając wokół twarzy w kształcie serca miękkie loki. Alabastrowa cera stanowiła idealne tło dla niepokojących oczu – bardziej świetlistych, intensywniejszych niż zieleń lasu – oraz pełnych różowych ust narysowanych ręką anioła.

Przez dłuższą chwilę tylko na nią patrzył – czując więź, dogłębną i bardzo rzeczywistą – aż w końcu wciągnął powietrze w płuca i skłonił głowę.

– Panno Cynster.

Wobec tego oficjalnego powitania uniosła brew.

Skorzystał z tej okazji.

– Przybyłem do Carrick Manor w odpowiedzi na wezwanie i zaraz potem pojechałem na farmę Bradshawów... na północny posiadłości.

W jej oczach pojawiło się lekkie zdziwienie, ale skinęła głową.

– Wiem, gdzie to jest. Znam Bradshawów.

To ułatwiało sprawę.

– Zaniemogli... wszyscy. Czegokolwiek się nabawili, musiało się to stać dwa dni temu. Znaleźniono ich wczoraj i posłano po uzdrowicielkę. Z tego, co wiem, przyszła do nich późnym wieczorem i miała się nimi zająć. – Przerwał i po chwili wyjaśnił zwyczajnie: – Byłem u nich niespełna godzinę temu. Uzdrowicielka musiała dostać jakiegoś ataku. Chyba umiera... na pewno nie jest z nią dobrze. I wydaje mi się, że nie zdążyła pomóc Bradshawom... wciąż są bardzo chorzy.

Lucilla zamrugła.

– Ale żyją?

Zaciskając usta, sprecyzował:

– Jeszcze żyją.

– Już jadę. – Te słowa wyszły z jej ust, zanim zdążyła się dobrze zastanowić, choć w takiej sytuacji nie miała nad czym. Takie zadania były sensem jej życia – przynajmniej jako przedstawicielki Pani na tych ziemiach.

Odetchnął z ulgą.

– Dziękuję. Nasz klan nie ma innej uzdrowicielki, przynajmniej z tego, co mi wiadomo.

Pokręciła głową.

– Nie. – Poszukała wzrokiem rękawiczek, dostrzegła je na omszałym kamieniu przy ołtarzu i podniosła. – Joy przygotowywała do tej funkcji młodszą kobietę, ale gdy rozmawiałam z nią kilka miesięcy temu, powiedziała mi, że... Alice, tak chyba się nazywała, nie jest jeszcze gotowa leczyć samodzielnie. – Wciągając rękawiczki, podeszła do Thomasa, lecz myślami wybiegła już dalej. – Joy na pewno zabrała ze sobą wszystko, czego potrzebowała, a ja zawsze wożę niezbędne rzeczy, więc nie ma potrzeby wracać do dworu. – Zatrzymała się przy nim i zaskoczona poczuła... Nagle rozejrzała się wokół. – Co zrobił pan z Marcusem?

Thomas się skrzywił i ujął ją za łokieć.

Zdołała ukryć swą reakcję na jego dotyk. Poczuła gorąco nawet przez aksamitny żakiet do jazdy konnej.

A jej brat bliźniak był tam, gdzie go zostawiła, na końcu ścieżki, tyle że... leżał nieprzytomny. Niczego nieświadomy.

Thomas się odwrócił, jakby chciał ruszyć ścieżką z powrotem, ale ona stała w miejscu. I czekała.

Dzięki niemu nawykła do czekania.

Zacisnął usta, ale przezornie nie próbował jej ponaglać.

- Członkowie mojego klanu potrzebują pani pomocy, i to natychmiast. Cynster... pani brat... by się sprzeciwiał. Przekonanie go, by pozwolił pani pojechać ze mną na północ, nawet gdyby miał nam towarzyszyć, zabrałoby za dużo czasu. - Spojrzał jej w oczy. - Czasu, którego Joy i Bradshawowie nie mają.

Wytrzymała jego wzrok.

- Więc...?

- Uderzyłem go w głowę. Lekko, ale tak by stracił przytomność.

Zaczerpnęła powietrza, popatrzyła mu badawczo w oczy, pokręciła głową i wreszcie, wrywając mu się, ruszyła dalej.

- Wie pan, że on nigdy panu tego nie wybaczy? - Ale ponieważ w końcu Marcus miał zostać jego szwagrem, wiedziała, że to „nigdy” potrwa bardzo długo.

Zrównując z nią krok, Thomas wzruszył ramionami.

- Jeśli przez to zdołam przywieźć panią do Bradshawów na czas, jakoś zniosę jego niechęć.

Wyjeżdżając z Casphairn Manor, miał przed oczami obraz zimnej Joy leżącej w kuchni na podłodze i ledwie żywe dzieci farmerów na łózkach. Uświadomiwszy sobie, że Lucilli na pewno towarzyszy Marcus, który pełni straż, Thomas przewidział, jakie napotka przeszkody, i postanowił je usunąć.

Zatoczył koło i podjechał do gaju od góry. Zostawił Ducha w odległości, z której dostrzegł konie rodzeństwa, po czym szybko, choć z ostrożnością człowieka lasu, skierował się do miejsca, gdzie musiał być gaj.

Marcus siedział na kamieniu nieopodal ścieżki wiodącej między drzewa i patrzył w stronę Vale; był tak zamyślony, że Thomas bez trudu zaszedł go od tyłu.

Wystarczył mu jeden zręczny cios. Potem chwycił Marcusa, zanim ten się przewrócił, i położył go ostrożnie na ziemi.

Kiedy wyszli z gaju, Marcus wciąż leżał tam, gdzie Thomas go zostawił.

Lucilla zatrzymała się i spojrzała na brata, a potem przykucnęła i dotknęła jego policzka oraz szyi. Najwyraźniej zadowolona, wsunęła dłoń do kieszeni jego kurtki i wyjęła z niej mały notes z ołówkiem. Otworzyła go na czystej stronie i zaczęła coś pisać.

Thomas poruszył się niespokojnie, bo chciał już jechać. Niecierpliwość, która każała mu popędzić do Vale, rosła w nim z każdą chwilą.

- Proszę mi zaufać - rzuciła krótko Lucilla. - Żadne z nas nie chce przecież zostawić go tu bez słowa wyjaśnienia.

Przypominając sobie ostrzegawcze spojrzenie, które posłał mu Marcus, kiedy ostatnim razem przecięły się ich ścieżki - na balu myśliwskim - Thomas musiał jej zawierzyć. Cynsterowie byli znani z tego, że nie tolerowali naruszania granic swego terytorium, a unieszkodliwienie Marcusa i uprowadzenie jego siostry nie było dobrym sposobem, by zaskarbić sobie względy młodego przedstawiciela rodu.

Zmarszczył czoło.

- Państwa rodzice wyjechali, więc to on rzędzi w Vale.

Lucilla potwierdziła skinieniem głowy. Spojrzała w niebo, które pozostało czyste, po czym włożyła notes w dłoń brata. Wstała.

- Jeśli dowie się... ode mnie... dokąd pojechałam, nie będzie mnie szukał. Chyba że po niego pošlę.

Thomas przyznał w duchu, że niezapowiedziane pojawienie się Marcusa nie było by pomyślną okolicznością. Wyciągnął do Lucilli rękę.

- Powinniśmy już jechać.

Pozwoliła, by ujął ją pod ramię, gdy ruszyli przez wyboisty teren do miejsca, gdzie oboje z Marcusem zostawili konie. Płochą, lecz bardzo szybka klacz zastrzygła uszami, kiedy się zbliżyli. Lucilla odwiązała wodze.

- Jaka jest najkrótsza droga?

Zadała to pytanie, by go czymś zająć - i siebie też - kiedy zawracała klacz. Musiała pozwolić, by pomógł jej wskoczyć na siodło, nie miała innego wyjścia.

Przygotowując się na dotyk jego dłoni, stała u boku klaczy i czekała.

Ku jej zaskoczeniu Thomas zacisnął ponuro usta - niemal jakby on także przygotowywał się do tego.

- Prosto na północ - odparł, po czym chwycił ją w pasie i podniósł.

Puścił Lucillę w chwili, gdy siedziała pewnie w siodle, lecz ten krótki kontakt, wrażenie, że jest całkowicie w jego władzy, okazały się równie silne, obezwładniające, jak się spodziewała.

I równie cudowne, niezapomniane.

Na pozór zajęta wsuwaniem stóp w strzemiona, obserwowała spod rzęs, jak Thomas podchodzi do wielkiego siwosza, który niedaleko gryzł rzadką trawę. Przyglądała się, jak ujmuje wodze, a potem bez wysiłku wskakuje na siodło - ruchem pełnym męskiej siły i gracji, a także powściąganej agresji.

Uświadamiając sobie, że wstrzymuje oddech - że ta chwila jeszcze bardziej wzmogła pragnienie, które w związku z jego bliskością znowu się w niej obudziło - zaczerpnęła powietrza, podniosła głowę, mocniej chwyciła wodze i dźgnęła piętami klacz, by klusem zbliżyć się do niego.

To nie musiało być spotkanie, na które liczyła, ale zważywszy na okoliczności, zamierzała stawić czoło temu, co zsyłała jej Pani. Postanowiła, że gdy wypełni już obowiązek wobec tych, którzy ta powierzyła jej opiece, wykorzysta sytuację do swych celów - by zrealizować własne marzenie.

Thomas czekał, równie niecierpliwie jak ona. Bez dalszych słów ruszyli więc w drogę, jadąc na farmę Bradshawów tak szybko, jak tylko pozwalały względy bezpieczeństwa.

Zajechali przed dom Bradshawów, kiedy na niebie po zachodniej stronie gasły ostatnie promienie słońca.

Lucilla zatrzymała klacz, wysunęła stopy ze strzemion i zeskoczyła na ziemię; w tej chwili nie potrzebowała, by jeszcze rozpraszał ją dotyk dłoni Thomasa ujmujących ją w pasie. Zerknęła na niego, odwiązując sakwę.

On już zdążył zsiąść z konia i sięgnął po wodze jej klaczy.

- Zajmę się koźmi. Joy leży na kanapie w głównym pomieszczeniu.

Lucilla skinęła głową. Ruszyła z sakwą do drzwi. Otworzywszy je, przystanąła, odczekała chwilę, by jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności, po czym weszła do środka.

Uzdrowicielka Carricków wciąż leżała na sofie. W domu nie było ognia ani żadnego światła, wszędzie panował chłód. Odłożywszy sakwę na stół, skierowała się do kuchni, ale w lampie, którą tam znalazła, wypaliła się nafta. Nigdzie nie było widać świece. Wróciwszy do głównego pomieszczenia, zlustrowała meble, kominek – i wreszcie dostrzegła świecę w lichtarzu, a obok niej pudełko z hubką i krzesiwem.

Zapaliła ją szybko i podeszła z nią do kanapy.

Wystarczyły jej dwie minuty, by się upewnić, że Joy Burns nie można już pomóc. Uzdrowicielka jeszcze żyła, lecz jej chwile na tym świecie były policzone.

Lucilla się wyprostowała. Spojrzała na Thomasa, kiedy wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

- Co z nią? - Zbliżył się pospiesznie, stanął za kanapą i spojrzał na Joy. Twarz mu stężała. - Nie poruszyła się, odkąd ją tu ułożyłem.

Lucilli przykro było wypowiedzieć te słowa, lecz robiła to już na tyle często, by wiedzieć, że powinny być jak najprostsze.

- Sądził pan, że jest bliska śmierci, i miał pan rację. Nic nie mogę dla niej zrobić. Bardzo żałuję. - Po chwili dodała: - A ponieważ się nie poruszyła, pan także nie mógł jej pomóc w chwili, gdy ją pan znalazł.

Thomas zacisnął usta, wokół których pojawiły się bruzdy. Przez moment nic nie mówił, a potem podniósł wzrok i spojrzał Lucilli w oczy. Posępnie skinął głową.

- A Bradshawowie?

- Módlmy się, by byli w lepszym stanie. - Wzięła lichtarz ze stolika przy kanapie i odwróciła się w stronę łukowego przejścia, zakładając, że prowadzi do sypialni. - Najpierw zajrzę do najmłodszego... to dziewczynka, prawda? Gdzie ona jest?

Obszedł kanapę i wskazał otwarte drzwi po prawej stronie korytarza.

- To wspólny pokój trzech córek. Chłopcy zajmują drugi, na końcu. Sypialnia Bradshawów znajduje się po lewej stronie.

- Zbadam ich wszystkich... w pierwszej kolejności dzieci, a potem dorosłych.

Oddaliła się korytarzem.

Thomas rzucił za nią:

- Lampy się wypaliły! Poszukam nafty.

Nie odwracając się, kiwnęła głową.

- A jeśli pan nie znajdzie, niech pan rozejrzy się za świecami. Potrzebuję... potrzebujemy lepszego oświetlenia.

Pchnęła drzwi pokoju dziewczynek i weszła do środka.

Ku jej uldze najmłodsza, około siedmioletnia, jakby dochodziła do siebie. Kiedy Lucilla przytknęła dłoń do jej czoła, mała budziła się z normalnego snu, a przynajmniej tak to wyglądało.

Upewniwszy się co do jej stanu, Lucilla zajęła się pozostałymi dziewczętami, na oko trzynastoletnią i czternastoletnią. One też się zbudziły, ale były słabsze i bardziej otępiałe niż ich młodsza siostra.

Jednakże żadnej nie groziła śmierć, tego Lucilla była pewna.

Wydało jej się dziwne, że najmłodsza, a więc najmniejsza, zdrowiała najszybciej, jednakże zakładając, że z pozostałymi też tak będzie, Lucilla wróciła do tamtej i zaczęła ją wypytywać, co się stało, od czego się zaczęło i kiedy. Relacja dziecka była dość zrozumiała; cała rodzina poczuła się źle około południa poprzedniego dnia. Jeden po drugim zaczęli wymiotować i padli na łóżka, ale torsje nie ustawały. Dziewczynka skarżyła się, że wciąż bardzo boli ją brzuch – czy raczej mięśnie brzucha, jak upewniła się Lucilla.

Do przyjazdu Forresterów późnym popołudniem wszyscy czuli się już bardzo źle. Forresterowie powiedzieli, że posłają po uzdrowicielkę, a co było dalej, tego dziewczynka nie wiedziała, ponieważ raz po raz traciła przytomność.

Obudziła się tego ranka, lecz była zbyt słaba, by cokolwiek zrobić, więc tylko leżała na łóżku, zapadając co jakiś czas w sen.

Miała podkrążone oczy. Lucilla zauważyła, że dziecko stale zwilża usta. Rozejrzała się dookoła, ale dzbanek na wodę stojący na toaletce był pusty, podobnie jak kubki na szafkach nocnych.

Mała zamrugnęła i słabym głosem poprosiła o coś do picia.

Lucilla poklepała ją po ręce i wstała.

– Przyniosę wodę. Zamknij oczy i odpoczywaj, dopóki nie wrócę. Ale wcześniej muszę zajrzeć do twoich braci i rodziców.

Dziewczynka, której już opadały powieki, tylko kiwnęła głową.

W pokoju chłopców Lucilla zastała podobną sytuację – dziesięciolatek wracał do zdrowia szybciej niż szesnastolatek. Każdy miał przy łóżku wiadro; unoszący się w powietrzu straszliwy smród świadczył o tym, że cokolwiek rodzina zjadła od śniadania poprzedniego dnia, zostało zwrócone. To tłumaczyło osłabienie chorych.

Upewniła się, że chłopcom także nic nie będzie, i przeszła do sypialni rodziców.

Tam znalazła kolejne dowody, że Bradshawom w tej chwili dolegało już tylko niedożywienie, odwodnienie i ogólne wyczerpanie z powodu wcześniejszych gwałtownych torsji.

Jednakże same torsje najwyraźniej przeszły.

Pani Bradshaw sprawiała wrażenie najbardziej osłabionej; Lucilla doszła do wniosku, że kobieta jako żona farmera i matka pięciorga dzieci miała najmniej sił.

By zbadać pana Bradshawa, musiała wejść na łóżko. Potężny mężczyzna drgnął, kiedy się nad nim pochylała. Otworzył oczy i je wytrzeszczył.

Lucilla, usłyszawszy, że przypomina anioła, szybko go uspokoiła.

– Sprowadził mnie tu pan Thomas. – Bradshaw znał ją z widzenia i na wzmiankę o Thomasie natychmiast rozpoznał.

Próbował usiąść, ale Lucilla go powstrzymała.

– Nie. Proszę odpoczywać. Jest pan jeszcze za słaby, by pomóc. Wszyscy pana bliscy też już mają się lepiej. – Wstawszy z łóżka, rozejrzała się po pokoju, ale tam także nie dostrzegła wody. – Niech pan poczeka, przyniosę coś do picia. Pańska żona śpi mocno i nie ma potrzeby jej budzić. Sen jest najlepszym lekarstwem.

Wyszła z sypialni i wróciła do głównego pomieszczenia. Szybko spojrzała na kanapę i zobaczyła, że Joy nadal się nie rusza. Zbadała jej puls; był ledwie wyczuwalny i wciąż słabł. Z kuchni dochodziło światło. Skierowała się więc tam ze świecą.

Thomas krzątał się przy stole, nalewając naftę do drugiej lampy. Kiedy się pojawi-

ła, podniósł głowę.

Odpowiedziała na pytanie w jego oczach:

- Bradshawowie dochodzą do siebie. Cokolwiek im zaszkodziło, wyrzucili to z siebie i teraz będą szybko wracać do zdrowia.

- Coś zjedli?

- Na to wygląda. Coś, co wywołało gwałtowne torsje. Coś jak trucizna, ale taka, którą, kiedy się ją wydali, już nie działa. Wciąż odczuwają bóle, ale raczej mięśniowe, od uporczywych wymiotów, a nie na skutek choroby. Przyrządzę napar, który im pomoże, ale najpierw muszą się napić wody. - Rozejrzała się za czymś, w czym Bradshawowie przynosili wodę, ale nic takiego nie zauważyła.

Thomas wskazał na coś i odwróciwszy się w tamtą stronę, ujrzała duży metalowy dzban stojący w cieniu przy tylnych drzwiach.

- Leżał przewrócony na podłodze. Przełałem do kubka resztki wody, które w nim zostały, i postawiłem na kredensie. Joy musiała trzymać dzbanek, kiedy upadła.

Lucilla się zatrzymała, a potem, nie patrząc na Thomasa, podeszła i wzięła kubek.

- Co takiego?!

Wypowiadając to pytanie - czy raczej wydając okrzyk - spojrzała szybko w jego stronę. Zawahała się, lecz był najodpowiedniejszą osobą, jakiej mogła to powiedzieć.

- Pytał pan o truciznę. Nie wiem, co zaszkodziło Bradshawom, lecz podejrzewam, że musieli to zjeść na śniadanie. Joy natomiast została otruta, a to coś zupełnie innego. Będąc już tutaj albo wcześniej, gdy się tu zbliżała. - Przerwała, licząc w myśli, a potem pokręciła głową. - Nie sądzę, by zjadła albo wypła truciznę przed opuszczeniem dworu. Nie dotarłaby tak daleko, a już na pewno nie w takim stanie, aby Forresterowie mogli zostawić Bradshawów pod jej opieką.

Thomas znieruchomiał w trakcie napełniania lampy. Badawczo popatrzył Lucilli w twarz i zapytał:

- Nasza uzdrowicielka otruta?

Lucilla się skrzywiła.

- Wiem, że to zabrzmie nieprawdopodobnie, lecz jestem gotowa przysiąc, że Joy umiera na skutek otrucia, i to bardzo groźnego. Lecz jak do tego doszło - podniosła wolną rękę wnętrzem dłoni ku górze - tego nie umiem powiedzieć. Mogła zjeść grzyb, który uważała za jadalny, a który należał do innego gatunku, niż sądziła. To zdarza się dość często, nawet ludziom znającym się na roślinach.

Popatrzył jej w oczy, a potem cicho podsumował:

- Więc Bradshawowie ciężko się rozchorowali z powodu jednego rodzaju trucizny, a nasza uzdrowicielka, wysłana im na pomoc, umiera od drugiego.

Lucilla westchnęła.

- Tak, to mało wiarygodne, prawda? Tyle jednak wiem, a Joy niewątpliwie umiera z powodu otrucia. Żaden atak ani inna dolegliwość nie powoduje takiej śmierci. - Podniosła dzban. - Pójdę po wodę.

Odwróciła się i otworzyła drzwi.

- Studnia jest po prawej stronie, przy oborze.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Zapadała noc i robiło się zimno, jednak nie zamierzała długo przebywać na dworze. Kamienna studnia stała dumnie na samym

środku brukowanego podwórka za domem; było jeszcze na tyle widno, by Lucilla widziała drogę. Otwartą cembrowinę osłaniał smołowany daszek. Wiadro, już napełnione, zostało na dole; Lucilla pochyliła się więc, by je wydobyć. Przyciągnąwszy naczynie do cembrowiny, zdjęła je z haka. Ustawiła dzban między stopami i już miała podnieść wiadro, by przelać wodę z jednego naczynia do drugiego, kiedy ze stodoły wybiegły trzy koty i pięcioro kociąt, miaucząc żałośnie.

Zwierzęta skierowały się do szarej emaliowanej miski, która stała na ziemi przy studni. Miska była pusta.

Otarły się o miskę i spódnicę Lucilli.

- Biedactwa. - Pochyliła się i naląła do miski wody z wiadra, po czym odstawiła ją obok studni.

Koty się spłoszyły. Zrobiła więc krok do tyłu, obserwując, jak trzy najstarsze podchodzą do naczynia. Węsząc, zbliżyły się do wody.

Jednak w odległości dziesięciu centymetrów przystanąły, a potem, prychając, zaczęły się cofać.

Dwa z kociąt podbiegły do miski. Jeden z dorosłych prychnął i je odpędził.

Patrząc niechętnie na miskę z wodą - i jednocześnie na nią - koty miauknęły i powoli wróciły do stodoły.

Lucilla spojrzała na napełnione wiadro i poczuła, że po plecach przebiega jej lodowaty dreszcz.

Chwila zastanowienia wystarczyła, by upewniła się co do swych podejrzeń.

Zaciskając usta, chwyciła wiadro i wylała wodę z powrotem do studni. Odstawiła puste naczynie, opróżniła miskę, chwyciła pusty dzban - i przypomniała sobie kubek z wodą stojący na kredensie oraz kogoś, kto mógł być spragniony.

Wpadła do kuchni w chwili, gdy Thomas brał kubek z kredensu.

- Nie! - Wyciągnęła rękę. - Niech pan tego nie pije!

Spojrzał na nią, potem na kubek i wreszcie na pusty dzban, który trzymała.

- Woda?!

W jego głosie brzmiało jednocześnie przerażenie i niedowierzanie.

Lucilla oparła się o drzwi i pokiwała głową.

- Jest zatruta. Koty, mimo że bardzo spragnione, nie chciały się do niej zbliżyć.

Odzyskawszy oddech, odsunęła się od drzwi, podeszła do stołu i odstawiła dzban.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem powiedziała cicho:

- Coś... jakimś sposobem... dostało się dwa dni temu do studni. Bradshawowie zaczęli rano wody i wypili ją do śniadania.

- I się rozchorowali.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- A oczywiście, kiedy ktoś się rozchoruje, przede wszystkim podaje mu się wodę. Dużo wody.

- Więc czuli się coraz gorzej.

Podnosząc głowę, napotkała spojrzenie Thomasa.

- Ktokolwiek to zrobił... bo nic innego nie przychodzi mi do głowy jak to, że ktoś specjalnie zatrzał studnię... postąpił wyjątkowo podle. Dzieci... - Urwała. Próbując powstrzymać drżenie, objęła się ramionami. - O mało wszyscy nie umarli. I to w straszliwych bólach.

Thomas przeklął pod nosem. Spojrzał na kubek w swojej dłoni, podszedł do drzwi, otworzył je i wylał wodę na ziemię.

Lucilla wciąż patrzyła na dzbanek.

- Co za zbieg okoliczności - odezwała się w końcu. - Bradshawowie wracają do zdrowia, ponieważ przez cały dzień nie pili wody. Gdyby Joy sama się nie rozchorowała....

- Podałaby im wodę, nie wiedząc, że jest zatruta. - Thomas zacisnął zęby; ledwie panował nad gniewem. Nie miał jednak na kim go wyładować, na kim szukać zemsty za cierpienie członków swego klanu. Na razie.

Zmusił się, żeby odetchnąć głęboko i skupić się na tym, co było w tej chwili najważniejsze.

- Bradshawowie. Potrzebują wody... wody, której mogliby się napić.

Lucilla się wzdrygnęła, jakby otrząsała się z równie mściwych myśli.

- Tak. I to szybko. Nie mogę podać im żadnej herbaty, bo jak ją zaparzę? - Spojrzała na niego. - Która farma znajduje się najbliżej?

- Forresterów. Pojadę tam... pomogą.

Skinęła głową.

- Jeśli przegotuję wodę, będę mogła jej użyć do mycia i sprzątania. Najmłodsze dziewczynki... choć tak im przyniosę ulgę.

Thomas się zawahał.

- Będę musiał pożyczyć od Forresterów wóz, by przywieźć dostateczną ilość wody. Zejdzie mi z godzinę, może dwie. Poradzi pani sobie tu sama?

Popatrzyła na niego, jakby mówił obcym językiem, a potem odprawiła go ruchem ręki.

- Niech pan jedzie. Poradzę sobie doskonale.

Thomas wyszedł.

Lucilla przygotowała drugą lampę. Zapaliła ją i przykręciwszy knot, postawiła na stole obok kanapy. Obejrzała Joy, ale nie odnotowała żadnej poprawy. Wzięła więc pierwszą lampę i zajrzała do różnych małych pomieszczeń przy kuchni, a potem także do pralni. Zebrawszy wszystko, co mogło jej się przydać, przyniosła wodę ze studni, nalała jej do kociołka, a potem rozpałała pod nim ogień. Kiedy po dziesięciu minutach woda zawrzała, przelała ją do wiadra, nałożyła pokrywę na kociołek i zabrała się do roboty.

Wyszorowała podłogi i wymieniła brudne wiadra w pokojach na czyste. Mimo wieczornego chłodu pootwierała okna, by pozbyć się z domu woni choroby.

Zrobiwszy to, ponownie nabrała wody, jeszcze cieplej, i zwilżyła nią szmatkę, którą przetarła dłonie i czoła pacjentów, uważając, by nie dotknąć nią ust żadnego z nich.

Najmłodsza dziewczynka i młodszy chłopiec obudzili się i nie spali, jednakże pozostali wciąż zapadali w sen. Przypomniawszy sobie o małej manierce przytroczonej do siodła, zarzuciła na głowę i ramiona szal, który znalazła w sypialni Bradshawów, i poszła po nią do stajni.

Z zadowoleniem stwierdziła, że manierka jest pełna świeżej czystej wody ze studni w Casphairn Manor. Upiła mały łyk, po czym wróciła do domu i nalała niewielką ilość do dwóch kubków, które wyjęła z głębi kredensu. Zaniosiła je dziewczynce

i chłopcu, a potem znalazła następny kubek, taki, który wydał jej się nieskażony, i zaniósła w nim wody także Bradshawowi.

Farmer podniósł głowę, by się napić, lecz zaraz potem znowu opadł na łóżko, zmęczony tym wysiłkiem. Lucilla zobaczyła, że ponownie zmorzyła go senność. Zerknęła na jego żonę i zostawiła ich oboje pogrążonych we śnie.

Po powrocie do głównego pomieszczenia przyciągnęła do kanapy krzesło i ująwszy dłonie Joy, usiadła przy niej.

Tak samo z innymi czuwała przy Algarii i wiedziała, że będzie tak robić jeszcze wiele razy w życiu – trzymać za ręce osoby zbliżające się do śmierci.

Mały zegar na kominku wybił dwunastą, kiedy wreszcie usłyszała daleki turkot nadjeżdżającego wozu.

Wyszła na dwór i zobaczyła, że Thomas przywiózł dwie beczki wody.

Podjechał wozem jak najbliżej drzwi kuchennych. Zeskoczywszy na ziemię, wskazał beczki.

– Forresterowie przyjadą z samego rana. Do tego czasu będziemy musieli chodzić tu po wodę... sam beczek nie przeniosę.

– Nieistotne – odparła. – Woda jest nieskażona, a to najważniejsze.

Przez następne dwie godziny mieli co robić. Thomas wyprzągnął konia Forresterów i zaprowadził go do stajni, podczas gdy Lucilla zaparzyła dwa rodzaje ziół. Kiedy się wystudziły, umyła i wytarła kubki oraz miski, starając się oszczędzać przywiezioną przez Thomasa wodę. Nie wiedziała, czym zatruto studnię Bradshawów, i samo zagotowanie pochodzącej z niej wody mogło nie zabić trucizny, a nie zamierzała ryzykować.

Thomas wrócił i zajrzał do Bradshawów. Siedział przy Joy, kiedy Lucilla wniosła do głównej izby tacę z zaparzonymi ziołami.

Wtedy wstał i odebrał od niej tacę. Razem ruszyli na obchód po pokojach i zaczęli budzić chorych. On pomagał im usiąść, a ona pić. Z ulgą zobaczył, że najmłodszy Bradshawowie wracają do siebie, odzyskali bowiem kolory na policzkach i powoli zaczęli wstawać.

– Rano wszyscy będą już w formie – orzekła Lucilla.

Członkowie rodziny oprzytomnieli na tyle, by rozpoznać ich oboje, co także było dobrym znakiem. Kiedy pani Bradshaw, najstarsza z nich i najpoważniej chora, zaczęła z wysiłkiem im dziękować, Thomas czym prędzej ją uciszył.

– Proszę odpoczywać... poprawa pani zdrowia będzie dla nas najlepszą nagrodą.

Lucilla lekko się uśmiechnęła. Z aprobatą skinęła mu głową, wzięła tacę z pustymi kubkami i wyszła z pokoju.

Thomas zabrał lampę i podążył za nią. Przystanąwszy w drzwiach, obejrzał się jeszcze i dostrzegł wyszorowaną podłogę, wymienione wiadra oraz inne oznaki przywróconego porządku i czystości.

Zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem. Nie spodziewał się, że wnuczka księżnej będzie myła podłogę w farmerskim domu, ale przecież nikt poza nią nie mógł tego zrobić. Później przypomniał sobie, jak bardzo trudziła się dziesięć lat wcześniej w chacie zagrodnika i pomogła przyjść na świat jego dziecku. Może i była wnuczką księżnej, lecz nie uchylała się od pracy na rzecz tych, którzy potrzebowali pomocy i o nią poprosili.

Przechodząc z pochyloną głową pod łukiem, wrócił do głównej izby. Zobaczył w blasku stojącej przy kanapie lampy, że Lucilla z tacą w rękach spogląda na zegar.

- O czwartej znowu będzie trzeba zaparzyć zioła.

Zawahał się, ale spytał:

- Co pani im daje?

Zerknęła na niego, jakby zdziwiona, że go to interesuje, lecz odpowiedziała:

- Napar mieszanki ziołowej, która łagodzi ból i działa kojąco na brzuch. O czwartej podamy im to samo, lecz o słabszej mocy, razem z połową dawki środka na wzmocnienie. Później, kiedy będą już mogli wstać, powinni dostać więcej tego drugiego. - Ruszyła do kuchni. - Będą mogli go popijać w miarę potrzeby. Zostawię im większą ilość. Byłabym zdziwiona, gdyby do wieczora nie poczuli się znacznie lepiej, choć w pełni wrócą do zdrowia dopiero za dzień czy dwa. - Zatrzymała się na progu kuchni i obejrzała za siebie. - Teraz przede wszystkim trzeba dopilnować, by nie pili skażonej wody.

Thomas skinął głową, ruszył za nią do kuchni i postawił lampę na stole.

- Forresterowie mieszkają na tyle blisko, by dostarczać świeżej. Już to zaproponowali. Postaram się, by studnia została sprawdzona, ale to potrwa wiele miesięcy.

- Niewykluczone, że sama się oczyści. Można wykorzystać koty, by sprawdzić, czy woda wciąż nie nadaje się do picia. - Przerwała, by dodać: - To mi o czymś przypomina.

Postawiwszy tacę na stole, wzięła lampę, skierowała się do drzwi kuchennych, otworzyła je i wyszła na dwór. Thomas, zaciekawiony, podążył za nią. Stał w progu, oparł się ramieniem o framugę i patrzył za Lucillą, która ruszyła do studni, pochyliła się, wzięła miskę, podeszła z nią do beczek i napełniła ją wodą z jednej z nich.

Spojrzała na niego.

- Skoro koty ostrzegły nas przed niebezpieczeństwem, powinniśmy o nie zadbać.

Nie sprzeciwił się, tylko patrzył, jak wróciła do studni, postawiła przy niej miskę, wyprostowała się i zawołała:

- Kici, kici, kici!

Jeden po drugim koty wyszły z obory. Niebawem miskę otoczyły puchate łebki, które zaczęły z zapalem chłeptać wodę.

Kiedy koty zaspokoily pragnienie i zaczęły myć wąsy, Lucilla ponownie nalała wody do miski. Tymczasem Thomas, wciąż oparty o framugę, zapytał:

- A Artemis i Apollo... są jeszcze u was? - Miał na myśli to, czy żyją; psy musiałyby mieć już ponad dziesięć lat, co stanowiło piękny wiek dla chartów.

Lucilla pokiwała głową.

- Przez wiele lat wszędzie nam towarzyszyły, Marcusowi i mnie... jeśli tylko im pozwoliliśmy. Kiedyś chodziły z nami do gaju, ale teraz są już za słabe na taką wyprawę. - Kąciki jej ust się uniosły. - Przeważnie kręcą się po pokojach w poszukiwaniu słonecznych miejsc. Albo kładą się przed najcieplejszym kominkiem, przenosząc się z dywanika na dywanik zależnie od wysokości płomieni.

Thomas gwizdnął cicho. Patrzył, jak Lucilla niesie pełną wody miskę z powrotem w stronę studni. Pozostał w miejscu, dopóki nie wróciła. Kiedy zatrzymała się przed drzwiami i spojrzała na niego, popatrzył jej w oczy i powiedział zwyczajnie:

- Dziękuję, że przyjechała pani i pomogła Bradshawom.

Lekko wzruszyła ramionami i machnęła ręką.

Powoli się prostując, zrobił krok w tył, a ona przeszła obok - nie dotykając go, jednakże drażniąc jego zmysły, na co nie był przygotowany. Powściągnął jednak instynktowną reakcję.

Ona, najwyraźniej niczego nieświadoma, weszła do kuchni.

- Moim obowiązkiem jest pomagać. - Zerknęła na niego przez ramię. - Tak jak przed laty zagrodnikom... to znaczy, Fieldsom...

Zmarszczył czoło, zamykając drzwi.

- Myślałem, że ta powinność ogranicza się do Vale.

- Pani uważa te ziemie... całą posiadłość Carricków... za część swego królestwa. Dlatego ma pod opieką wszystkich mieszkańców. Jeśli więc potrzebują pomocy - rozłożyła ręce - to jestem.

Przystając przy końcu kuchennego stołu, patrzył, jak Lucilla ogląda zioła, które wyjęła z sakwy. Po chwili powiedział:

- Zajrzę do Bradshawów.

Skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

Upewniwszy się, że w sypialniach panuje cisza, wrócił i usadowił się na fotelu obok kanapy. Oparł łokcie na udach, splótł dłonie i wsparłszy na nich brodę, popatrzył na Joy Burns. Żałował, że kobieta nie może wstać i opowiedzieć, co się stało, czy jej zatrucie stanowiło tragiczny wypadek, czy też...

Wolał nie dopowiadać tej myśli. Kto mógł świadomie skrzywdzić zielarkę i dlaczego?

Kolejny zbieg okoliczności. Sprowadziło go tu zbyt wiele takich przypadków.

Po pewnym czasie dołączyła do niego Lucilla. Przykręciła knot lampy; światło było przygaszone, mroczne, kiedy pochyliła się nad Joy, zbadała jej puls i szepnęła:

- Odchodzi. To już niedługo.

Thomas wstał i przyciągnął drugi fotel. Kiedy Lucilla się w nim zagłębiła, wrócił na swoje miejsce. Siedzieli tak i razem patrzyli, jak Joy Burns umiera.

Później Thomas zaniósł ją do pralni. Lucilla rozłożyła na ławie prześcieradło, a on złożył na nim uzdrowicielkę. Lucilla wygładziła jej ubranie, po czym przykryła ją drugim prześcieradłem.

Przez chwilę we dwoje stali nad zmarłą, potem odwrócili się i wyszli, zamykając za sobą drzwi i wracając do żywych, by się nimi zająć.

O czwartej nad ranem obeszlą pokoje śpiących Bradshawów, obudzili ich i podali im napar z ziół.

Gdy zebrali naczynia, przygotowali wszystko do śniadania, a Lucilla odstawiła przygotowany na później napar na wzmocnienie, po wschodniej stronie nieba pojawiły się pierwsze promienie słońca.

Thomas znalazł herbatę. Lucilla zaparzyła ją dla nich w dzbanku. Wziąwszy swój kubek, ruszył do drzwi frontowych. Otworzył je i wyjrzał na zewnątrz, potem wyszedł na dwór, przymknął drzwi i usiadł na ganku. Trzymając kubek w dłoniach, pociągnął łyk mocnego napoju i spojrzał na ziemie Carricków ciągnące się ku wschodowi, tam, gdzie słońce malowało niebo jasną szarością, różem i jasnym pomarańczem.

Chwilę później drzwi się otworzyły. Lucilla przyniosła herbatę i usiadła obok niego; dzieliło ich kilka centymetrów – na kamiennym stopniu nie było więcej miejsca.

Bez słowa piła herbatę i patrzyła na wschodzące słońce, które powoli wznosiło się nad znaną im obojgu krainą.

Mijały minuty. Nie odrywając wzroku od cudów natury, Thomas zapytał w końcu:

– Ta trucizna w studni... jak pani myśli, co to mogło być?

Opuściła głowę, ściągnęła brwi, patrząc na trzymany w dłoniach kubek.

– Nie wiem. Coś pochodzenia organicznego, jak grzyby czy pleśń, albo mineralnego. – Zamilkła, po czym dodała: – Gdybym miała się założyć, postawiłabym na to drugie.

Pociągnął łyk herbaty.

– Dlaczego?

– Ponieważ zatrucie wody grzybami czy pleśnią nie nastąpiłoby tak szybko, trwałoby wiele tygodni albo nawet miesięcy. Choroba rozwijałaby się powoli, przez dłuższy czas. Na pewno nie stałoby się to jednego ranka. – Ze wzrokiem utkwionym w horyzont znowu upiła herbaty i kontynuowała: – To jakieś sole. Takie jest moje zdanie.

Odczekał chwilę i podjął:

– Chyba zgodzimy się co do tego, że chociaż Joy mogła z jakiegoś powodu zjeść grzyb albo jakąś inną trującą roślinę, kiedy tu szła, to jednak wydaje się dziwne, że tak doświadczona zielarka, która urodziła się i żyła w tych stronach, mogła się tak pomylić, mam rację?

To zabrzmiało raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

Lucilla zmarszczyła czoło.

– Tak. To nie tylko dziwne, ale wręcz niezrozumiałe. – Pociągnęła łyk herbaty. Kiedy Thomas nic nie odpowiedział, tylko patrzył ponuro na rozciągające się przed nimi pola, uznała, że teraz jej kolej na pytanie. – Co pana sprowadziło tu, w góry?

Zmienił pozycję na kamiennym stopniu.

– Dostałem list... właściwie dwa listy. Pierwszy od Bradshawa, który donosił, że jest problem z dostawą ziarna na wiosenne zasiewy. Przypadkiem natknąłem się w mieście na Nigela i Nolana, którzy zapewnili mnie, że... nastąpiły pewne zmiany organizacyjne. Coś w tym rodzaju. Wczoraj Forrester przysłał mi przez posłańca wiadomość, że oboje z żoną zastali Bradshawów w bardzo złym stanie zdrowia. Potwierdził, że nie dostarczono ziarna. Postanowiłem więc, że przyjadę i sam sprawdzę, co się tu dzieje.

Lucilla pomyślała z nadzieją, że może stanowiła jeden z powodów, dla których wrócił, ale... najważniejsze, że tu był. Popijając herbatę, zastanawiała się nad jego słowami. – Nasi farmerzy są już po zasiewach albo w trakcie. – Spojrzała na niego. – Nie słyszałam o żadnych zmianach organizacyjnych ani o braku ziarna, lecz gdyby były jakieś zakłócenia w dostawach, Marcus by o tym wiedział.

Odpowiedział na jej spojrzenie.

– Na pewno sytuacja się wyjaśni. – Znowu popatrzył przed siebie.

Zrobiła to samo, czując rozgrzewające działanie herbaty.

Zapadło między nimi milczenie, lecz nie było niezręczne, krępujące – wręcz przeciwnie, krzepiące.

Thomas mruknął:

- Wasz kamerdyner powiedział mi, że zmarła Algaria... nie wiedziałem. Wspominał także, że pani rodzice wyjechali do Europy. Myślałem, że jako pani Vale lady Cynster nie opuszcza tych stron.

Podniósł kubek i opróżnił go do końca, przeklinając w duchu swoje wścibstwo; doskonale wiedział, dlaczego był ciekaw, czy pani Vale może mieszkać gdzie indziej.

- Mama mogła wyjechać w każdej chwili, nie jesteśmy związane z Vale w żaden namacalny sposób. Co do obowiązków... - Przerwała i za chwilę podjęła: - Jeśli nas wiążą, to tylko z własnego wyboru. Mama nigdy wcześniej nie opuszczała kraju, ale jeździła do Londynu, Edynburga i gdzie indziej, nawet dość często. Zostawiała jednak Vale tylko wtedy, gdy na miejscu była Algaria. Teraz, kiedy ja mogę mamę zastąpić, papa ją namówił, by wyjechała i zobaczyła to wszystko, co zawsze pragnęła zobaczyć.

Zamilkła, napiła się herbaty i ciągnęła:

- Ani mama, ani ja nie zostawiłybyśmy Vale bez opieki... opieki wybranej przez Panią osoby, która troszczyłaby się o jej lud.

Tak właśnie sądził - dlatego przed laty uznał, że nie jest kobietą dla niego.

Ona tymczasem mówiła dalej:

- Chodzi o to, że jesteśmy nie tylko uzdrowicielkami, lecz także przywódczyniami. W naszych osobach ludzie mają kogoś, wokół kogo mogą się skupić, kto daje im nadzieję i pokrzepienie w trudnych chwilach, jednoczy ich jako społeczność.

Wiedział, że tak jest, rozumiał to na tyle dobrze, by nie próbować jej stąd zabrać. Była dla mieszkańców Vale, dobrych ludzi, ucieleśnieniem przyszłości. Należała do nich.

I dlatego nie mogła należeć do niego.

Mimo to jej pragnął i nie podobała mu się ta prawda, ale nie mógł z nią walczyć.

Z pustym kubkiem w dłoniach zapatrzył się na dalekie pola, skąpane w złotym blasku słońca. Oboje byli zmęczeni, ale nie wyczerpani. Nie zmrużyli tej nocy oka, jednakże przepełniała ich cicha euforia. Bradshawowie mieli się znacznie lepiej - nawet on to widział.

Nagle Lucilla wsparła się na nim, kładąc mu głowę na ramieniu. Przymykając oczy, wymamrotała:

- Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda?

Spojrzał na nią, na jej płomiennie rude włosy, na kosmyki, które się wysunęły i skrzyły, błyszcząc w słońcu.

- Nie. - Całkiem dobrze kłamał.

Uświadomiwszy to sobie, uznał, że skoro już kłamie, może posunąć się dalej. Podniósł rękę, by usadowić się wygodniej przy jego boku, a potem ją objął. Może była drobna, ale całkiem rzeczywista. I bardzo kobieca.

Czując bijące od niej subtelne ciepło, ostrożnie zaczerpnął powietrza. Zmusił się, by patrząc w dal, powiedzieć o tym, co musiało nastąpić.

- Kiedy już będziemy mieli pewność, że Bradshawom się poprawia i przyjadą Forresterowie, odwiozę panią do domu.

Lepiej było wyznaczyć granice ich znajomości - dla niego i dla niej samej.

4.

Forresterowie przyjechali dwukółką około dziesiątej.

Lucilla zrobiła już śniadanie dla Bradshawów, a także dla siebie i Thomasa. Wyślawszy go, by wydoił cierpiącą już krowę, przeszukała spiżarnię i znalazła płatki owsiane oraz kaszę jęczmienną. Przyrzuciła duży garnek gęstej owsianki, dodając świeżego mleka, by była bardziej kremowa. Dwoje najmłodszych członków rodziny przyszło do kuchni, reszta pozostała jednak w łózkach. Szybkość, z jaką wszyscy opróżnili parujące miski szczerze okraszone nitkami miodu, bardzo podniosła ją na duchu.

Bradshawowie byli już na prostej drodze do ozdrowienia.

Kiedy Forresterowie weszli do domu, miała już przygotowany spory zapas wzmacniającego wywaru z ziół, wystarczający, aby postawić całą rodzinę na nogi.

Obszedłszy z Forresterami wszystkie pokoje i wyjaśnwszy, jakich postępów powinni się spodziewać w następnych dniach, ją zaprowadziła do kuchni, jego zaś zostawiła w głównym pomieszczeniu, gdzie mógł porozmawiać z Thomasem.

Oboje byli wstrząśnięci, dowiedziawszy się o śmierci Joy Burns, lecz z chłopskim stoicyzmem pogodzili się z tym tajemniczym faktem, gdyż „czasami tak bywa”. Ani Lucilla, ani Thomas nie wspomnieli o swoich podejrzeniach; nie było sensu dawać powodu do plotek, szczególnie że nie mogli niczego udowodnić.

Poinstruowawszy panią Forrester, jakie dawki naparu ma podawać każdemu z Bradshawów – i zapewniwszy ją, że nic się nie stanie, gdy zażyją więcej – pomogła jej rozpakować przywiezione kosze z jedzeniem.

Kiedy już zadbała o Bradshawów i ich dalszą opiekę, skupiła się na najważniejszej dla niej sprawie: tym, by zatrzymać przy sobie Thomasa – czy inaczej mówiąc, przy nim pozostać.

Niezależnie od powodu, dla którego powrócił w te strony, był tutaj. Pod jego nieobecność zastanawiała się, czy powinna działać i go sprowadzić, zawsze jednak miała wrażenie, że nie powinna tego robić; przyczyną była zapewne obecna sytuacja. Thomas został sprowadzony przez innych, lecz teraz, gdy już się tu znalazł, chyba musiała coś przedsięwziąć, aby go zatrzymać na dłużej. Wystarczająco długo – dla niej i dla niego – by wykonać następny krok na przewidzianej im ścieżce, wiodącej ku małżeństwu.

To było teraz jej zadanie. Ale jak miała tego dokonać?

Powiedział, że odwiezie ją do Vale, lecz kiedy już tam dotrą, jak miała go zatrzymać?

Sąsiedzi przywieźli więcej wody. Thomas z Forresterem wyszedł na dwór. Wrócili minutę później, niosąc we dwóch jedną z beczek.

Lucilla pospiesznie zrobiła miejsce na blacie pod tylną ścianą. Mężczyźni postawili tam beczkę, sprawdzili, czy stoi stabilnie, i poszli po drugą.

Przestawiając garnki na blacie, by zrobić więcej miejsca, Lucilla usłyszała, jak

Thomas mówi na zewnątrz przy wozie:

- A zatem ani pan, ani żaden z farmerów nie otrzymaliście wyjaśnienia, co spowodowało opóźnienie w dostawie ziarna?

- Nie - odparł Forrester. - Kiedy o to pytaliśmy, słyszeliśmy, że dostaniemy ziarno w swoim czasie, i tyle. Wszyscy się tym interesowaliśmy... tak jak Bradshaw... ale mówiono nam, że to nie nasza sprawa. - Był wyraźnie zagniewany. - Wyobraża pan sobie? Mówić nam... nam, którzy sieją i potem zbierają plony... że to nie nasza sprawa? Niedorzeczność!

Lucilla cofnęła się, kiedy wnieśli następną beczkę.

Kiedy poszli po ostatnią, demonstracyjnie wróciła do porządkowania naczyń, by być blisko drzwi i słyszeć, o czym jest mowa.

- Rozumiem, że żaden z was nie rozmawiał bezpośrednio z jaśnie panem - zauważył Thomas.

- Nie... choć zrobilibyśmy to, gdybyśmy tylko mogli. Powiedziano nam, że mamy rozmawiać z panem Nigelem. To by nas nie powstrzymało, ale nie widzieliśmy jaśnie pana od kilku miesięcy. Podobno źle się ma i nie wychodzi z pokoju.

- Na to wygląda - odrzekł Thomas.

Manachan był chory? Lucilla nic o tym nie wiedziała, lecz choć Vale sąsiadowało z ziemiami Carricków, mieszkańcy obu posiadłości rzadko byli ze sobą spokrewnieni, co w sposób naturalny utrudniało przepływ plotek.

Ściągając brwi, zostawiła garnki i zbliżyła się do drzwi. By zająć czymś ręce, zaczęła przepakowywać sakwę, gorączkowo zbierając myśli.

Najwyraźniej na ziemiach Carricków coś się dzieje. Bo żeby Manachan był chory i nie dostarczono na czas ziarna? Do tego jeszcze to nagłe zatrucie Bradshawów i śmierć Joy Burns. Wszystko to nie wyglądało dobrze.

Thomas został wezwany i nie miał wyboru, musiał przyjechać, aby sprawdzić, co się dzieje; to było jasne. I mądrze zwrócił się do niej o pomoc.

A teraz i ona się w to wmieszała, ponieważ mieszkańcy ziem Carricków znajdowali się pod opieką Pani.

Siłą rzeczy była to więc także jej sprawa, przynajmniej do czasu, aż Thomas się dowie, o co w tym wszystkim chodzi, i rozwiąże problemy, które należało rozwiązać.

Podniosła głowę, kiedy on i Forrester wnieśli ostatnią beczkę, by postawić ją obok pozostałych.

Tak, miała osobisty powód, by pozostać przy boku Thomasa, lecz jej obowiązkiem było dbać o ludzi będących pod opieką Pani. Na tym polegała jej rola, a także po części sens życia.

Z zewnątrz dobiegł stukot kopyt i skrzypienie kół, więc wszyscy zebrani w kuchni spojrzeli w tamtą stronę.

Thomas zmarszczył czoło i pierwszy podszedł do drzwi. Za nim podążył Forrester. Lucilla odłożyła paczuszki z ziołami i pospieszyła za nimi. Pochód zamykała pani Forrester, wycierając ręce w fartuch.

Thomas otworzył drzwi, wyjrzał na zewnątrz - i cicho przeklął. Zszedł po schodach i zbliżył się do ciężkiej staroświeckiej dwukółki, która zatrzymała się przed domem, kiwając się na resorach.

Trzymający lejce Sean odpowiedział na jego spojrzenie, patrząc na niego ostrzegawczo.

Obok niego, okryty kocem, siedział Manachan w grubym płaszczu. Choć był potężnym mężczyzną, przy zdrowym i silnym Seanie wydawał się kruchy. Światło poranka podkreślało jego bladość, a wysiłek, z jakim na powitanie podniósł rękę, wyraźnie świadczył o braku sił.

Thomas obszedł konia i zbliżył się do stryja. Ujął rękę, którą ten do niego wyciągnął.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie, stryju.

Manachan słabo pokiwał głową, nie mniej zdołał przepoić ten gest typową dla siebie irytacją i zniecierpliwieniem.

- Bradshawowie - wydyszał. - Co z nimi? - Wspierając się na ramieniu Thomasa, próbował wsiąść z powozu.

Przez chwilę Thomas skupił się na tym, by zrównoważyć jego ciężar; jeszcze tego mu było trzeba, by jaśnie pan upadł na twarz.

Lucilla jednym szybkim spojrzeniem oceniła stan Manachana; tyle jej wystarczyło, by się zorientować, że starszy pan jest poważnie chory. Co się z nim, u licha, stało? Wciąż jednak był „tym” Carrickiem, jaśnie panem, i mimo że nie powinien był tu przyjeżdżać, zachowywał się jak na jaśnie pana przystało.

Zerknąwszy na Forresterę, zobaczyła, że on również był poruszony stanem Manachana, lecz starał się to ukryć. Mijając go, zeszła po schodkach, okrążyła konia i stanęła obok Thomasa, który usiłował podtrzymać stryja.

- Bradshawowie mają się znacznie lepiej - oznajmiła.

Manachan do tej pory patrzył pod nogi, nie zauważył, że się zbliżyła. Słyszając ją, podniósł głowę i spojrzał na nią spod ściągniętych brwi.

- Pan Thomas przywiózł mnie tu i zajęłam się nimi... wszystkimi. - Popatrzyła na parę stojącą u szczytu schodków. - Właśnie przyjechali państwo Forresterowie, którzy się nimi zaopiekują. Chorzy powinni w ciągu kilku dni dojść do siebie.

Oboje z Thomasem zdołali zaprowadzić Manachana do domu. Posadzili go na kanapie przed kominkiem; starszy pan opadł na nią zgarbiony, ciężko dysząc. Forrester wzruszył węgle, aby wzniecić ogień, a jego żona za radą Lucilli pospieszyła zaparzyć dzbanek herbaty.

Zostawiwszy Thomasowi i Forresterowi dalsze wyjaśnienia, poszła za panią Forrester do kuchni, by poszukać ciastek.

Znalazła puszkę ze słodkościami. Pogrzebała w niej, by wyjąć kruche ciasteczka, miększe i bardziej odpowiednie dla kogoś w stanie Manachana.

Pani Forrester zerknęła pod łukiem na trójkę mężczyzn i podsunęła Lucilli talerz. Stając przy niej, gdy ta wykładała ciasteczka, szepnęła:

- Nie wiedziałam, że biedny jaśnie pan tak źle się ma. Mój mąż też nie miał pojęcia.

- Podobnie jak ja. - Lucilla zerknęła na nią. - Nikt w Vale nie słyszał nic o tym, by Manachan niedomagał.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Dochodziły do nas wieści, że słabuje... ale jest słabość i słabość. - Pokręciła głową. - Zawsze był takim energicznym mężczyzną. Przykro patrzeć na niego w takim

stanie.

- Rzeczywiście. - Lucilla zastanawiała się, co na to zaradzić.

Widząc, jak słaby jest Manachan, nie miała wątpliwości, co powinna zrobić. Był przecież jednym z Carricków, podopiecznym Pani, niezależnie od tego, czy mu się to podobało, czy nie.

Wzięła talerz z ciasteczkami i wróciła do głównego pomieszczenia w porę, by usłyszeć, jak Thomas, siedzący w jednym z foteli, pochyla się ku stryjowi i pyta go cicho:

- Dobrze się czujesz?

Niepokój w jego głosie i troska na twarzy wyraźnie świadczyły, jak się o niego martwi. Lucilla podeszła bliżej i podsunęła Manachanowi talerz.

- Za chwilę podamy herbatę.

Manachan skinął głową i poczęstował się jednym z ciasteczek. Poruszał się wolno, wykonując nawet najprostszy gest z namysłem.

Lucilla zerknęła na Thomasa, ale on patrzył na stryja. Ponownie spoglądając na starszego pana, spytała:

- Czy Thomas powiedział panu o Joy Burns?

Thomas potwierdził cicho:

- Tak, powiedziałem.

- Przykra sprawa - mruknął Manachan, gryząc ciasteczko. Wzrok miał utkwiony w płomień. Po chwili przełknął i odezwał się niewyraźnie: - Należała do klanu... była z nami przez całe życie.

Lucilla odwróciła się, kiedy pani Forrester weszła z tacą. Widząc pytające spojrzenie kobiety, dała jej znak, by nałala herbaty do filiżanek. Gdy rozdały je wszystkim, Lucilla zajęła miejsce w drugim fotelu. Forresterowie wycofali się do kuchni, skrzepowani w towarzystwie ludzi, których uważali za wyżej postawionych od siebie - a już na pewno nie zamierzając pić z nimi herbaty.

Thomas patrzył na Manachana, zwracając uwagę, jakiego wysiłku wymaga od niego podniesienie filiżanki do ust. Lucilla zaczęła, aż starszy pan pociągnie łyk herbaty, a potem odezwała się znowu:

- Wiem, że Joy miała uczennicę. Nie wie pan, czy dziewczyna jest gotowa, by ją zastąpić?

Manachan rzucił jej kolejne badawcze spojrzenie. Czas płynął, ona jednak czekała cierpliwie, patrząc mu w oczy.

Wreszcie chrząknął.

- Tak jak pani mówi, miała terminatorkę... Alice Watts.

Lucilla знаła tę rodzinę.

- To córka położnej.

- Tak. - Nieznacznie kiwnął głową. - Chudzina, cichutka, ale z tego, co mówiła Joy, całkiem bystra, chętna do nauki... - Przerwał, po czym westchnął ciężko. - Lecz czy może zastąpić Joy... wątpię, by zaszła tak daleko.

Zerknął na Lucillę z ukosa; mimo słabości wzrok nadal miał bystry, a umysł w wątplym ciele wciąż sprawny.

- Nie chciałbym prosić...

- Nie musi pan. - Spokojnie odstawiła filiżankę na spodek, który trzymała w dłoni.

Unikając spojrzenia Thomasa, popatrzyła na jego stryja. – Mam obowiązek pomagać waszym ludziom tak samo jak swoim. Zajrzę do Alice i sprawdzę, ile się nauczyła. Przekonam się, czy ma już dostateczną wiedzę, by odpowiednio zajmować się klanem, i czy nie potrzebuje pomocy.

Manachan zamrugał, przez chwilę wydawał się zaskoczony.

– Ma pani pod opieką także ziemie Carricków?

Skłoniła głowę.

– Owszem.

Przez te wszystkie lata upewniła się, że opieka Pani rozciąga się tak daleko na północ, by objąć także posiadłość sąsiadów. Nawet tu, w miejscu najbardziej oddalonym od Vale, wciąż czuła jej obecność i mogła się do niej odwołać.

Słyszając to, Manachan zamilkł. Wyraz jego niebieskich oczu świadczył, że się zastanawia, czy władanie Pani nie stanowi dla niego jakiegoś zagrożenia. Lucilla nie zamierzała jednak wrócić do Vale i czekać spokojnie na jego wezwanie. Jeśli Joy Burns nie umiała z nim właściwie postępować, było mało prawdopodobne, by potrafiła to jej uczennica.

Manachan, nie mrużąc powiek, przyglądał jej się przez chwilę, po czym złagodniał i łaskawie skinął głową.

– Jeśli będzie pani miała czas, by odwiedzić Carrick Manor, ja i mój klan chętnie skorzystamy z pani pomocy. – Przeniósł wzrok na Thomasa. – Przede wszystkim musimy myśleć o naszych ludziach, zapewnić im i plonom bezpieczeństwo, a do tego niezbędna jest dobra zielarka.

Thomas wyczytał z jego oczu przesłanie. Stryj sądził, że wykazuje się bystrością, zapewniając sobie wsparcie Lucilli; on sam jednak dałby głowę, że ta, gdy tylko zobaczyła Manachana, postanowiła, iż pojedzie do Carrick Manor. Być może nie znał jej dobrze, wiedział jednak, jak podchodzi do swych obowiązków. Jeśli ludzie jej potrzebowali, służyła im chętnie.

Podejrzewał, że Manachan mógł liczyć na jej pomoc, czy tego chciał, czy nie.

Co stawiało Thomasa z niezręcznej sytuacji.

Chciał, by Lucilla pomogła Manachanowi – zajęła się nim, gdyby tylko starszy pan się na to zgodził. Jeśli ktoś mógł przywrócić mu siły, to tylko ona. Ponadto klan potrzebował dobrej uzdrowicielki, a jeśli o to chodziło, lepszej od niej nie było.

Z drugiej jednak strony nie chciał mieć jej w pobliżu. Jej obecność mu nie służyła. W ostatnich latach działała na niego jeszcze bardziej niż kiedyś. Straszliwie go rozpraszała, przyciągała jego uwagę jak magnes.

Zmusił się, by pociągnąć łyk herbaty, wciąż rozdarty między tym, czego pragnął dla Manachana i dla klanu, a tym, czego chciał dla siebie.

Lucilla namówiła Manachana, by wziął kolejne ciasteczko.

Ta familiarność wydawała się nieco dziwna, lecz miła.

Po chwili starszy pan zapytał o Bradshawów. Thomas słuchał jednym uchem, kiedy Lucilla opowiadała o ich stanie i jego prawdopodobnej przyczynie.

Manachan przeniósł na niego wzrok.

– Studnia jest zatruta?

Thomas napotkał spojrzenie Lucilli i odparł:

– Poślę próbkę wody do Glasgow, do zbadania. – Popatrzył na stryja. – To potrwa

jakiś czas, ale przynajmniej się dowiemy, co się za tym kryje. Tymczasem Forresterowie będą Bradshawom dostarczać wodę ze swojej studni.

- Forrester się zgodził?

- Tak.

Manachan zastanawiał się przez chwilę, po czym odstawił pustą filiżankę na spodek. Lucilla wzięła ją od niego i zaniósła razem ze swoją do kuchni.

Starszy pan odczekał chwilę, a potem zapytał Thomasa:

- Bradshawowie. Czy powinienem do nich zajrzeć, jak sądzisz?

Thomas przez chwilę zastanawiał się nad tym, a potem pokręcił głową.

- Najbardziej pochorowali się Bradshaw i jego żona. Teraz śpią. Jeśli do nich pójdziesz, będą zakłopotani i zawstydzeni, że nie mogą cię odpowiednio przyjąć.

Manachan się skrzywił; nie protestował, ale było widać po minie, że chciałby, aby Bradshawowie wiedzieli o jego wizycie, byli świadomi jego wsparcia.

- Może - podsunął Thomas - powiemy dwojgu najmłodszym, by tu przyszli i zamienili z tobą kilka słów. Są już na tyle zdrowi, by się z tobą przywitać. Potem powiedzą rodzicom, że tu byłeś.

Manachan się rozpromienił.

- Dobry pomysł.

Wróciła Lucilla. Thomas wyłożył jej plan, zgodziła się bez słowa. Najmłodsi Bradshawowie byli przygotowani; przyszli na śniadanie umyjni i ubrani. Wystarczyło tylko ich uczesać i obciągnąć im ubranie, by mogli przywitać się z jaśnie panem.

Thomas stał obok kominka i patrzył, jak Manachan rozmawia z chłopcem i dziewczynką. Lucilla podeszła do niego i stanęła obok. Po chwili mruknął:

- Zapomniałem już, jak świetnie porozumiewa się z dziećmi. - Jego stryj bywał trudny, wojowniczy, wyrachowany, ale kiedy rozmawiał z dziećmi, jakby intuicyjnie wyczuwał, co należy do nich powiedzieć.

Lucilla przyjrzała się całej grupie. Uśmiechnęła się z uznaniem.

- Pański stryj to stary spryciarz o wielkim sercu.

Forresterowie przygotowywali w kuchni pożywny obiad dla Bradshawów. Manachan i dzieci byli zajęci rozmową.

Thomas skorzystał z okazji i odezwał się cicho:

- Co do pani wizyty w Carrick Manor... nie możemy prosić, by opuściła pani swych podopiecznych w Vale, zwłaszcza pod nieobecność matki. Może odwiezę panią do domu i przyjedzie pani do nas jutro. - Razem z Marcusem. Był pewny, że jej brat nie dopuści do zbytnej poufałości między nimi. Zwłaszcza że nie był przychylnie do niego nastawiony.

Lucilla przeniosła wzrok z Manachana i dzieci na niego. Spojrzała mu w twarz; lekko zmrużyła szmaragdowe oczy i uniosła brodę.

- To nie będzie konieczne. Casphairn Manor leży zaledwie godzinę drogi od Carrick Manor. Ponieważ, jak wszystko na to wskazuje, będę musiała spędzić u was kilka nocy, powiadomię Marcusa, co się dzieje. Wezwie mnie w razie potrzeby, lecz w tej chwili nikt w Vale nie choruje. - Zerknęła na Manachana, po czym znowu spojrzała na Thomasa. - Jak powiedziałam pańskiemu stryjowi, mam obowiązki także wobec mieszkańców posiadłości Carricków, a ponieważ nic nie stoi na przeszkodzie, mogę od razu jechać do Carrick Manor.

Nie mógł już nic zrobić, by się temu sprzeciwić, a przecież chciał pomóc stryjowi – mimo że Lucilla działała mu na zmysły już samą swoją obecnością, tylko stojąc przy nim.

Jednak klan był najważniejszy.

Powtarzał to sobie jak mantrę, kiedy spotkanie Manachana z dziećmi dobiegło końca i razem z Lucillą oraz Seanem pomagał Manachanowi wsiąść do dwukółki. Forrester i Sean owinęli ciało Joy w płótno i przywiązali je z tyłu powozu do kufra.

Thomas osiodłał konie, swojego, Joy i Lucilli. Kiedy wyprowadzał wierzchowce przed dom, Lucilla czekała już przy powozie z sakwami, własną i zielarki. Podchodząc do niej, przygotował się na fizyczny kontakt, jakiego wymagało podsadzenie jej, by mogła wskoczyć na siodło – zauważył jednak, że jej wzrok stał się nieobecny, i zdał sobie sprawę, że ona robi to samo.

Co ani odrobinę nie ułatwiło mu sprawy.

Ujął wodze Ducha i przywiązał konia Joy do powozu. Wziąwszy od Lucilli sakwę zielarki, przymocował ją do siodła, podczas gdy ona uczyniła to samo ze swoją, tak że jej klacz zaczęła wierzgać. Odwrócił się i uspokoił zwierzę, po czym podszedł do Lucilli – która czekała, wstrzymując oddech.

Chwycił ją w pasie i podniósł. Znowu poczuł jej jędrne ciało. Posadził ją w siodle, a potem zmusił się, by oderwać od niej dłonie.

Przeklinając w duchu, obrócił się na pięcie, wziął wodze Ducha i wsiadł na niego sprawnie.

Sean już zawracał dwukółkę. Dźgając Ducha, by za nią podążyć, zrównał się z Lucillą.

Jechał przy niej całą drogę do Carrick Manor.

Jego jedno „ja” – to racjonalne, logicznie myślące, świadome, że kontakt z nią zagraża przyszłości, którą sobie wymarzył – zastanawiało się, jak do tego doszło.

Inne, to, które zazwyczaj tłumił, zupełnie się tym nie przejmowało. Ani trochę.

Do czasu, kiedy ich mała kawalkada wjechała na dziedziniec dworskiej stajni, Thomas zdołał okiełznać swój nieposłuszny umysł. Niemniej odczuł ulgę, gdy Lucilla zsiadła z konia bez pomocy. Była doskonałą amazonką i jeździła konno z pełną swobody gracją, co zarejestrowały jego zmysły, mimo że starał się nie patrzeć na jej kształtną sylwetkę.

Miał pytania, które domagały się odpowiedzi; myśląc o nich, wręczył wodze Ducha Mitchowi i podszedł do Seana, by razem z nim pomóc Manachanowi wsiąść z dwukółki.

Tymczasem Lucilla odbyła cichą rozmowę z Fredem, zwracając jego uwagę na owinięte płótnem ciało z tyłu powozu. Wstrząs widoczny na twarzy Freda znalazł także wyraz u Mitcha, kiedy po uwiązaniu koni wrócił i zdał sobie sprawę, co pomaga wyładować.

Sean zachował stoicki spokój, lecz gdy tylko Manachan stanął bezpiecznie na bruku i zbliżyła się do nich Lucilla, skłonił głowę i zrobił krok w tył.

– Pomogę tamtym – powiedział.

Manachan przelotnie spojrział mu w oczu i kiwnął głową. Trzymając pod rękę Thomasa, wyciągnął dłoń do Lucilli, która wsparła go z drugiej strony.

Kiedy powoli ruszyli do bocznych drzwi, Thomas uświadomił sobie, że choć Manachan jest o wiele wyższy i cięższy od Lucilli, ona zdawała się prowadzić go bez trudu – i to w każdym sensie tego słowa.

Wkroczyli do domu i zaczęli niespiesznie posuwać się słabo oświetlonym korytarzem w stronę holu.

Sean, Mitch i Fred postanowili wnieść ciało Joy frontowymi drzwiami; Thomas, Manachan i Lucilla zdążyli dojsć do holu w porę, by zobaczyć szok i konsternację, kiedy Ferguson, pani Kennedy oraz kilku lokajów i pokojówek dowiedziało się o śmierci zielarki.

– Nie! – Pani Kennedy, korpulentna niewiasta, która bez zmrużenia oka stawiała czoło licznym nieszczęściom, wyglądała, jakby miała zemdleć.

Najmłodsza pokojówka stłumiła cichy okrzyk i wybuchnęła płaczem. Dwie starsze służące poklepały ją po plecach, ale również wyglądały na poruszone.

Lokaje zbledli. Nawet Ferguson sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

Wszyscy patrzyli szeroko otwartymi oczami na zawinięte ciało Joy. Nikt z nich nie zauważył, że z bocznego korytarza wyłonili się Thomas, Manachan i Lucilla.

Thomas zmarszczył czoło. Zanim zdążył się odezwać, Manachan podniósł głowę i spytał głośno:

– Co się tu dzieje?

Wszyscy służący się odwrócili. I wszyscy spojrzeli na Fergusona.

Kamerdyner chrząknął, był wyraźnie zdenerwowany.

– Jaśnie panie... ja... my... – Przymknął oczy i zaczerpnął powietrza, a potem wyrzucił z siebie: – Chodzi o Faith Burns. Znaleźliśmy ją niespełna pięć minut temu. Spadła ze schodów w starym skrzydle dworu. Nie żyje, jaśnie panie. – Zerknął na ciało, które wnieśli Sean, Mitch i Fred. – A teraz się dowiadujemy, że Joy także straciła życie. – Spojrzał na Manachana, a później na Thomasa. – Co się dzieje, proszę pana?

Thomas sam chciał wiedzieć.

Manachan wskazał stojące pod ścianą krzesło. Thomas i Lucilla pomogli mu do niego dojsć i posadzili go na nim – Thomas z jednej strony, a Lucilla z drugiej. Starszy pan zażądał, by opowiedziano mu wszystko po kolei.

Z resztą służby za plecami Ferguson i pani Kennedy stanęli przed nim i razem zrelacjonowali całą historię: jak przeszukiwali dom od góry do dołu i posłali Seana wraz innymi na okoliczne farmy. Kiedy sprawdzili już wszystkie miejsca, w których Faith mogła być, jednemu z lokajów przyszło do głowy, by zajrzeć do nieużywanego skrzydła.

Nazywano je tak nie bez powodu: Thomas nie przypominał sobie, by w ostatnim czasie otwierano któryś z tamtejszych pokojów, nie mówiąc już o korzystaniu z niego.

– I tam ją znaleźliśmy, jaśnie panie – ciągnął Ferguson. – Leżała u podnóża schodów ze skrzyżowanym karkiem. Wygląda na to, że nie żyje od tamtego wieczoru, kiedy widzieliśmy ją po raz ostatni. – Przerwał, myśląc z natężeniem. – Czyli od dwóch dni.

Pani Kennedy, wciąż blada, ale już odzyskując panowanie nad sobą, pokiwała głową.

- Biedna Faith. Pewnie się potknęła... - Nie dokończyła i tylko zmarszczyła czoło.
- Myśleliśmy, że to był wypadek. - Ton jej głosu sugerował, że nie jest już tego taka pewna.

Manachan poruszył się na krześle, po czym warknął z ożywieniem:

- Gdzie jest Nigel?

Ferguson i pani Kennedy spojrzeli szybko na siebie.

- Młody pan wciąż przebywa w Ayr, jaśnie panie. On i pan Nolan wyjechali trzy dni temu i od tego czasu nie mieliśmy od nich wiadomości.

Z głębi holu dobiegł odgłos kroków i wszyscy zwrócili się w tamtą stronę. Lucilla ujrzała smukłą młodą kobietę i wysokiego chudego młodego dżentelmena, którzy wyłonili się spod łuku w głębi korytarza.

Oboje się zatrzymali, najwyraźniej zdziwieni obecnością tylu osób.

Lucilla rozpoznała Niniver Carrick, trzecie dziecko Manachana, jedyną jego córkę; szczupła, z jasnymi włosami, zamrugła, patrząc na zebranych. Ciemnowłosa mężczyzna, który dopiero co wyszedł z wieku młodzieńczego, przystanął obok niej. Lucilla uznała, że musi to być Norris, najmłodszy syn Manachana; podobieństwo między nimi było niewielkie, ale dało się zauważyć. Norris i Niniver mieli na sobie dzienne stroje, odpowiednie na poranek w domu.

Niniver pierwsza otrząsnęła się ze zdziwienia. Skupiła wzrok na ojcu.

- Papo... miło cię widzieć. Zeszliśmy, aby spytać, co z obiadem. Nie słyszeliśmy gongu.

Manachan prychnął. Spojrzał na panią Kennedy i Fergusona.

- Obiad przełożono o godzinę.

Norris ściągnął brwi.

- Z jakiego powodu? - Potem spojrział na owinięte ciało, które leżało na podłodze, i zrobił zdziwioną minę. - Co się stało?

- To na razie zostawmy. - Manachan machnął ręką. - Czy wiadomo wam coś o tym, by ktoś zaglądał do starego skrzydła?

Norris popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

- Tego nieużywanego? - Kiedy ojciec skinął głową, odparł: - Z tego, co się orientuję, nikt nie zachodził tam od lat.

Niniver potwierdziła i spytała:

- A o co chodzi?

Manachan westchnął i odpowiedział w kilku krótkich słowach.

Ich zaskoczenie i przejęcie były autentyczne. Lucilla wątpiła, by para wiedziała o którejś śmierci. Coraz bardziej jednak niepokoił ją stan Manachana; słyszała, ile wysiłku kosztuje go każdy oddech. Jadąc do Bradshawów, nadwątlił resztki sił i słabł w oczach.

Pochwyciła spojrzenie Thomasa, zerknęła znacząco na jego stryja - i z ulgą zobaczyła, że zaciskając usta, skinął głową.

Korzystając z chwili przerwy w rozmowie, powiedział:

- Stryju... proponuję, byśmy zostawili wszystkie sprawy i kwestię obiadu Fergusonowi oraz pani Kennedy. Tymczasem zaprowadzimy cię na górę.

Manachan zerknął na niego, po czym mruknął coś pod nosem i próbował wstać. Widząc, że Thomas zacisnął usta, a na twarzach służących pojawiła się troska, gdy

podnosili starszego pana, Lucilla zorientowała się, że jego łatwa kapitulacja została uznana przez wszystkich za świadectwo fizycznej słabości.

Kiedy starszy pan wstał, dała znak jednemu z lokajów, by ją zastąpił. Nie była bowiem pewna, czy da sobie radę z Manachanem na schodach. Opuszczając miejsce przy jego boku, podeszła do Thomasa. Odezwała się cicho do nich obu:

- Zajmę się ciałami, jednej i drugiej.

Manachan spojrział jej w oczy i opuścił głowę.

- Dziękuję pani.

Cofnąwszy się, Lucilla patrzyła, jak cała trójka przechodzi pod łukiem, spod którego wyszli Niniver i Norris; dalej znajdował się mały hol z głównymi schodami.

Odwróciła się i objęła wzrokiem służbę. Zerknęła na ciało Joy, a wtedy Sean, Mitch i Fred podnieśli je znowu. Wówczas spojrzała na Fergusona i panią Kennedy.

- Faith Burns... rozumiem, że była z Joy spokrewniona?

Ochmistrzyni skinęła głową.

- Były siostrami. Ostatnimi przedstawicielkami tutejszej gałęzi Burnsów.

- Rozumiem. - To z pewnością tłumaczyło wcześniejszą konsternację służby. Lucilla odsunęła od siebie tę informację, by przemyśleć ją później. - Co zrobiliście z ciałem Faith?

Jeśli Thomas był wcześniej zaniepokojony śmiercią Joy Burns, to teraz już martwił się poważnie. Podobnie jak Manachan. Kiedy z Edgarem położyli go na łóżku, starszy pan chwycił go za rękaw.

- Co się tu dzieje? Muszę to wiedzieć.

Thomas, nie mogąc ukryć troski, pokiwał głową.

- Dotrzemy do sedna sprawy. - Jakakolwiek to była „sprawa”.

Manachan badawczo spojrział mu w oczy.

- Zostaniesz, dopóki się nie wyjaśni?

Thomas nie pamiętał, by stryj prosił go o pomoc; jaśnie pan o nią nie prosi - on jej udziela.

- Tak, oczywiście. - Ujął go za rękę i lekko uścisnął.

- Świetnie. Znakomicie. - Odpreżając się na poduszkach, Manachan puścił jego dłoń. - Przyjdź i powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

To było polecenie.

- Dobrze. - Odrywając wzrok od coraz bledszej twarzy stryja, Thomas wymienił znaczące spojrzenie z Edgarem. - A tymczasem odpoczywaj, stryju.

Po wyjściu od Manachana Thomas zatrzymał się w galerii, a potem ruszył na poszukiwanie Lucilli.

Znalazł ją w bibliotece. Siedziała za wielkim biurkiem Manachana i pisała list.

Thomas cicho westchnął. Zamknął za sobą drzwi; na ich trzaśnięcie podniosła głowę, ale zaraz wróciła do swego zajęcia.

Ruszył przez długi pokój.

- Zostać w tym domu po śmierci jednej osoby to jedno, a...

Nawet na niego nie spojrzała.

- Nie wyjeżdżam. Pański stryj potrzebuje pomocy tak samo jak cały klan.

- Pani rodzina, niczym anioły zemsty, nie darowałaby Manachanowi, gdyby coś się

pani stało pod jego dachem – rzucił krótko. Zatrzymał się przed biurkiem. – To nie pomogłoby ani jemu, ani naszym ludziom.

Wskazała list.

– Właśnie wyjaśniam Marcusowi całą sytuację. On zrozumie, że muszę tu pozostać. – Napisała kolejne zdanie. – Proszę go, by przysłał mi ubrania na następne dni.

Oparł pięści na brzegu biurka.

Spojrzała na niego przelotnie i pisała dalej.

– Zapewniam pana, że mój brat nie będzie stwarzał trudności.

Thomas nie miał wątpliwości, że Marcus uczył się od najmłodszych lat nie wchodzić jej w drogę.

Patrzył jej w twarz, dopóki nie podniosła głowy.

– Nie może pani tutaj zostać. Jest tu zbyt niebezpiecznie.

Zobaczył, że właśnie podpisała się na liście. Wytrzymała jego wzrok i nie opuszczając go, odłożyła pióro, a następnie wzięła suszkę. Nawet nie mrugnęła tymi swoimi szmaragdowymi oczami o złotych plamkach, które rozjaśniały intensywną zielenią.

„Nie ma pan prawa ani władzy, by się mnie pozbyć”.

Lucilla nie wypowiedziała tych słów, ale była gotowa to uczynić, gdyby musiała. Thomas zmrużył bursztynowe oczy; patrzył na nią tak, jakby potrafił wyczytać z jej twarzy tę odpowiedź.

Zacisnął usta, kątem oka zauważyła, że mięśnie pod jego surdudem się napięły.

Spooglądała na niego nieustraszenie, czekała. Zastanawiała się, jak długo wytrzyma bez oddychania. I właśnie kiedy poczuła lekki zawrót głowy, Thomas się odprężył. Rozluźnił mięśnie, po czym się wyprostował.

– Dobrze.

Być może wygrała tę potyczkę, lecz nie był z tego zadowolony i jeszcze nie złożył broni.

Opuścił wzrok na pisany przez nią list. Wskazał go ruchem głowy.

– Proszę mi go dać. Każę Fredowi go doręczyć.

Z suszką w dłoni spojrzała na to, co napisała. Nic musiała już nic dodawać. Gdy o nią chodziło, Marcus potrafił wyjątkowo dobrze czytać między wierszami. I wtedy coś sobie przypomniała. Spojrzała na Thomasa i uniosła brew.

– Czy mam zapytać Marcusa o dostawy ziarna?

Zastanowił się nad tym. Widziała, że w milczeniu rozważa „za” i „przeciw”. W końcu jednak pokręcił głową.

– Nie. – Popatrzył jej w oczy. – Posiadłością zarządza Nigel. To jego powinienem zapytać najpierw. – Skrzywił się cynicznie. – Jeszcze raz.

Rozumiała go coraz lepiej.

– Więc nie zamierza mu pan wchodzić w paradę?

Zaciął usta, ale odparł:

– Właśnie.

Nie powiedział nic więcej, więc osuszyła atrament, złożyła kartkę i wypisała na niej imię i nazwisko Marcusa. Nie było potrzeby pieczętowania pisma. Wstając, podała je Thomasowi.

Gdy brał od niej przesyłkę, w głębi domu rozległ się głęboki dźwięk gongu.

Przez chwilę patrzył w zielone oczy Lucilli. Wsuwając list do kieszeni, wskazał drzwi.

- Skoro postanowiła pani zostać, odprowadzę panią do jadalni. Potem wyślę list.

Uśmiechając się z satysfakcją, w której kryła się także aprobata, ruszyła do wyjścia. Skrycie podekscytowana tym, że dopięła swego.

On, nie mogąc się nadziwić temu wszystkiemu – swojemu i jej postępowaniu oraz niespodziewanemu rozwojowi wypadków – skierował się za nią do drzwi.

Obiad podano w jadalni, choć zajmowali tylko jeden koniec stołu. Pokój był wyłożony boazerią na wysokość człowieka; wyżej ściany otynkowano i pomalowano. Wisiały na nich oprawione w ozdobne ramy pejzaże oraz sceny łowieckie, z jeleniami i niedźwiedziami. W oknach, dość małych, znajdowały się ołowiowe szybki; mimo że nie zaciągnięto zasłon, w pokoju panował półmrok, jakby w kątach czaiły się cienie.

Na stole, po obu stronach, bliżej drzwi, stały cztery nakrycia. Norris i Niniver siedzieli już naprzeciwko siebie. Lucilla podeszła do miejsca obok Norrisa, który wstał i podsunął jej krzesło.

Kiedy usiadła i rozłożyła ciężką spódnicę do jazdy konnej, spojrzała na drugą stronę stołu i zobaczyła, że Niniver jej się przygląda. Dziewczyna przygryzła wargę. W jej chabrowych oczach było widać niepewność.

Norris wrócił na miejsce.

Lucilla, wyczuwając jego zniecierpliwienie, wyjaśniła:

- Thomas wkrótce przyjdzie.

I za chwilę rzeczywiście się pojawił. Za nim podążał Ferguson, niosąc wazę z zupą.

Gdy tylko Thomas zajął miejsce naprzeciwko Lucilli i wszyscy przystąpili do jedzenia, Norris spojrzał na kuzyna.

- Nie wiedziałem, że masz zamiar przyjechać.

Odpowiadając na zawartą w tym pytaniu sugestię, Thomas opowiedział o liście od Bradshawa, spotkaniu z Nigelem i Nolanem i wiadomości od Forrestera, które sprowadziły go do rodzinnej posiadłości.

Lucilla w milczeniu jadła zupę i słuchała relacji Thomasa o tym, co zastał u Bradshawów i jak pojechał do Vale, by prosić ją o pomoc. Nie dostrzegała animozji między nim a Niniver i Norrisem; jeśli już, rodzeństwo przyjęło jego przyjazd z ostrożną ulgą. Wyczuwała więź między Niniver a Norrisem, dwojgiem najmłodszych dzieci Manachana, lecz ich związek z Thomasem był już słabszy, niewątpliwie z powodu jego ostatniej nieobecności, a także różnicy wieku.

- Czy Bradshawowie mają się już dobrze?

Słyszając pytanie Niniver, podniosła głowę.

- Tak. Odkryliśmy, że ich studnia jest zatruta. Thomas pojechał po wodę do Forresterów, a ja zajęłam się chorymi. Kiedy odjeżdżaliśmy, byli na prostej drodze do ozdrowienia.

- Forresterowie zostali, by się nimi zająć. - Thomas odłożył łyżkę.

Lokaj zabrał talerze, podczas gdy Ferguson wniósł półmiski z mięsem na zimno. Kiedy zaczęli jeść, Norris zauważył:

- A do tego zmarły tragicznie obie siostry Burns i jeśli dobrze rozumiem, stało się

to tej samej nocy.

Thomas mu się przyjrzał.

- Wiesz o czymś, co może mieć związek z ich śmiercią?

Norris pokręcił głową.

- Nie... nic. Nie znałem żadnej z nich za dobrze. Jako ludzi.

Lucilla oceniła, że mógł mieć jakieś dwadzieścia lat. Przypominał jej kilku młodszych kuzynów; tak samo jak oni nie wyrażał się zbyt zręcznie. Mimo że jego ostateczne zdanie zabrzmiało dość niefortunnie, nie miała wątpliwości, że było stwierdzeniem faktu, a nie odzwierciedleniem stosunków łączących młodego panicza i służbę.

Potwierdzając jej domysły, Thomas przyjął uwagę Norrisa wymijającym mruknięciem.

Chwilę później Norris odezwał się znowu:

- Jednego nie rozumiem: dlaczego Faith poszła do starego skrzydła. Nikt tam nie bywał od lat.

Lucilla spojrzała na Thomasa, a potem na Niniver, ale zdziwienie Norrisa podzielali wszyscy. Ponieważ nikt nie odpowiedział, zwróciła wzrok na Niniver.

- Jak długo Joy Burns była uzdrowicielką klanu? - Uniosła brwi.

Niniver się skrzywiła.

- Pamiętam jeszcze jej poprzedniczkę, starą panią Edge. - Zerknęła na Thomasa. - Ty też musisz ją pamiętać. - Spoglądając znowu na Lucillę, ciągnęła: - Pani Edge się zestarzała i z piętnaście lat temu zastąpiła ją Joy.

- Czy Joy uczyła się u pani Edge? - zapytała Lucilla.

Niniver lekko wzruszyła ramionami.

- Być może... ale nie terminowała u niej... z tego, co sobie przypominam.

Thomas, jedząc, potwierdził. Przełknął i wyjaśnił:

- Joy była znaną zielarką na długo przed tym, jak pani Edge odeszła. - Ściągnął brwi, jakby coś chciał sobie przypomnieć, a później pokręcił głową. - Kiedy urodził się Norris i ciotka nie miała się dobrze, wezwano Joy... już wtedy więc o niej słyszano.

Czyli uprawiała swój fach od dwudziestu lat.

- A czy była tutejsza? - pytała dalej Lucilla.

Odpowiedziała Niniver:

- Burnsowie mieszkali tu i należeli do klanu od wielu pokoleń, ale z rodziny pozostały tylko one dwie... Faith i Joy. - Sposepniała. - A teraz obie nie żyją.

Lucilla skupiła uwagę na Thomasie. Uznając, że ani Niniver, ani Norris nie mają nic wspólnego z tym, co się działo, wyznała:

- Trudno mi pogodzić się z jednym. Joy Burns była doświadczoną zielarką, która całe życie spędziła w tych stronach, a wszystko wskazuje na to... przynajmniej na razie... że przyczyną jej śmierci było zjedzenie jakiegoś grzyba czy innej rośliny.

Thomas się skrzywił.

- Zgadza się, że to wydaje się bardzo dziwne. - Spojrzał jej w oczy. - Ale póki co innego wytłumaczenia nie mamy.

„A to dowodzi, że musimy wniknąć w to głębiej”.

Jakby usłyszał tę sugestię, choć żadne z nich nie wyraziło jej na głos. Determinacja Lucilli, by wyjaśnić przyczynę śmierci Joy Burns, była wręcz namacalna. Nie za-

mierzała zostawić tej sprawy, poza wszystkim solidaryzowała się z zielarką.

Służący zabrali talerze i wnieśli biszkopt z owocami i bitą śmietaną.

Podczas deseru Thomas rozważył motywy, którymi kierowali się on i Lucilla. Mimo że nie chciał, by wnikała w przyczyny ostatnich wypadków, musiał przyznać, że gdyby był na jej miejscu, postępowałby dokładnie tak jak ona.

Nie mógł także zaprzeczyć, że jeśli chodzi o wyjaśnienie tajemnicy otrucia uzdrowicielki, miała lepsze kwalifikacje niż on.

Pod koniec obiadu, kiedy wszyscy wstali od stołu, był już bliski pogodzenia się z sytuacją. Wychodząc za Lucillą z jadalni, zapytał:

- Co zamierza pani dalej?

Zerknęła na niego i szybko spojrzała mu w oczy, jakby zauważając jego rezygnację.

- Chciałabym porozmawiać z ochmistrzynią i kucharką.

Doszli do holu. Lucilla zatrzymała się tam i rozejrzała.

- Zaprowadzę panią do nich, jeśli pani sobie życzy - zagadnęła Niniver, która wyszła za nimi z jadalni.

Widząc onieśmienie kuzynki, Thomas - niechętnie - powstrzymał się od uwag.

- Dziękuję. - Lucilla uśmiechnęła się do niej.

Norris, który opuścił jadalnię za nimi, minął ich, skierował się do głównych schodów i ruszył na górę.

Lucilla wskazała w tę samą stronę.

- Tam?

Niniver skinęła głową i ruszyły przez hol do kuchni znajdującej się przy odchodzącym od niego korytarzu.

- Zna pani Alice Watts, uczennicę Joy? - zagadnęła Lucilla.

- Właściwie nie - odparła Niniver. - Nie zachęcano nas, byśmy bratali się ze służbą. - Zawahała się, po czym dodała: - Czy, w moim przypadku, z szeregowymi członkami klanu.

Thomas odprowadził je wzrokiem. W głowie dźwięczały mu słowa Niniver, budząc wspomnienia. Przypominając mu, dlaczego szczególnie Norris nie wykazywał zainteresowania sprawami klanu, ani jego mieszkańcami, ani samą posiadłością. Wracając w rodzinne strony po ponad dwóch latach nieobecności, wszystko to widział innymi oczami.

Lekko marszcząc czoło, myślał przez chwilę, a potem ruszył za dwiema paniami do podnóża schodów. Tam się zatrzymał. Wiedział, że Lucilla będzie bezpieczna w kuchni z ochmistrzynią i kucharką, co pozwalało mu podjąć swój trop śledztwa.

Kiedy obie z Niniver zniknęły z pola widzenia, zawrócił i wszedł na schody.

5.

Lucilla siedziała przy porządnie wyszorowanym stole z surowego drewna w izbie dla służących z kubkiem herbaty w dłoniach. Tak jak przypuszczała, spokojny czas po obiedzie był doskonałą porą, by porozmawiać z panią Kennedy i kucharką, zadziwiająco szczupłą niewiastą imieniem Gwen. Chociaż w kuchni za ścianą gawędziło kilka służących, które zmywały i wycierały naczynia, cała reszta służby rozeszła się do swych obowiązków w innych częściach domu; tu, przy kuchni, było ciepło, wygodnie i dość ustronnie – akurat tak, by zachęcić do wyznań.

Niniver przedstawiła Lucilli obie kobiety i zachęciła je, by swobodnie odpowiadały na jej pytania. Przez chwilę stała niepewnie, wahając się, a potem zostawiła je same. Lucilla była jej za to wdzięczna; zarówno pani Kennedy, jak i Gwen wyraźnie się rozluźniły, chętnie usiadły z nią przy stole i zaczęły opowiadać wszystko, co wiedziały, o rodzinie Burnsów, a w szczególności o Faith i Joy.

Obie bowiem znały Lucillę i nie widziały nic dziwnego w tym, że przyszła, by napić się z nimi herbaty. Zajęły miejsca naprzeciwko niej, także z kubkami w dłoniach, i podzieliły się z nią swymi spostrzeżeniami na temat zmarłych kobiet.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. – Pani Kennedy miała zaczerwienione oczy. – Obie nie żyją... tak po prostu. Zginęły tej samej nocy. Ostatnie z Burnsów.

Gwen prychnęła cicho.

– Według mnie coś tu jest nie tak. – Spojrzała na Lucillę. – Pani też zna się na ziołach, więc pani rozumie. Jak Joy mogła się pomylić i zjeść coś, co ją zabiło?

– No właśnie. – Pani Kennedy wydeła usta. – A żeby Faith poszła do starego skrzydła i spadła ze schodów... po co miałyby tam iść? Pracowała w tym domu od małego... znała go, nawet tamto nieużywane skrzydło, jak własną kieszeń. Mogła obejść wszystkie kąty z zawiązanymi oczami. Że niby spadła ze schodów? – Machnęła ręką z niesmakiem. – Bzdury!

– Ano... a jeszcze wieczorem, kiedy siedziały z nami przy kolacji, były zdrowe i pełne sił – dodała Gwen.

– W istocie – potwierdziła pani Kennedy. – A teraz... nie żyją.

Obie były skonfundowane, jakby wciąż nie mogły w to uwierzyć.

Lucilla odczekała chwilę i zapytała:

– Rozumiem, że nie znacie nikogo, kto by źle życzył obu siostrom czy też ich rodzinie?

Kobiety popatrzyły na nią i powoli pokręciły głowami.

– Były lubiane... i jedna, i druga – powiedziała Gwen.

Roztrzęsając wszystko to, co wiedziała i czego nie wiedziała, Lucilla pytała dalej:

– Były tu zeszłego wieczoru. Co waszym zdaniem robiły, każda z nich, kiedy rozeszliście się do siebie?

– Hm, Faith tu została. – Gwen wskazała starą gobelinową torebkę, która leżała na wielkiej komodzie. – Zwykle co wieczór robiła na drutach, czekając na dzwonek,

by zanieść jaśnie panu świeżej herbaty.

- Teraz to bywa bardzo późno - wtrąciła pani Kennedy. - Bo jaśnie pan sypia o dziwnych porach.

Gwen pokiwała głową.

- Czasami Edgar, jego lokaj, dzwoni nawet po północy albo jeszcze później.

- Więc tego wieczoru Faith zaniósł jaśnie panu herbaty?

Ochmistrzyń i kucharka wymieniły spojrzenia.

- Uhm. Na pewno.

- Bo inaczej byśmy wiedziały, bez wątpienia - oznajmiła Gwen. - I przypominam sobie, że Edgar rano przyniósł pusty dzbanek i filiżankę na tacy jak zawsze. Nie wiedział, że Faith zniknęła... dopiero wtedy sami to sobie uświadomiliśmy.

- Więc - podjęła Lucilla - Faith zaparzyła dzbanek herbaty i zaniósł go na tacy do pokoju jaśnie pana... na pierwszym piętrze, prawda?

- Tak - potwierdziła ochmistrzyń. - Niedaleko od głównych schodów.

- A którymi schodami szła? - indagowała Lucilla.

- Tymi dla służby, które biegną obok głównych - odparła pani Kennedy.

Lucilla pokiwała głową.

- Dobrze. Wiemy zatem, że Faith zaparzyła herbaty i zaniósł tacę na górę, prawdopodobnie tą samą drogą co zwykle. - Przerwała i po chwili spytała znowu: - Co zrobiłaby potem? Wróciłaby tu?

Obie pokręciły głowami.

- Poszłaby prosto do łóżka - odrzekła pani Kennedy. - Wszystkie mamy pokoje na poddaszu na trzecim piętrze. Poszłaby tam tymi samymi schodami.

- Dlatego Edgar zawsze przynosi tacę następnego ranka - wyjaśniła Gwen. - By Faith mogła pójść do razu na górę i nie musiała czekać, by znieść ją do kuchni.

Lucilla doszła do wniosku, że musi się dowiedzieć, gdzie dokładnie znaleziono ciało Faith.

- Dobrze... A zatem Faith zachowywała się normalnie do czasu, kiedy wyszła z pokoju jaśnie pana. Powinna pójść do swego pokoju, ale z jakiegoś powodu udała się do starego skrzydła i spadła ze schodów. Wróćmy do Joy. Mieszkała tutaj, we dworze, prawda?

Obie kobiety potwierdziły.

- Zajmowała pokój obok Faith - wyjaśniła Gwen.

- Doskonale. Powiedzcie mi, co tamtego wieczoru robiła Joy. Kiedy wezwano ją do Bradshawów?

- Leżeliśmy już wszyscy w łóżkach. - Pani Kennedy spojrzała z rozczuleniem na Gwen. - Niektórzy z nas, przynajmniej pracownicy kuchni, pewnie już spali jak suśły.

Kucharka się skrzywiła, lecz skinęła głową.

- Ano... niewiele pamiętam. Usłyszałam dzwonek do tylnych drzwi... ktoś dzwonił, jakby się paliło... i Ferguson udał się na dół. - Pani Kennedy wsparła się na łokciach, trzymając w dłoniach kubek z herbatą. - Wrócił na górę po minucie i zapukał do drzwi pokoju Joy, która wstała, by się dowiedzieć, co się stało. Ferguson powiedział, że Bradshawowie potrzebują pomocy, więc odrzekła, że do nich pójdzie. I że znajdzie drogę w blasku księżyca. - Spojrzała Lucilli w oczy. - Tak jak Faith, Joy urodzi-

ła się na terenie posiadłości. Znała ją tak dobrze, że nie bała się wychodzić nawet ciemną nocą.

Lucilla pokiwała głową. Ustalając w myśli kolejność wydarzeń, zapytała:

- Mniej więcej kiedy Joy pojawiła się na dole?

- Musiało to być około wpół do jedenastej... może trochę później. - Pani Kennedy przerwała, a potem dodała z własnej inicjatywy: - Zeszłaby prosto do holu. Robiła tak wcześniej, a nie zmieniała zwyczajów.

Lucilla nie była zaskoczona, sama też tak postępowała.

- Poszłaby po sakwę - ciągnęła ochmistrzyni. Obie z Gwen podniosły wzrok i spojrzwały za plecy Lucilli. Pani Kennedy pokiwała głową, wskazując miejsce. - Trzymała ją na komodzie, tam gdzie Faith swoją robótkę.

- Uhm - potwierdziła Gwen. - Ale nie ma jej tam, więc musiała ją zabrać.

- Napełniłaby manierkę i wzięłaby jedzenie, które mogłoby się przydać, ale wątpię, by tamtego wieczoru zabrała coś ze spiżarni. Nie było takiej potrzeby, a bardzo jej się spieszyło. Postawiłaby sakwę i manierkę na tym stole. - Pani Kennedy postukała w blat. - Potem poszłaby do destylarni po zioła i tak dalej. Wróciłaby tu, postawiła wszystko na stole i schowała do sakwy. - Przerwała i podniosła wzrok na Lucillę. - Tyle razy widziałam, jak to robiła, że niemal ją widzę, krzątającą się tutaj.

Lucilla skinęła głową, pani Kennedy miała to wszystko w pamięci. Zresztą postępowanie Joy wydawało się Lucilli jak najbardziej logiczne; sama wykonywała identyczne czynności, gdy miała udać się do kogoś z pomocą.

- Więc Joy spakowała sakwę i wyszła z nią z domu.

Gwen potwierdziła ruchem głowy.

- Sean wcześniej osiodłał i wyprowadził jej konia. Słyszał, gdy przyjechał młody Forrester, więc wiedział, że Joy będzie ruszać w drogę. Powiedział, że kiedy wyszła z domu, zachowywała się całkiem zwyczajnie. Wsiadła na konia i odjechała.

Lucilla uporządkowała fakty, a potem zastanowiła się nad wszystkim, czego się dowiedziała.

- Z tego, co mi powiedziałyście, wynika, że kiedy Joy zeszła, by zabrać swoje rzeczy, spakować sakwę i pojechać do Bradshawów, Faith była tutaj, siedziała i dziergała.

Obie kobiety zamrugwały, a Gwen pokiwała głową.

- Ano... tak było. Nawet ze sobą rozmawiały.

- Przyjaźnie? - zapytała Lucilla.

- A tak... dobrały się jak w korcu maku - odparła kucharka. - Nie zawsze się zgadzały, ale nie panowała między nimi wrogość. Były bardzo zżyte.

- Możemy więc przyjąć, że zamieniły ze sobą kilka słów... o czym, tego nie wiemy. - A to według niej miało znaczenie. Mrużąc oczy, odtworzyła w wyobraźni scenę, która się rozegrała. - Więc Joy wzięła torebkę i manierkę, a potem poszła do destylarni po zioła, zostawiając Faith...

Była przyzwyczajona do nagłych olśnień, ale to, którego doznała, wywołało u niej gęsią skórę. Spytała ostrożnie:

- O której Edgar zadzwonił po herbatę dla jaśnie pana?

Gwen pokręciła głową. Pani Kennedy już miała zrobić to samo, gdy nagle się ożywiła.

- Chyba wiem, kiedy to było. Chwilę po tym, jak zeszła Joy. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, a potem kroki zmierzające w stronę schodów. Może... z dziesięć minut później? Już znowu zasypiałam, kiedy usłyszałam dzwonienie w pokoju Fergusona. - Wskazała głową dzwonki nad drzwiami. - Niektóre z nich znajdują się na ścianie między moim a jego pokojem. Zwykle ich nie słyszę, gdy śpię, ale tamtej nocy jeszcze nie zasnęłam.

Gwen badawczo przyjrzała się Lucilli.

- Jeśli to ważne, zapytam Edgara. On pamięta, ile czasu śpi jego pan.

Lucilla skinęła głową, lecz domyślała się, kiedy ktoś mógł otruć Joy Burns. Domyślała się nawet, w jaki sposób. Jednakże co się wydarzyło podczas rozmowy Joy i Faith?

Kuchnię od pokoju dla służby oddzielała długa ściana; pomieszczenia te łączyły dwa łukowate przejścia po jej obu stronach. Komórka i inne składziki leżały za kuchnią. Drzwi prowadzące do pokoju dla służby znajdowały się za jej plecami. Odwracając się, by spojrzeć na tę ścianę, zauważyła dwoje wąskich drzwi po obu stronach wejścia. Wskazała jedno z nich.

- Tam jest spiżarnia?

- Ano - odrzekła Gwen. - Mamy dwie. Jedną na suche produkty, a drugą na pieczone mięsa i tak dalej. Obie są ładne i duże.

Lucilla wstała i przeszła nad ławą, na której siedziała. Zbliżyła się do drzwi spiżarni, otworzyła je i zajrzała do środka. Na trzech ścianach znajdowały się półki, zastawione papierowymi torbami i płóciennymi workami z mąką, suszoną fasolą, cukrem, solą i innymi produktami; między nimi było dość miejsca, by pomieścić dorosłą osobę.

- Macie problemy z myszami? - zagadnęła. - Nasza kucharka bardzo się na nie uskarża.

- Kiedyś mieliśmy - odparła Gwen. - Ale Ferguson zdobył jakąś nową trutkę, która działa cuda. Tam jest paczuszka. Niech pani spojrzy na dolną półkę po lewej stronie od drzwi.

Lucilla tak zrobiła i ujrzała niebiesko-czerwono-białą torebkę z trucizną na szczury. Torebka był otwarta. Nie musiała jej oglądać. Dostała lodowatych ciarek.

Wyprostowała się, zamknęła drzwi spiżarni i odwróciła się w stronę stołu. Rozważała możliwości. Jedno jej nie pasowało. Patrząc na panią Kennedy i Gwen, zapytała:

- Gdzie dokładnie siedziała Faith, robiąc na drutach? Wiecie?

Ochmistrzyni wskazała w stronę kuchni.

- Siadywała przy ogniu. Podtrzymujemy go stale, a ona chciała, by był dobrze rozpalony. Musiała szybko zaparzyć herbatę dla pana, który ma wymagania, zawsze chce, by była ze świeżo zagotowanej wody.

Lucilla miała już pełny obraz. Wiedziała nawet, gdzie szukać dowodów na to, że Joy Burns została otruta. Co wprawdzie niewiele dawało. Patrząc na panią Kennedy i Gwen, skinęła głową.

- Dziękuję wam.

Musiała znaleźć Thomasa i zrelacjonować mu, czego się dowiedziała, ale chciała jeszcze upewnić się co do kilku rzeczy. Wróciła na ławę i usiadła na poprzednim

miejscu.

- Rozumiem, że Joy szkoliliła uczennicę, która miała przejąć po niej funkcję uzdrowicielki. Alice Watts. Możecie mi powiedzieć, czy dużo się już nauczyła?

Pani Kennedy popatrzyła na Gwen.

- Z tego, co mówiła Joy, Alice kończyła już naukę.

- Właśnie po nią posłano. - Ochmistrzyni się skrzywiła. - Wiadomość o śmierci Joy będzie dla niej ciosem, ale Wattsonie już nas zawiadomili, że przyjedzie, kiedy tylko spakuje swoje rzeczy.

- Wie, że musi się tutaj przenieść - dodała Gwen. - Będzie jutro.

Lucilla przebiegła myślą listę pytań, które chciała zadać, po czym kiwnęła głową.

- Myślę, że to mi na razie wystarczy. Jeśli jeszcze zaprowadzicie mnie do destylarni, nie będę zajmować wam więcej czasu.

Obie kobiety się poruszyły, ale żadna nie wstała. Wymieniły szybkie spojrzenia i Gwen ponagliła wzrokiem panią Kennedy. Ochmistrzyni zacisnęła usta, po czym zaczerpnęła tchu i spojrzała na Lucillę.

- Nie wiemy, czy możemy panienkę o coś prosić... ale wszyscy, cała służba, zastanawialiśmy się, czy nie mogłaby panienka namówić jaśnie pana, by coś zażył. Wyraźnie niedomaga, ale to wciąż silny mężczyzna.

- Mogę człowieka odżywić - włączyła się Gwen - ale na niego to jakoś nie działa. Joy była pewna, że mogłaby dać mu coś, co by pomogło, ale nie chciała mieszać się w nie swoje sprawy, zwłaszcza że to nasz pan, jeśli panienka wie, co mam na myśli.

Lucilla wiedziała doskonale. Niewielu ludzi miało tyle śmiałości, by próbować nakłonić do czegoś Manachana, zwłaszcza jeśli urażało to jego dumę.

Pani Kennedy się pochyliła.

- Gdyby pani coś mu powiedziała, bylibyśmy bardzo wdzięczni.

Lucilla podniosła rękę, aby powstrzymać dalsze prośby.

- Już postanowiłam, że mu pomogę... jeśli tylko będę mogła. Między innymi właśnie dlatego tu jestem. - Przerwała, a po chwili dodała: - Nikt w Vale nie miał pojęcia, że jest taki słaby, bo inaczej ja albo moja matka przyjechałybyśmy wcześniej.

Na twarzach obu kobiet pojawiła się wyraźna ulga.

- Więc porozmawia z nim pani? - upewniła się ochmistrzyni.

Lucilla nie mogła kłamać.

- Pomogę mu. Lecz w jaki sposób, jeszcze nie wiem. Nie należy do osób, które łatwo przekonać do czegoś, co im się nie podoba.

- Cokolwiek pani zrobi - orzekła pani Kennedy - cały klan będzie pani wdzięczny.

Wstając, Lucilla tylko się uśmiechnęła. Nie wątpiła, że zapewnienie ochmistrzyni jest szczere, jednak w Carrick Manor i na terenie posiadłości działo się coś bardzo złego i ktokolwiek się za tym kryje, niemal na pewno należy do klanu Carricków.

Przekroczyła ławę.

- Pokażecie mi destylarnię?

- Oczywiście. - Pani Kennedy wstała i wskazała drzwi.

- Zaprowadzę panienkę. To na końcu korytarza, z lewej strony, po schodkach.

Nie spędziła w destylarni dużo czasu. Ponieważ Joy Burns opuściła to pomieszczenie jakiś czas przed swą tragiczną śmiercią, Lucilla nie spodziewała się, że znajdzie

w nim jakieś tropy. Pokrążywszy tam chwilę i z aprobatą odnotowawszy wszystko, co zrobiła Joy - każda rzecz była starannie zapakowana i oznakowana - wyszła na zewnątrz, zamknęła za sobą drzwi i znowu znalazła się w labiryncie korytarzy. Kierując się wskazówkami, których udzieliła jej pani Kennedy, ruszyła do nieużywanego skrzydła.

Łatwo było zidentyfikować miejsce w holu, gdzie niedawno spoczywało ciało Faith Burns; nawet w przyćmionym świetle, które przenikało przez zaciągnięte zasłony i dochodziło z niezastłoniętych okien na pierwszym piętrze, Lucilla zauważyła, że ciemne deski podłogowe pokrywa gruba warstwa kurzu - z wyjątkiem podnóża głównych schodów, które zostało wyszorowane.

Widziała ciało Faith Burns, wydając służącym dyspozycje dotyczące ułożenia siostr w komórce z lodem; Faith była wyższa i mocniej zbudowana niż Joy. Spadła ze schodów z takim rozpędem, że uderzyła w ścianę po przeciwnej stronie korytarza i skrzyła sobie kark.

Żywiąc pewne podejrzenia co do śmierci Joy, wyobrażając sobie koniec Faith oraz domyślając się związku między tymi dwoma zdarzeniami, Lucilla stała w holu i patrzyła niewidzącym wzrokiem na niższe stopnie schodów, zastanawiając się, czy powinna prosić o wezwanie sędziego pokoju.

Jednakże nie mogła niczego dowieść. A co ważniejsze, nie miała pojęcia, czego domyślała się Joy albo Faith i o czym rozmawiały ze sobą w kuchni i pokoju dla służby. Była pewna, że taka rozmowa się odbyła i przez to obie straciły życie. Miała pewną teorię, ale nic więcej - teorię, przypuszczenie, powiązane ze sobą domysły.

Ale, choć wydawało się to mało prawdopodobne, można było przyjąć, że Joy zmarła przypadkiem, po zjedzeniu czegoś trującego tej samej nocy, której jej siostra spadła ze schodów.

- Niedorzeczność - mruknęła Lucilla. Ale jak to udowodnić?

Na dźwięk cichych kroków, stłumionych przez dywan, uniosła głowę i spojrzała w stronę szczytu dość stromych schodów.

Thomas popatrzył na nią, stojącą na dole, i na jej zwróconą ku niemu twarz, na którą padało światło dochodzące przez okna za jego plecami.

Zauważył, że powoli uniosła kształtne ciemne brwi. Patrzyła na niego pytająco.

Westchnął cicho.

- Próbowałem się zorientować, po co Faith tu przyszła. Nie jest to najprostsza droga powrotna do kuchni.

Lucilla położyła dłoń na barierce i ruszyła po schodach na górę.

- Z tego, co mówiły kucharka i pani Kennedy, Faith nie miała powodu tam wracać.

Thomas ściągnął brwi. Trudno mu było się skupić - choć myślał o tym, co powiedziała, rozpraszała go jej obecność.

- A taca, którą zaniósła do pokoju Manachana?

- Zostawiła ją Edgarowi, jak zwykle zresztą.

Zmusił się, by zrobić krok w tył, odsunąć się od niej, kiedy dotarła do szczytu schodów.

Wszedłszy na piętro, Lucilla przystanąła i spojrzała mu w oczy.

- Gdyby Faith postąpiła zgodnie ze zwyczajem, poszłaby na poddasze, do swego pokoju, schodami dla służby.

Przechyliła się, by spojrzeć za jego plecy, w głąb korytarza.

- Co tam jest? I czy łączy się z miejscem, do którego powinna była udać się Faith?

Stłumił kolejne westchnienie. Zdążyła dowiedzieć się więcej od niego. Utrzymując stosowny dystans wobec niej, odwrócił się i machnął ręką.

- Nieco dalej są drzwi do galerii. Prowadzą do schodów dla służby w głównym skrzydle... którymi przyszłaby z kuchni Faith, idąc na poddasze. - Napotkał spojrzenie Lucilli. - Dlaczego więc znalazła się tutaj?

- Bo coś usłyszała? - Lucilla zerknęła w stronę trzech okien w korytarzu, były od-słonięte. - Zasłony były zaciągnięte?

- Tak. Odsloniłem okna, by przeszukać to miejsce. - Spojrzał w dół. - Ale jest tyl-ko jeden ślad. - Wskazał świeże rysy w warstwie starego pszczelego wosku u szczytu schodów, po jednej stronie wytartego chodnika. - Którego można się spo-dziewać, gdy ktoś się potknie, przewróci i spadnie. Poza tym... chodnik leżał prosto i wszystko wyglądało normalnie.

Lucilla powiodła wzrokiem po okolicy schodów.

- Ale o co Faith mogła się potknąć?

O własne nogi? Nie powiedział tego na głos, ale inne wyjaśnienie nie przychodziło mu do głowy. Nie był pewien, czy podoba mu się zaangażowanie Lucilli, lecz tak jak dziesięć lat wcześniej w domu zagrodnika czuł z nią więź, powinowactwo, które nie miało charakteru fizycznego, lecz stanowiło raczej instynktowną gotowość współ-pracy, wynikającą ze świadomości, że razem są skuteczniejsi, niż gdyby działali od-dzielnie.

Była jedyną osobą, z którą łączyło go coś takiego - kolejny aspekt jej osobowości, nad którym wolał się nie zastanawiać.

Wciąż rozglądając się wokół, zmarszczyła czoło.

- Gdzie się podziała świeca Faith?

Zamrugął.

- Nie wiem.

- Bo jeśli Faith przewróciła się i spadła, świeca powinna była spaść razem z nią.

Spojrzeli w dół schodów, ale na chodniku i ciemnym drewnie nie było śladów wo-sku.

- Hm. Zabraliby ją służący. - Lucilla wpatrywała się w stopnie. - Musieli także na-ciągnąć chodnik. Bo pewnie się przesunął? Gdy Faith się potknęła i zleciała na dół...

Oboje popatrzyli na chodnik, gładki i napięty między drewnianymi ogranicznikami.

Thomas, sunąc wzrokiem po świeżym śladzie w warstwie kurzu na podłodze wo-kół schodów na dole, skrzywił twarz.

- Spadła z dużym impetem, skoro znalazła się aż pod przeciwległą ścianą.

Lucilla mruknęła z namysłem, po czym odwróciła się od schodów.

- Czy Edgar i Manachan coś wiedzą?

- Nie. Zakładając, że wypadek zdarzył się niedługo po tym, jak Faith zaniósła Ma-nachanowi herbatę, obaj jeszcze nie spali, lecz nic nie słyszeli. - Spojrzał jej w oczy.

- Czego jeszcze dowiedziała się pani od służby?

Chętnie zdała mu ocenzonej, jak przypuszczał, ale zasadniczo wierną relację ze swojego dochodzenia. Pod koniec przerwała, a po chwili podjęła:

- Wiem, że śmierć obu sióstr można uznać za przypadek, ale niepokoi mnie zbież-

ność tych wydarzeń. – Zaczerpnęła powietrza i rozejrzała się po korytarzu. – Joy i Faith rozmawiały ze sobą na dole... Faith była w kuchni, a Joy w pokoju dla służby, więc musiały mówić głośno... a wkrótce potem Joy umarła na skutek zatrucia, a Faith spadła ze schodów. – Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – Ktoś, kto przebywał wtedy w domu i znajdował się nieopodal kuchni oraz pokoju dla służby, mógł usłyszeć ich rozmowę, a następnie otruć Joy i zepchnąć Faith ze schodów.

Wpatrywał się w nią przez kilka sekund, po czym zapytał:

– Jak?

Wyjaśniła mu. I zakończyła słowami:

– Musimy znaleźć manierkę Joy i sprawdzić jej zawartość.

– Była przytroczona do siodła. Powiem Seanowi, by jej poszukał.

– Proszę go ostrzec, by z niej nie pił. – Urwała, a po chwili dodała: – Nie sądzę, abym wyczuła jeszcze zapach, za późno na to. Ale możemy wysłać resztki płynu do zbadania, prawda?

Posępniejąc z minuty na minutę, skinął głową.

– Wyślę je razem z próbkami ze studni Bradshawów. – I dorzucił: – Jednak na wyniki trzeba będzie czekać kilka tygodni.

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Obie kobiety już nie żyją. Och... rozumiem. – Pochwyciła jego spojrzenie. – Chodzi o to, o czym rozmawiały, co hipotetyczny morderca usłyszał i chciał ukryć, zabijając je. To wciąż może stanowić zagrożenie.

– Właśnie. – Ujął ją za łokieć. Nie zważając na efekt, jaki zwykle wywierało na niego fizyczne zetknięcie z nią, pociągnął Lucillę za sobą w głąb korytarza. – Pokażę pani, które drzwi prowadzą do głównego skrzydła, aby nie korzystała pani z nich, będąc w galerii. – Myśl o tym, że ktoś w domu czy też mający do niego wstęp żywił tajemnicze i groźne zamiary, niepokoiła go wystarczająco. Obecność Lucilli pod tym samym dachem była ponad jego siły. Budziła w nim nieznane emocje. Zmuszała do działania.

Ku jego zdziwieniu Lucilla nie stawiała oporu. Ruszyła, idąc blisko niego wąskim korytarzem, tak że jej aksamitna spódnica do jazdy konnej muskała jego spodnie. Kiedy miał już pewność, że jest gotowa opuścić scenę zdarzenia, zwolnił uścisk, a później całkiem ją puścił.

Zwiększyłyby odległość między nimi, ale było za mało miejsca.

Lucilla zauważyła, że z jej świadomością dzieją się dziwne rzeczy. Na jednym poziomie była coraz bardziej zaniepokojona sprawą śmierci sióstr Burns i miała coraz silniejsze poczucie obowiązku, że powinna ją wyjaśnić, a jednocześnie bardzo mocno reagowała na bliskość Thomasa. Na jego dotyk, choćby i przelotny.

Nagle trafiła na coś czubkiem buta do jazdy konnej i potknęła się o to.

– Och! – Poleciała do przodu.

Thomas złapał ją i podtrzymał. Przyciągnął do siebie.

Znalazła się w jego ramionach. Wsparła się na nim, kładąc mu dłonie na piersi.

Pierwsze, co zarejestrowała, to jego ciepło, żar przenikający przez warstwy materiału i przechodzący na nią, na jej ciało. I pobudzający zmysły, które ożyły w przyływie budzącego zawrót głowy oczekiwania.

Spojrzała mu w oczy i w tej samej chwili zauważyła nagłe napięcie, które go ogar-

nęło, przemieniając twarde sprężyste mięśnie w granit. Ramiona, w których tkwiła bezpiecznie, w jednej chwili wydały jej się równie nieustępliwie jak żelazo.

Ale najbardziej zdradzały go oczy; usiany złotymi plamkami bursztyn płonął.

Nie dała sobie czasu na zastanowienie. Na wątpliwości.

Ani jemu, aby opancerzył się znowu.

Pani mogła jej pomóc i stworzyć okazję, ale to ona musiała z niej skorzystać. Sta-
jąc na palcach, tylko szepnęła:

- Dziękuję. - I przytknęła usta do jego ust.

Na moment straciła pewność siebie. Co będzie, jeśli on nie odpowie?

Ale potem to wyczuła - że nagle wstrzymał oddech, kierując się gwałtownym, nie-
kontrolowanym, niepowstrzymanym impulsem.

Znała tę reakcję u siebie - i rozpoznała ją u niego.

Wszystkie jej wątpliwości się rozwiały. Wszelka ostrożność zniknęła. Pewna, zde-
cydowana pocałowała go w usta.

Przywierając do niego śmiało, przesunęła ręce po jego ramionach, delektując się
bijącym od niego ciepłem, po czym sięgnęła wyżej, na kark, i wsunęła palce w grube
kręcone włosy.

Ich jedwabistość ją zaskoczyła, podziałała na nią uspokajająco.

Z pobudzonymi wszystkimi zmysłami przeszła od szturm do perswazji.

Przytknęła dłoń do jego szczupłego policzka, a następnie skupiła się na pocałunku.

Thomas poczuł się zagubiony, jakby stracił kotwicę, porwany falą gwałtownego
pragnienia. Swego, a także jej. Udzieliła mu się tęsknota Lucilli, wywołując w nim
reakcję, nad którą nie mógł zapanować. Której nie mógł okiełznać. Ani powstrzy-
mać.

Pragnął jej, zawsze tak było.

Jednakże to jego „ja”, które jej pragnęło - wciąż, bez względu na wszystko - za-
wyczaj znajdowało się pod kontrolą. Stłumione i głęboko skrywane.

To nie jej pocałunek, nagły, niespodziewany dotyk ust, zerwał łańcuchy, wyłamał
zamek i otworzył na oścież drzwi jego wewnętrznego więzienia.

Nie sprawił tego żar jej dłoni, gdy przesunęła je po jego piersi i ramionach, suge-
stywny, prowokujący gest, który jednocześnie wydawał się dziwnie niewinny.

Nawet nie jej palce w jego włosach - był wystarczająco doświadczony, by oprzeć
się takim pokusom.

Lecz to wszystko razem, jej dłonie, jej palce, muskające go lekko po policzku...

Miał wrażenie, jakby tym gestem go poskromiła. Pokonała wszelki opór i przemó-
wiła do mężczyzny, jakim był naprawdę.

Zawsze wiedział, że jest niebezpieczna. Że potrafiłaby nim rządzić.

A nie chciał tego. Ani wtedy, ani teraz. Mimo to...

Jej usta miały oszałamiający smak róży i nektaru. Nie mógł się oprzeć pokusie, by
się go napić.

Tylko trochę. Odrobinę.

Powoli, nieubłaganie mięśnie jego ramion się napięły i przyciągnął ją do siebie.
Pochyliwszy głowę - wskutek jej woli czy też własnej, tego nie wiedział - z urzekają-
cą wprawą przejął kontrolę nad pocałunkiem, do tej pory zaledwie cieniem tego,
czym mógł być między nimi.

Pokazał jej to. Z brutalną szczerością odsłonił możliwości. Mimo że to ona zaczęła, był aż zbyt chętny, aby dokończyć – sprowokować ją tak samo, jak ona swym nie tak niewinnym pocałunkiem sprowokowała jego. Rozchylił jej usta, po czym wziął je w posiadanie, każdy ich skrawek, łącznie z językiem. Zdobył całą tę soczystą miękkość i poczuł budzącą się napiętność.

Ona, zamiast wycofać się z tego świadomego i celowego posunięcia – z wymiany, która pomiędzy jednym uderzeniem serca a drugim przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice, przechodząc w gwałtowną potrzebę, ledwie powstrzymaną żądzą – jeszcze do niego przywarła, napierając biustem na jego pierś, tak że poczuł przez ubranie stwardniałe sutki.

Ból w jego kroczu się nasilił.

Pociąg, który zawsze do niej czuł, wezbrał w nim i zawładnął całym ciałem.

Mimo że była szczupła i gibka, drobnej budowy, płonął w niej ogień – dopiero co wzniecony, jednakże podsycany pierwotną pasją i pożądaniem – który stanowił dla niego, tkwiącego w nim prawdziwego mężczyzny, ucieleśnienie pokusy.

Zawrotny, niefrasobliwy, obezwładniający pocałunek trwał, przeciągał się – nie było to już starcie, lecz zderzenie pragnień. Potrzeb, żądz. I nie przeciwstawnych, lecz zbieżnych. Łączących się, zlewających i rosnących.

Z jej strony świadomych, nie miał co do tego wątpliwości; z jego strony – niezaprzeczalnych, których nie mógł się wyrzec, niezależnych od woli.

Wiedział, że powinni przestać, skończyć z tym, zanim straci wszelką nadzieję, że uda mu się od niej oderwać. Kiedykolwiek ją puścić. Lecz ona wciąż trzymała dłoń na jego policzku, parząc go, choć dłoń nie była gorąca, bez trudu trzymając go w niewoli. Podsycając jego zmysły, łapiąc je w sieć pożądania, od którego nie mógł się wyzwolić.

Jego ciało i umysł dosłownie oszalały.

Ona jakby to wiedziała, czuła.

Jednakże zamiast pojąć zagrożenie i czym prędzej się odsunąć, zdobyła go – ustami, całym ciałem, dotykając lekko jego policzka.

Słyszając nagły stukot kopyt na bruku oderwali się od siebie, jednocześnie łapiąc powietrze.

Chwilę później rozległy się krzyki i nawoływania.

Przez moment stali i patrzyli sobie w oczy. Oboje oddychali gwałtownie. Thomas czuł pulsowanie w uszach.

Wreszcie dochodzące z dołu odgłosy przywołały ich oboje do rzeczywistości.

Odsunęli się od siebie i razem podeszli do okna.

Ten koniec nieużywanego skrzydła wznosił się nad dziedzińcem stajni. W dole zobaczyli Nigela i Nolana, wciąż na koniach, które tańczyły w miejscu, najwyraźniej pod wpływem nastroju obu braci.

Nigel wołał stajennych – to właśnie usłyszeli Thomas i Lucilla – lecz Seanowi, Mitchowi i Fredowi widocznie nie było spieszo na wezwanie.

Thomas patrzył, jak służący powoli wychodzą na podwórko i jakby niechętnie przytrzymują wierzchowce swoich panów. Ci zsiadli z koni, nieświadomi ponurej dezaprobaty stajennych, po czym, nie przerywając rozmowy, rzucili im wodze i ruszyli w stronę domu.

Służący i młodzi panowie nawet się nie przywitani. Z tego, co widział Thomas, nie było między nimi żadnej interakcji – inaczej niż wtedy, gdy sam zajechał przed dom.

Marszcząc czoło, cofnął się od okna. W ciągu sekundy zdał sobie sprawę, że powinien jak najszybciej pokazać się Nigelowi – dla dobra wszystkich, a w szczególności dla Manachana.

Spojrzał na Lucillę. Wciąż patrzyła na dziedziniec, obserwując stajennych, którzy odprowadzali konie. Chociaż nie widział jej oczu, zorientował się po zamysłonej, skupionej minie, że wyczuła napięcie między dwiema grupami mężczyzn i jak on uznała je za dziwne.

– Pójdę przekazać wieści Nigelowi. – Cofnął się o kolejny krok. Kiedy się odwrócił, by na niego spojrzeć, wskazał w głąb korytarza. – To drzwi do galerii w głównym skrzydle. – Napotkał jej spojrzenie. – Zobaczymy się później.

Nie czekał na jej odpowiedź, odwrócił się szybko, poszedł do wyjścia i umknął.

Lucilla odprowadziła go wzrokiem. Zostawił drzwi otwarte; czy tak zamierzał, czy nie, było to jawne zaproszenie, by podążyła za nim. Co zamierzała uczynić.

Ten pocałunek był spełnieniem jej pragnień. A nawet więcej. Ale przyjechali Nigel i Nolan, więc należało odłożyć sprawy osobiste, przynajmniej na jakiś czas. Na później.

Myśląc o perspektywach, zrobiła krok przed siebie i zahaczyła o coś obcasem, tak że o mało znowu się nie potknęła.

Przystanąła i spojrzała w dół. Okazało się, że zawadziła o fałdę na chodniku pod oknem. Ściągając brwi, obejrzała się w stronę schodów.

– Czy o to potknęła się Faith?

Jednakże schody znajdowały się za daleko, aby potknąwszy się tu, ktoś mógł z nich spaść.

Lucilla się zasepiła. Dla bezpieczeństwa próbowała wygładzić czubkiem buta fałdę – i stwierdziła, że coś pod nią jest. Coś twardego.

Przykucnąwszy, uniosła brzeg chodnika i znalazła ogarek.

– A więc tu wylądował. – Podniosła go. Był to kawałek świecy. Wygładziła chodnik. Już miała się podnieść, kiedy uderzył ją brak świecznika. – Widocznie służba nie dotarła tak daleko podczas sprzątania.

Rozejrzała się w lewo i w prawo. Między oknami znajdowały się dwie niskie sekretery, stały na rzeźbionych nogach wysokości siedmiu centymetrów.

Przyklękła i pochyliła się nad zakurzoną posadzką, zaglądając pod meble.

Pod sekretką z lewej strony leżał świecznik, zwykły, ze stopu cyny i ołowiu. Odśladawszy rękaw zakietu, sięgnęła po niego; wciąż tkwił w nim ogarek.

Wstając ze świecznikiem w jednej ręce i ogarkiem w drugiej, szybko przyjrzała się im obu, po czym zerknęła w głąb korytarza. Schody znajdowały się w odległości dobrych sześciu metrów.

Zaintrygowana, odstawiła ogarek i świecznik na blat sekretery. Patrzyła na nie przez dłuższą chwilę. Potem mruknęła pod nosem:

– Kiedy Faith spadała tam ze schodów, mogliście się tu znaleźć tylko w jeden sposób.

Jej teoria stawała się coraz bardziej prawdopodobna – w większym stopniu, niżby sobie tego życzyła.

Dochodzący z oddali dźwięk głosów przypomniał jej, że powinna być świadkiem zbliżającego się spotkania.

Odwróciła się więc i skierowała ku drzwiom do galerii.

6.

Gruby chodnik na głównych schodach stłumił kroki Lucilli, kiedy schodziła pośpiesznie na parter.

Thomas już wkroczył do frontowego holu. Męskie głosy, które wcześniej słyszała, należały do Nigela i Nolana. Otworzyli drzwi wejściowe, ale przystanęli jeszcze na ganku, śmiejąc się z jakiegoś dowcipu. Gdy dotarła na dół, weszli już do środka.

Zaciekawiona, przemknęła dyskretnie u podnóża schodów, skręcając od razu przy słupku barierki, by zasłonił ją łuk między holem a schodami.

Zatrzymawszy się za łukiem, zaryzykowała i wyjrzała zza niego szybko. Thomas zatrzymał się kilka kroków od wejścia do holu; stał odwrócony do niej plecami i czekał na kuzynów. Widziała Nigela i Nolana tylko przez chwilę, bo potem przesłoniło ich ramię Thomasa, zdążyła jednak zauważyć, że byli zaskoczeni jego widokiem. Nagle przestali się śmiać. Cisza, która potem nastąpiła, trwała dostatecznie długo, by wszyscy poczuli się niezręcznie.

Widowała Nigela i Nolana przez ostatnie lata. Nigel był z dziesięć centymetrów niższy od Thomasa, ale mocniej zbudowany – taki młodszy Manachan, jeśli o to chodzi. Miał rudawe, brązowe włosy, jaśniejsze niż Thomas, a cerę bardziej rumianą i mniej subtelne rysy. Niektóre panie mogłyby go uznać za przystojnego, jednakże raczej w typie siłacza.

Nolan był podobnego wzrostu, lecz mniej korpulentny, z włosami opadającymi na czoło. Drobniej zbudowany, zdawał się egzystować w cieniu Nigela – ustępując mu nie tylko pod względem postury, lecz także osobowości. Nolan się przyglądał, podczas gdy Nigel działał.

Przechyliwszy głowę, czekała, by się dowiedzieć, czym zaowocuje to spotkanie.

– Kuzynie – wreszcie odezwał się Nigel. – Co tu robisz?

Żadnego „witaj!”, „dawno się nie widzieliśmy!” ani innego serdecznego powitania – w gruncie rzeczy żadnego powitania. Próbowwała sobie wyobrazić któregoś ze swoich kuzynów zachowującego się podobnie w takiej sytuacji i nie potrafiła.

Thomas odparł spokojnie:

– Przyjechałem na wezwanie.

Wypowiadając te słowa, zdał sobie sprawę, co w tych okolicznościach niepokoiło ich wszystkich. Dlaczego, do diabła, Bradshaw, nie mówiąc już o Forresterze, zwrócił się właśnie do niego – przebywającego tak daleko w Glasgow – a nie do Nigela, pełniącego obowiązki głowy klanu? Niezależnie od tego, co się tu działo, obowiązkiem Nigela było się tym zająć, co potwierdzał Manachan. To zaś oznaczało, że zwrócenie się przez członków klanu do Thomasa było wyrazem ich braku zaufania do Nigela jako przywódcy.

Zdawała się to potwierdzać także scena w stajni. Klan nie aprobował Nigela.

I on sam to wiedział, sądząc po tym, jak się teraz zjeżył.

Jego „Ach tak?” było przepełnione agresją.

Thomas nie chciał tracić czasu na kuzynowskie animozje.

- Rodzina Bradshawów bardzo się rozchorowała... wszyscy, łącznie z dziećmi.

Nie mam pojęcia, dlaczego inni postanowili po mnie posłać, ale zakładam, że z tego samego powodu, dla którego Bradshaw zwrócił się do mnie w związku z dostawą ziarna. - Przerwał, patrząc Nigelowi w oczy. - Pamiętasz, wspomniałem o tym, kiedy spotkaliśmy się w Glasgow. Rozumiem, że rozwiązałeś ten problem, skoro wyjechaliście do Ayr?

Nigel sprawiał wrażenie zmieszanego, ale wybrnął z sytuacji, okazując niezadowolone.

- Sprawa jest pod kontrolą, tak jak powiedziałem.

W jego głosie brzmiało niechętnie lekceważenie.

Thomas nie chciał podsycać wrogości. Nigel, mimo że był następcą głowy klanu, zawsze miał mu za złe szczególną więź z Manachanem. Thomas wiedział, że kuzyn, zastając go we dworze, potraktuje go jako intruza, który wkracza na jego teren. Nie miał też wątpliwości, czyją stronę weźmie Nolan, który stał z boku i przysłuchiwał się rozmowie; zawsze gorąco popierał Nigela i stał na straży jego godności.

- W takim razie - ciągnął Thomas - skoro wróciłeś i możesz podjąć obowiązki przywódcy klanu, powinieneś wiedzieć... - I tu zwięźle opowiedział o śmierci Joy Burns oraz tragicznym wypadku jej siostry tej samej nocy.

Zrelacjonował pokrótce ozdrowienie Bradshawów, dzięki pomocy Lucilli, i na koniec wyjaśnił, że Manachan poprosił ją o pozostanie w Carrick Manor i dopilnowanie, by następczyni uzdrowicielki przejęła jej obowiązki.

Nigel zamrugał. Nolan ściągnął brwi. Obaj byli wyraźnie zaskoczeni wiadomością o śmierci Joy i Faith, choć Thomas nie dostrzegł w tym ani śladu troski, a już na pewno nie smutku, mimo że jeden i drugi, nie tak jak on, znał siostry Burns przez całe życie.

Po dłuższej chwili Nolan, wciąż marszcząc czoło, zerknął na Nigela i powiedział:

- Nadal jednak nie rozumiem, kuzynie, dlaczego po prostu nie wysłałeś wiadomości. Nigel dopilnowałby, aby zajęto się Bradshawami.

Thomas starał się zapanować nad gniewem.

- Miałem okazję rozmawiać z Manachanem... i jestem wstrząśnięty, że dopuszczono, aby znalazł się w obecnym stanie. Co do Bradshawów, w razie gdybyś zapomniał, Nigel był nieobecny. Obaj przebywaliście w Ayr i nie miałem się z kim porozumieć. - Zastanawiał się, co kuzyni robili w nadmorskim miasteczku, lecz nie była to pora, by w to wnikać.

Nolan lekceważąco wzruszył ramionami.

- Nie wiem, dlaczego martwisz się o papę... to zupełnie niepotrzebne. A sprawa Bradshawów na pewno nie była aż tak pilna. Mogli poczekać.

- Niestety nie mogli. - Lucilla skorzystała z okazji i wkroczyła do holu.

Thomas domyślał się jej obecności już od jakiegoś czasu, od chwili, gdy Nigel i Nolan weszli do domu, jak zwykle ją wyczuwał. Pojawienie się Lucilli było dla kuzynów szokiem - nie mogliby być bardziej zaskoczeni, gdyby wymierzyła im obu policzek.

- Dzień dobry panom. - Lucilla zatrzymała się obok Thomasa i skinęła głową najpierw Nigelowi, a potem Nolanowi. Nie widziała powodu, by podać im rękę. Usły-

szawszy, co powiedzieli, nie chciała okazywać im żadnej zachęty.

Obaj gapili się na nią. Ich miny były nie tyle tępe, ile raczej zdradzały tłumione emocje.

Lucilla odpowiedziała na ich spojrzenie, po czym, lekko unosząc głowę w sposób przejęty od babki, wyraziła wzrokiem pogardę.

Nigel ponieważ przypomniał sobie o dobrych manierach. Skłonił się, choć dość sztywno.

- Panno Cynster.

Nolan pochylił głowę i powtórzył za bratem słowa powitania.

- Jeśli chodzi o Bradshawów... - Przerwała, by się upewnić, że bracia uważnie słuchają. - Gdyby wasz kuzyn nie pojechał na farmę, nie znalazł umierającej Joy Burns i natychmiast mnie tam nie przywiózł, gdybyśmy nie odkryli, że studnia jest skażona i nie dostarczyli świeżej wody, Bradshawowie z pewnością by umarli, a każdy, kto przybyłby z pomocą i wypił ich wodę, ciężko by się rozchorował.

Pochwyciła i przytrzymała spojrzenie Nigela. Patrząc na niego, kontynuowała bezlitośnie:

- Nie było pana tu, by zająć się podopiecznymi. Pan Thomas natomiast był i to zrobił. Jako zastępca głowy klanu jest pan mu winien wdzięczność, którą pański ojciec już mu wyraził.

Umilkła i zacisnęła usta, by mówić za nią cisza, co miało stanowić dodatkowy afront dla Nigela i jego brata.

Obaj zbledli, ale wątpiła, by wskutek szoku - raczej tłumionej złości. Odnosiła wrażenie, że niewielu ludzi przemawiało do nich tak szczerze i bezpośrednio.

I najwyraźniej nie mieli pojęcia, jak zareagować.

- Cóż. - Gdyby Nigel trzymał w dłoni kapelusz, na pewno by go zgniótł. - Eee... rozumiem, że pomaga pani nowej uzdrowicielce. W imieniu klanu bardzo pani dziękuję.

Lucilla miała ochotę zmrużyć oczy, ale zapanowała nad tym odruchem.

- Obawiam się, że pańska wdzięczność jest przedwczesna. Będę nadzorować przejęcie przez uczennicę obowiązków Joy Burns, ale muszę z tym poczekać do przyjazdu dziewczyny. - Wyniosłe uniosła brew. - Rozumiem, że ma do przebycia długą drogę?

Choć sama nie wiedziała, jak daleko stąd znajduje się farma Wattsów, była ciekawa, czy Nigel - pełniący funkcję głowy klanu - ma w ogóle pojęcie, kim jest następczyni miejscowej uzdrowicielki.

- E... - Nigel zerknął na Nolana, lecz nie uzyskał z jego strony pomocy; brat wyglądał na równie zbitego z tropu. Patrząc z powrotem na Lucillę, Nigel zmusił się do uśmiechu. - Na pewno zjawi się na miejscu tak szybko, jak będzie to możliwe. Obawiam się jednak, że muszę pozostawić panią w towarzystwie Thomasa. - Wskazał na swoje zakurzone buty do konnej jazdy. - Wypada, bym przebrał się do kolacji. - Przeniósł wzrok na Nolana, potem znowu na Lucillę i ponownie się uśmiechnął. - Wybacz nam pani.

Nie odwzajemniła uśmiechu, lecz skłoniła głowę.

- Oczywiście.

Jego twarz stężała, kiedy popatrzył z kolei na Thomasa.

- Kuzynie... do zobaczenia.

Bracia minęli Thomasa i Lucillę i skierowali się w stronę schodów.

Thomas nie odwrócił się za nimi, natomiast spojrzął Lucilli w oczy, gdy zwróciła na niego wzrok. Wystąpiła w jego obronie - niepotrzebnie, ale zawsze - i nie bardzo wiedział, jak się zachować; nie był nawet pewny, czy w ogóle powinien coś na ten temat mówić.

Jego kuzyni zatrzymali się u podnóża schodów. Oboje z Lucillą usłyszeli wypowiedziane szeptem pytanie, zbyt jednak cicho, by mogli je zrozumieć.

Odwrócili się, kiedy pod łukiem z powrotem pojawił się Nigel.

- Tak się właśnie zastanawialiśmy... - Objął spojrzeniem ich oboje. - Czy zostaniecie na kolację.

Thomas odpowiedział krótko:

- Tak.

Lucilla wyniośle skłoniła głowę.

- Zostanę, póki Alice Watts nie przejmie funkcji uzdrowicielki klanu. To zajmie kilka dni.

Nigel uśmiechnął się z przymusem.

- W takim razie - powiedział - zobaczymy się później. - Podnosząc rękę w pożegnaniu gości, zawrócił w kierunku schodów.

Thomas stał przy Lucilli, słuchał ciężkich kroków Nigela i Nolana na schodach i kolejny raz zaczął się zastanawiać, co się tu dzieje.

Lucilla pobłogosławiła w myśli Marcusa. Brat przesłał przez Freda wszystko, o co prosiła - ubrania, buty, szczotki do włosów. Jej pokojówka, Jenna, pomyślała nawet o tym, by spakować biżuterię do trzech skromnych sukien.

Na dźwięk gongu, ubrana w jedwabną suknię koloru wiosennych liści, w naszyjniku z oliwinów i pasującej do niego bransoletce, opuściła pokój w tak zwanym skrzydle dla gości i zeszła na dół. Zajrzawszy do salonu, upewniła się, że rodzina nie spotka się tam przed kolacją; ruszyła więc dalej do jadalni. Za nią rozległy się szybkie lekkie kroki. Z uśmiechem zatrzymała się więc przed drzwiami, kiedy dołączyła do niej Niniver.

Nieśmiało odwzajemniając uśmiech, wymamrotała:

- Dobry wieczór. Nie wiedziałam, że pani zostaje. - Dała Lucilli znak, by weszła do jadalni pierwsza.

- Myślę, że zostanę jeszcze na kilka dni. Zgodziłam się pomóc Alice Watts w przejęciu obowiązków uzdrowicielki klanu. - Wchodząc do pokoju, zobaczyła, że jest tam już Manachan, który siedział u szczytu stołu. Przy jego krześle stał wysoki szczupły mężczyzna z poważną miną - prawdopodobnie kamerdyner Edgar.

Thomas też już był, zajmował drugie miejsce po prawicy Manachana. Wstał, kiedy weszły.

Manachan spojrzął na nią spod krzaczastych brwi.

- Wybacz mi pani, Lucillo, że nie wstaję... mogę się tak do pani zwracać?

Z uśmiechem skłoniła głowę.

- Bardzo proszę.

Manachan wskazał jej miejsce po swojej prawej stronie, a Thomas odsunął krze-

sło. Lucilla ruszyła ku niemu, zauważając, że Niniver – krótko skinąwszy ojcu głową, który ledwie zwrócił na to uwagę – skierowała się ku drugiej stronie stołu, na przeciwko Thomasa, ale jedno nakrycie dalej.

Lokaj podsunął Niniver krzesło. Usiadła, a potem spojrzała ku szczytowi stołu.

– Miło widzieć cię, ojcze, wśród nas.

Manachan popatrzył na nią. Sądząc po minie, nie bardzo wiedział, czy okazać irytację jej uwagą, czy też zadowolenie z niej. Zdecydował się na wymijające chrząknięcie.

Lucilla powstrzymała się od uniesienia brwi. Ponieważ pochodziła z dużej rodziny, zawsze była ciekawa, jak zachowują się członkowie innych rodów, zwłaszcza między sobą.

Wszedł Norris. Na widok Manachana zamrugnął, a potem krótko skinął mu głową.

– Ojcze. – Nie czekając na odpowiedź, obszedł stół i stanął przy krześle po drugiej stronie Thomasa.

Następnie zjawili się Nigel i Nolan. Obaj zobaczyli Manachana i stanęli jak wryci. Na ich twarzach ukazał się raczej przestrah niż zaskoczenie. Nigel doszedł do siebie pierwszy.

– Papa! – Przeniósł wzrok na Lucillę, po czym znowu spojrzał na ojca, a ten popatrzył na niego. – Czy nie powinieneś zostać w łóżku?

Manachanowi to się nie spodobało. Nie odzywał się przez chwilę, a następnie odparł:

– Jestem tu i cała reszta to nie twoja sprawa.

Nigel przełknął ślinę.

– Tak... oczywiście. Cieszymy się... że możesz...

– Twój widok po prostu nas zaskoczył. – Nolan podszedł do miejsca naprzeciwko Thomasa. Rzucił kuzynowi surowe spojrzenie. – Nie wiedzieliśmy, że na tyle wróciłeś do sił.

– Owszem. – Kiedy Nolan i Nigel usiedli – ten ostatni po lewej stronie ojca – Manachan dał znak stojącemu przy drzwiach Fergusonowi, by podano kolację.

Zważywszy na taki początek posiłku, Lucilla nie była zdziwiona, że rozmowa przy stole ma charakter nieco jednostronny. Manachan zapytał o podróż jej rodziców, a ona odpowiedziała. Potem zagadnął Thomasa o firmę Carrick Enterprises, której, jak się zorientowała, ten był współwłaścicielem. Słuchała więc z zaciekawieniem, jak Thomas opowiadał o imporcie tytoniu, cukru i egzotycznego drewna oraz o eksporcie futra, skór i whisky. Wspomniał o kilku osobach – Quentinie, Humphreyu i Winifred – którzy musieli należeć do rodziny, bo Manachan przekazał dla nich pozdrowienia.

Wnoszono i wynoszono kolejne dania, które składały się na solidny wiejski posiłek, odpowiadający raczej męskiemu gustowi, a więc pasujący do tej rodziny, złożonej głównie z mężczyzn. Służący byli milczący i dyskretni. Lucilla pociągnęła tylko jeden łyk ciężkiego czerwonego wina i piła czystą górską wodę. Jadła, słuchała i obserwowała.

Manachan i Thomas rozprawiali o pogodzie, łowieniu ryb, polowaniach w ogólności, a wreszcie o polityce lokalnej. Nigel i Nolan od czasu do czasu dorzucali jakiś komentarz, i to tonem, który miał podkreślić różnicę między nimi a Thomasem, co

z kolei jeszcze potęgowało niechęć Manachana do nich obu. Starszy pan traktował Thomasa jak równego sobie, kogoś, kogo opinie ceni i szanuje, podczas gdy w synach widział wciąż impertynenckich chłopców, którzy nie mają nic mądrego do powiedzenia.

Lucilla zdała sobie sprawę, że Manachan doskonale zna się na ludziach.

Siedzący obok Thomasa Norris jadł ze wzrokiem utkwionym w talerz, wyraźnie nieobecny myślami; brat Lucilli, Carter, malarz, często podczas posiłków miewał podobny wyraz twarzy. Ledwie zwracał uwagę na kolejne dania i prawie nie przysłuchiwał się rozmowie, lecz inaczej niż w przypadku Cartera, którego roztargnienie było nieświadome, Norris według niej wyłączał się celowo, jakby odcinał się od rodziny.

To nią lekko wstrząsnęło, ale taki był stan rzeczy.

Tymczasem Niniver, choć także patrzyła w dół i nie włączała się do konwersacji, co jakiś czas podnosiła głowę, patrząc niebieskimi oczami na tego, kto akurat zabrał głos. Być może była cicha, jednak słuchała i obserwowała wszystko z równą ciekawością jak Lucilla; bynajmniej nie odcinała się od rodziny, wręcz przeciwnie – wykazywała zaangażowanie, czujność i troskę. Zwłaszcza troskę, Lucilla wkrótce upewniła się co do tego.

Kiedy po głównym daniu zabrano talerze, Manachan zwrócił się do Nigela i Nolana:

- A co u was dwóch? Gdzie byliście?

Lucilla skupiła uwagę na braciach. Dotychczas nie mogła ich rozszyfrować. Byli przebiegli.

Nigel jakby wręcz rozpromienił się pod wpływem wzroku ojca, rozluźnił się i uśmiechnął.

- Wybraliśmy się do Glasgow, ale nie znaleźliśmy tam niczego interesującego. - Wskazał głową Thomasa. - Poszliśmy z kuzynem na obiad, wpadliśmy do domu na jeden dzień i nazajutrz pojechaliśmy do Ayr. Spędziliśmy tam kilka dni. - Nonszalancko wzruszył ramionami. - Byliśmy na wyścigach. Obejrzeliśmy kilka chabet... i takie tam. Wróciliśmy po południu.

Nastąpiła przerwa, podczas której podano deser – kruche ciasto z owocami przybrane bitą śmietaną.

Kiedy wszyscy zabrali się do jedzenia i służba wyszła, Manachan spojrzał ostro na swego pierworodnego.

- Pewnie już słyszałeś, że Bradshawowie się pochorowali i że Joy Burns, pomagając im, straciła życie. Ponieważ nie było cię tu, sam musiałem do nich pojechać, by sprawdzić, co można zrobić.

Nigel i Nolan znieruchomieli. Siedzieli z opuszczonymi głowami, wbijając wzrok w talerzyki. Żaden z nich nie wiedział, że ojciec opuścił dom. Thomas im o tym nie wspomniał – ani nikt inny.

Manachan ciągnął swoim niskim głosem, nie zdradzając emocji:

- Niezależnie od choroby Bradshawów dowiedziałem się, że farmerom na naszych ziemiach nie dostarczono ziarna. Żadnemu. Nie zdążą już z pierwszym zasiewem... chyba że coś się na świecie zmieniło.

Nolan poruszył się nieznacznie. Lucilla mogłaby przysiąc, że kopnął pod stołem

Nigela.

Minęła chwila i ten podniósł głowę; jego blada twarz była zarumieniona, ale czy z zakłopotania, frustracji czy gniewu, tego Lucilla nie potrafiła powiedzieć.

- Wprowadziłem nowy system, który w efekcie pozwoli klanowi oszczędzić pieniądze. Jak tłumaczyłem wszystkim zainteresowanym, obowiązuje w nim nieco inny terminarz. Ziarno już jedzie i będzie tu w porę, to znaczy lada dzień. Nie ma potrzeby, aby farmerzy otrzymali je wcześniej... poprzedni system bywał mało wydajny.

Nigel tłumaczył to wszystko z coraz większą arogancją i pewnością siebie.

Manachan ściągnął brwi. Po chwili spytał:

- Nie ma więc żadnego problemu z dostawą ziarna?

- Nie! - Nigel machnął ręką, zdradzając frustrację. - Nie miałem pojęcia, że ktoś ma inne zdanie... cóż, poza tymi, którzy nie chcą mnie słuchać.

Manachan przez moment patrzył w stół, a potem spojrzał na Thomasa.

Nigel podążył za wzrokiem ojca; jego oczy przybrały twarde wyraz.

- I nie rozumiem - podjął niskim głosem z wyraźnym jadem - dlaczego Thomas, który nie mieszka tu od dziesięciu lat, ma wiedzieć więcej o prowadzeniu posiadłości niż ja.

Thomas wyraźnie dostrzegł w spojrzeniu Nigela wrogość, ledwie powściągane wyzwanie, i skłonił głowę.

- Zważywszy na to, że nie bywam tu często, a ty jesteś zastępcą głowy klanu, mnie także zastanawia, dlaczego ktoś miałby zwracać się do mnie w takich sprawach.

Nie był zaskoczony, kiedy po chwili Nigel pochylił głowę i opuścił wzrok, jakby udobruchany. Widocznie wziął jego odpowiedź za dobrą monetę; nie zauważył jej sarkastycznej wymowy. Po co dwaj starsi członkowie klanu mieliby zadawać sobie trud, by porozumieć się z Thomasem i prosić go o pomoc?

Spojrząwszy na Manachana, zobaczył, że ten marszczy czoło. W przeciwieństwie do Nigela zrozumiał bowiem ukryty sens tej wymiany zdań.

Thomas skierował wzrok na Lucillę. Patrzyła swymi zielonymi oczami na Nigela. Miała obojętną minę, ale podejrzewał, że i ona pochwyciła kryjące się w jego komentarzu prawdziwe pytanie, na które nie otrzymali odpowiedzi.

W tych okolicznościach, kiedy Manachan, ukochany przywódca całego klanu, oficjalnie przekazał władzę Nigelowi, kwestia zaufania do tego ostatniego była delikatna - dla niego samego, dla Manachana, a nawet dla Nolana, Niniver i Norrisa. No i dla Thomasa także. Podczas gdy najczęściej funkcja głowy klanu przechodziła z ojca na syna - albo na córkę - rodzinę sprawującą kierownictwo wybierał klan. Przywódca, który zawiódł jego zaufanie, mógł zostać zastąpiony w drodze wyboru przez innego członka rodziny albo kogoś spoza niej.

Thomas do tej pory zakładał, że choć zarządzanie posiadłością powierzono Nigelowi, to Manachan - łagodny tyran, którego znał przez całe swoje życie - wciąż sprawuje rządy. Jest na miejscu i podejmuje z za kulis decyzje.

Jednakże starszy pan stał się zbyt słaby, by cokolwiek nadzorować.

Nigel kierował posiadłością całkiem samodzielnie.

Thomas skupił uwagę na deserze. Przypomniał sobie obietnicę złożoną Manacha-

nowi: że zostanie, aż się dowiedzą, co się tu dzieje. Jak – prawdopodobnie bez pomocy starszego pana – miał tego dokonać, jeszcze nie wiedział, miał jednak świadomość, że musi dotrzeć do sedna sprawy. Nie wątpił, komu jest winien lojalność. Owszem, Manachanowi, ale przede wszystkim, będąc Carrickiem, synem swojego ojca, klanowi, jego członkom; to oni byli dla niego najważniejsi.

Lucilla odłożyła łyżeczkę i spojrzała na Manachana.

– Siostry Burns... Służba położyła je w lodowni. Ponieważ nie mają rodziny, klan będzie musiał podjąć decyzje dotyczące pogrzebu.

Wraz z Manachanem i Thomasem popatrzyła na Nigela, ale on siedział z pochyłą głową, jedząc deser i nie zdając sobie sprawy, czego się od niego oczekuje.

Manachan się skrzywił. Patrząc na Lucillę, odparł:

– Pogrzeb zwykle odbywa się u nas cztery dni po śmierci.

Kiwnęła głową.

– Więc to byłoby za dwa dni od jutra.

– Rankiem w kościele w Casphairn. Rodzina Burnsów ma na cmentarzu swoją kwaterę. Thomas – zerknął na bratanka – powie Fergusonowi. Ten będzie wiedział, jakie należy poczynić przygotowania. – Wrócił spojrzeniem do Lucilli. – Myślę, że obie... Joy i Faith... chciałyby, aby pani przyszła, jeśli pani może. By reprezentować ich stronę, że się tak wyrażę. Obie były dość tradycyjne... wierzyły w Panią.

Lucilla skłoniła głowę.

– Nie byłam tego pewna, ale, owszem, przyjdę.

Starszy pan skrzywił usta.

– To należy do pani obowiązków?

– Tak.

Ponieważ nic więcej nie powiedziała, Manachan się zamyślił.

– Zdaję sobie sprawę, że to z mojej strony nadużycie, ale ponieważ Alice Watts nie jest w pełni przygotowana do funkcji zielarki, byłbym wdzięczny, gdyby sprawdziła pani stan rzeczy w destylarni i wszędzie indziej. Co pozostawiła po sobie Joy... zwłaszcza że nie spodziewała się, iż umrze.

– Zajrzałam już do destylarni. Z tego, co widziałam, Joy była dobrze zorganizowana. Miała wszystko, co trzeba, i zaczęła przygotowywać letnie środki wzmacniające. – Skorzystała z okazji, by zapytać: – Jest jedna sprawa... Jakie leki zalecała panu? Alice będzie musiała to wiedzieć, by przygotować następną partię.

Manachan lekceważąco machnął ręką.

– Niech się pani o mnie nie martwi... stary ze mnie człowiek. Należy się zająć młodszymi. Proszę się upewnić, że Alice poradzi sobie ze złamaniami, poparzeniami, skaleczeniami i tym wszystkim, co może przydarzyć się dzieciom.

Gdyby nie był przywódcą klanu, nie siedział przy stole w otoczeniu potomków, Lucilla nie dałaby tak łatwo za wygraną, ale w tonie jego głosu było coś, co zniechęciło ją do wypytywania o zażywane przez niego specyfiki. Więc tylko uprzejmie skłoniła głowę. Na razie.

Ciasto i cała bita śmietana zniknęły. Służący posprząтали ze stołu.

Wszedł Ferguson, wnosząc tacę z kryształowymi kieliszkami i trzema karafkami. Lucilla zerknęła na Niniver, ale ta siedziała z rękami na podołku i patrzyła w stół przed sobą. Szybko rozważyła możliwości i, spojrzawszy na dziewczynę, odsunęła

krzesło, a następnie wstała.

- Niniver... chyba pora, byśmy udały się do salonu.

Panowie z wyjątkiem Manachana podnieśli się pospiesznie. Niniver też wstała, ale wolniej. Spojrzała na Lucillę, po czym zerknęła na ojca.

Manachan pochwycił jej wzrok i krótko skinął głową.

Niniver szybko się zreflektowała. Znowu popatrzyła na Lucillę.

- Tak, oczywiście. - Odłożywszy serwetkę obok nakrycia, zaczęła, aż służący odsunął jej krzesło.

Thomas odsunął krzesło Lucilli.

Podziękowała mu z uśmiechem, po czym, nie mogąc się nadziwić brakowi oglądy wśród Carricków, wyszła za Niniver na korytarz.

- Przepraszam. - Niniver opadła na kanapę w salonie. - Powinnam była pamiętać o manierach, ale nie jestem przyzwyczajona do obecności innej kobiety przy stole.

Lucilla zebrała fałdy spódnicy i usiadła na fotelu naprzeciwko kanapy.

- Nie myślałam o tym wcześniej, ale nie ma tu pani żadnej towarzyszki, prawda?

Niniver lekko się skrzywiła.

- Mieszka z nami moja dawna guwernantka, Hattie, więc formalnie mam przyzwoitkę. Hattie jednak nie przepada za papą i moimi braćmi. Nie lubi mieć do czynienia z „prostactwem”, jak mówi. Przebywa w swoich pokojach na górze, chyba że musi mi gdzieś towarzyszyć. Nigdy nie zasiada z nami przy stole.

- Hm. - Lucilla usadowiła się wygodniej. - Przypominam sobie, że widywałam panią na balach myśliwskich. Muszę wyznać, że poza nimi nie obracam się w miejscowym towarzystwie.

- Ja też nie. - Niniver na moment przygryzła dolną wargę, po czym dodała: - I gdyby nie nalegania papy, nie bywałabym także na balach. - Zmarszczyła nos. - Według mnie to wszystko... bale, kolacje, przyjęcia... jest takie krępujące. I niepotrzebne. Młodzi panowie stale się skarżą, że muszą zabawiać panie, i wcale nie przychodzi im do głowy, że niektóre z nas uważają okazywane im przez nich względy i zainteresowanie za równie męczące.

Lucilla się roześmiała.

- Rozumiem, że nie marzy pani o debiucie towarzyskim ani nawet o wstąpieniu do socjety w Edynburgu czy Glasgow.

- Boże broń! - Niniver pokręciła głową. Po chwili skierowała wzrok przed siebie i popatrzyła na Lucillę.

Lucilla, ku swojemu zdziwieniu, w głębi jej błękitnych oczu dostrzegła dużo bystrzejszy i bardziej przenikliwy umysł, niż się spodziewała.

- Pani pewnie rozumie to lepiej niż większość ludzi - podjęła Niniver - bo pełni ważną funkcję w swoim klanie... Bo nawet jeśli mieszkańcy Vale tak o sobie nie mówią, to tworzą jakby klan, nieprawdaż? - Kiedy Lucilla potwierdziła skinieniem głowy, ciągnęła: - Urodziłam się tutaj, w tym domu, na tej ziemi. Mieszkam tu przez całe życie i choć wszyscy sądzą, że pewnego dnia wyjdę za mąż i opuszczę to miejsce... ja wcale tego nie chcę. Nie... wiem, że nie. - Szczerze i otwarcie popatrzyła Lucilli w oczy. - Tu jest moje miejsce. Kocham te okolice i mieszkających tu ludzi. Tu są moje korzenie i to jest dla mnie najważniejsze.

Lucilla dostrzegła w delikatnej szczęce dziewczyny siłę woli, wyczytała w jej spojrzeniu stanowczość – i wyczuła w jej drobnej sylwetce, pod subtelnymi rysami twarzy kręgosłup. Pokiwała głową.

– Tak. Rozumiem.

Potrafiła rozpoznać oddanie, kiedy je napotykała.

Niniver się rozpogodziła. Po chwili uniosła brew.

– Mam zadzwonić po herbatę?

Lucilla pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Dajmy panom chwilę.

Niniver zerknęła na stojący w kącie fortepian.

– Nie umiem grać... to znaczy, zbyt dobrze... więc nie mogę pani zabawić muzyką.

Lucilla się skrzywiła.

– Ja umiem, ale nie mam ochoty. – Zawahała się, ale znalazłszy w osobie dziewczyny pokrewną duszę, nie mogła nie skorzystać z okazji. – Mogłaby mnie pani natomiast zabawić opowieścią o kimś, o kim chciałabym dowiedzieć się więcej.

Niniver utkwiała w niej spojrzenie niebieskich oczu.

– O Thomasie?

Lucilla skinęła głową, niezdziwiona spostrzegawczością dziewczyny.

– Zdałam sobie sprawę, jak niewiele wiem o jego drodze życiowej, a budzi to moją ciekawość. – Głównie interesowały ją jego powiązania z Panią, jednakże nie chciała zdradzać zbyt dużo. – Jego relacje z Manachanem i twoimi braćmi nie są... takie, jak się spodziewałam, biorąc pod uwagę to, że on i Nigel muszą być w podobnym wieku.

– Thomas jest od niego starszy o trzynaście miesięcy. – Niniver odchyliła się na oparcie, przybierając wygodniejszą pozycję. – Między Nigelem i Nolanem także jest trzynaście miesięcy różnicy.

– Zawsze sądziłam, że Thomas się tutaj urodził.

Niniver kiwnęła głową.

– Tak było. Jednak nie wychowywał się tu. Jego rodzice... stryj Niall i ciotka Katherine... mieszkali w Glasgow. Słyszałam, że zawsze spędzali u nas wakacje, więc Thomas dobrze poznał członków klanu, a oni jego. Zdaje się, że stryj Niall... ledwo go pamiętam... był powszechnie lubiany. On i papa świetnie się dogadywali, przypominam sobie, jak się śmiali, gdy wracali razem z polowań. Byli sobie bliscy. Stryj Niall i ciotka Katherine zginęli w wypadku, jadąc powozem. Byłam wtedy małym dzieckiem, a Norris niemowlęciem. Nasza matka zmarła wkrótce po narodzinach Norrisa. A potem stracili życie stryj Niall i ciotka Katherine, i Thomas zamieszkał z nami.

– Ile miał wtedy lat?

Niniver skrzywiła twarz z namysłem.

– Dziesięć... musiał mieć dziesięć lat. Był u nas przez rok, a potem wrócił do Glasgow, do szkoły. Zamieszkał u brata ciotki Katherine, Quentina Hemmingsa, i jego żony, Winifred. Ich syn, Humphrey, jest w tym samym wieku co on. Z tego, co wiem, papa i Quentin, będący prawnymi opiekunami Thomasa, uznali, że skoro ma on odziedziczyć połowę Carrick Enterprises, powinien uczyć się prowadzenia interesów i poznać Glasgow. – Podniosła rękę. – A ponieważ prowadzenie posiadłości miał

przejąc po papie Nigel, nie było powodu, żeby Thomas się w to wdrażał.

Lucilla starała się nie okazać zdziwienia; musiało być coś więcej.

- Ile dokładnie czasu Thomas tu spędził?

- Nie tak dużo. Przyjeżdżał latem i czasami zostawał na miesiąc. - Niniver zmieniła pozycję. - W tamtym czasie był blisko z Nigelem i Nolanem, ale w miarę dorastania zaczęli się... od siebie oddalać. - Zmarszczyła czoło. - Kiedy Thomas skończył dwadzieścia lat, wydawał się znacznie starszy, dojrzały i bardziej odpowiedzialny niż Nigel i Nolan. - Spojrzała Lucilli w oczy. - O wiele doroślejszy.

Tak pewnie było, ale co łączyło Thomasa z tą ziemią? Jak nawiązał z nią więź i kiedy? Chociaż musiał przyjść na świat jako wybrańiec Pani, taka relacja zwykle wymaga czasu, by się wzmocnić i dojrzeć.

Zerknęła na zegar, który stał na kominku.

- Chyba powinniśmy zadzwonić po wózek z herbatą.

Podczas gdy Niniver wstała i podeszła do taśmy z dzwonkiem, Lucilla zaczęła się zastanawiać nad tym, czego dowiedziała się o życiu Thomasa.

Przypuszczała, że urodził się na ziemi Pani, pod jej kuratelą, i tak też było. Był wybrańcem Pani; to nie ulegało wątpliwości. I Lucilla była tego świadoma, podobnie jak Marcus.

Jednakże, zważywszy na to, że Thomas przebywał na ziemiach Pani tak krótko, zarówno w dzieciństwie, jak i dorosłości, skąd sam wiedział, że nim jest? I czy rozumiał, co to oznacza?

A najważniejsze ze wszystkiego, czy zdawał sobie sprawę, że Pani wyznaczyła go na towarzysza Lucilli? Musiał o tym wiedzieć, czyż nie? Ale jeśli nie wie o Pani...

Kiedy Thomas wkroczył do salonu przed wózkiem z herbatą, utkwiała w nim spojrzenie.

Zauważył to i unióśł brew.

- Pozostali udali się do swoich pokojów - wyjaśnił.

Podszedł i usiadł w drugim fotelu, opadając szerokimi plecami na oparcie.

Lucilla napawała się jego męską urodą; jak na tak wysokiego mężczyznę poruszał się z gracją przywodzącą na myśl raczej giętkość stali niż twardość żelaza.

- Mam nalać?

Wraz z pytaniem Niniver prysł czar. Ferguson postawił wózek z herbatą między kanapą a fotelem, na którym siedziała.

Odpowiedziała z uśmiechem:

- Tak, proszę.

Niniver przystąpiła do pełnienia honorów. Thomas podał Lucilli jej filiżankę i wziął swoją. Niniver usiadła z powrotem na kanapie.

Lucilla pociągnęła łyk naparu. Chciała zapytać Thomasa o jego związki z Panią, ale nie przychodził jej na myśl żaden subtelny sposób, który pozwoliłby jej poruszyć ten temat.

Poczuła na sobie wzrok Niniver, która napiła się herbaty, a następnie spojrzała na Thomasa.

- Jak się mają twoi wujostwo? A Humphrey?

W innych okolicznościach Lucilla by się temu przysłuchiwała, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Thomasa. Teraz jednak trawiło ją coraz silniejsze pragnie-

nie, aby się przekonać, co wiedział, czego był świadomy... czy zdawał sobie sprawę, że jest jej przeznaczony, a ona jemu.

Nie wiedziała, jak długo tam siedziała, pogrążona w myślach, lecz jej filiżanka była już pusta, kiedy Niniver delikatnie stłumiła ziewnięcie, a potem, cokolwiek niespodziewanie, wstała.

- Idę spać. Do zobaczenia przy śniadaniu. - Odstawiwszy filiżankę ze spodkiem na wózek, wyszła z salonu.

Lucilla zamrugła. Potem zerknęła na Thomasa, który uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Dobrze, że nie jesteśmy w Londynie. Ani nawet w Glasgow. - Odstawił swoją filiżankę na wózek i wyciągnął rękę, by wziąć od niej naczynie.

Lucilla oddała mu je. I przywołała się do rozsądku. Niniver stworzyła jej okazję, z której musiała skorzystać.

- Ja... - Udała, że się krzywi. - Poza Vale nie śpiam zbyt dobrze. Chętnie bym się przeszła po świeżym powietrzu, zanim spróbuję zasnąć, ale nie wiem, gdzie wypada, a gdzie nie. - Popatrzyła na niego niewinnym wzrokiem. - Przespaceruje się pan ze mną? Wolałabym nie chodzić sama.

Thomas spojrzał jej w oczy. Nie dostrzegł w nich żadnego wyrachowania, lecz był prawie pewny, że w ostatnim pytaniu Lucilli kryje się subtelne ostrzeżenie. Gdyby jej nie towarzyszył, i tak wybrałaby się na spacer - a nie chciał, by chodziła samotnie, jeśli istniało choćby nikłe prawdopodobieństwo, że w pobliżu czai się morderca.

Jednakże, choć powierzyłby jej własne życie, nie wiedział do końca, czy może jej zaufać. Czy go na to stać. Zbyt dobrze pamiętał - z oszałamiającą wyrazistością - co stało się ostatnim razem, kiedy byli sami. Owszem, potknęła się. Owszem, podtrzymał ją. Lecz tamten pocałunek... to ona go zainicjowała.

Zastawiła na niego sidła. Wywabiła go z jego dobrze strzeżonego środowiska i pokazała, co reprezentuje. Coś pierwotnego. Coś tak potężnego i instynktownego, że gdyby temu uległ, byłoby po nim. Wiedział, że nie powinien z nią iść.

Mimo to jego instynkt - całe jestestwo - sprzeciwiał się temu, by pozwolił jej wyjść samej w nocy na dwór.

Skłonił głowę.

- Tak, oczywiście. - Wstał z fotela.

7.

Boczny taras biegł wzdłuż nieużywanego skrzydła budynku. Pozbawiony cieni i zarośli za balustradą, był skąpany w blasku księżyca.

Stanowiło to doskonale miejsce na przechadzkę, gdyż w pobliżu nie czaiło się żadne niebezpieczeństwo.

Oczywiście, największe niebezpieczeństwo miał tuż przy boku.

Lucilla rzeczywiście zachodziła w głowę, jak zdobyć informacje, których potrzebowała. Teraz, gdy wynikło pytanie, co Thomas wiedział o Pani – i o nich dwojgu – nie mogła się skupić na niczym innym. Wątpiła, by rozmowa doprowadziła ją do czegokolwiek, a w każdym razie by przyniosła pożądane odpowiedzi. Lucilla musiała przenieść ich relacje na inną, bardziej osobistą płaszczyznę.

Ale jak? Szedł obok niej, zwalniając kroku, by dostosować go do jej tempa, jednak czuła, że jest napięty.

Biorąc pod uwagę ich popołudniowy pocałunek – nader satysfakcjonujący dla nich obojga – nie była pewna, czego Thomas się spodziewa. Dalszego ciągu? Była to bardzo kusząca wizja.

Taras dochodził do podjazdu i dziedzińca przed stajnią, jednak wcześniej biegł wzdłuż pustego trawnika i niezamieszkanego pokoiów, zarówno na parterze, jak i na piętrze budynku; mogli więc liczyć na prywatność. Tylko jak to wykorzystać? Co zrobić, by uzyskać to, o co jej chodziło?

Zatrzymała się nagle. Nie dotykali się, więc zauważył to dopiero po chwili.

Zaczekała, by on także przystanął i zwrócił się ku niej.

Zanim spojrzał jej w twarz, podeszła do niego, położyła mu rękę na karku, stanęła na palcach i pocałowała go. Znowu.

I znowu spotkała się z natychmiastową reakcją.

Czując się pewniej, padła mu w objęcia, gdy instynktownie podniósł ramiona.

I oddała się pocałunkowi, który natychmiast stał się wyrazem napiętności.

Wspinając się na palce i przechylając głowę, przywarła do niego jeszcze bardziej. Pławiąc się w ciepłe, wsparta na jego silnej piersi, zarzuciła mu ręce na szyję.

I poczuła, że on obejmuje ją mocniej.

Zapraszająco rozchyliła usta. Kiedy wziął w posiadanie jej usta, przyjęła to z radością.

To była ta rzeczywistość, w której pragnęła się znaleźć.

Dając się unieść napiętności, Thomas poczuł się zagubiony, tak samo jak po południu. I uświadomił sobie, że z nią zawsze tak będzie. Lucilla w jego ramionach, wtulona w niego, z ustami przy jego ustach, stanowiła dla niego symbol nieba. Zakazanego nieba, pełnego zbyt silnych pokus, by można było im się oprzeć.

Nie mógł się powstrzymać, musiał ją objąć, ucisnąć mocniej, jakby chciał zatrzymać ją przy sobie na zawsze.

Nie mógł walczyć z instynktami, musiał delektować się skarbem, który oferowała;

słodczy jej ust i języka stanowiły odurzający nektar.

Nacisk jej piersi na jego tors, długich smukłych ud na jego uda, brzucha na jego krocze – to wszystko było syrenim śpiewem dla jego oszołomionej głowy.

Była jak uzależnienie, i więcej; jej pełne usta, jędrne ciało, płonący w niej żywy ogień pociągały go bardziej niż cokolwiek na świecie.

Wrażenie spadania – swobodnego lotu, instynktownego porzucenia kontroli – sprawiło, że gwałtownie cofnął się od niewidocznej krawędzi. I na tyle odzyskał przytomność umysłu, by się zorientować, że niebezpieczeństwo, którego zamierzał się strzec, zmaterializowało się tuż obok i pozbawiło go rozsądku. Zaskoczyło go. I dopadło.

Otrząsnął się i przerwał pocałunek.

Nie mógł sobie pozwolić, by go zniewoliła, zmieniała bieg jego drogi życiowej.

Poczuł, że budzi się w nim i rośnie determinacja.

Jednakże, kiedy podniósł głowę, spojrzał jej w oczy, nocą ciemnoszmaragdowe, kiedy dostrzegł delikatny rumieniec zadowolenia na jej alabastrowych policzkach i namiętność migoczącą w głębi tego hipnotyzującego spojrzenia... niczym obuchem uderzyła go prawda.

Pragnęła go. Aż do tego momentu nie myślał o niej, tylko o sobie. Nie zastanawiał się, co kryje się za jej pocałunkiem, za takim zachowaniem – nie jednorazowym. Co to mówi o niej i jej pragnieniach.

Nie mógł jednak – po prostu nie mógł – stać się mężczyzną, którego odbicie widział w jej oczach. Mężczyzną, którego w nim widziała.

Chrząknął. Patrząc jej w twarz, powiedział cicho:

– To... nie jest rozsądne.

Lucilla zamrugnęła, po czym przyjrzała mu się uważnie. Być może przerwał pocałunek, ale nie odsunął jej od siebie – jeszcze nie. Nie ulegało wątpliwości, że zaraz to uczyni, lecz na razie, będąc blisko niego, nie wyczuła prawdziwego odrzucenia, negacji tego, co ich łączyło.

Nie rozumiała, o czym mówił, ale miała ważniejsze sprawy do wyjaśnienia.

– Co pan wie o Pani? – Tego przede wszystkim musiała się dowiedzieć.

Delikatnie odsunął ją od siebie – zrobił to powoli, jakby ten ruch wymagał od niego wysiłku.

To ją uspokoiło. Ponieważ się nie cofnęła, sam to zrobił.

Zdziwienie w jego oczach zdradziło więcej niż wyraz twarzy.

– O Pani? – Thomas nie miał pojęcia, dlaczego chciała to wiedzieć – co, biorąc pod uwagę okoliczności, skłoniło ją do zadania akurat tego pytania. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale temat wydawał się bezpieczny – bezpieczniejszy niż to, co działo się wcześniej. Wzruszył więc ramionami i odpowiedział szczerze: – To miejscowe bóstwo, czczone w Vale, ale także w naszych stronach.

O tym, że jego odpowiedź z jakiegoś powodu jest dla niej ważna, świadczyło skupienie, z jakim na niego patrzyła.

Zmrużył oczy.

– Dlaczego pani o to pyta?

Ponownie zamrugnęła. Odparła po kilku sekundach:

– Niniver wspomniała, że w ciągu swojego życia nie spędził pan tutaj zbyt dużo

czasu. Myślałam, że... mieszkał pan tu dłużej. - Wzruszyła ramionami. - Dlatego spytałam.

Ku jego zaskoczeniu, odwróciła się i ruszyła przed siebie, choć wolniej niż poprzednio. Jej mina i splecione palce świadczyły, że jest poruszona i myśli gorączkowo.

Dogonił ją. Zerknęła na niego.

- Ale urodził się pan tutaj.

Wypowiedziała te słowa takim tonem, że zabrzmiały oskarżycielsko, ale odniósł się do nich, jakby stanowiły pytanie.

- Owszem, ale tylko przypadkowo.

- Przypadkowo?

Teraz w jej głosie pochwycił nutę... skrywanej paniki? To było niemożliwie. Położywszy jej dłoń na ramieniu, skierował ją przez boczne drzwi do domu - z powrotem w bezpieczne rejony, gdzie każdy mógł ich zobaczyć.

- Moi rodzice chcieli, bym urodził się w Glasgow, ale przyjechali tu z krótką wizytą i przyszedłem na świat kilka tygodni wcześniej.

- Aha.

Nie miał pojęcia, dlaczego te informacje ją uspokoiły, lecz w tej krótkiej odpowiedzi brzmiała wyraźna ulga.

Z powodu mroku panującego w holu nie mógł nic wyczytać z jej oczu. Nie potrafił się zorientować, co dzieje się w jej głowie, nie miał jednak wątpliwości, że musi zachować wobec niej dystans. Lepiej, by zrozumiała, że nie jest dla niej, niezależnie od tego, co działo się między nimi w trakcie pocałunku.

Dotarli do głównych schodów. Zatrzymał się przy nich.

- Trafi pani do swojego pokoju?

Lucilla skinęła głową, zanim zdążyła się zastanowić. Niedobrze!. Zobaczyła, że Thomas robi krok w tył.

- Muszę porozmawiać z Fergusonem. Do zobaczenia jutro. - Patrząc na nią, wahał się przez chwilę, po czym skłonił głowę. - Dobrej nocy.

Skorzystała z ostatniej okazji i przyjrzała mu się uważnie, usiłując się zorientować, o czym myślał, ale daremnie. Nie mając wyboru, odpowiedziała:

- Dobrej nocy.

Kiedy ruszając po schodach, spojrzała na niego ostatni raz, na jego twarzy malowała się ulga. Dlaczego? Co, u licha, działo się między nimi? Zamiast podążać tą samą prostą, oczywistą drogą, wytyczoną przez wspólne cele i pragnienia, jak zawsze to sobie wyobrażała, zmierzali do ołtarza coraz bardziej krętą ścieżką niczym w labiryncie - przynajmniej jeśli chodzi o niego.

Bardzo rzadko traciła pewność siebie, teraz jednak poczuła się speszona, zdeprymowana - i to akurat w takiej sprawie, najważniejszej dla jej przyszłości. Przyszłości ich obojga.

Automatycznie pokonała schody i przeszła przez galerię na korytarz. Ze świetlika nad schodami dochodziło dostateczne dużo światła. Dotarłszy do drzwi swojego pokoju, otworzyła je i weszła do środka - wciąż zamysłona.

Rozbierając się i wkładając koszulę nocną, nadal myślała - wspominając niedawne chwile spędzone z Thomasem. Odtwarzając je wszystkie i każdą z osobna, analizu-

jąc poszczególne słowa i spojrzenia. Myślała, że Thomas wie, jest świadom tak jak ona, że są sobie przeznaczeni jako kochankowie. Mąż i żona. Odkąd ponad wszelką wątpliwość zrozumiała to podczas Bożego Narodzenia, które spędzili razem z jej krewnymi dziesięć lat wcześniej w chacie zagrodnika, interpretowała jego zachowanie wobec niej, zakładając, że także on to wie i jest tego świadom.

Był wybrańcem Pani jak ona. Żył w posłuszeństwie wobec władczyni, a przynajmniej tak jej się wydawało. Przypuszczała, że będzie wiedział...

Ale skoro nie zdawał sobie z tego sprawy, dlaczego tak się zachowywał?

Wdrapała się na duże łóżko z baldachimem, położyła się na wznak i podciągnęła pod brodę kołdrę. Patrząc niewidzącym wzrokiem w górę, szukała odpowiedzi. Miała żywo w pamięci każde ich spotkanie; zaczęła znowu je sobie przypominać, przeżywać od nowa.

Nie. Nie poniosła ją wyobraźnia. Przyciąganie, które czuli przy każdym spotkaniu i które nasilało się z biegiem lat, nigdy nie było złudzeniem. Stanowiło fakt, objawiało się w jego oczach, w zaciskaniu szczęki, dotknięciu.

Wspomnienie ostatniego walca, którego tańczyli na balu myśliwskim przed dwoma laty, wciąż wywoływało u niej drżenie. Nie można było takiego przyciągania zanegować – i oddając Thomasowi sprawiedliwość, nie sądziła, by nawet próbował.

Zamiast tego jednak, tak jak tego wieczoru, po prostu się odwrócił i odszedł.

Zostawił ją. Co, musiała przyznać, wciąż wprawiało ją w konfuzję.

Znała namiętnych mężczyzn – wszyscy w jej rodzinie byli tacy. I znała ich dziwactwa, nawet lepiej, niżby chciała. To jednak oznaczało, że powinna go rozumieć. Rozumieć jego reakcje.

Mimo to w tej chwili nie potrafiła powiedzieć, co się dzieje – jakie przyczyny, jakie względy sprawiały, że opierał się przyciąganiu, które powinno skłaniać go, by zatrzymał ją w swoich ramionach. On tymczasem odszedł.

Nie wiedziała, czy czuje się obrażona, zła czy po prostu zbита z tropu.

Kiedy jej myśli stopniowo zwolniły bieg, zamknęła oczy i nawiązała kontakt z Panią – wyczuła jej krzepiącą obecność, pierwotne bicie serca pod osłoną nocy.

Powoli jej dezorientacja się rozviała, odsłaniając skały, na których mogła – powinna się wesprzeć. Pragnął jej – tak samo jak ona pragnęła jego. Łączyło ich silne pożądanie, czy tego chcieli czy nie. Tak zarządziła Pani i żadne z nich, ani ona, ani on, nie miało takiej mocy, by się temu sprzeciwić czy to zmienić.

Pani zdecydowała, że się pobiorą, że on – jej wybrańcem i tym samym opiekunem swojego ludu, czy był tego świadom, czy nie – zostanie jej mężem. Żadne z nich, ani ona, ani on, nie mogło uniknąć przeznaczenia, nie ponosząc poważnych konsekwencji; ich życie nie potoczyłoby się gładko ani pomyślnie, lecz byłoby usiane nieszczęściami.

Jednakże, niezależnie od woli Pani, ludzie, nawet przez nią wybrani, mieli wolną wolę.

W ciągu ostatniego roku zastanawiała się, czy ma podjąć jakieś działania, aby doprowadzić do przepowiedzianego przez Panią małżeństwa. Działanie leżało w jej charakterze, w jej temperamencie, było sposobem radzenia sobie z wyzwaniem, jakie niesło życie. Zadawała sobie to pytanie, ale w końcu godziła się z losem i czekała.

Teraz pomyślała, że może wreszcie przyszała pora, by coś zrobić.

Zapadając w sen, utwierdziła się w przekonaniu, że Thomas nie może od niej odejść i że sama musi zadbać, by wypełniło się życzenie Pani.

Thomas obudził się niewyspany i dziwnie niezadowolony. Nie chcąc zastanawiać się na tym, co mu dolega, ubrał się i poszedł do stajni, by zajrzeć do Ducha i klaczy Lucilli.

Było jeszcze wcześniej, ale ominął salonik, w którym podawano śniadanie. Nie chciał wiedzieć, czy Lucilla jest rannym ptaszkiem – bo pewnie była.

Wyszedł frontowymi drzwiami i okrążył dom. Tego ranka miała przyjechać Alice Watts. Postanowił, że gdy tylko Lucilla wdroży dziewczynę do obowiązków, odwiedzie ją z powrotem do Vale, do Marcusa – który bez wątpienia chętnie przejmie opiekę nad siostrą i pozwoli mu iść swoją drogą.

Zaczął odczuwać zadowolenie, że pozbawił młodego Cynstera przytomności, co wiele mówiło o jego nastroju.

Dotarł do stajni i wszedł do środka. Rozejrzał się szybko, ale nie znalazł Seana, Mitcha ani Freda, co go zdziwiło. Nie spodziewał się zobaczyć o tej porze żadnego z kuzynów, lecz stajenni zazwyczaj już pracowali.

Poprzedniego dnia polecił Seanowi, by odnalazł manierkę Joy Burns, pobrał wodę ze studni Bradshawów, a następnie wysłał próbki z obu źródeł do Glasgow. Sean zajmował się między innymi testami gleby i wody, przeprowadzanymi przez posiadłość w nieustającym wysiłku, by poprawić wydajność należących do niej ziem. Thomas chciał się dowiedzieć, czy stajenny zdołał odnaleźć manierkę uzdrowicielki i kiedy jego zdaniem można się było spodziewać wyników z laboratorium.

Musiał jednak odłożyć to na później, ponieważ Seana nie było w pobliżu.

Wzruszając ramionami, przeszedł przez stajnię. Przez piętnaście minut szczotkował Ducha, a później udał się do sąsiedniego boksu i zabrał się do szczotkowania karej klaczy Lucilli. Nieoswojona z nim, poruszyła się niespokojnie. Duch zwiesił łeb nad ścianą boksu, jakby zaintrygowany zachowaniem klaczy. Wtedy się uspokoiła i pozwoliła Thomasowi, by ją wyszczotkował. Kiedy sierść obu wierzchowców już lśniła, pozamykał ich boksy. Odwieszał szczotki na ścianę w głębi stajni, kiedy pochwycił dalekie rzenie konia.

Ten dźwięk dochodził z zewnątrz, zza stajni. Nie słyszał jednak, by ktoś przyjechał, a wybiegi dla koni znajdowały się gdzie indziej. Zdziwiony, wyszedł ze stajni. Wiatr przyniósł kolejne rzenie i Thomas spojrzał w tamtym kierunku – ku starej stajni.

Z tego, co wiedział, obecnie przechowywano w niej nieużywane powozy, wózki oraz narzędzia, których nikt nie chciał wyrzucić, bo mogły się jeszcze przydać. Od lat nie trzymano tam żadnych koni.

Ruszył w jej stronę. W miarę jak się do niej zbliżał, słyszał coraz więcej dźwięków – stłumiony stukot końskich kopyt na zasłanej słomą ziemi, kopnięcia rumaków o ściany.

I głosy.

Wszedł do środka przez otwarte drzwi i zastał Seana, Mitcha oraz Freda przy pracy. Wyrzucali łajno z boksów, szczotkowali konie i karmili je. Thomas naliczył

w boksach osiem wierzchowców.

Osiem pięknych zwierząt o lśniącej sierści i mocnych nogach. Cztery z nich miały potężne tułowia koni pociągowych, dwa delikatniejszą budowę rumaków czystej rasy, a ostania para, ciężka i silna, była przeznaczona do polowań.

Stał i patrzył przez minutę. Potem Sean, który znajdował się w najbliższym boksie ze szczotką w dłoni, pozdrowił go, podnosząc rękę do czoła.

- Dzień dobry panu.

Powoli ruszając przed siebie, Thomas odwzajemnił powitanie.

- Skąd pochodzą te zwierzęta? - Spojrzała Seanowi w twarz: - Do kogo należą?

Sean odpowiedział na jego spojrzenie, po czym zerknął na Mitcha i Freda.

- Nie wiemy, proszę pana. Proszę spytać pana Nigela.

Thomas przyjrzał mu się badawczo.

- Nigel je tu sprowadził?

- Razem z panem Nolanem. - Podeszedł do nich Mitch. - Przywieźli zwierzęta we dwóch. - Wskazał ruchem głowy wzdłuż przejścia na koniec stajni. - I to też.

Thomas próbował przeniknąć ciemność w głębi budynku i dostrzegł zarys trzech powozów.

- Jakbyśmy nie mieli wystarczająco dużo roboty - z sąsiedniego boksu doszło mruknięcie Freda.

- Ano. - Sean wrócił do szczotkowania konia. - A zaraz czas rozrodu... Ale to ich nie interesuje.

Thomas zrozumiał, dlaczego się skarżą; klan zawsze hodował konie i osły na użytek posiadłości. W pomyślnym sezonie zawsze zostawało kilka sztuk na sprzedaż, co zasilало wspólną szkatułę.

Jego wcześniejsze pytanie: „Co się tu dzieje?” zaczęło przybierać inną formę: „Co takiego, do diabła, knują Nigel i Nolan?”.

Jednakże, idąc dalej, Thomas doszedł do wniosku, że choć za tą sprawą, jak również za opóźnioną dostawą zboża, niewątpliwie kryli się kuzyni, nie można było ich obwinić o żaden z poważniejszych incydentów. Przebywali w Ayr, kiedy siostry Burns straciły życie, a Bradshawowie zachorowali.

Dotarł do końca stajni, za którą znajdowała się duża otwarta przestrzeń, gdzie niegdyś trzymano stare wózki, platformy i powozy. Wszystko to zostało przesunięte i stłoczone razem na boku, by pomieścić trzy nowe pojazdy. Eleganckie, ledwie używane. Jednym z nich był szykowny, smukły i wysoki faeton, drugim zgrabna wyścigowa dwukółka, a trzecim zamknięta kareta, całkiem nowoczesna. Thomas otworzył drzwi i zajrzał do środka. Ujrzał piękną skórzaną tapicerkę, wypolerowane dębowe wykończenia i połączone detale.

Zamknął drzwi i przez chwilę stał wpatrzony w klepisko.

Nie orientował się w stanie finansów klanu, w jego zarobkach i wydatkach. Nigdy go to nie interesowało; nie był dziedzicem klanu - nie musiał znać takich szczegółów. Jednakże był biznesmenem, uchodzącym w Glasgow za jednego z lepszych. Nawet nie znając detali, miał pewność, że zasoby klanu nie pozwalają na kupno takich pojazdów, nie mówiąc już o koniach goszczących w stajni. To, jak podejrzewał, stanowiło częściowo odpowiedź na pytanie, co się w posiadłości dzieje. Wzdrygnął się i zawrócił. Podchodząc do Seana, spojrzał mu w oczy i kiwnął głową.

- Posłucham twojej rady, spytam Nigela.

Sean w odpowiedzi zacisnął szczęki.

Thomas zapytał jeszcze o próbki, które miały być wysłane do zbadania, o to, kiedy mogą przyjść wyniki, a stajenny odpowiedział:

- Po miesiącu albo dłużej, zależnie od tego, ile mają zleceń.

Po drodze do domu Thomas przypomniał sobie scenę, której był świadkiem poprzedniego popołudnia, kiedy Nigel i Nolan zajechali na stajenny dziedziniec.

Nie rozumiał powodu niezyczliwego ich przyjęcia przez stajennych.

Choć wiele pytań nie doczekało się jeszcze odpowiedzi, był pewny, że teraz to rozumie.

Siedział przy śniadaniu sam, kiedy weszła Lucilla. Miała na sobie dzienną suknię w odcieniu brązowozielonym, co przy jej ogniście rudych włosach przywodziło na myśl jesień.

Cienka tkanina sukni znacznie bardziej podkreślała jej figurę niż aksamit stroju do jazdy konnej czy sztywny jedwab sukni wieczorowej, choć to nie poprawiło mu humoru.

Oczywiście, uśmiechnąwszy się do niego i nałożywszy sobie na talerz to, co stało na kredensie, podeszła do miejsca obok niego. Wstał i odsunął jej krzesło, a następnie, kiedy usiadła, zasunął z powrotem.

Nic nie wskazywało, że humor wkrótce mu się poprawi.

Na szczęście przyszedł Norris, a zaraz za nim Niniver. Oboje obsłużyli się i zajęli miejsca naprzeciwko niego i Lucilli. Pomiedzy kolejnymi kęsami grzanki z dżemem Lucilla zapytała rodzeństwo o Alice i rozmowa zeszła na bezpieczne obszary.

Jednakże już sama bliskość Lucilli nie pozwalała mu się skupić. Jeśli chodzi o rozpraszenie, była prawdziwą mistrzynią, przynajmniej w jego odczuciu. Jeśli wcześniej był niespokojny, teraz, gdy znajdowała się w zasięgu jego zmysłów, to uczucie jeszcze się nasiliło.

Wciąż zastanawiało go jej pytanie: co wie o Pani. Dlaczego go o to zagadnęła? Jego odpowiedź ją zaskoczyła; sądziła, że wie więcej. Ale dlaczego? Czego się spodziewała?

Mimo że zeszłego wieczoru ją opuścił - i to dość zdecydowanie - i dał jej do zrozumienia, że nie zamierza podążać ścieżką, którą wyznaczała z takim uporem, zachowywała się wobec niego tego ranka jak gdyby nigdy nic. Nie miał pojęcia, dlaczego tak wyraźnie wyczuwał jej nastroje, jednakże nie było co tego wątpliwości. Była spokojna, pogodna - i skupiona.

Choć nie wiedział na czym.

Zanim zdecydował, czy dalej ma się jej strzec, weszli Nigel i Nolan. Przywitali się z Lucillą, z rodzeństwem i z nim niemal równie arogancko. Nie zrobiło to na nim wrażenia; czekał, by nałożyli sobie na talerze i usiedli: Nigel u szczytu stołu, a Nolan po jego lewej stronie, obok Niniver. Obaj zaczęli od jajek na szynce, gdy Nigel przerwał jedzenie i sięgnął po kubek kawy, której sobie nalał.

- W starej stajni - zaczął Thomas spokojnym tonem, na tyle pozbawionym agresji, na ile mógł - jest osiem pięknych koni, a do tego trzy nowe powozy.

Nigel zastygł w bezruchu z kubkiem w połowie drogi do ust. Po chwili spojrzał

Thomasowi w oczy.

Ten uniósł brwi.

- Czyją są własnością?

Nigel zerknął na Nolana, który spokojnie odpowiedział na jego spojrzenie, po czym znowu zwrócił wzrok na Thomasa i uśmiechnął się.

- Ładne zwierzęta, nieprawdaż? Świetnie się ruszają.

- Na to wygląda. - Thomas zamilkł, wciąż patrząc na niego.

Nolan pochylił się, sięgając po słoik z dżemem. Wziąwszy go, wyszczerzył się do Thomasa.

- To żadna tajemnica, kuzynie. Trzymamy je dla kogoś. Przyjaciel był zmuszony do wyprzedaży majątku... miał kłopoty z wierzycielami. Chciał zatrzymać kilka koni i powozów, więc uznał, że lepiej będzie, jeśli znikną. Musiał gdzieś je przenieść, a my mieliśmy miejsce. Co nam szkodziło wziąć je na przechowanie.

Thomas pomyślał o kosztach wyżywienia ośmiu koni, nie mówiąc o czasie, jakiego wymagała opieka nad nimi. Rzucił obojętnie:

- Stajenni nie są zachwyceni, że mają dwa razy więcej zwierząt do oporządzenia.

Nigel mruknął:

- Niby dalecy kuzyni, a strasznie wścibscy.

Lucilla, siedząca bliżej Nigela i Nolana niż Thomas, czuła ich tłumioną wrogość w stosunku do niego - szczególnie nieprzyjaźnie nastawiony był pierwszy z braci. Biorąc pod uwagę przejawy jego niechęci, nie zdziwiła się, kiedy wzruszył lekko ramionami i porzucił temat.

Zauważyła także, że Niniver uważnie śledzi tę wymianę zdań - i ze spokojną podejrzliwością przygląda się braciom. Jeśli Thomas miał jakieś wątpliwości co do opowieści o koniach - Lucilla doskonale czuła, że tak było - podobnie sądziła Niniver.

Dziewczyna, zauważywszy jej milczenie, zapytała z uśmiechem:

- Co zamierza pani dziś robić?

To pytanie skupiło uwagę wszystkich przy stole - z wyjątkiem Norrisa, który zachował obojętność.

Lucilla nie widziała powodu, by nie odpowiedzieć.

- Kiedy przyjedzie Alice, a sądzę, że wkrótce, pójdę z nią do destylarni. Musimy sprawdzić zapasy, a także wyciągi ziołowe przygotowane przez Joy. Chcę się upewnić, że dziewczyna poradzi sobie sama. Mam także zamiar udać się z nią do ogrodu ziołowego i sprawdzić, czy ma wszystkie rośliny, których może potrzebować. Gdyby czegoś brakowało, przyślę zapas z Vale, bo lepiej, by nie zamawiała ziół z niepewnych źródeł, dopóki nie rozezna się we wszystkim.

Nolan, z rękami opartymi na stole, przechylił głowę.

- A później wróci pani do Vale?

Pytanie to zostało zadane konwersacyjnym tonem, jednakże wyczuła, że obaj, Nolan i Nigel - jak również Thomas - są bardzo zainteresowani jej odpowiedzią. Odparła więc spokojnie:

- Zależy od tego, co stwierdzą.

Nigel machnął widelcem.

- Jak to?

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym odpowiedziała:

- Będę potrafiła dokładniej określić długość swojego pobytu, kiedy sprawdzę na przykład, jakie zapasy specyfików zgromadziła Joy i czy przygotowała napary oraz medykamenty, a także ocenię, na ile Alice potrafi samodzielnie je wytwarzać. Nie-wykluczone, że ze dwa dni zajmie mi sprawdzenie, czy dziewczyna ma wystarczają-co dużo leków dla tych, którymi zajmowała się Joy.

Nigel ściągnął brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

- Nie sądzę, by stara Joy zaopatrywała kogoś w jakieś ważne preparaty.

Lucilla uniosła brwi. Znała odpowiedź, ale rzuciła tylko:

- Z całą pewnością leczyła pańskiego ojca, jeśli już nikogo innego.

Nigel pokręcił głową, zaciskając usta.

- Musiałbym spytać Edgara, lecz jestem prawie pewny, że nie przyrządzała dla papy żadnych mikstur.

- Tak? - Wszelkie informacje mogły okazać się pomocne w przekonaniu Manacha-na, by skorzystała z jej pomocy.

Nigel uśmiechnął się z pewną wyższością.

- Nic już nie można dla niego zrobić. - Wzruszył ramionami. - Papa po prostu się starzeje. Jeśli nie ma się fiołki wody z fontanny młodości, niewiele da się poradzić.

Miała ochotę temu zaprzeczyć, ale zamilkła, by nie odpowiadać na złośliwość. Mogłaby powiedzieć Nigelowi, że można zrobić wiele, by przywrócić zdrowie jego ojcu, ale zamiast wdawać się w sprzeczkę, postanowiła uciec się do demonstracji.

Chłodno skłoniła głowę, po czym odsunęła się od stołu. Spojrzała na Thomasa.

- Alice niebawem tu będzie. Poczekam na nią w destylarni.

On, wstając i odsuwając jej krzesło, tylko skinął głową, a kiedy pożegnała się z Ni-niver i jej braćmi, wyszedł za nią z pokoju.

Lucilla wkroczyła w znajomy świat. Thomas zszedł za nią po schodach i podążał krętymi korytarzami do pomieszczenia w trzewiach głównego skrzydła domu; za-trzymał się w drzwiach i oparty ramieniem o kamienne obramowanie, z rękami w kieszeniach bryczesów, przyglądał się jej poczynaniom. Nie zwracała na niego uwagi. Nie chciała go ignorować, ale stwierdziła, że on sam i wątpliwości dotyczące postępowania wobec niego za bardzo ją absorbują - a musiała skupić się na Alice i na ocenie, czym należy się zająć i w jakiej kolejności.

Krzątała się po destylarni, krążąc wokół stojącego pośrodku dużego stołu i sprawdzając zawartość słoików na półkach, które zajmowały wszystkie ściany.

Po kilku minutach Thomas się poruszył. Wyprostował się i mruknął:

- Długo zamierza pani tu zostać?

Skinęła głową, nie patrząc w jego stronę.

- Chciałabym zostać do przyjazdu Alice, a później wyjdę z nią do ogrodu ziołowe-go.

Zauważyła, że opiekuńczość Thomasa - gdyż to ona kryła się za jego stałą obec-nością - nie budzi w niej irytacji. Takie pytania tolerowała tylko z ust Marcusa. Na-wet gdyby pochodziły od kuzyna Sebastiana, przyszłej głowy rodu, odpowiadałaby ze zdecydowanym zniecierpliwieniem.

Jednak ktoś tu żywił mordercze zamiary, może nie w samym domu, lecz na pewno

na terenie posiadłości. To był dla każdego prawdziwego mężczyzny wystarczający powód, by wykazywać opiekuńczość – a zwłaszcza dla tego, który jest jej pisany.

Thomas przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiając, a potem usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z parteru; mniej więcej nad nimi biegł korytarz prowadzący ze stajennego dziedzińca do frontowego holu. Wyjął rękę z kieszeni.

– Wygląda na to, że Alice już jest. Pójdę po nią.

Lucilla darowała sobie uwagę, że dziewczyna musi znać drogę do destylarni – uczyła się u Joy od co najmniej dwóch lat.

Zamiast tego skorzystała z okazji, by obmyślić plan na dalszą część dnia.

Kiedy Thomas przyprowadził Alice – szczupłą bladą kobietę po trzydziestce, z długimi jasnymi włosami i łagodnymi niebieskimi oczami – a ta skłoniła się szybko, Lucilla z uśmiechem dała jej znak, by się wyprostowała.

– To niepotrzebne, obie jesteście uzdrowicielkami i musimy współpracować. Ukłony, jak się przekonasz, będą nam tylko utrudniać sprawę.

Alice uniosła kąciki ust; próbowała stłumiła chichot, co nie do końca jej się udało.

Lucilla uśmiechnęła się szerzej.

– Doskonale. A teraz usiądź. – Pchnęła w jej stronę jeden z dwóch wysokich stołków, a sama usadowiła się na drugim. – Powiedz, ile się już nauczyłaś.

Zanim Alice zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Thomas:

– Zostawię was same. – Kiedy Lucilla zwróciła na niego wzrok, spojrzał jej w oczy. – Wybiorę się na przejażdżkę po posiadłości. – Zerknął na Alice. – Aby sprawdzić, co jeszcze się zmieniło od czasu mojej ostatniej wizyty.

„Czy dzieją się tu inne dziwne rzeczy”.

Lucilla usłyszała te słowa, choć ich nie wypowiedział. Kiwnęła głową i odprowadziła go wzrokiem.

Kiedy wyszedł, przeniosła spojrzenie na Alice.

– Czy prosił, abyś nie opuszczała mnie ani na chwilę?

Kobieta zamrugała, a potem spojrzała na nią jak na jasnowidza.

– Tak.

Lucilla się uśmiechnęła.

– Nie przejmuj się. Myślę, że to bardzo dobry pomysł.

Carrickowie stracili już jedną uzdrowicielkę, nie widziała powodu, by ryzykować utratę kolejnej. Choć być może była z Alice bezpieczniejsza, Alice była także bezpieczniejsza z nią.

– A teraz – zaczęła – powiedz mi, jak dalece Joy wtajemniczyła cię w swoją wiedzę. Nauczyła cię wytwarzać wieloskładnikowe środki wzmacniające?

8.

Zgodził się zostać oczami i uszami Manachana, a stan posiadłości najlepiej można było ocenić z końskiego grzbietu. Manachan zawsze objeżdżał swoje ziemie, zwykle trzy albo i więcej razy w tygodniu, niezależnie od pogody. Utrzymywał bliskie stosunki ze wszystkimi rodzinami należącymi do klanu, wiedział, jak prosperuje każda farma. Nawet podczas ostatniej wizyty Thomasa we dworze przed dwoma laty starszy pan regularnie wybierał się na takie przejażdżki. Thomas wolał się nie zastanawiać, jak bardzo, nawet jeśli w milczeniu, stryj boleje nad tym, że nie może wyjść z domu i sprawdzić, co się dzieje.

Wiedziony niepokojem, upewnił się, że Lucilla nie będzie sama, a teraz, gdy o to zadbał, uznał, że wzywają go obowiązki wobec klanu.

Wcześniej przekazał Seanowi wiadomość, że wybiera się na przejażdżkę; osiodłany Duch już czekał na dziedzińcu. Biorąc wodze od Mitcha, który stał przy wielkim siwku, zauważył, że wyprowadzono ze stajni drugiego, mniejszego konia, ładnego gniadego wałacha przeznaczonego dla kobiety, bo miał na grzbiecie damskie siodło.

Już wsiadał na Ducha, kiedy z domu wyszła energicznie Niniver.

W czarnej aksamitnej sukni do jazdy konnej i małej dżokejce na jasnych włosach szła zaskakująco szybkim i stanowczym krokiem.

- Thomasie... chcesz się tylko przejechać, czy zamierzasz także odwiedzić farmatorów? - zapytała.

Zatrzymał się i przyznał:

- To drugie.

Przystanąła kilka kroków przed nim i spojrzała mu w oczy.

- Często robię przystanki na farmach. Pozwolisz, że pojedę z tobą?

Miał się zgodzić? Z czwórki dzieci Manachana najmniej znał Niniver. Manachan także poświęcał jej mało uwagi - ale przecież w równym stopniu zaniedbywał Norrisa, a nawet Nolana; jeśli już interesował się którymś ze swych potomków, to głównie Nigelem. Ale niektórzy powiedzieliby, że miał tyle obowiązków jako ojciec całego klanu, że mógł poświęcić czas tylko jednemu ze swoich dzieci, czyli w sposób naturalny temu, którego uważał za dziedzica.

Skoro jednak Niniver znała miejscowych farmerów... Skinął głową.

- Będzie mi miło, jeżeli dotrzymasz mi towarzystwa.

Uśmiechnęła się nieśmiało i zwróciła w stronę swego konia. Mitch przytrzymał go silną ręką, kiedy weszła na stopień, a potem wskoczyła na siodło.

Thomas także dosiadł Ducha; uspokajając go, zaczekał chwilę. Kiedy podjechała do niego Niniver, skierował wierzchowca w stronę podjazdu.

- Gdzie jedziemy najpierw?

Rzuciła mu ostrożne spojrzenie.

- Chcesz objechać wszystkie farmy?

- Taki miałem zamiar.

Podniosła głowę, patrząc przed siebie.

- W takim razie najpierw pojedziemy na wschód, a potem zatoczmy łuk na południe. Dzięki temu na końcu odwiedzimy Forresterów i Bradshawów.

Thomas mgliście przypomniał sobie wschodnie farmy. Kiwnął głową.

- Ty prowadzisz. Ja jadę za tobą.

Niniver gestem wyraziła zgodę. Dźgnęła gniadosza i pocwałowała przed siebie. Thomas ruszył za nią i tak rozpoczęli dzień.

Godzinę później, kiedy skierowali się ku zachodnim farmom, przypomniał sobie swoje słowa: „Ty prowadzisz. Ja jadę za tobą”. Kto by pomyślał, że Niniver jest... równie sprawną manipulatką jak jej ojciec?

Thomas był pewny, że odziedziczyła tę zdolność po Manachanie. Powiedziałyby nawet, że jej subtelne, spokojnie „sugestie” były skuteczniejsze niż jawne i nachalne manewry starszego pana. Jednak ponieważ machinacje Niniver zbiegały się z jego interesami, nie miał nic przeciwko nim, był z nich wręcz zadowolony. Dziewczyna pokazała mu, gdzie patrzeć, i pomogła mu dowiedzieć się tego wszystkiego, co go interesowało.

Na każdej farmie przyjmowano ją ze szczerym uśmiechem i serdecznością; nawet chłopci na polach cieszyli się na jej widok i przerywali pracę, by z nią pogawędzić i opowiedzieć jej - a także Thomasowi - jak idzie robota i jak każdy z nich obsiewa swój kawałek ziemi.

Chociaż farmerzy nie widzieli go przez dwa ostatnie lata, znali go dobrze i uważali za jednego ze swoich. Przyjechał zapytać ich o zdanie, z panią przy boku, więc rozmawiali z nim swobodnie. Jeśli pozwalali sobie na uszczypliwość, to pod adresem Nigela - „młodego pana”, jak go nazywali - nie Thomasa ani nikogo innego. Żaden jednak nie wspominał o jego częstych wyjazdach - to nie była ich sprawa. Ograniczali swoje uwagi do nieprawidłowości na ziemiach klanu, w ich świecie.

Im więcej farm i dzierżawców odwiedzał z Niniver, tym więcej wynikało problemów. Żaden nie był na tyle poważny, by wymagał natychmiastowej ingerencji; brak ziarna na zasiewy wydawał się najbardziej niepokojący. Wiele bolączek stanowiło drobne niedogodności, ale gdyby pozostawiono je niezalążnione, rosłyby i tylko się zaogniały.

Większość farm w pobliżu dworu zajmowała się hodowlą małych stad owiec, podczas gdy te na południu i zachodzie specjalizowały się w obróbce drewna. Dwie farmy hodowały bydło; trzy - kozy. Thomas wciąż słyszał te same skargi, tę samą piosenkę - o braku zainteresowania i wsparcia ze strony dworu. Powoli wyłaniał się z tego obraz sytuacji - Nigel nalegał, by farmerzy wystawiali swoje zwierzęta i produkty na sprzedaż, ale bez dotychczasowej pomocy dworu, który kiedyś pełnił funkcję pośrednika i pomagał zorganizować transport.

Jeden z farmerów powiedział z goryczą:

- Chce, żebyśmy zajmowali się tym wszystkim sami, ale bierze od nas tyle co dawniej. Co więcej, jeśli musimy opuścić ceny, żąda tej samej sumy co wcześniej. Więc teraz my wykonujemy całą robotę, a on tylko siedzi we dworze na kufrach z pieniędzmi.

Inny tłumaczył:

- Wiemy, że to pieniądze klanu, nie tylko jaśnie pana, ale mimo wszystko... tak się

nie godzi.

Jeszcze inny się żalił:

- Nie tak to bywało za czasów starszego pana.

Od tej chwili Thomas patrzył uważniej i to, co widział, tylko zwiększało jego niepokój. Dzieci chodziły w ubraniach, z których wyrastały, a kobiety - w spłowiałych, cerowanych sukniach. Matki wydawały mu się wychudzone - z pewnością nie były takie dorodne, jak pamiętał. Nawet niektórzy z mężczyzn jakby stracili na wadze.

Posiadłość Carricków nigdy nie zaliczała się do zamożnych; należące do niej farmy nie cieszyły się dobrobytem jak te na południu, w Vale. Jednakże Vale funkcjonowała na innych zasadach, bardziej surowych, jednolitych. Nie odpowiadałoby to klanowi Carricków, w którym rodziny były bardziej niezależne - co zresztą stanowiło dla nich powód do dumy - ale jakoś sobie radziły. Manachan zawsze o to dbał.

Ale teraz, gdy niedomagał i nie mógł sprawować władzy, wszystko zaczęło się rozpadać.

Mimo że Thomas nie słyszał o Nigelu ani jednego dobrego słowa, nie mówiąc już o jakichkolwiek obojętnych uwagach, cały klan wciąż miał Manachana w wielkim poważaniu i to w dużym stopniu chroniło jego syna przed falą skarg i jawną krytyką.

Dla rodzin z klanu Manachan wciąż był przywódcą, a Nigel tylko jego mniej kompetentnym zastępcą; choć nikt nie powiedział tego dobitnie, niewątpliwie wszyscy sądzili, że obecny stan jest tymczasowy i że potem Manachan naprawi to, co poszło w złą stronę.

Thomas odwiedził z Niniver Forresterów, a potem Bradshawów. Forrester, który zajmował się wyrębem drewna w lasach na północnym zachodzie oraz uprawą kilku większych pól, potwierdził to, co mówili inni. Zarządzanie posiadłością, jeśli nie było fatalne, pozostawiało wiele do życzenia.

Stan zdrowia Bradshawów znacznie się poprawił. Thomas zasiadł z nimi przy stole, a oni wytłumaczyli mu wszystkie skutki niedostarczenia farmerom z terenu posiadłości ziarna na siew.

- Jesteśmy zbyt spóźnieni, by dokonać tego roku dwóch zasiewów jak zazwyczaj.
- Bradshaw przerwał i nieśmiało dodał: - A z tego, co mówią we dworze, wynika, że będą żądali od nas zwykłej dziesięciny, jakbyśmy zebrali plony dwa razy, a nie raz.

Thomas nie musiał pytać, jakie to będzie dla nich obciążenie. Starając się ukryć rosnący niepokój, pokiwał głową.

- Dopilnuję, by jasnie pan się o tym dowiedział.

Nie mógł obiecać, że Manachan to zmieni i obniży farmerom podatek, jednakże nie mógł także powiedzieć, że starszy pan tego nie robi. Niewykluczone jednak, że nie było takiej możliwości.

Mimo całej swojej wojowniczości i buńczuczności Manachan nigdy nie pozwalał, by klanowi działa się krzywda, a już zwłaszcza ze strony dworu. Tak między klanem a jego przywódcą nie bywało.

Zapytawszy, czy może zobaczyć dzieci - pod pretekstem, że zobowiązała go do tego Lucilla - i upewniwszy się, że wszystkie całkiem doszły do zdrowia, zakończył wizytę. Niniver pożegnała się i wyszła za nim; uśmiechy pociech Bradshawów wyraźnie świadczyły, że była ulubionym gościem na dalekiej farmie.

Wsiedli na konie i ruszyli do dworu.

W połowie drogi powrotnej znajdowała się skalna półka, coś w rodzaju punktu obserwacyjnego. Niniver wjechała na nią i ściągnęła gniadoszowi wodze.

Thomas zatrzymał się obok niej.

Oboje z grzbietów końskich spojrzeli na rozciągające się wokół pola. Dwór w niedalekiej odległości wyglądał jak ciemny zdeformowany goblin kucający wśród drzew – a jego dach przypominał kapelusz. Nad polami po zachodniej stronie wciąż unosiły się resztki porannej mgły, lawendowe smugi na tle ciemnej zieleni lasów.

Słońce stało wysoko. Żołądek Thomasa dał znać, że zbliża się południe.

Niniver zaczerpnęła powietrza.

– A więc... – Spojrzała na Thomasa bystro. – Widziałeś?

Pomyślał, że lepiej nie udawać, iż nie zdaje sobie sprawy, jaką rolę odegrała podczas tej wycieczki.

– Tak.

Potoczył wzrokiem po polach. Nie był przygotowany do prowadzenia takiej posiadłości, lecz gdyby to było jego dziedzictwo, miałyby poważny powód do zmartwienia.

I w gruncie rzeczy go miał, ponieważ wszyscy ci ludzie należeli do jego klanu.

– Papa musi się dowiedzieć.

Popatrzył na Niniver.

– Ty wiedziałaś. Od samego początku. Dlaczego mu nie powiedziałaś?

Skrzywiła się i spojrzała przed siebie. Jej koń poruszył się niespokojnie, więc ściągnęła mu wodze.

– Bo jestem tylko jego córką. Nie dziedziczę po nim. – Powiedziała to bez urazy. – I rządy sprawuje Nigel. – Po chwili zwróciła wzrok na Thomasa. – Jesteś naszą jedyną nadzieją. Tylko ty możesz opowiedzieć ojcu o wszystkich problemach, o jakiś dziś usłyszałeś. On zrozumie. Nigel... nie chce ich widzieć. Nie chce zrozumieć.

Thomas przez moment milczał, a potem odparł:

– Aż do dzisiejszego ranka nie zdawałem sobie sprawy, że Manachan całkowicie zrzekł się władzy.

Niniver z nieprzeniknioną miną zawróciła konia.

– Ojciec jest zbyt słaby, by cokolwiek zrobić, i to prawie od roku. Kiedy jednak usłyszysz, co się dzieje, będzie wiedział, jak postąpić.

Dźgnęła obcasami gniadosza i ruszyła w stronę dworu. Thomas także zawrócił Du-cha i pojechał za nią ścieżką dla koni.

Kiedy cwałowali wąską drogą między polami, zastanawiał się, rozważał za i przeciw, ale za każdym razem dochodził do tego samego niemiłego wniosku.

Wyglądało na to, że ani Niniver, ani reszta klanu nie zdaje sobie w pełni sprawy, jakie zaszły zmiany. Thomas także tego nie wiedział, dopóki nie przyjechał i nie zobaczył, jak słaby jest Manachan – i to od roku. Ponieważ nie mógł w imieniu klanu zarządzać posiadłością, wziął to na siebie Nigel. Nie działał jednak jako zastępca Manachana, jego prawa ręką, lecz całkowicie samodzielnie.

Z powodu swojego stanu Manachan był zmuszony przekazać władzę.

Teoretycznie jako głowa klanu mógł odebrać to, co oddał, ale czy tak było faktycznie?

Biorąc pod uwagę, że stawał się coraz słabszy, odpowiedź brzmiała: nie.

Owszem, Thomas zamierzał przekazać Manachanowi to wszystko, czego się do-

wiedział – co dzięki Niniver zobaczył i usłyszał. Choć nie miał ochoty niepotrzebnie martwić stryja, ten miał prawo wiedzieć – i na pewno chciał. Ale co w obecnej sytuacji starszy pan mógł zrobić? Zasugerować lub podsunąć Nigelowi pewne rozwiązania, ale bez możliwości sprawdzenia – bo nie był uprawniony – czy zostały wprowadzone w życie.

Czy Thomas miał porozmawiać z Nigelem? Zważywszy, że ten nie żywił do niego sympatii, i tu odpowiedź też brzmiała: nie. Istniały uzasadnione podejrzenia, że cokolwiek by zaproponował, Nigel postarałby się to... odrzucić.

Jednak z tego, co Thomas widział i słyszał, jeszcze bardziej zatrważające było to, że Nigel, przejmując obowiązki przywódcy, postanowił traktować pozostałych członków klanu jak swoich podwładnych – jakby pracowali dla niego, a nie dla całej społeczności. Nie tak jak dotychczas, kiedy to działali jako zbiorowość pod przewodnictwem dziedzica – może podlegający jego władzy, ale także korzystający z jego opieki i aktywnego wsparcia.

To naruszenie systemu, który służył Carrickom od pokoleń, głęboko Thomasa martwiło. W miarę jak zbliżali się do dworu, coraz wyraźniej widział problem. Klan potrzebował pomocy, przywrócenia dawnych stosunków. Ale w sytuacji, kiedy Manachan był niesprawny, a Nigel silną ręką sprawował rządy, co mógł zrobić ktoś taki jak on – ktoś spoza klanu, kogo w dodatku Nigel nie lubił – by poprawić stan rzeczy, zainicjować konieczne zmiany?

Już rysował się przed nimi dziedziniec stajenny, gdy Thomas uświadomił sobie coś, co dręczyło go już od jakiegoś czasu.

Zawołał do Niniver:

– A gdzie są psy?! – Carrickowie od pokoleń hodowali charty. Zawsze kręciły się wokół dworu, jednakże od swego przyjazdu nie zauważył żadnego.

Niniver zerknęła na niego, najwyraźniej niepewna, czy może mu zaufać. W końcu, patrząc przed siebie, odkrzyknęła bezbarwnym tonem:

– Nigel je sprzedał!

– Co takiego?! – zdumiał się Thomas. – Wszystkie?!

– Te, które były w psiarni. Powiedział, że stanowią niepotrzebne obciążenie dla posiadłości.

Thomas przyjrzał się z boku Niniver. Kiedy zwolnili i jechali obok siebie stępa, podjął:

– Ale przecież...

Manachan kochał swoje psy. Podobnie jak Niniver, z tego, co pamiętał.

– Sean, Mitch, Fred i ja przenieśliśmy część z nich na farmę starego Egana. Miał nieużywaną oborę.

Więc zachowali psy do polowań.

Skierowali konie na podjazd. Thomas zmarszczył czoło.

– Myślałem, że Nigel polował z psami.

Niniver kiwnęła głową.

– Kiedyś tak. Ale ostatnio jeździ z Nolanem na polowania w góry. Orzekł, że nie potrzebuje już psów. – Urwała, a po chwili wyjaśniła: – Ostatnia suka ojca zdechła zeszłego lata, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczął chorować. Nie poprosił o następną... a ja mu nie powiedziałam, że psiarni już nie ma. – Zatrzymując się,

spojrzała Thomasowi w oczy. – Wtedy nie chciałam go martwić, a teraz są ważniejsze sprawy.

Thomas nie zamierzał polemizować. Odpowiedział na jej spojrzenie i skinął głową.

– Rzeczywiście.

Weszli z Niniver do domu w chwili, gdy Ferguson przy schodach uderzył w gong, wzywając na obiad.

Głęboki dźwięk poniósł się w głąb dworu.

Jego echo zagłuszyły krzyki przerażenia dobywające się z nie jednego, lecz dwóch gardeł.

Dobiegały z dołu, z sutereny pod głównym skrzydłem.

Thomas ruszył pędem po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Jeden odcinek, potem drugi i znalazł się w dolnym korytarzu prowadzącym do destylarni.

Krzyki ucichły.

Okrażył ostatni róg i zobaczył Lucillę. Jego serce zaczęło znowu bić.

Obie z Alice stały odwrócone plecami do ściany korytarza i wpatrywały się w drzwi destylarni, które były zamknięte.

– Lucillo? – Zmusił się, by zwolnić, kiedy do niej dopadł i nie pozwolił sobie wziąć ją w ramiona, przytulić do siebie, by się upewnić, że jest bezpieczna.

Zwróciła ku niemu pobladłą nienaturalnie twarz. Jej zielone oczy przypominały spodki.

Starał się opanować, mimo to chwycił ją za ramię.

– Co się stało?

Stojąca za nią Alice oddychała ciężko, jakby zabrakło jej tchu. Niniver wyminęła Thomasa i podeszła do niej. Mruczając uspokajająco, otoczyła ją ramieniem i poklepała po plecach.

Lucilla przełknęła ślinę; nie odrywała wzroku od twarzy Thomasa.

– Żmija. – Zadrzała, po czym słabym gestem podniosła rękę i wskazała drzwi. – Pojawiła się nagle, u naszych stóp.

Zaczerpnęła powietrza. Potem nagle chwyciła go za surdut i przylgnęła do niego. Przytuliła twarz do jego piersi, a on objął ją odruchowo.

„Żmija?”. Trzymając Lucillę w ramionach, starał się jej nie zmiażdżyć. Usłyszał w głowie głos Manachana, który przed laty ostrzegał go, że żmije stanowią największe zagrożenie, kiedy budzą się z zimowego snu – czyli o tej właśnie porze roku.

Lucilla wczepiła się palcami w jego koszulę. Pochylił głowę i usłyszał jej ochryply szept:

– Nie znoszę żmij.

Większość ludzi się ich bała. Przygarniając ją do siebie – nie był pewny, czy zdoła puścić – zerknął w tył na Fergusona, który także przybiegł z góry.

Kiedy kamerdyner usłyszał wieści, sposepniał.

– Zaprowadźcie z panienką Niniver pannę Cynster i Alice na górę – polecił Thomas.

Ferguson sięgnął do gałki u drzwi i upewnił się, że są zamknięte. Opuścił wzrok i Thomas z Lucillą podążyli za jego spojrzeniem. Między drzwiami a wytartą ka-

mienną podłogą znajdowała się szpara.

Z głębi korytarza nadeszli dwaj służący.

- W samą porę. - Ferguson dał im znak, by się zbliżyli. - Do destylarni dostała się żmija. Stańcie tutaj i pilnujcie, żeby to obrzydlistwo nie wyszło.

Alice wreszcie doszła do siebie.

- Jest gruba i duża - powiedziała. - Nie sądzę, by się tędy przecisnęła.

Ferguson pokiwał głową.

- Miejmy taką nadzieję, a tymczasem... - Spojrzał na lokajów. - Wy dwaj tu zostańcie, a ja pójdę po Freda i szpadel.

Rzuciwszy Thomasowi szybkie spojrzenie, odwrócił się i odszedł.

- Chodźcie. - Obejmując Lucillę ramieniem, Thomas pociągnął ją w stronę wyjścia. - Być może nie słyszałyście, ale Ferguson zadzwonił na obiad, kiedy zaczęłyście krzyczeć.

Lucilla, idąc przy nim powoli, zdołała potwierdzić skinieniem głowy.

- Ja słyszałam.

Po chwili zaczerpnęła powietrza i obejrzała się, by się upewnić, że Alice i Niniver idą za nimi. Później zwróciła wzrok przed siebie i prostując się, podniosła głowę.

- Chętnie wypiję filiżankę herbaty.

Jej ton stanowił już wyraz typowej dla niej władczej postawy.

Biorąc to za znak, że otrząsnęła się ze strachu, Thomas opuścił ramię, kiedy doszli do szczytu schodów. Po kilku krokach znaleźli się w korytarzu prowadzącym do frontowego holu. Po drugiej stronie przejścia Ferguson, z pomocą pani Kennedy, odprowadzał stadko pokojówek i lokajów, niewątpliwie zwabionych okrzykami, z powrotem do pomieszczeń dla służby.

Thomas i Lucilla skrócili w drugą stronę i wkroczyli do holu; idąca za nimi Niniver zawołała ochmistrzynię i przekazała jej pod opiekę wciąż drżącą Alice.

Nigel, Nolan i Norris stali razem w holu.

Nigel ściągnął brwi.

- Co się stało?

Thomas im wyjaśnił, dodając, że Ferguson i inni służący zajmą się żmiją.

Nigel prychnął, spojrzał znacząco na Nolana, po czym obaj się odwrócili i ruszyli do jadalni.

Norris, który wcześniej nie okazywał niepokoju, zrobił to teraz.

- Jak żmija mogła się tam dostać, u licha? Przecież kamień jest zimny. One dopiero się budzą... powinny kierować się ku ciepłu.

Thomas musiał przyznać, że było to trafne spostrzeżenie. O tej porze roku żadna żmija nie wślizgnęłaby się w zimne czeluście dworu. To było niedorzeczne, a zatem...

Stojąca przy nim Lucilla zadrżała.

- Nie obchodzi mnie, dlaczego się tam znalazła, jeśli do końca obiadu zniknie. Alice i ja byliśmy dopiero w połowie porządków, które musimy skończyć do wieczora.

Mimo drżenia jej głos brzmiał stanowczo.

Thomas wskazał jadalnię.

- W takim razie zabierzmy się do jedzenia.

Po obiedzie, dość krótkim i cichym posiłku, Thomas odprowadził Lucillę z powrotem do destylarni. Alice już tam była – sortowała zioła na stole. Na stołku w dalszym kącie siedział lokaj z potężną szczotką; nie wyglądał na znudzonego, ale przecież obserwował uzdrowicielkę przy pracy.

Thomas zatrzymał się przed drzwiami i powiedział cicho:

– Chciałem spytać o to wcześniej... czy była tu pani z Alice przez całe przedpołudnie?

Lucilla spojrzała mu w oczy i pokręciła głową.

– Wyszliśmy do ogrodu ziołowego. – Popatrzyła na kobietę. – Zebrałyśmy te zioła, by nauczyła się przygotowywać z nich napar.

– Więc przez jakiś czas nikogo tu nie było.

Kiwnęła głową.

Zerknął na drzwi, tkwił w nich potężny zamek.

– Rozumiem, że nie były zamknięte na klucz.

– Nie. Alice powiedziała, że Joy nigdy nie używała klucza, więc nie nalegałam.

– Wie pani, gdzie on jest?

Czubkiem języka zwilżyła wargi. Musiał odwrócić wzrok.

– W środku na kołku wisi jakiś... pewnie ten. – Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ciągnęła: – W Casphairn zawsze zamykamy destylarnię na klucz.

Kiwnął głową.

– Bardzo rozsądny zwyczaj. Powinniśmy go przejąć. Wspomnę o tym Manachanowi. Może powiedziałyby pani Alice, że zmieniamy zasady.

Lucilla kiwnęła głową.

– Ferguson polecił już jednemu ze stolarzy zlikwidować szparę pod drzwiami – powiedziała.

– Doskonale. – Thomas się cofnął; kiedy skierowała na niego wzrok, spojrzał jej w oczy. – Gdyby mnie pani potrzebowała, będę u Manachana.

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym na swój majestatyczny sposób skłoniła głowę. Potem weszła do destylarni i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Thomas się odwrócił i odszedł. Zaczął porządkować w głowie informacje, które musiał przekazać Manachanowi – mimo wszystko wciąż przywódcy klanu.

Wrócił do destylarni późnym popołudniem. Lucilla i Alice już sprzątały. Zatrzymawszy się w progu, pochwycił wzrok Lucilli.

– Jeśli to koniec, chciałbym omówić z panią kilka spraw.

Zerknęła na Alice.

Ta się uśmiechnęła.

– Pozamiatam sama.

Lucilla odłożyła papierowe paczuszki, które zbierała, i skinęła głową.

– Zamknij drzwi i zabierz klucz. Noś go przy sobie, nigdzie nie zostawiaj.

Alice spoważniała.

– Dobrze.

Lucilla z uśmiechem skinęła głową lokajowi, który wciąż siedział w kącie na stołku, i zbliżyła się do Thomasa. Przyjrzała mu się, wychodząc na korytarz.

– Dowiedział się pan czegoś ciekawego podczas porannej przejażdżki?

Zerknął w głąb korytarza, wciąż pustego, ale zamiast odpowiedzieć, rzucił tylko:

- Chodźmy się przejść.

Na zewnątrz, gdzie było znacznie mniejsze ryzyko, że ktoś ich podsłucha.

Lucilla kiwnęła głową.

- Chętnie odetchnę świeżym powietrzem po całym spędzonym tu dniu.

Wskazał w stronę schodów, po czym zrównał z nią krok.

Rozważyła liczne pytania, które kłębiły jej się w głowie.

- Odwiedził pan Bradshawów?

- Tak. - Opowiedział o ich stanie, co potwierdziło jej przypuszczenia, że nie jest to temat, którego wolał nie poruszać w zasięgu słuchu innych.

Zdawał raport, gdy pokonywali schody, przechodzili przez frontowy hol i opuszczali dom. Zamykając za sobą drzwi, wskazał jej drogę; okrążyli budynek, idąc wąskim tarasem, który biegł wzdłuż murów i na końcu łączył się z tym szerszym, otaczającym nieużywane skrzydło.

Kiedy tylko znaleźli się po drugiej stronie domu, Thomas zaczął:

- Chciałem spytać, czy było w destylarni coś, co wyjaśniałoby przyczynę śmierci Joy.

Spodziewała się tego pytania.

- Szukałam, ale nie znalazłam niczego, co wydałoby mi się choćby w najmniejszym stopniu dziwne.

- Czy Joy prowadziła rejestr pacjentów? I czy można by tam znaleźć jakiś trop... gdyby na przykład leczyła kogoś, kto chciałby to zataić? Czy kiedykolwiek zajmowała się Manachanem?

Podniosła dłoń, by powstrzymać potok pytań.

- Jak każda dobra uzdrowicielka Joy prowadziła księgę rachunkową. Dostarczała wyciągi ziołowe i zioła do parzenia kilku osobom z klanu, ale na całkiem zwyczajne dolegliwości... nie znajdziemy tu motywu zbrodni. Ani nigdzie indziej, obawiam się.

- Przerwała na chwilę, po czym ciągnęła: - Zamierzam się upewnić, że Alice umie przyrządzać wszystkie leki, które robiła Joy, i wie, na co w trakcie zwracać uwagę. Zanim wyjadę, muszę także nauczyć ją przygotowywać mocniejsze preparaty. - Zaczepnęła tchu. - Aby jednak odpowiedzieć na ostatnie pytanie... nie. Sprawdziłam zapisy z trzech lat, ale nie ma żadnych, które by świadczyły, że Joy kiedykolwiek leczyła Manachana.

Zamilkła i spojrzała Thomasowi w oczy.

- Jestem przekonana, że Manachanowi by się poprawiło, gdyby skorzystał z pomocy dobrej uzdrowicielki. Chciałabym sprawdzić, czy przyjąłby coś, co pozwoliłoby mu odzyskać siły, ale mam świadomość, że mężczyźni w jego wieku i z jego temperamentem nie lubią się przyznawać, że szwankuje im zdrowie. Wcale mnie nie zdziwiło, kiedy się dowiedziałam, że nie zwrócił się do Joy o pomoc.

Thomas szedł obok w milczeniu, a potem powiedział:

- Podczas przejażdżki upewniłem się, że... są narastające problemy. Trudności, które należałoby pokonać, ale Nigel je ignoruje. Tak nie może być, jednakże należący do klanu farmerzy nie chcą zawracać Manachanowi głowy, sądząc, że ma własne kłopoty. Jednocześnie nie są w stanie wpłynąć na Nigela. Podobnie zresztą jak ja.

Pokiwała głową.

- Bo nie jest pan dziedzicem i nie może zwracać mu uwagi. Już i tak czuje do pana niechęć, ponieważ łączą pana z Manachanem bliższe stosunki, bardziej partnerskie.

To, że dostrzegała wszystko tak wyraźnie - i potrafiła tak jasno wyłożyć - stanowiło dla niego pociechę. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, która by rozumiała skomplikowane stosunki panujące w klanie.

- Wygląda na to - mruknęła - że wszystkie problemy nękające posiadłość wynikają ze stanu Manachana. Ponieważ zachorował... nie wiem na co, ale najwyraźniej coś mu dolega i jest stanowczo osłabiony... był zmuszony przekazać Nigelowi władzę. - Przerwała, a potem ze zmarszczonym czołem kontynuowała: - Gdyby wydobrzeć, mógłby zmienić stan rzeczy w posiadłości?

- Prawie na pewno, choć wątpię, czyby mu się to udało... jeśli Nigel nadal nie będzie chciał zająć się jak trzeba pojawiającymi się problemami.

- „Jak trzeba”, czyli zgodnie z wolą Manachana, tak?

Potwierdził. Po chwili wciągnął głęboko powietrze i zapytał:

- Naprawdę sądzi pani, że da radę mu pomóc?

- Nie mogę mieć pewności, dopóki go nie zbadam, ale... - Patrząc przed siebie, powiedziała, starannie dobierając słowa: - Zawsze był takim silnym i krzepkim mężczyzną. Słyszał ze zdrowia. Z tego, co zauważyłam i wyczułam wczoraj, kiedy pomagałam mu wysiąść z powozu i do niego wsiąść, stracił mięśnie... siłę w mięśniach... choć aż tak nie wychudł. - Ściągnęła brwi. - Mam wrażenie, że brakuje mu wigoru. Wydaje się słabszy, niż powinien, jakby każda czynność kosztowała go więcej wysiłku niż dotychczas i nie miał dość energii.

- Właśnie. - Nie potrafił ukryć gorczy w głosie. - Spędziłem z nim całe popołudnie i choć przyniosłem informacje, które go interesowały, był tak osłabiony, że nie mógł się skupić. Aż przykro było patrzeć. - Urwał, po czym wyznał: - W końcu nie potrafiłem się zdobyć, by skłonić go do działania... miałem wrażenie, że jedyne, co jeszcze może, to oddychać. - Przeszli kilka kroków i dodał: - Odwiedziny u Bradshawów nadwątlily jego siły, a potem jeszcze się uparł, by zejść na kolację, ze względu na pani obecność. - Skrzywił się. - Teraz śpi, ale tylko dlatego, że Edgar powiedział mu, iż pani zostaje. Dziś też chce być obecny na kolacji.

- Hmm.

Doszli do końca tarasu i przystanęli. Podnosząc głowę, Lucilla spojrzała na ostatni odcinek podjazdu i dziedziniec stajenny.

W końcu powiedziała:

- Humory starszego człowieka, który kieruje się dumą, można znosić tylko do pewnej granicy. Wykorzystamy jego obecność przy kolacji.

Thomas zmarszczył czoło.

- W jaki sposób mielibyśmy to zrobić?

Odwracając się, spojrzała mu w oczy.

- Postaram się go przekonać, by pozwolił mi się zbadać.

Przytrzymał jej wzrok, a potem wyznał cicho:

- Zamierzałem panią prosić, aby pani wyjechała... jeszcze dziś po południu.

Popatrzyła na niego spokojnie.

- Z powodu żmii.

Zauważył, że nie było to pytanie. Mimo to potwierdził.

- Niemożliwe, by samodzielnie znalazła się w destylarni. Ktoś ją tam wpuścił, gdy była pani z Alice w ogrodzie ziołowym.

W jednej chwili jej wzrok stał się odległy, ale zaraz potem spojrzała mu w twarz.

- Ogród ziołowy jest widoczny ze wszystkich stron, mógł nas tam zobaczyć każdy z domu i nie tylko, a drzwi frontowe nie są zamykane na klucz, mam rację?

Zaciskając szczęki, pokręcił głową.

- Dom jaśnie pana jest zawsze otwarty dla członków klanu. Co przypomina mi o moim życzeniu. Mogłaby pani wyjechać? I wrócić jutro, by dalej instruować Alice?

Patrzyła na niego na tyle długo, że poczuł znowu przyływ nadziei - lecz potem się skrzywiła.

- Nie. Nie chcę zostawiać Alice, dopóki nie będzie wiedziała, że poradzi sobie sama... w naszym fachu pewność siebie to fundament. Bez niej, bez wiary, że to, co się robi, robi się dobrze, trudno podejmować decyzje dotyczące leczenia ludzi. Ale prawda jest taka, że bardziej martwi mnie zdrowie Manachana.

Położyła mu dłoń na ramieniu; poczuł jej lekki dotyk przez surdut oraz koszulę i musiał zapanować nad natychmiastową reakcją. Zawrócili, a wtedy splotła ręce przed sobą.

Opuścił ramię, zadowolony, że przestała go rozpraszać, a jednak przewrotnie pragnąc, aby zrobiła to znowu. Splótł ręce za plecami, by nie przyciągnąć jej do siebie.

Zerknęła na niego.

- Manachan nie powinien być w takim stanie, jestem o tym przekonana. Nie ma ku temu powodu. Mogę uznać, że osłabiła go jakaś choroba, jednak powinien już odzyskać siły. - Napotkała jego wzrok i podniosła głowę. - Wiem, że mogę go wyleczyć, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo. Ale by tak się stało, musimy go namówić, by skorzystał z mojej pomocy... a najlepszą okazją ku temu będzie dzisiaj kolacja. Mimo że to go męczy, chce odgrywać gospodarza. To doskonały moment, by przedstawić mu wizję powrotu do zdrowia. Poczucie, że jest słaby, i będzie tym sfrustrowany. Wykorzystamy to i przechylimy szalę na naszą stronę.

Perspektywa, którą przed nim roztoczyła - przywrócenia Manachana do formy - była zbyt kusząca, zbyt pożądana, aby ją odrzucić.

- Jeśli się zgodzi... będzie pani mogła wrócić do Vale po kolacji i jutro przesłać napar, który mu przepisze...

Nie dokończył; zatrzymał się, gdyż Lucilla przystanęła i pokręciła głową. Gwałtownie. I z uporem zacięła usta.

- Nie. - Spojrzała mu w twarz oczami twardymi jak kryształ. - To nie pomoże. Jeśli Manachan się zgodzi, to przyzna pan, że będziemy musieli działać od razu, nie tracąc ani chwili?

Znając starszego pana, kiwnął głową.

- Więc jeśli się zgodzi - ciągnęła - chciałabym go zbadać, a to stosunkowo proste, i natychmiast przygotować napar na wzmocnienie... gdyby zażył go jeszcze dziś wieczorem, rano poczułby się o wiele lepiej. Jeśli się zgodzi, skorzystam z okazji i przekonam go, że owszem, lekarstwo mu pomoże. Nazajutrz, kiedy zobaczę, jak podział na niego ten środek, zaaplikuję z kolei wywar ziołowy na pobudzenie, który mógłby zażywać przy każdym posiłku, aby odzyskać energię. - Pochwyciła jego

spojrzenie i oświadczyła stanowczo: – Więc zostanę na kolację i jeżeli Manachan pozwoli, bym się nim zajęła, spędzę tu jeszcze co najmniej jedną noc. – Gdyby mogła, zażyczyłaby sobie dwóch.

W trakcie tych wszystkich zdarzeń nie miała okazji popchnąć naprzód swojej sprawy – sprawy Pani. Gdyby potulnie wróciła do Vale, nie wiedziałaby, dokąd zaszła, a on usiłowałby jak najszybciej wyjechać do Glasgow.

Czekała na jego powrót wiele lat. I teraz, kiedy wrócił, nie zamierzała pozwolić mu wyjechać. Pozwolić, by odwiózł ją do domu i uciekł.

Spojrząwszy w usiane plamkami bursztynowe oczy Thomasa, poczuła jego opór i wręcz namacalną siłę. Dostrzegła ją w jego wzroku, zaciśniętych ustach, zarysie pięknej kwadratowej szczęki.

Ten opór nie zmalął, ale zauważyła coś innego. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, uniosła brwi.

– Jeśli dobrze pana zrozumiałam, aby pomóc członkom klanu w rozwiązaniu dziwnych problemów, które spadły na posiadłość, musi pan przywrócić Manachana do sił. Na tyle, by jeśli nie będzie w stanie przejąć z powrotem zarządu nad nią, przynajmniej wywarł wpływ na jej prowadzenie. Chcę pomóc pańskiemu stryjowi, bo tym się zajmuję... to należy do moich obowiązków tak samo jak do pańskich pomaganie klanowi. Może nie należy on do moich podopiecznych, ale niewątpliwie mieszka na ziemiach Pani. Wyjechać, nie podjąwszy żadnych wysiłków, by go uratować... tego bym nie chciała. – Powiedziała to ostatnie zdanie z taką determinacją, by nie miał wątpliwości, że odmówi wyjazdu, gdyby próbował ją do niego zmusić. Pozostało jej więc tylko dorzucić: – Jak rozumiem, mamy wspólny cel. Oboje chcemy tego samego, by Manachan ozdrowiał.

Nie dyskutował z tym, nie mógł.

Jednak kiedy już musiał skapitulować, nie była to wcale kapitulacja.

– Doskonale – rzucił krótko. – Jednak gdy tylko skończy pani z Manachanem i Alicie będzie w stanie poradzić sobie sama, odwiozę panią do Vale.

Teraz z kolei ona nie miała co odpowiedzieć.

9.

Przy kolacji zebrano się takie samo grono jak poprzedniego wieczoru. Wszyscy siedzieli na tych miejscach co wcześniej. Zmieniło się tylko to, że Manachan, jak spodziewali się Thomas z Lucillą, był jeszcze bardziej osłabiony.

Poza tym Lucilla odniosła wrażenie, że Nigel i Nolan postanowili ją obciążyć odpowiedzialnością za stan ojca, który nalegał, że zejdzie do jadalni mimo wysiłku, jaki go to kosztowało.

Bracia przyszli jako ostatni. Nigel, zobaczywszy, że Manachan siedzi u szczytu stołu, ściągnął brwi.

- Jestem pewien, ojcze, że panna Cynster by się nie obraziła, gdybyś pozostał w łóżku. To dla ciebie zbyt męczące.

Manachan powoli zwrócił głowę w jego stronę i przyjrzał mu się spod krzaczystych brwi. Chociaż już odzyskał dech po mozolnej drodze po schodach, trudno było nie usłyszeć wzburzenia w jego głosie, kiedy odparł:

- Nie ona potraktowałaby to jako afront, lecz klan, i dopóki mam jeszcze dość sił w więdnącym ciele, nie będę uchylał się od swych obowiązków.

Nigel zacisnął usta. Patrząc niechętnie na Lucillę, usiadł po lewej stronie Manachana.

Nolan podążył za nim; zajmując miejsce obok brata, jak on skierował na nią niezadowolone spojrzenie.

Zignorowała ich, skwapliwie natomiast podchwyciła trop, który jej podsunęli. Korzystając z tego, że właśnie podawano zupę, przechyliła się w stronę Manachana i powiedziała:

- Brak oddechu i ogólne osłabienie to często skutek choroby, ale zazwyczaj łatwo im zaradzić.

Manachan utkwiał w jej twarzy spojrzenie swych niebieskich oczu. Po chwili mruknął:

- Doprawdy?

Wyprostowała się, by Ferguson mógł nalać jej na talerz zupę z dziczyzny. Kiedy kamerdyner przeszedł dalej, popatrzyła na Manachana, który nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- O tak. Jest kilka skutecznych wywarów, które przywracają nadwątlone siły.

Starszy pan wyraził zdziwienie.

- A jeśli siły są nadwątlone nie przez chorobę, lecz wiek, hę? Ma pani zioła, które odwrócą bieg czasu?

Nigel, który przysłuchiwał się tej rozmowie, prychnął sceptycznie.

Lucilla jednak odpowiedziała pogodnie:

- Efektów starzenia się nie można odwrócić, ale czy ma pan pewność, że to wiek jest przyczyną pańskiego obecnego stanu?

Manachan przerwał jedzenie zupy, zastygając w bezruchu z uniesioną łyżką.

Nie dała mu czasu na odpowiedź i mówiła dalej:

- Prawda jest taka, że nie można mieć takiej pewności. Co jednak szkodzi wypróbować jeden czy drugi napar i sprawdzić, czy któryś nie pomoże?

Lekko wzruszyła ramionami i skupiła uwagę na zupie. Podnosząc łyżkę do ust, do dała cicho, tylko na użytek Manachana:

- Wiem, że klan z radością zobaczyłby pana znowu na nogach.

Przeniosła spojrzenie na talerz i jadła dalej. Chociaż czuła na sobie wzrok starszego pana - a także Nigela i Nolana - nie zareagowała, nie spojrzała na nich, pozwalając, by przetrawili to, co powiedziała.

Thomas zagadnął Niniver o ogrody po drugiej stronie domu. Choć Lucilla udawała zainteresowanie, skupiła uwagę na Manachanie, licząc, że sam powróci do tematu swego zdrowia.

Byli już w połowie głównego dnia, gdy jej cierpliwość została nagrodzona; Manachan chrząknął i zapytał:

- Naprawdę sądzi pani, że ta przekłeta słabość nie wynika ze starości?

Zwracając się ku niemu, popatrzyła mu w oczy.

- Nie znam pana tak dobrze, ale na podstawie tego, co pamiętam i co mówią inne, bliższe panu osoby - zerknęła szybko na Edgara, stojącego jak zwykle przy swym panu - powiedziałabym, że są duże szanse, iż pańskie osłabienie nie ma nic wspólnego ze starością, lecz jest przeciagającym się skutkiem jakiejś choroby. - Przerwała, by po chwili dodać: - Wiek nie ma wpływu na zdolność organizmu do regeneracji. Być może po prostu nie doszedł pan jeszcze do siebie. A taką słabość łatwo zwalczyć.

Manachan przewiercał ją wzrokiem. Śmiało odpowiedziała na jego spojrzenie i tylko czekała.

Po dłuższej chwili wyprostował się, wciąż na nią patrząc.

- Gdybym uznał, że pora oddać się w ręce uzdrowicielki... pod warunkiem, jak pani mówi, że jeden czy drugi napar nie przyniosłby szkody... i jeśli postawiłbym zadanie przywrócenia mnie do zdrowia przez panią, jaką kurację by pani zaleciła?

Był szczwanym lisem. Zadanie? Jakby się tylko bawił, chcąc sprawić przyjemność gościowi, ale wiedziała, jak to wykorzystać. Przywołując uśmiech na twarz, pochyliła się ku niemu i odparła:

- Gdybym miała możliwość wypróbowania swych umiejętności na panu, musiałabym pana zbadać, sprawdzić pański wzrok i cerę, dowiedzieć się, co panu dolega i czy pamięta pan, jaka dolegliwość mogła spowodować osłabienie. A później zaleciłabym na noc środek wzmacniający. - Przytrzymała jego spojrzenie. - Rankiem bym się przekonała, czy pomógł, a gdyby tak było, przygotowałabym środek pobudzający, który by pan brał, by całkowicie wrócić do sił.

Manachan przyglądał jej się przez dłuższy czas. Nikt przy stole się nie odzywał.

Potem starszy pan się skrzywił.

- Dlaczego nie?

Ferguson czekał, by zabrać jego talerz. Manachan to zauważył i machnął ręką; kamerdyner po chwili postawił przed nim talerzyk z gruszką w syropie z półmiska, który wniósł służący.

Kiedy zakończyło się zamieszanie z wymianą talerzy i wszyscy zabrali się do je-

dzenia deseru, Manachan powrócił do tematu, który zaprzętał teraz każdego z obecnych:

- Jak pani mówi, nie szkodzi spróbować i rzeczywiście, można by powiedzieć, że to mój obowiązek wobec klanu, he?

Skłoniła głowę, choć podejrzewała, że słowa te są adresowane do innych, nie do niej. Nigel na przykład wydawał się wręcz wstrząśnięty wizją ojca poddającego się kuracji. Nolan miał zdumioną minę, a nawet Norris ze zdziwienia zamrugał. Co do siedzącego obok niej Thomasa, nie mogła się odwrócić, by zobaczyć jego minę, jednakże wyczuła ulgę, z jaką przyjął jej zwycięstwo, w które wątpił, a także nadzieję, że uda jej się, jak zapowiadała, przywrócić Manachana do zdrowia.

Gdy tylko skończyli jeść, starszy pan odłożył serwetkę i skinął na Edgara.

- Mam dość na dzisiaj, idę na górę. - Spojrzał na Lucillę, gdy wstawiała od stołu razem z Niniver. - Niech pani idzie napić się herbaty... przyślę po panią, gdy będę gotów.

Lucilla spojrzała na niego, uśmiechnęła się z ufnością i skinęła głową.

- Będę czekać.

Manachan, wsparty ciężko na ramieniu Edgara, odwrócił się i prychnął.

- Zobaczmy, czy pani i jej patronka sprostają zadaniu uleczeniu takiego starego drania jak ja.

Wszyscy usłyszeli jego cichy chichot, kiedy wychodził z pokoju.

Niniver, z szeroko otwartymi oczami, dołączyła do Lucilli. Obie ruszyły za Manachanem i Edgarem, kierując się do salonu.

Thomas pozostał przy stole z Nigelem, Nolanem i Norrisem. Ferguson i pozostali służący szybko wynieśli talerze i półmiski, po czym zgodnie ze zwyczajem postawili przed Nigelem trzy kafarki wraz z kompletem kryształowych szklanek.

Nigel wziął karafkę z whisky, nalał do szklanki sporą jej ilość, a następnie przekazał trunek Nolanowi, siedzącemu po prawej stronie. Nolan zrobił to samo, a potem podał whisky Norrisowi, który z pewnym roztargnieniem nalał sobie odrobinę.

Thomas skorzystał z okazji, by przyjrzeć się temu ostatniemu; najmłodszy syn Manachana jak zwykle zdawał się przebywać myślami daleko - w innej rzeczywistości, a przynajmniej w innym miejscu. Miał coraz silniejsze wrażenie, że młodzieniec odcina się od otoczenia. Ciekaw był, jak Norris spędza całe dni, i postanowił zapytać o to... Niniver.

Tymczasem Norris pchnął karafkę w stronę Thomasa, który wziął ją, odkorkował i nalał sobie na dwa palce ulubionej whisky Manachana. Wtykając ponownie korek, przypomniał sobie ulgę i dziwną dumę, jakie poczuł, kiedy Lucilli udało się nakłonić starszego pana, by oddał się w jej ręce. Odchylając się na oparcie krzesła, uśmiechnął się mimowolnie i podniósł szklankę do ust, by to ukryć; co więcej, pozwoliła Manachanowi sądzić, że przystając na jej propozycję, tylko zabawia gościa.

Lecz jego zdrowie nie było kwestią zabawy.

Sączył whisky, udając, że nie interesuje go nic innego poza jej smakiem, i czekał na reakcje kuzynów.

Nigel szybko opróżnił swoją szklankę i ponownie sięgnął po karafkę. Nalawszy sobie whisky na trzy palce, rozparł się na krześle i spojrzał na Nolana, który obok

popijał trunek nieco wolniej.

- Nie wiem, czy to mądre... pozwalać jej tak podsycać jego nadzieje - zauważył.

Nolan, wpatrując się w bursztynowy płyn, w którym załamywało się światło, gdy obracał szklankę w dłoniach, wzruszył ramionami.

- Wszyscy wiemy, że jego stan jest skutkiem wieku. Spróbuje jej ziół, to nic nie pomoże i będzie po sprawie.

Thomas zauważył, że nawet Norris skinął głową na potwierdzenie.

Wyraził zdziwienie.

- Skąd wiecie? Czy badał go medyk?

Nigel sarknął.

- Sugerowałem to, ale wiesz, jaki jest papa. Nie chciał się zgodzić, twierdził, że gorzej się poczuł i że mu przejdzie. To było jednak we wrześniu. - Spojrzał na szkło, które trzymał w palcach. - Jestem po prostu zdziwiony, że zgodził się, by to akurat ona się nim zajęła.

Nolan upił łyk alkoholu i mruknął:

- To wszystko bzdury, te uzdrowicielskie sztuczki. Jednak kiedy się okaże, że nie skutkują... - Wzruszył ramionami. - W głębi duszy ojciec wie, że to wszystko wynik starości i że jego czas się kończy. Ustąpił, bo ona jest tu gościem, a on dość staromodnym człowiekiem, który dba o formy.

Thomas trzymał język za zębami; byłoby dla wszystkich lepiej, gdyby Nigel uwierzył w tę wersję tak jak Nolan. Lucilla, on sam i Manachan mieliby swobodę działania podczas eksperymentów z ziołami. I choć był nieco zdziwiony, że obaj bracia, a nawet Norris, jeśli brać pod uwagę jego okazjonalne kiwnięcia głową, są tak niskiego zdania o uzdrowicielach, to istniała możliwość, że nigdy nie mieli okazji się przekonać, co może sprawić dobry uzdrowiciel.

On natomiast, niezależnie od sławy, jaką się cieszyła, widział Lucillę w akcji, i to nie raz, ale dwa razy. Mała Lucy, córka Jeba i Lottie Fieldsów, mieszkających w jednej z odległych chat pasterskich, nie przeżyłaby, gdyby nie jej pomoc. Podobnie Bradshawowie. Sam nigdy nie wpadłby na to, że przyczyną ich zatrucia może być woda ze studni. W przeciwieństwie do Lucilli - i to ona ich uratowała.

- Jestem jednak pod wrażeniem - odezwał się Nigel - że chciała tu zostać po incydencie ze żmiją. Spodziewałbym się, że raczej ucieknie stąd z krzykiem i będzie wrzeszczała przez całą drogę do Vale.

Nolan zerknął na drugą stronę stołu i pochwycił spojrzenie Thomasa.

- Ukąszenie dorosłej żmii o tej porze roku... - Uśmiechnął się krzywo i skrył tę minę za szklanką. - Jestem zdziwiony, kuzynie, że nie zaproponowałaś, że odwieziesz ją do domu. W końcu to ty sprowadziłaś ją na ziemię Carricków.

Nigel prychnął.

- Pomyśl tylko, co by było, gdyby coś jej się u nas stało. - Melodramatycznie wzruszył ramionami i znowu opróżnił szklankę, ponownie sięgając po karafkę.

Nolan, kołysząc w dłoniach swój trunek, pokiwał głową.

- A co gorsza... pomyśl, co będzie, jeśli ojcu się pogorszy, zamiast polepszyć. Jak to przyjmą członkowie klanu?

Thomas nie odpowiedział, pozornie zupełnie nie zareagował, choć musiał nad sobą mocno panować, by nie napiąć mięśni, nie ścisnąć szklanki w ręce. Ale niez-

leżnie od motywów tych złościwości komentarze obu braci nie były pozbawione prawdy.

To jednak, że Lucilla pozostała we dworze, by zająć się Manachanem, było słuszną decyzją, jeśli chodzi o dobro klanu. Co więcej, Lucilla działała jako miejscowa przedstawicielka Pani i mimo targających nim wątpliwości nie miał prawa wchodzić jej w drogę.

Było to racjonalne i logiczne, jednak bolały go uszczypliwości kuzynów, bo dotyczyły tej sfery, w której nie mógł się zdobyć na racjonalność ani logikę. Za wszelką cenę pragnął bezpieczeństwa Lucilli, a to w jego przekonaniu oznaczało wywiezienie jej stąd z powrotem do Vale.

Bradshawowie. Joy Burns. Faith Burns. A teraz jeszcze żmija w destylarni. Takie zbiegi okoliczności zdarzają się rzadko.

Norris dopił whisky, odstawił szklanekę i wstał.

- Idę na górę. - Objął spojrzeniem zebranych. - Dobrej nocy.

Thomas odpowiedział mruknięciem. Nigel i Nolan tylko odprowadzili chłopaka wzrokiem.

On także wysączył resztki trunku. Nie miał ochoty siedzieć dłużej z kuzynami; gdyby został, mógłby ulec pokusie i poruszyć kwestie, które na razie lepiej było pozostawić w zawieszeniu - przynajmniej dopóty, dopóki Manachan, jak liczyła Lucilla, nie odzyska sił.

Odstawiając pustą szklanekę, odsunął się z krzesłem od stołu.

Nigel i Nolan zrobili to samo.

Zatrzymał się za drzwiami i obejrzał na kuzynów.

- Idę do salonu. Przyjdziecie tam?

Nolan spojrzał porozumiewawczo na Nigela, a ten popatrzył na Thomasa.

- Przepróż w naszym imieniu pannę Cynster, ale mamy ważne sprawy, którymi musimy się zająć.

Powstrzymał się przed uniesieniem brwi w wyrazie niedowierzania; skłonił tylko głowę i ruszył przed siebie.

Jednakże na końcu korytarza, zanim skręcił w stronę frontowego holu, przystanął i zerknął za siebie - w panującym po przeciwnej stronie mroku dostrzegł, że Nolan wchodzi za Nigelem do pokoju bilardowego.

Cynicznie krzywiąc usta, poszedł dalej.

Nolan pochylił się nad stołem bilardowym i przymierzył do uderzenia.

Nigel stał naprzeciwko niego, pocierając kredą czubek kija.

Brat wbił bilę do bocznej luzy i okrążył stół, by wykonać następne uderzenie.

Nigel popatrzył na swój kij.

- Myślisz, że zioła Lucilli ojcu pomogą?

Nolan znowu wbił bilę, a potem się wyprostował. Patrząc na stół, wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć?

- Ale to podobno doskonała uzdrowicielka... ludzie mówią, że jeszcze lepsza od matki.

- Może sprawi, że ojciec poczuje się lepiej, ale wiesz równie dobrze jak ja, że jest

po prostu stary. Nawet Lucilla nie czerpie ze źródła młodości. Poprawi mu się na dwa dni, a potem znowu się przeforsuje i osłabnie... Już tak bywało w ostatnich miesiącach. – Znowu pochylił się nad stołem.

Nigel spojrział na niego, odczekał, aż brat wykona następne uderzenie, a potem zagadnął:

– A jeśli naprawdę mu się polepszy? – Kiedy Nolan się wyprostował i popatrzył mu w oczy, podjął: – Jeśli dojdzie do siebie na tyle, by przejrzeć na oczy, i odkryje, co narobiłem? Nie pochwali tego... niczego nie pochwali. Wtedy na pewno przejmie władzę, a my znajdziemy się tam gdzie wcześniej... bez widoków na życie, z którego zaczęliśmy korzystać. – Z rozpalonym wzrokiem zbliżył się do Nolana. – Jeśli nie tylko odwróci bieg spraw, ale jeszcze postara się, byśmy po jego śmierci nie mogli niczego zmienić? – W jego głosie pojawiła się panika. – Jeśli nas wydziedziczy i uczyni swym następcą Thomasa?

Nolan jakby rozważył taką możliwość i pokręcił głową.

– Nie... nie pozwoli sobie na to. Przede wszystkim nigdy nie przyzna, że nie jesteś najlepszym kandydatem na przywódcę klanu. – Powoli zaczerpnął tchu. – A co do reszty, robisz z igły widły. Lucilla nie jest cudotwórczynią. Ojcu może się poprawić, ale tylko na jakiś czas. Ona wyjedzie, a on za parę dni wróci do poprzedniego stanu. – Odwrócił się do stołu i pochylił nad nim. – Zobaczysz, że mam rację.

– Ale nawet przez ten czas może się zorientować w stanie rzeczy.

Nolan pokręcił głową.

– Potrzeba by było kilku dni, by wrócił do biblioteki i przejrział księgi rachunkowe. A nawet wówczas mógłby niczego nie zauważyć.

Nigel się rozpogodził.

– Zapomniałem, że prowadzisz dwa komplety rachunków.

Nolan wbił kolejną bilę do łoży.

– Mówiłem ci, że to się kiedyś okaże przydatne. Ojciec może sobie je przeglądać do woli i zobaczy jedynie, że zarządzasz posiadłością po dawnemu... działasz pomału, jak on.

Nigel parsknął śmiechem.

Nolan obszedł stół, by wbić ostatnią bilę.

– Wątpię jednak, byśmy potrzebowali fałszywych ksiąg. Ojcu aż tak się nie polepszy. Wierz mi... kiedy tylko Lucilla wyjedzie, papa znowu poczuje się gorzej.

Nigel patrzył, jak bila wpada do narożnej łoży.

– Jeśli dalej tak będzie słabł, dużo dłużej nie pociągnie.

Nolan się wyprostował i napotkał spojrzenie brata.

– Prawdopodobnie nie.

Thomas siedział z Lucillą w salonie, kiedy przyszedł Ferguson, by powiedzieć, że Manachan jest gotowy ją przyjąć.

Niniver pożegnała się i wyszła, gdy tylko wypili herbatę. Wtedy Lucilla poprosiła Thomasa o bardziej szczegółową relację z jego objazdu posiadłości; spełnił jej prośbę, a wnikliwe pytania, które zadawała, kolejny raz stanowiły potwierdzenie, że dobrze znała sposób myślenia miejscowych. Rozumiała to, czego nie rozumieli ludzie z zewnątrz.

Niosąc lampę, by oświetlać drogę, odprowadził ją po schodach i dalej galerią do pokoju Manachana. Tam przystanął i spojrzał jej w oczy.

- Gotowa? - zapytał.

Zamruwała.

- Oczywiście. - Zanim sam zdążył to zrobić, zapukała do drzwi.

Chwilę później stanął w nich Edgar. Cofnął się i otworzył je szeroko. Ten zazwyczaj ponury człowiek prawie się uśmiechnął.

- Dziękuję, że panienka przyszła - powiedział niemal szeptem. Gestem zaprosił ją do salonu po jednej stronie. - Jaśnie pan czeka na panią.

- Dziękuję, Edgarze. - Lucilla ruszyła do wskazanego pokoju, ale zatrzymała się tuż przed progiem i obejrzała na Edgara. - Będę wdzięczna, jeśli pójdziesz ze mną. Twoje spostrzeżenia mogą być pomocne.

Edgar skłonił głowę.

Lucilla się odwróciła i wkroczyła do pokoju. Nie wiedziała, czy Manachan nie żałuje, że zgodził się poddać badaniu, a następnie leczeniu; mógł stać się zrzędlivy i trudny, jednakże zamierzała go zbadać i uzyskać od niego - a także od Edgara w razie konieczności - wszystkie informacje, których potrzebowała.

Uspokoila się nieco, gdy zobaczyła, że Manachan przebrał się w koszulę nocną; otulony barwnym aksamitnym szlafrokiem, siedział w dużym rzeźbionym fotelu o prostym oparciu.

Przywołując na usta najbardziej profesjonalny pokrzepiający uśmiech, skinęła głową.

- Doskonale. To mi się podoba.

Wyraźnie się rozpromienił.

- Ostrzegam panią... Od dziesięcioleci nie dopuszczałem do siebie medyków, więc jeśli się pani zdaje, że pozwolę się dźgać i ostukiwać, będzie pani musiała poczekać, aż obłożnie zachoruję.

Powściągnęła radość.

- Nie muszę dźgać ani ostukiwać. Muszę tylko zajrzeć panu w oczy, dotknąć pańskich dłoni i stóp, a następnie zadać panu kilka pytań. Proszę mówić prawdę.

Prychnął, lecz pozwolił, by zajrzała mu w oczy. Lucilla zwróciła uwagę na jego bladość, ale nie chorobliwą; nie miał podkrążonych oczu ani żadnych innych oznak choroby. Poleciała Edgarowi, by trzymał lampę nad jej ramieniem, i uważnie przyjrzała się wyblakłym niebieskim tęczęwkom.

- Co pani widzi? - zapytał starszy pan.

- Przede wszystkim pański wiek - odparła cierpko. Po chwili przyznała: - Widzę także, że przebył pan jakąś poważną chorobę, związaną z trawieniem i krwią... kilka miesięcy temu. - Prążki były wyraźnie widoczne; atak musiał być poważny.

- Ano - mruknął Edgar. - Tak było.

- Cicho. - Kiedy Lucilla się cofnęła, Manachan ostrym wzrokiem spojrzał na służącego. - Zobaczmy, do czego dojdzie sama.

Zerknęła na niego. Zbadawszy mu puls, zarówno na szyi, jak i nadgarstku, obejrzała jego ręce i na koniec stopy oraz kostki. Nie stwierdziła nienaturalnych opuchlizn, a barwa paznokci i skórek była jak na kogoś w jego wieku całkiem dobra. Puls jednak wydawał się słabszy, niżby sobie życzyła, a odcień skóry i jędrność mię-

śni można było poprawić.

Nie była pewna, w jakim stopniu te objawy wynikały z długiego okresu osłabienia, a w jakim nieodwracalnych zmian.

Wyprostowała się i usiadła na drugim z dwóch foteli o prostym oparciu. Thomas stanął za nią, podczas gdy Edgar zajął miejsce za Manachanem. Lucilla spojrzała starszemu panu w twarz.

- A teraz... proszę o odpowiedź na kilka pytań. Po pierwsze, wygląda na to, że doznał pan jakiegoś ataku natury trawiennej, powiedzmy, niespełna rok temu. Czy mam rację?

- Uhm. - Kiwnął głową. - Słusznie. Od tego wszystko się zaczęło. - Wskazał na siebie i swoje wątłe ciało.

- To było prawie w połowie lata - podsunął Edgar.

Lucilla pokiwała głową.

- Doskonale. - Zadała Manachanowi kilka pytań dotyczących jego samopoczucia w czasie ataku. Niektóre przyjmował niechętnie, ale pod wpływem surowych spojrzeń Thomasa i Edgara burkliwie udzielał odpowiedzi. Tak jak liczyła Lucilla, jeśli próbował coś pominąć albo ukryć, Edgar był tak blisko z nim związany i miał tak mocną pozycję w jego życiu, że mógł wypełnić tę lukę.

Kiedy w wywiadzie wreszcie doszła do teraźniejszości, miała już całkiem sprecyzowane przypuszczenie, co dolega staremu despocie.

Gdy więc w końcu niecierpliwie spytał: - No, i co mi jest? - uśmiechnęła się i wstała.

- Z radością mogę powiedzieć, że w tej chwili nic. W zeszłym roku poważnie pan zachorował, lecz po upływie tak długiego czasu nie mogę stwierdzić, co to była za choroba. W następnych miesiącach miał pan ze dwie zapaści, ale nie jest pan już chory i jeśli czuje się pan słaby i pozbawiony energii, to tylko dlatego, że wycieńczyła pana tamta dolegliwość i pański organizm nie wrócił jeszcze do formy. - Popatrzyła mu w oczy. - Potrzebne panu zioła, które pomogą wrócić do zdrowia. Nie odzyska pan sił w ciągu jednej nocy i nie mogę obiecać, że poczuje się pan tak jak kiedyś, ale z czasem, jeśli będzie pan zażywał specyfik, który panu przepiszę, znacznie się pan wzmocni.

Manachan przyjrzał się jej i dostrzegła w jego oczach nadzieję, którą próbował zamaskować.

- Jeśli zdołam samodzielnie wejść po schodach, będę szczęśliwy.

Przechyliła głowę.

- Myślę, że to całkiem możliwe.

Starszy pan mruknął:

- No dobrze... to co mam brać? Tylko żadnego śluzu żaby.

Zaśmiała się.

- Zapewniam pana, że to, co panu dam, jest pochodzenia roślinnego.

Machnął ręką, dając znak, by powiedziała coś więcej.

- Przygotuję panu na noc środek wzmacniający. Wypije go pan i położy się spać. Jutro, kiedy pan wstanie, na pewno poczuje się pan lepiej. - Po czym zwróciła się do Edgara: - Proszę go nie budzić, niech obudzi się sam.

- A później? - zapytał Manachan.

Przeniosła na niego wzrok.

- Zbadam pana ponownie i zależnie od tego, jak zareaguje pan na lek, przyrządzę środek na pobudzenie, który panu zostawię. To syrop, który będzie pan zażywał dłużej... co najmniej przez kilka tygodni. Będzie brał go pan przy każdym posiłku. Powinien pomóc panu wrócić do zdrowia, do sił.

Manachan patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem skłonił głowę.

- Dziękuję pani.

Przytrzymała jego spojrzenie.

- Obieca mi pan, że będzie pan przyjmował ten środek?

Prychnął.

- Gdyby pani wiedziała, jak bardzo chcę odzyskać siły, nie pytałaby pani o to.

Zadowolona, zerknęła na Thomasa; przez cały czas milczał.

- Muszę pójść do destylarni, ale właśnie sobie uświadomiłam, że klucz ma Alice.

Thomas skinął Manachanowi głową i wskazał jej drzwi.

- Ferguson go nam przyniesie.

„Nam”, gdyż nie zamierzał zostawić jej w destylarni samej.

Lucilla popatrzyła na Manachana.

- Życzę panu dobrej nocy. Przyniosę napar, Edgar go panu poda. I zobaczymy się rano, kiedy się pan obudzi. Niech Ferguson mnie zawiadomi, kiedy będzie pan już ubrany i gotowy na rozpoczęcie dnia.

Starszy pan pokiwał głową.

- Dobrze... i jeśli nie poczuję się lepiej, niech się pani przygotuje na skargi.

Lucilla i Thomas wyszli, uśmiechając się szeroko. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Thomas spowaźniał. Popatrzył Lucilli w oczy.

- Poprawi mu się?

Odpowiedziała na jego spojrzenie, a potem, unosząc kąciki ust, pokręciła głową.

- Och, człowieku małej wiary. - Ruszyła w stronę schodów. - Na pewno mu się poprawi. Na ile w ciągu jednej nocy? To już w rękach Pani.

Thomas siedział na stołku w destylarni i patrzył na pracującą Lucillę. Przyćmione światło lampy rzucało na jej płomienne włosy złotawy blask i ocieplało alabastrową cerę, a usta upodabniało do róży.

Była bardzo skupiona na tym, co robiła; mogłoby go w ogóle tam nie być.

Poczuł się zaintrygowany, kiedy sobie uświadomił, że pozwoliła, by ją obserwował - taką, jaka była naprawdę, bez żadnej osłony ani woalu.

Mierzyła i ważyła, mruczając przy tym pod nosem.

- Dwie krople olejku glogowego powinno wystarczyć. Odrobina bukwicy. I nieco soku makowego, by to wszystko zrównoważyć.

Siedział i wsłuchiwał się w jej głos, jego brzmienie, modulację. Niezależnie od tego, co mówiła, ten jej monolog brzmiał w jego uszach jak kojąca litania.

I zdał sobie sprawę, jak dobrze Lucilla odnajduje się w czymś, co było jej domeną. Nigdy wcześniej nie był w destylarni; w dzieciństwie wysyłano go do niej, by spytał o tę czy inną maść, ale nigdy nie śmiał wejść do środka.

A teraz tu siedział, oddychał głęboko i napawał się spokojem tego miejsca - a także dziwną atmosferą bezpieczeństwa i przynależności.

W końcu Lucilla zamieszała żółtozielony płyn, który przygotowała, a następnie przelała go do stojącej obok butelki i zakorkowała. Odstawiwszy ją na bok, szybko odłożyła na miejsce użyte eliksiry i rozejrzała się po pomieszczeniu, by się upewnić, że zostawia w nim porządek. Zgasła lampy, wzięła butelkę i odwróciła się do niego.

Wstał ze stołka i podniósł z kontuaru lampę, z którą przyszli. Patrząc na butelkę, wymamrotał:

- Miejmy nadzieję, że to wypije.

Tyle zależało od zdrowia Manachana.

- Wypije. - Lucilla wyszła na korytarz. Czekala, by zamknął drzwi na klucz. Uśmiechnęła się, biorąc go od niego. - Twój zrzędlawy stryj nie cofnie się przed żadnym wyzwaniem i chociaż myśli, że mnie podpuścił, niewykonanie moich poleceń oznaczałoby kapitulację z jego strony. - Kiedy szli ku schodom na parter, dodała: - Poza tym niczego bardziej nie pragnie, niż by mu się polepszyło... świadczy o tym wszystko, co widziałam i słyszałam.

Ruszając po stopniach obok niej, Thomas pokiwał głową.

- Wciąż jest jaśnie panem i wie, że klan go potrzebuje, zrobi więc wszystko, by go nie zawieść.

Wkroczyli do frontowego holu i skierowali się ku schodom. Szli po nich w świetle lampy, która kołysząc się w jego dłoni, rzucała ruchome cienie na ciemną boazerię.

Kiedy dotarli na piętro, Lucilla szepnęła:

- Przez lata słyszałam różne skargi pod jego adresem, ale nikt nigdy nie twierdził, że nie działa na rzecz swojego klanu.

Thomas skinął głową. Kiedy zbliżyli się do pokoju Manachana, zapukał do drzwi.

W progu stanął Edgar i Lucilla wręczyła mu zakorkowaną butelkę.

- Musi wypić wszystko, do ostatniej kropli, a potem może położyć się spać. Poślij po mnie, kiedy będzie gotowy mnie rano przyjąć.

Służący obejrzał butelkę. Potem przeniósł wzrok na Lucillę i skłonił się.

- Dziękuję, panienko. Już ja się postaram, by wszystko wypić.

Skinąwszy głową Thomasowi, zamknął drzwi.

Lucilla się odwróciła i razem z Thomasem, idącym obok z lampą w dłoni, ruszyli przez galerię do skrzydła dla gości i swych pokoi. Ogarnęło ją podniecenie, niecierpliwość; chciała się przekonać, na ile jej lek pomoże Manachanowi. Miała powody oczekiwać, że efekt będzie wyraźny i zostanie uznany za nie lada dokonanie, co zamierzała jeszcze potwierdzić, stosując następny preparat. Była ogromnie zadowolona z postępów na tym froncie.

Jeśli jednak chodzi o postępy na froncie spraw osobistych, to choć nie straciła gruntu pod nogami, nie zyskała go na tyle, by poczuć się bezpiecznie. Miała jeszcze do przejścia długą drogę, by go przekonać, że jego los jest spleciony z jej losem - że jego przyszłość jest już przesądzona i że spędzi ją w Vale razem z nią.

Przeszli pod bogato rzeźbionym łukiem i znaleźli się w korytarzu przecinającym skrzydło dla gości. Carrick Manor, mimo że liczył kilka stuleci, był znacznie młodszym budynkiem niż Casphairn Manor, który wzniesiono wokół donżonu bardzo starego zamku i w ciągu wieków rozbudowano; w efekcie powstała budowla mniej więcej na planie koła, ze starą Wielką Salą pośrodku jako osią konstrukcyjną i sercem domu.

Tutaj od głównej części budynku, którą zasadniczo stanowił pierwotny dwór na planie kwadratu, odchodziły dwa skrzydła. Ściany, inaczej niż w Casphairn Manor, były pokryte tynkiem i boazerią z ciemnego drewna. Sufity wyłożono tym samym drewnem; były one niższe niż te, do których się przyzwyczaiła.

W tym domu panowała zupełnie inna atmosfera. Casphairn Manor, mimo dominującego jasnoszarego kamienia, był jasny i ciepły, przepełniony energią, śmiechem, biciem serc i krokami ludzi – żywy. Tymczasem Carrick Manor, chociaż zamieszka-ny, wydawał jej się senny, jakby uśpiony, pogrążony w zastoju.

Uświadomiwszy to sobie, musiała opanować drżenie. Czy zaczęło się to od choroby Manachana, czy może dawno temu po śmierci jego żony, tego nie wiedziała, ten dom jakby się skulił, zamknął, odciął od otoczenia, i teraz tylko czekał, lecz na co, nie potrafiła powiedzieć. Czuła jednak, że w końcu Carrick Manor umrze, jeśli nie zdarzy się coś, co znowu tchnie w niego życie.

Odsuwając od siebie tę myśl – być może nie wiedziała, co ożywiłoby ponownie ten dom, lecz przepełniła ją świadomość, że nie będzie to miało nic wspólnego z Thomasem ani nią – skupiła wzrok na długim korytarzu, którym podążali. Wciąż nie zdecydowała, jak postąpić z Thomasem, co zrobić dalej, tymczasem pokoje, które im oddano, znajdowały się naprzeciwko siebie przy końcu tego skrzydła. Już samo to mówiło o braku właściwego zarządzania domostwem. Niezameżni goście, mężczyźni i kobiety, powinni zostać ulokowani w oddzielnych częściach domu, a ponieważ tu nieużywane skrzydło było rzeczywiście nieużywane i stało puste, tak to się skończyło.

Zatrzymawszy się przed swoim pokojem, spojrzała na Thomasa.

– Właśnie sobie przypomniałam... znalazłam świecę Faith Burns. To o nią potknęłam się wtedy na korytarzu. – Krótko opisała, co odkryła, gdzie leżały świeca i świecznik.

Nawet w słabym świetle zauważyła, że wyraz twarzy Thomasa się zmienił. Wiedziała, że on także usiłował zrozumieć, jak to się stało, że Faith spadła ze schodów – a tu się okazało, że świeca odnalazła się tak daleko w korytarzu.

Westchnęła i odpowiedziała na jego spojrzenie.

– Wiem, że to podejrzany zbieg okoliczności, ale... istnieje jedno racjonalne wytłumaczenie śmierci sióstr Burns. – Ściągnął brwi, a ona ciągnęła: – A jeżeli Faith i Joy zjadły coś, gawędząc razem w kuchni... coś trującego? Gdyby Faith zjadła tego więcej niż Joy, pierwsza odczułaby tego skutki. Mogła stracić orientację, źle skreślić w galerii i zawędrować do nieużywanego skrzydła, tam upuścić świecę, a potem potknąć się i spaść ze schodów. Powiedzmy, że Joy zjadła mniej, dotarła na farmę Bradshawów, porozmawiała z Forresterami, zabrała się do pracy... a wtedy trucizna zaczęła działać i ją zabiła.

Przyjrzał jej się uważnie, myśląc, analizując.

– Nie zorientowałyby się pani, gdyby Faith także umarła na skutek zatrucia?

Po chwili namysłu pokręciła głową.

– Wątpię, ponieważ Faith zginęła z powodu skręcenia karku, nie otrucia, a jej ciało leżało tam tak długo, że kiedy je zobaczyłam, nie było już żadnych widocznych śladów działania trucizny. Nie sądzę jednak, bym jakieś znalazła, chyba że zwłoki odkryto by od razu i ktoś wiedziałby, czego szukać.

Patrzył na nią przez dłuższy moment, po czym zauważył spokojnie:

- Wciąż pozostaje więc pytanie, czy to zatrucie było efektem przypadku, czy celowego działania.

- Ponieważ nie mamy żadnego dowodu na to, że komuś zależało na śmierci sióstr, trudno obstawać za celowym działaniem. Każdy z klanu ma wstęp do domu, dniem i nocą, jeśli więc upierać się przy tym, że te wypadki nie były dziełem przypadku, dowiedzenie, kto za nimi stoi, będzie prawie niemożliwe.

Wciąż spoglądał jej w oczy.

- Rozważyła to pani tak samo dokładnie jak ja.

Uniosła głowę.

- Mieszkam w tych okolicach. Razem z Marcusem zarządzam Vale. Ponoszę równą odpowiedzialność i do moich obowiązków należy zgłaszanie wszelkich naruszeń prawa sędziemu pokoju. - Urwała i po chwili podjęła: - Muszę brać wszystko pod uwagę i decydować, co będzie najlepsze dla ludzi. Możemy się zastanawiać, jak doszło do tych wypadków, i wyobrażać to sobie, nie mamy jednak żadnego dowodu, a nawet pewności, że były to morderstwa, i nie potrafimy wskazać nikogo, kto by je popełnił.

Po chwili zacisnął usta i pochylił głowę.

- Ma pani rację. Mamy podejrzenia, ale nie dysponujemy żadnym dowodem, że Joy i Faith padły ofiarami czegoś innego niż tragiczne wypadki.

Przyglądając mu się, czekała - próbował przekonać samego siebie, pogodzić się ze stanem rzeczy, uznać, że dla klanu Carricków będzie najlepiej, jeśli porzucą swoje podejrzenia, i to, co spotkało Joy i Faith, nadal będzie uchodzić za przypadek.

Dwa przypadki. Być może ze sobą powiązane. Zbieg okoliczności.

Jej ta sytuacja nie podobała się tak jak jemu.

- Gdybyśmy mieli jakikolwiek dowód - mruknęła - to byłaby całkiem inna historia, ale jak dotąd go nie mamy i nawet jeśli się okaże, że w manierce są ślady trucizny, nie mamy pojęcia, kto może być mordercą. Sir Godfrey Riddle... obecny sędzia pokoju... nie podziękuje nam za to, że wsadzamy kij w mrowisko.

Thomas się skrzywił.

- Na pewno nie. - Zerknął na drzwi jej pokoju. Stęzał, jakby chciał się cofnąć w stronę swojej kwatery kilka kroków dalej w korytarzu.

Lucilla poczuła pulsowanie w skroniach. Miała pozwolić, by odszedł i nie posunęli się dalej? Ale on się zatrzymał i znowu spojrzał jej w twarz.

- Dziękuję... w imieniu swoim i klanu... za to, co pani robi dla Manachana.

Były to proste słowa, płynące z serca.

Nie dała sobie czasu do namysłu. Zamiast skłonić głowę w podziękowaniu - jak pewnie się spodziewał - przeszła śmiało przez korytarz, stanęła na palcach i pocałowała go.

I tym razem odpowiedział natychmiast, bez wahania. Nie próbował się cofnąć, ale od razu naparł ustami na jej ustami. Podniósł rękę, ujął jej głowę i przyciągnął do siebie.

Przejął kontrolę nad pocałunkiem, kierując się swoim pragnieniem. Pchnął ich oboje w istną burzę zmysłów i tam zakotwiczył, wdzierając się językiem do jej ust, wywołując reakcję głębszą i bardziej instynktowną, niż czuła kiedykolwiek wcze-

śniej.

Zacisnęła palce na klapach jego surduta i przyłgnęła do niego, odurzona i oszołomiona.

Thomas mógł tego uniknąć; wyczytał jej zamiary w zielonych oczach chwilę przed tym, nim do niego podeszła. Mógł się cofnąć, lecz tego nie zrobił. Ponieważ w głębi duszy jej pragnął.

Po tym, gdy wszedłszy do domu, usłyszał jej krzyk, wziął ją w ramiona i poczuł, jak drży, i musiał przyznać, że nie wie, nie ma pojęcia, czy w pobliżu nie czyha morderca...

Po tym wszystkim potrzebował tego – tej chwili, tego zbliżenia.

To było takie proste – i druzgocące. Zrozumieć ponad wszelką wątpliwość, że – tak jak zawsze podejrzewał – przemawiała do czegoś w nim, do pierwotnego mężczyzny, który w nim tkwił i natychmiast reagował na jej wezwanie.

Była w jego ramionach jednym wielkim płomieniem, obietnicą i pokusą – której nie mógł się oprzeć, niezależnie od tego, co sobie postanowił: że nigdy nie będzie jego. Że nie może jej mieć – czy raczej nie chce przyjąć tego, co tak skwapliwie mu oferowała.

Przyjęcie tego oznaczałoby pozostanie – z nią, pod jej urokiem.

Od dzieciństwa kształtował swoje życie, starając się mieć na nie wpływ, we wszystkich sferach. Nie umiał, nie chciał z tego zrezygnować, nawet dla niej.

Nawet dla tego raj, który – jak wiedział – znalazłby w jej objęciach.

Pokusa, którą stanowiła, zderzyła się z jego wolą i nie zamierzał ustąpić.

Tyle jednak mógł wziąć, pozwolić sobie na ten ostatni gorący pocałunek, bez ryzyka.

Brał więc i dawał, upajając się zarem tej pieśczości. Jej pełnymi wargami, gładkim miękkim wnętrzem ust, ciepłymi krągłościami, które do niego przyłgnęły.

Była pojętną uczennicą, jednakże mógł ją jeszcze wiele nauczyć; przechylił głowę, naparł mocniej i poprowadził ją.

W szalony pojedynek zapowiadający zakazane przyjemności, mroczny pulsujący żar pożądania. Niemal widział ją w tym pocałunku, namiętą nimfę ze spływającymi na plecy ognistymi puklami, kiedy podniosła głowę i zaśmiała się lekko, rozkoszując się słodkim podnieceniem, a potem rzuciła się w wir namiętności.

Otworzyła swe serce, umysł, ciało i przyciągnęła go do siebie.

Cofnął się, odsunął – była to pierwotna reakcja wynikająca z instynktownej świadomości, że stanął na niewidocznej krawędzi, że za chwilę posunie się o krok za daleko.

To cofnięcie się wymagało więcej wysiłku, więcej siły, niż przypuszczał – aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że będzie musiał walczyć nie tylko z nią, lecz także ze sobą.

Nie zamierzał jednak przegrać tej bitwy. Wciąż w jednej ręce trzymał lampę, co dawało mu przewagę. Sięgając na ślepo, postawił ją obok siebie. Po czym wreszcie podniósł głowę i zmusił ręce, by uczyniły to, co musiały, i ją odsunęły. Później wziął głęboki oddech.

I spojrzął w jej szmaragdowe oczy.

Zamrugała. W jej spojrzeniu wciąż widać było namiętność. Objęła wzrokiem jego

twarz, a potem znów popatrzyła mu w oczy. Zwilżyła usta i zapytała po prostu:

- Dlaczego?

Kiedy nie odpowiedział, próbowała dalej:

- Dlaczego się pan temu opiera? - Wskazała jego i siebie. - Temu, co jest między nami?

Było to proste pytanie, na które nie chciał odpowiedzieć, jednak kiedy się jej przyjrzał i dostrzegł w jej pięknych rysach upór oraz szczerłość, przyszło mu na myśl, że odpowiedź w tym samym tonie, według tych samych zasad, uczciwa i wprost, może być najlepszym sposobem, by to zakończyć. Co więcej, zakończyć jak należy, delikatnie i honorowo.

Nie wywierała na niego presji, ale czekała - była to taktyka, którą posługiwali się tylko ci obdarzeni największą pewnością siebie.

Ale on też znał swoją wartość.

- Mam wyraźną wizję swej przyszłości. Planowałem ją od lat... od śmierci rodziców, kiedy byłem tu przez rok. Od tamtego czasu samodzielnie wytyczam drogę, którą zmierzam podążać.

Słuchała go z uwagą; patrząc mu w twarz, dała znak, by mówił dalej.

Zaczerpnąwszy tchu, oparł się o ścianę. Krótko, ale sugestywnie opowiedział jej o swoim życiu w Glasgow: że piastuje stanowisko szefa Carrick Enterprises i ma obowiązki - i że wszystko to decyduje o życiu, jakie chce wieść, z odpowiednią żoną przy boku.

Nie szukał wymówek, ale mówił wprost, jakby rozmawiał z przyjacielem, a nie ewentualną kochanką.

I ku jego zdziwieniu, słuchała spokojnie. Wręcz chłonęła jego słowa; z takim samym skupieniem wcześniej przygotowywała napar dla Manachana. Z tego powodu nie musiał tłumaczyć, dlaczego nie pasowała do jego wizji - tak oddana Vale i pod wieloma innymi względami niespełniająca jego wymagań jako żona. Zamiast przekonywać, że jest zbyt silną osobowością, zbyt wymagającą i absorbującą, wystarczyło, że opisał swoją małżonkę - kobietę, której potrzebował. Kobietę o odpowiednich koneksjach w Glasgow, która by prowadziła mu dom, rodziła dzieci, zarządzała gospodarstwem i pojawiała się przy jego boku, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Lucilla słuchała, jak roztaczał swą racjonalną i niewątpliwie starannie zaplanowaną wizję, i z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że zamiast mieć złamane serce, cierpieć katusze, czuła tylko rosnące zniecierpliwienie, że wciąż nie dostrzegał prawdy.

Sama żywiła bowiem, nawet teraz, mimo tego, co mówił, niezachwianą wiarę w tę prawdę - w wizję Pani. I to nie dlatego, że była związana z Panią przez całe życie, ani z powodu własnego uporu czy też niechęci, by dać za wygraną.

Jej pewność wynikała z czegoś głębszego. Z absolutnego przekonania, że nie mają, ani ona, ani on, wyboru, bez względu na to, co Thomas myśli i czego dowodzi.

Mógł ją przekonywać do końca świata, stawiać opór aż do śmierci, a i tak nie był w stanie zmienić tego, że był jej, a ona jego.

Od lat wiedziała, że Pani sobie życzy, by zostali mężem i żoną, że taki jest jej plan, ale dopiero w tej chwili, kiedy poczuła w głębi duszy niewzruszoną pewność co do tego, w pełni zrozumiała prostą niepodważalną prawdę.

Że to nie tylko kwestia woli Pani. Że to kwestia tego, kim byli - ona i on.

Stanowili zamek i klucz.

Żadne z nich nie mogło osiągnąć spełnienia bez drugiego.

Dotarł do końca swej argumentacji. Spokojnie, poważnie patrząc jej w oczy, zakonkludował:

- Więc mam nadzieję, że teraz pani rozumie, dlaczego... - Przerwał, a potem powtórzył jej wcześniejszy gest, kiedy wskazała siebie i jego. - Dlaczego to, co jest między nami, nie ma szans.

Rozumiała, dlaczego on tak uważa, nie wiedziała tylko, jak to zmienić. Czekala, ale żaden pomysł nie przychodził jej do głowy; powoli więc, wciąż patrząc mu w oczy, skłoniła głowę.

- Rozumiem i uznaję pańską decyzję.

„W tej chwili. Na razie”.

Ścisnęła ją w piersi, ale nawet teraz nie czuła się przybita. Rzeczywiście rozumiała i przyznawała, że to, co stało na drodze ku ich wspólnej przyszłości, stanowi większą przeszkodę, niż myślała.

Widziała, że jej postawa - brak wyraźnego sprzeciwu - go zaskoczyła. W jego oczach pojawiła się dezorientacja.

Gdyby zapytał, nie mogłaby wytłumaczyć mu swojej reakcji - nie teraz, jeszcze nie. Uniosła wzrok; składając dłonie przed sobą, skinęła głową w sposób bardziej stanowczy.

- Dziękuję, że mi to pan wyjaśnił. - Spojrzała mu w oczy. - A teraz chyba powinienam życzyć panu dobrej nocy.

By go uspokoić, skrzywiła się i przepoiła te słowa goryczą - nie chciała, by jego dezorientacja przekształciła się w niedowierzanie, a tak by się stało, gdyby odpowiednio nie zareagowała. Przyjął to z wyraźną ulgą i odepchnął się od ściany.

Przybierając łagodną, uspokajającą minę, wyciągnęła rękę ku drzwiom, otworzyła je, a potem, po raz ostatni skłaniając głowę, weszła do pokoju.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie.

Minęła chwila, zanim usłyszała, że Thomas się oddala, a następnie wschodzi do siebie.

Jednak przez moment stał pod jej pokojem; choć o to nie zapytał, zastanawiał się, co mogła myśleć. Tego jednak sama do końca nie wiedziała.

Wchodząc głębiej do pokoju, sięgnęła do spinek podtrzymujących włosy. Pokojówka zostawiła zapaloną lampę na toaletce. Lucilla w słabym świetle przygotowała się do snu; wykonywała wszystkie czynności mechanicznie, pochłonięta zasadniczym pytaniem: i co teraz?

Co teraz, gdy znała jego nastawienie, powinna zrobić? Czy następny ruch należy do niej, czy do niego?

Kiedy zgasła lampę i wsunęła się pod kołdrę, miała już jasny obraz.

Ponieważ wszystko opierało się na „zdobyciu” - wzajemnym zdobyciu.

Zawsze wiedziała, że „zdobycie” jest w ich przypadku słowem kluczowym. By wieść przeznaczony im żywot, on musiał zdobyć ją, a ona - jego.

Ale zdobycie było kwestią decyzji - nikogo nie da się zmusić, by po coś sięgnął, jeśli sam tego nie chce. Sięgnięcie po coś równa się deklaracji, jawnej, otwartej i nieodwołalnej. Świadomej decyzji, takiej, którą wszyscy widzą.

Nie mogła go zmusić do pojęcia takiej decyzji. Nie była w stanie tego dokonać nawet Pani. Decyzję, by przyjąć to, co oferowała, stanąć przy jej boku, musiał podjąć z własnej, nieprzymuszonej woli.

Jedyne, co mogła uczynić, to przekonywać, i w tych okolicznościach, biorąc pod uwagę jego wizję przyszłości, musiała w tym celu skorzystać z każdej okazji, jaka się nadarzy.

Nie mogła pozwolić sobie na to, by siedzieć z założonymi rękami. Był uparty, jeszcze bardziej niż ona. Zamierzała więc uciec się do każdej sztuczki, wykorzystać każdą broń, jaką dysponowała, by przejrzał na oczy i zobaczył prawdę.

Nie wiedziała, czy jej się powiedzie, nie mogła tego przewidzieć, ale nie miała wyboru.

Przewracając się na bok, naciągnęła kołdrę na ramię.

- Ale przynajmniej ustaliliśmy, że coś między nami jest.

Zamykając oczy, podążyła myślami tym tropem.

I uśmiechnęła się do siebie. Nigdy wcześniej nie miała okazji odgrywać roli kusiicielki.

Myśląc o tym, zapadła w sen.

Obudziła się w środku nocy, nie bardzo wiedząc, co wyrwało ją ze snu.

Przed pójściem do łóżka nie zaciągnęła kotar w oknie. Do pokoju wpadało słabe światło księżyca, spowijając wszystko szarością.

Wtedy usłyszała ciche kroki na dywanie - ktoś się skradał.

Odrzuciła kołdrę, podniosła głowę i rozejrzała się szybko.

Kilka kroków dalej dostrzegła mężczyznę w pelerynie z kapturem. Trzymał poduszkę.

I zbliżał się do niej.

Krzyknęła i podniosła ręce, by powstrzymać atak.

By nie dać się udusić.

Ponieważ najwyraźniej to chciał zrobić.

Mężczyzna gwałtownie podniósł głowę. Zatrzymał się na mgnienie oka, przeklął, rzucił poduszkę i podbiegł do drzwi.

Wypadł na korytarz. Usłyszała cichnące dudnienie stóp na korytarzu.

Drzwi uderzyły o ścianę i w progu stanął Thomas. Na piżamę narzucił szlafrok, choć chyba nie miał na sobie bluzy. Chwyając się framugi, spojrzał na nią, a następnie w kierunku, w którym uciekł mężczyzna.

I także przeklął.

Kiedy tamten uciekał, wsparła się na łokciach. Teraz, nagle czując, że brakuje jej powietrza, przyłożyła dłoń do piersi, do bijącego szybko serca, i opadła na poduszki.

Thomas się zawahał, po czym wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Usłyszał jej krzyk, ale skrzydło dla gości było długie, a ich pokoje znajdowały się prawie na końcu; nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek się obudził, nie mówiąc już o przyjsciu na ratunek.

- Co się stało? Dostrzegłem tylko jakąś ciemną postać znikającą w galerii... byłem za daleko, by zobaczyć coś więcej.

Przymknęła oczy; nieznacznie uniosła powieki, przyjrzała mu się przez moment

i odparła:

- To był jakiś mężczyzna.

Powiedziała to słabym głosem. Ponownie wsparła się na łokciach i rozejrzała po pokoju; jej wzrok spoczął na dzbanku z wodą i szklance, które stały na sekretarzyku.

Thomas zatrzymał się przed nim i odruchowo nalał do szklanki wody.

W tej chwili nie myślał trzeźwo; był przepełniony gniewem, sprzecznymi emocjami i rosnącym pożądaniem. Wolałby, aby szklanka sama znalazła się w jej dłoniach, ale... Podszedł do łóżka i podał ją Lucilli.

- Dziękuję. - Drżenie w jej głosie podziałało na jego zmysły.

Wziąwszy od niego szklankę, upiła jeden łyk wody i drugi, po czym zamknęła oczy i westchnęła.

- Zanim mnie pan spyta... nie, nie mam pojęcia, kto to był. - Głos jej się załamał i wskazała na drugą stronę łóżka. - Obudziłam się, a on stał tam. - Spojrzała na niego, ściskając szklankę w obu dłoniach. - Zbliżał się do mnie z poduszką w rękach.

To go przeraziło. Okrążył łóżko i zobaczył poduszkę; została wzięta z fotela przy drzwiach, a teraz leżała na podłodze, obok taboretu przy toaletce. Pochylił się i podniósł ją. Była mała i miękka. Idealna, by przyłożyć ją do twarzy kobiety i...

Niemal warknął i odrzucił poduszkę. Ale opanował się i starannie odłożył ją na taboret. A później odwrócił się do Lucilli.

Zauważył, że przez okno wpada blask księżyca.

Spojrzał na nią.

- Nie widziała pani jego twarzy?

Pokręciła głową.

- Nie. Miał na głowie kaptur. Naciągnął go na czoło. W ogóle nie było widać jego rysów. Nawet nie zauważyłam zarysu brody.

Zacisnęła zęby, nie mógł się nawet skrzywić.

- Więc to mógł być każdy... z dworu czy posiadłości.

Nie odpowiedziała, tylko znowu zamknęła oczy. Gdy oddychała głęboko, aby odzyskać spokój, jej pierś unosiła się i opadała.

- Dobrze się pani czuje? - To pytanie wydobyło się z głębi jego gardła i zabrzmiało jak warknięcie.

Nie otworzyła oczu, ale poruszyła głową, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Nic mi się nie stało, lecz nie jestem pewna, czy to znaczy, że „dobrze się czuję”.

Zerknął na zamknięte drzwi, a potem na fotel.

- Zostanę z panią jakiś czas. - Na wypadek gdyby napastnik wrócił; miał nadzieję, że tak się stanie. Podszedł do fotela.

- Proszę zaczekać.

Zatrzymał się w półkroku. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że otworzyła oczy i usiadła na łóżku, wyciągając rękę, by dosięgnąć stolika i odstawić szklankę.

Zawrócił, wziął ją od niej i postawił na stoliku.

Wtedy chwyciła go za rękaw jedwabnego szlafroka.

Nie miał na sobie bluzy; kiedy jej kciuk musnął jego ciało, poczuł, że ogarnia po pożądanie.

Spojrzał na jej dłoń, na pobielające knykcie pod delikatną skórą. Łatwo było składać deklaracje.

- Lucillo...

Nie mógł patrzeć jej w twarz, gdy tak stał przy jej łóżku, a ona w dezabilu leżała tuż obok, ciepła i nieco potargana od snu - a to wszystko zdawało się jeszcze bardziej kuszące z powodu nieuniknionego szoku i strachu, który zobaczył w tych wielkich zielonych oczach. Wiedział, że nie powinien patrzeć, jeśli chciał ocalić siebie i ją przed tym, co nim targało.

Przed pierwotnym, prymitywnym pożądaniem, które obudził w nim jej krzyk i płonąca w oczach prośba.

Nigdy wcześniej wzięcie w posiadanie nie wydawało mu się tak nieodpartą potrzebą. Nigdy wcześniej nie ogarnęła go tak silna żądza.

- Zostań.

Słyszając to pojedyncze słowo, spojrzął jej w oczy, a one go zniewoliły.

- Zostań. - Poruszając ustami, stała się szepczącą kusicielką. - I czuwaj nade mną do rana.

Przełknął ślinę, walcząc, próbując się przeciwstawić zarówno własnym instynktom, jak i jej.

- Fotel... - wykrztusił. Był zaskoczony, że zdołał aż tyle wypowiedzieć.

Nie puszczając go, obróciła się, a potem zgrabnie podniosła na kolana. Chwyła drugą połę jego szlafroka i przytrzymała.

Lecz mocniej trzymała go wzrokiem.

Na jej zielone oczy padał cień, mimo to czuł siłę, jaką dysponowała, gorącą pieśczętą tego ognia, który miała w sobie.

- Zostań tu - powiedziała. - Ze mną. W łóżku.

Otworzył usta, ale nie wydobył głosu.

Uniosła kąciki ust; w jej oczach płonęła determinacja i coś jeszcze.

- To nie prośba. - Przyciągnęła go do siebie. - Jesteś mój i potrzebuję cię.

10.

Był jej – mógł być jej – do rana.

Przez jedną noc.

Mówił to sobie, ujmując jej dłoń, kładąc na swojej piersi i przejmując inicjatywę – w pocałunku, pieszczocie, która już wymykała się spod kontroli, i jego, i jej.

To było niebezpieczne. Bardziej niż niebezpieczne.

Ale, och, takie nieodparte.

Wręcz nieodzowne.

Dla nich obojga.

Zrozumiał to w głębi duszy. Nic innego się nie liczyło – ważne było tylko to, że miał ją w ramionach.

Ona, trzymając go za szlafrok i biorąc ustami w niewolę, odchyliła się do tyłu. Zdał sobie sprawę, że traci równowagę, i zaparł się kolanem o brzeg materaca, pociągając ją za sobą.

Nie było to mądre posunięcie, jednakże alternatywa byłaby jeszcze gorsza. Czuł ogień muskający jego skórę, żar palący wszędzie tam, gdzie jej gibkie ciało przywierało do jego ciała. Wtedy, odsuwając się od niego, rozchyliła poły jego szlafroka.

Jej dłonie na jego skórze były jak gorący atlas muskający pierś – i palący.

Znakujący.

Przerażony, próbował się wyrwać, ale zaraz potem radośnie się poddał.

Pochylając głowę, całkowicie przejął kontrolę nad pocałunkiem. Na jedną niekończącą się chwilę całkowicie przykuł jej uwagę – zapanował nad wszystkimi jej zmysłami i nimi zawładnął, tak że oboje skupili się na tym namiętym zjednoczeniu, sugestywnej grabieży – jej dłonie, te pożądliwe dłonie na chwilę się zatrzymały.

Niemal stracił dech, ale pokusa była zbyt silna. Obejmując ją w pasie, ujął jej twarz, a następnie posunął się w pocałunku krok dalej – przekształcając go w prymitywne zagarnięcie. Wziął ją w niewolę, aby zrobić z nią, co będzie chciał, i sięgnął po więcej.

Był ciekaw, czy ona się przestraszy i zechce uciec.

Próżna nadzieja? Czy niemile widziany lęk?

Wszystko jedno, powinien był wiedzieć. Ledwie się zatrzymała, by odzyskać panowanie nad sobą w zmysłowym szaleństwie, które rozpętał, po czym wyszła mu na przeciw, śmiało stawiała czoło jego agresji i językiem stanęła z nim do pojedynku.

Przystąpili do walki o przewagę, której nie mogło wygrać żadne z nich. Mimo swojego doświadczenia, jakkolwiek ruch by wykonał, ona była przygotowana, czekała na niego, prowokując go – kusząc i wabiąc.

By brnął dalej w to szaleństwo.

Wiedział, że powinien się oprzeć, zatrzymać i wycofać.

Ale tego nie zrobił.

Nie mógł, nie był w stanie.

Brutalna prawda wyglądała tak, że nie potrafił wyrzec się tego, co oferowała. Nie tej nocy. Nie teraz, kiedy w jego uszach wciąż dźwięczał jej krzyk, a we krwi burzyło się to wszystko, co w nim obudziła.

A ona – tu i teraz – była odpowiedzią na to, czego pragnął.

I jeśli nawet, usłyszawszy jej prośbę, miał wątpliwości co do żywionych przez nią pragnień, wyraźnie postanowiła rozwiązać je wszystkie. Przypomniała sobie, że ma ręce, i wyciągnęła je znowu, dotykając, muskając, pieszcząc jego tors i przymilając się do niego jak arogancki kot. Dezorientując go, przekomarzając się z nim i przykuwając jego uwagę.

Potem położyła rozłożone dłonie na jego ciele, przesunęła nimi po ramionach, już gołych, aż po kark. Wstrzymał oddech; poczuł ściskanie w piersi.

Położywszy mu rękę na karku, wsunęła palce drugiej dłoni w jego włosy, powoli, uwodzicielsko zmierzwiła loki, a potem chwyciła je mocno.

Odchyliła się w tył i razem z nim przewróciła na łóżko.

Opadła na plecy. On częściowo położył się na niej, a częściowo obok. Uśmiechnęłaby się triumfalnie, gdyby nie była pochłonięta pocałunkiem, tak że nawet szkoda jej było tracić czas na oddech. Nic nie mogło z tym rywalizować – z obezwładniającym poczuciem fizycznego zespolenia. Niczym nieograniczonej fizycznej jedności.

Zawsze wyobrażała sobie, że taki będzie ten pocałunek – prawdziwy pocałunek kochanków – otwarty, bezpośredni i gorący.

Bez żadnych barier, woali ani pozorów skromności, by stłumić siłę rosnącego pożądania, by uchronić ich przed pożarem.

Oni – ona i on – nie potrzebowali schronienia.

Gdy przyszła jej do głowy ta myśl, posuwali się już dalej, szukali czegoś więcej.

Nadarzyła się okazja, tak jak liczyła, choć w innym sensie, niż to sobie wyobrażała. I owszem, skorzystała z niej, ale nie kierowała się czymś tak logicznym i przemyślanym jak taktyka czy strategia. Po prostu wyciągnęła ręce i wzięła go w ramiona, gdyż – nie wypierała się tego – niczego bardziej nie pragnęła.

Chciała go objąć, przyciągnąć do siebie jego twarde ciało i poczuć, że żyje. Poczuć, że żyje prawdziwie, pełnią życia, jak mogła tylko z nim.

Pragnęła go, tu i teraz. Pragnęła tych zmagania w zmiętej pościeli na łóżku, ze złączonymi ustami, ciałem przy ciele, gorącymi rękami na sobie wzajemnie, kiedy ich zmysły szalały, serca biły szybko i myśleli tylko o sobie nawzajem.

W końcu zdołała zsunąć szlafrok z jego ramion, a on oderwał się od niej, by przeklinając pod nosem, jakby cały czas niepewny, czy nie wziąć jej z powrotem w objęcia, wyjął ręce z rękawów.

Przesunęła dłońmi po jego umięśnionych ramionach i szerokiej piersi, najwyraźniej stworzonych przez jakiegoś niebiańskiego rzeźbiarza, by ją podniecić.

On tymczasem, opierając ręce na poduszkach po obu jej stronach, wznowił pocałunek. Odchyliła więc głowę do tyłu, obejmując go i przyciągając do siebie – a on się nie opierał. Wtedy się przesunęła, by mieć jeszcze większy dostęp do jego pięknego ciała – potężnego, wspaniale rzeźbionego torsu i gładkiego płaskiego brzucha.

Dotykała wszystkiego, czego tylko mogła dosięgnąć, muskała i pieściła. Jego skóra na napiętych mięśniach płonęła. Poczwała pod palcami szorstkie włosy. Zmierzwiła je, a wtedy on zadrżał.

Wyczuła głód, który obudziło to dotknięcie.

W nim i w niej samej.

Wciąż opierając się na przedramionach i unosząc się nad nią, otoczył dłońmi jej twarz i wsunął palce we włosy.

I nagle pocałunek przestał wystarczać. Nie mógł zaspokoić jej rosnącego pożądania.

Przesunęła więc palcami po rzeźbionej strukturze jego pleców i sięgnęła w dół tak daleko, jak tylko mogła. Wsuwając palce pod sznurowany pasek jego spodni, pożądliwie ujęła krągłe pośladki.

Ich mięśnie się napięły i stężały.

Poczuła w trakcie pocałunku, że jego uwaga się rozproszyła – mogła tylko patrzeć, jak walczy, by zapanować nad impulsami, które sprowokowała.

Specjalnie więc przesunęła dłonią po łuku jego biodra w kierunku...

Mocno złapał ją za rękę.

– Jeszcze nie.

„Nie” by nie przyjęła, lecz „jeszcze nie” mogła uznać. Przynajmniej przez chwilę.

Może dwie.

Dała mu moment, wykręciła nadgarstek i kiedy czujny i napięty zwolnił uścisk, uwolniła rękę, podniosła ją powoli i wsunęła pomiędzy siebie a jego. On, czując to, z ustami przy jej ustach tak blisko, że niemal się dotykały, podążył za ruchem jej niesfornej dłoni, która dotarła do zapięcia koszuli nocnej. Zatrzymała się przy górnym guziku i go rozpięła.

Wydając udręczone jęki, zamknął oczy i przytknął czoło do jej czoła.

– Doprowadzisz mnie do śmierci.

Nie była pewna, czy nie powinna się obrazić. Przechyliła głowę na tyle, by dosięgnąć czubkiem języka krawędzi jego dolnej wargi.

– Nieprawda.

Jej wypowiedziana szeptem odpowiedź była jak tchnienie ognia w miejscu, które właśnie liznęła. Poczuł, że całe jego ciało tężeje, jakby polizała go gdzie indziej.

Ale ona nie skończyła.

– Dla ciebie zawsze będę źródłem życia. Ty i ja... jesteśmy sobie pisani.

W jej głosie brzmiała taka pewność; tymi prostymi słowami rozwiała wszelkie wątpliwości i zastrzeżenia, jakie podsuwało mu jego racjonalne, ostrożne „ja”.

To – ona i on razem w łóżku – nie mieściło się w jego planach na życie. Nie wiedział – nie miał pojęcia – czy mieści się w jej planach. Lecz w tamtej chwili nie miało to znaczenia; jak mówiła, tak musiało być.

Jego ciałem zawładnęło niezaprzeczone pragnienie – by mieć ją pod sobą, poczuć jej długie smukłe nogi wokół swoich bioder, kiedy wejdzie w nią głęboko.

I z każdą minutą stawało się coraz silniejsze.

Rosło z każdym jej nagłym gestem, każdym ruchem. Potężniało.

Otworzył oczy – w samą porę, by zobaczyć, że odpięła kolejny guzik. Jej biała koszula nocna, zapięcie obszyte delikatną koronką, odsłaniały już jedną zadziwiająco pełną pierś.

Ten widok niezwykle go zafascynował. Była tak smukła, przypuszczał więc, że...

Do ust napłynęła mu ślinka.

Wydając na wpół stłumiony jęk, uniósł jejbrodę i znowu wziął w posiadanie usta – po czym unieruchomił ją i siebie na jedną ulotną chwilę, na tyle jednak długą, by ukoić zmysły pocałunkiem. Potem odsunął jej rękę i z wprawą szybko rozpiął następne guziki.

Wreszcie wierzchem dłoni rozchylił szeroko koszulę i położył rękę na jej krągłej piersi.

Wystarczyło jedno dotknięcie jedwabistej skóry i wiedział, że nie ma powrotu.

Serce mu zabiło; kiedy palce zacisnęły się na sterczącym sutku, poczuł, że jej zmysły szaleją. Tak jak jego.

Jej ciało wygięło się pod jego dłonią, gorące, niewyobrażalnie delikatne i piękne; sutek, już sterczący, jeszcze stwardniał, kiedy ścisnął go między kciukiem a palcem wskazującym, istna perła domagająca się, by pieścić ją ustami, poczuć jej smak językiem. Polizał ją i zassał.

Wczepiła palce w jego włosy, tłumiąc cichy okrzyk. Znowu liznął sutek, a ona wyprężyła się pod nim i zadrżała prowokacyjnie, kusząco.

Wszelka myśl, by jakoś zakończyć ten epizod inaczej niż poprzez całkowite spełnienie, zupełnie się rozviała. Ostatnie bastiony jego oporu się załamały i runęły.

Zniesione falą czystego pożądania, które wybuchło i przepełniło ich oboje.

Od tej chwili nie było już jego i jej, oddzielnych myśli, indywidualnych planów. Czuli tylko jedno, palącą potrzebę, nieodpartą żądzę, która nimi owładnęła.

Nie mógł tego powstrzymać; nie mógł nad tym zapanować. Mógł jedynie tym sterować, choć i to niepewnie, słabo.

Oszołomiony, pod wpływem tej naglącej potrzeby, ściągnął z niej koszulę nocną, a ona zdjęła mu spodnie.

Potem ujęła jego sterczącą męskość i przez kilka nieznośnie intensywnych sekund myślał, że umrze. Albo że nie zdąży w nią wejść.

Zacisnął mocno szczęki, ale znalazł siły, by otworzyć oczy i skupić się na czymś innym niż tylko zadowolenie malujące się na jej twarzy, kiedy go pieściła.

Zdołał nakłonić swoje członki do posłuszeństwa. Chwycił jej rękę, zdjął ze swego ciała, a potem unieruchomił po obu stronach płomiennej głowy.

Ich nagie ciała się zetknęły.

Już zapomniał, jakie to niezwykle wrażenie – jak oszałamiające.

Zmysły Lucilli płonęły. Oczy miała otwarte, ale nic nie widziała. Dotyk jego gorącego ciała, twardych mięśni, które ją przygniatały – w najbardziej pierwotny sposób – pozbawił ją tchu.

Owładnął jej ciałem i duszą.

Wciąż trzymał ją za rękę i całym ciężarem przygwaźdżał do łóżka, napierając szerokim torsem na jej piersi. Jego biodra leżały na jej biodrach, uniemożliwiając jakikolwiek ruch; kolumny jego ud były jak stal pomiędzy jej udami.

Powinna czuć strach, a przynajmniej niepokój. Przy każdym innym mężczyźnie tak by było.

Ale przy nim... ściskając jego rękę, jeszcze bardziej wyostrzyła wszystkie zmysły, by delektować się każdą sekundą tego zmysłowego doznania.

Bliskością jego ciała, spoczywającego na niej, jego skóry, gorącej i szorstkiej, rozpalającej jej skórę, trącej o nią – podsycającej namiętność.

Z trudem zaczerpnęła tchu.

On zrobił to samo.

Kiedy jego tors się rozszerzył, jej piersi się wzniosły; nabrzmiałe kule przygniecione przez twarde płaszczyzny jego ciała.

Zamrugała, próbując ponownie się skupić. Przez jedną chwilę, w delikatnym mroku łóżka, ich spojrzenia się spotkały – jej oczy były szeroko otwarte. Przez chwilę patrzyli na siebie. Na moment zatrzymał się czas. Potem on pochylił głowę.

Odnalazł ustami jej usta. Rozchyliła wargi, zapraszając go do środka. Przechylił głowę i wtargnął w jej usta jeszcze głębiej, podsycając trawiące ich oboje pożądanie. Dała za wygraną i podążyła za nim, ponownie ulegając nieodpartemu impulsowi zrodzonemu z potrzeby, pożądania i tęsknoty.

Kiedy wreszcie się odsunął, puściła go bez skargi. Pocałunek był tak intensywny, że czuła się odurzona. Kiedy się podniósł, uwalniając jej ręce, leżała z każdym nerwem napiętym i czekała na to, co będzie dalej.

„Zwolnij, zwolnij, zwolnij”. Thomas powtarzał to sobie jak litanie. Nie chciał tego, ale wiedział, że musi wykazać trochę delikatności. Był duży, a ona... taka drobna.

Niezależnie od tego, jakie miała doświadczenie – nie mógł się tego nawet domyślać – musiał znaleźć siły, by zwolnić tempo, jeśli nie chciał zrobić jej krzywdy, sprawić bólu...

Doszedł do wniosku, że jedynym sposobem, by ją przed tym uchronić, było wsunąć się między jej nogi i zanurzyć język w jej sokach.

Jak można się było spodziewać, krzyknęła, ale teraz nikt jej nie słyszał. Tylko on – zauważył, że lubi, kiedy krzyczała z rozkoszy. Zupełnie inaczej, niż kiedy robiła to ze strachu.

Wydając te cudowne okrzyki, traciła dech, kiedy sycił jej i swoje zmysły. Jej soki były dla niego jak ambrozja; niespokojne, pożądliwe, niemal miaukliwe odgłosy, które wydobywał z niej pieścizotami, stanowiły właśnie jego cel. Z wprawą ujął w usta klejnot jej rozkoszy i musnął go czubkiem języka. To sprawiło, że wydała urywany okrzyk.

Liznąwszy ją po raz ostatni, wstał i ustawił się nad nią. Ciało aż bolało go z pożądania. Umieścił biodra między jej udami. Naparł na jej wąskie wejście. I wstrzymał oddech.

Opuszczając głowę, zamknął oczy, by nie widzieć jej leżącej nago pod nim. Zatrzymał się ogromnym wysiłkiem woli i zaczerpnął powietrza. Głęboko. Mimowolnie napinając mięśnie, walczył z pokusą, by wejść w nią do końca. Była tak ciasna, gorąca. Nie chciał być zbyt brutalny.

Kiedy zyskał pewność, że panuje nad sobą na tyle, by wytrzymać do końca, wszedł dalej. Głębiej. Mimo że była gotowa, poczuł, że stężała; zatrzymał się więc, ale niemal natychmiast się rozluźniła. W następnej chwili podniosła ręce i go objęła. Przytuliła. Rozłożyła dłonie na jego plecach i przyciągnęła go do siebie; milcząco nakłaniała, by nie ustawał.

Spełnił jej prośbę, wdzierając się głębiej w jej śliskie wnętrze, czując, że ledwie się mieści... Cofnął się nieco, a potem z całą siłą naparł na nią biodrami. Ona w tej samej chwili odchyliła głowę do tyłu. Wszedł w nią do końca. Wydała cichy, stłumiony jęk, a on całkowicie postradał zmysły.

Błona, która stanowiła dowód jej dziewictwa, była ledwie wyczuwalna. Lucilla miała dwadzieścia osiem lat, przez całe życie jeździła konno, jednakże, choć sądził po jej namiętnej postawie, że już dawno miała za sobą pierwszy akt miłosny, był na tyle przytomny, by zauważyć lekki opór, który nagle ustąpił – i zrozumieć.

Spojrzał na nią z przejęciem i niedowierzaniem, ale miała zamknięte oczy. Na jej twarzy zobaczył tylko lekki niepokój – i natychmiast zrozumiał, co musiała sobie nagle uświadomić – ale zaraz potem poruszyła się niecierpliwie. Zręcznie przesuwając się pod nim, dała mu znak, aby kontynuował wieczny taniec.

Przestał myśleć. Dał się ponieść zmysłom.

Zamknął oczy, odpowiedział na jej wezwanie, na pierwotny rytm, który wyznaczyła, i przyłączył się do niej. Nie mógł zrobić nic innego, nawet zatrzymać się na chwilę, by zadać pytanie, na które wyraźnie nie chciała odpowiedzieć, a przynajmniej w tym momencie.

Nie w ogniu namiętności, który trawił ich oboje.

Płomienie, które podsycali przez ostatnie pół godziny, buchnęły bowiem w górę.

Więc ulegli pożądaniu. Być może była nowicjuską, ale wiedziała, na czym polega ta gra. Wiedziała, kiedy przywrzeć do niego i go zatrzymać, a potem puścić i pozwolić mu się cofnąć.

By mógł znowu w nią wejść i dalej prowadzić ich oboje.

W krainę wspólnych pragnień, wynikających ze zjednoczenia namiętnych dusz stanowiących jedność.

Nie dało się ukryć, że doskonale do siebie pasowali – pod względem temperamentu, pragnień i tej nocy także siły pożądania.

Poruszali się w jednym rytmie, coraz pewniej, mocniej, zachęcając się wzajemnie.

Chwyтали powietrze, przywierali do siebie, dyszeli; wciąż chcieli więcej.

„Dla ciebie zawsze będę źródłem życia”.

Nagle, z niezwykłą wyrazistością, przypomniał sobie, kiedy zrobiła to ostatnim razem. Biegł wtedy przez las jako Hern, bóg łowów. Zobaczyła go, rozpoznała i ocaliła przed kulą z broni łowcy.

Odniosł wrażenie, że znowu biegnie jako Hern – czuł takie samo pradawne bicie serca i tętnienie krwi w żyłach – a ona znowu jest przy nim, jego bogini, która przyszła się o niego upomnieć.

Namiętna i silna, przytuliła się do niego mocno, nakłaniając, by nie ustawał, a on zagłębił się w jej ogień, wszedł w jej wilgotne wnętrze i oboje, wolni i swobodni, dążyli ku spełnieniu.

Przez żar, szalejące płomienie, kłębowisko własnych złączonych pragnień.

W głębi duszy była równie dzika jak on, zupełnie nieskrępowana. Niepowstrzymana w dążeniu do rozkoszy, otwarta na doznania.

Znalazł jej usta, nasycił się nimi i wszedł jeszcze głębiej.

I nagle znaleźli się na krawędzi rajy.

Zaczekał jedną chwilę, a ona wbiła mu paznokcie w plecy – raniąc skórę.

Naparł na nią ponownie i zaczęła się wznosić.

Pociągając go za sobą.

Prosto w osłepiającą eksplozję rozkoszy.

I dalej. Ten kataklizm pozbawił ich sił, wycisnął z nich ostatnie krople namiętności

i zostawił bezwładnych, wtulonych w siebie, ale przepelnionych szczęściem i spełnionych.

Leżąc na plecach z przytuloną do niego Lucillą, jej długimi włosami rozsypanymi w cudownym nieładzie na jego piersi, zaspokojony powoli wrócił do rzeczywistości. Zaspokojony bardziej niż kiedykolwiek dotychczas.

Zmarszczył czoło. Nie otwierając jeszcze oczu, zaczął się zastanawiać, porównywać.

Nigdy wcześniej nie przeżył czegoś takiego w swoim nie takim znowu spokojnym, dość urozmaiconym i bogatym życiu miłosnym.

Nie rozumiał, dlaczego tak jest; robił to już niezliczenie wiele razy, a jednak...

Myśl, że czuł się tak spełniony, dlatego iż zrobił to z Lucillą, wydała mu się zbyt niepokojąca, by ją roztrząsać.

Niczym obuchem uderzyła go prawda. Wreszcie uległ Lucilli i pociągowi, który zawsze ich łączył, i oto, do czego go to doprowadziło. Znalazł się w jej łóżku i odbył z nią akt miłosny. A była to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzył, i ostatnie miejsce, w którym chciał wylądować.

Mimo to... nie żałował. Nie mógł nawet udawać, że żałuje. Choć...

Otworzywszy oczy, spojrzał na nią, ale twarz miała wtuloną w jego pierś i nie widział jej dobrze.

- To był twój pierwszy raz. - Nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Uhm. - W tym wyznaniu zabrzmiało rozmarzenie. Widocznie wciąż była przepelniona rozkoszą.

Starał się powściągnąć zadowolenie z siebie, ale daremnie.

Leniwie obróciła się w jego ramionach, znowu przyciskając piersi do jego boku. Wciąż nagie; ale nie miał zamiaru się skarżyć.

Wreszcie uniosła głowę i spojrzała mu w twarz, w oczy. Nie wiedział, co w nich zobaczyła, ale po chwili uniosła kąciuki ust, poklepała go po piersi, odwróciła się ponownie i ułożyła tak, jak leżała wcześniej, z głową na jego sercu.

- To była moja decyzja - wyjaśniła cicho. - Nie twoja.

Nie był pewny, czy mu się to podoba; nie wiedział, czy odpowiada mu wydźwięk tego oświadczenia. Był aktywnym uczestnikiem tego, co się zdarzyło.

Choć rzeczywiście, mimo prowokującej sytuacji, w jakiej się znaleźli, kiedy ona była przerażona, a on owładnięty instynktem opiekuńczym, z czego nie w pełni zdawał sobie sprawę, zachowałby się jak dżentelmen i odszedł - gdyby mu na to pozwoliła. Stawiłby opór - gdyby nie pokonała go swą natarczywością.

Zaledwie godzinę wcześniej postąpił jak trzeba i wyraźnie, całkiem jednoznacznie powiedział jej, dlaczego nie mogą być razem. Dlaczego nie może się z nią ożenić. Przedstawił kilka powodów, by to uzasadnić, a ona wszystkie zrozumiała. Co więcej, zgodziła się z tym.

Wiedziała, że nie mogą się pobrać, a jednak, jak właśnie powiedziała, podjęła decyzję, by mu się oddać.

Przy całej tej sytuacji doprowadziła do tego, że nie mógł się jej oprzeć.

Zaczął się zastanawiać, co to teraz oznacza.

Odprężyła się w jego ramionach, ale nie spała. Przytulił ją, by zwrócić jej uwagę.

- Więc co to ma być? Pierwsza przygoda miłosna?

Przez chwilę milczała. Potem wzruszyła ramionami.

- Jest, czym jest - odparła, a po chwili dodała: - Mnie to wystarcza.

Nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź - nic, co chciałby w tej chwili powiedzieć.

I choć miał ochotę zadać jeszcze kilka pytań - na przykład, czy mogliby to jeszcze powtórzyć - uznał, że nie jest na to odpowiedni moment.

Zastanowił się i mruknął:

- Zostanę do rana.

- Tak. Proszę. - Przytuliła się do niego mocniej. - Przynajmniej do rana.

Było to kolejne zdanie, do którego wolał się nie odnosić. Zamykając oczy, pograżył się w uczuciu spełnienia, które wciąż odczuwał, i odsunął od siebie niepokojące myśli.

Lucilla wyszła z pokoju i skierowała się do jadalni, chcąc się przekonać, jak wydarzenia minionej nocy wpłyną na bardziej przyziemne stosunki między nią a Thomasem.

Przez całe życie kierowała się intuicją, nawet jeśli ta nakazywała jej robić coś, co zdawało się prowadzić do katastrofy. Później ta katastrofa zawsze okazywała się punktem zwrotnym, prowadzącym ku właściwej ścieżce - nie tylko ją samą, ale także wszystkich zainteresowanych.

Poprzedniej nocy posłuchała głosu intuicji, wyraźnego i głośnego, i poszła za jego radą. Bez wahania, bez żadnych pytań.

I spotkała ją sowita nagroda. Wspanialsza, niż się spodziewała.

Wydawało jej się, że wie, rozumie, ale chłodne medyczne opisy i szeptane wyznania nie przygotowały jej na czyste, wspaniałe doznania, z jakimi wiązał się akt miłosny. Były takie chwile - kiedy na przykład w nią wszedł - że jej zmysły o mało nie eksplodowały; nie miała pojęcia, jak to będzie - poczuć go w środku, pozwolić mu się wziąć tak po męsku.

A wrażenia związane z tą wspaniałą grą mięśni, która w konsekwencji doprowadziła do spełnienia...

Z lekkim uśmiechem na twarzy przystanąła u szczytu schodów, oddając się wspomnieniom, które wywołały u niej znajome ciepło. Do tej pory intuicja jej nie zawiodła, a wieloletnie doświadczenie mówiło, że i w tym przypadku jej podpowiedzi skierowały ją i Thomasa na właściwą drogę.

Nie wiedziała, jak się między nimi ułoży, była jednak pewna, że tak się stanie.

Spokojna i z doskonałym samopoczuciem zeszła po schodach i ruszyła do jadalni. Spali z Thomasem aż do świtu, potem się obudzili i kochali znowu, tym razem wolniej i czulej, i po tych wspólnie spędzonych chwilach czuła się, jakby cała jej skóra emanowała blaskiem.

Kiedy obudziła się ponownie, niedawno, Thomasa już nie było. Myjąc się, słyszała, że drzwi jego pokoju się otworzyły i zamknęły. Odgłosy kroków wskazywały, że przystanął pod jej drzwiami, ale po chwili poszedł dalej.

Teraz, siedząc na swoim miejscu przy stole, usłyszał jej kroki; patrzył w stronę drzwi, kiedy w nich stanęła. Badawczo spojrzął jej w twarz.

Uśmiechnęła się – na chwilę, dając wyraz przepełniającej ją radości i podnieceniu – i zobaczyła, że jego wzrok – a właściwie on cały – znieruchomiał. Potem zamrugał i ostrzegawczo zerknął na Niniver i Norrisa, którzy siedzieli przy stole, odwrócenimi plecami do drzwi.

Niniver obróciła głowę i przywołała na twarz nieśmiały uśmiech, a Lucilla powściągnęła radość, demonstrując zwykle zadowolenie.

– Dzień dobry – powiedziała Niniver. – Dobrze pani spała?

Lucilla skierowała się do kredensu, by ukryć szeroki uśmiech.

– Doskonale, dziękuję. – Położyła na talerzu dwie grzanki. – A pani? – Odwracając się, popatrzyła na Niniver, a potem podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Thomasa.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Zawsze dobrze śpię, ale jestem u siebie. Pomyślałam, że pani mogło spać się gorzej. – Przysunęła dzbanek z herbatą do wybranego przez Lucillę miejsca, a ona okrążyła stół i usiadła na krześle, które podsunął jej Thomas, obok siebie.

Zebrała fałdy spódnicy, z zaciekawieniem stwierdzając, że świadomość jego bliskości, kiedy zajął miejsce przy niej, wciąż silna, jakby trochę osłabła, stała się mniej intensywna.

Niniver zamieszała swoją herbatę.

– Chciałabym zapytać... czy widziała się już pani z ojcem? Lek mu pomógł?

– Jeszcze u niego nie byłam. – Lucilla spojrzała na Norrisa, ale ten, zaledwie skinąwszy jej na powitanie, kiedy usiadła przy stole, zdawał się skupiony wyłącznie na stojącym przed nim śniadaniu. Jeśli choć trochę interesowało go zdrowie ojca, nie widziała nic, co by na to wskazywało. Przenosząc wzrok na Niniver, która przejawiała znacznie większe zaangażowanie, podjęła: – Dziś rano ma się odbyć pogrzeb siostr Burns. Myślę, że zdążę zbadać pana Carricka przed wyjazdem. Jestem pewna, że zechce wybrać się na tę uroczystość i, mam nadzieję, że działanie mojego leku mu w tym pomoże.

Thomas wyraźnie się odprężył i słuchał jednym uchem, kiedy omawiały z Niniver szczegóły ceremonii. Niniver znała zwyczaje klanu równie dobrze jak wszyscy zainteresowani i jak Thomas. Nie musiał ich sobie przypominać. Dzięki temu mógł dalej deliberować nad tym, co zaszło, odkąd poprzedniej nocy udał się spać.

Tyle się między nimi zmieniło, gdy tego ranka wrócił do swego pokoju, choć już nie do łóżka. Lucilla i on... wciąż nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że jej uległ, zgodził się na jej żądania i tak daleko zszedł z drogi, którą zamierzał podążać.

Jeszcze bardziej nie rozumiał, dlaczego nawet teraz, kiedy uświadomił sobie, co się stało, wciąż nie czuł się ani trochę tym zaniepokojony.

Jego odczucia były... dziwnie sprzeczne. Jakby żył w innym świecie, na innej płaszczyźnie, w jakiejś odmiennej rzeczywistości niż dotychczas w Glasgow.

Jakby to jego życie z nią i tamto poprzednie nie miały ze sobą nic wspólnego, żadnego związku..

„Zostań i czuwaj nade mną do rana”.

„Tutaj. Ze mną. W tym łóżku”.

„To nie jest żądanie”.

„Ty i ja... tak być powinno”.

„Jest, czym jest i mnie to wystarcza”.

To były jej słowa i w każdym brzmiała prawda. Mimo braku doświadczenia zdawała się znacznie lepiej niż on rozumieć to, co się między nimi zrodziło i wybuchło tak płomiennie – cokolwiek to było.

Biorąc pod uwagę także niezachwianą pewność, z jaką odnosiła się do niego, siebie samej i ich obojga, szybko doszedł do wniosku, że niezależnie od tego, jak długo miał potrwać ten związek, najlepiej by było, gdyby zdał się na nią.

Ta myśl go zaskoczyła, sprawiła, że aż zamrugał.

Przez ostatnie dwadzieścia lat, odkąd stracił rodziców, nie podążał za nikim, nie pozwalał, by ktokolwiek kształtował jego życie. Szedł za radami swych opiekunów, jednak nie dlatego, że byli opiekunami, ale ponieważ ich rady pomagały mu realizować ambicje.

Teraz zaś, stojąc w punkcie zwrotnym swego życia, brał pod uwagę zdanie się na Lucillę – więcej, skłaniał się ku temu.

Spojrzał na nią z ukosa. Przyglądając się jej, gdy rozmawiała z Niniver, nie mógł pojąć, jak to się stało, że rzuciła na niego urok.

Czując na sobie jego wzrok, zerknęła na niego. Spojrzała mu w oczy i lekko uniosła brew.

Powściągając impuls, by zmarszczyć czoło – nie widział żadnych oznak, by chciała nakłonić go do spełnienia swej woli, i nie widział powodu, dla którego miałaby to robić – nieznacznie pokręcił głową.

– A zatem... – Niniver wpatrywała się w swoje dłonie i nie zauważyła ich spojrzeń.

– Kiedy zacznie pani następny etap leczenia papy?

Lucilla odpowiedziała, patrząc na nią z drugiej strony stołu:

– Jeśli zbadam go przed wyjazdem do kościoła, po powrocie do domu przygotuję z Alice środek na pobudzenie... który mógłby brać, by wrócić do sił, co mam nadzieję, już się zaczęło.

Odłożyła serwetkę i zerknęła na Thomasa.

– To mi przypomina, że muszę jeszcze zajrzeć z Alice do destylarni.

Thomas wstał i odsunął jej krzesło. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo.

Wytrzymał jej spojrzenie. Zawahał się, ale zaraz potem skinął głową.

– Proszę mnie zawiadomić, kiedy Manachan panią wezwie. Jestem pewien, że to zrobi, zanim zacznie przygotowywać się do pogrzebu. – Skrzywił usta. – A jeśli nie, Edgar mu o tym przypomni.

Odpowiedziała uśmiechem i skłoniła głowę.

– Z całą pewnością.

Pożegnawszy Niniver, wyszła z jadalni całkowicie zadowolona z biegu spraw, i to na wszystkich frontach.

Thomas opuścił pokój wkrótce potem. Zwalczył pokusę, by sprawdzić, czy Lucilla jest w destylarni bezpieczna; Ferguson, idąc za jego radą, wysłał lokaja pod drzwi pomieszczenia, każąc mu wejść do środka i siedzieć tam, kiedy tylko zjawi się pan-na Cynster.

Dopóki przebywała na ziemiach Carricków, dopóki nie rozwiązali tajemnicy ostat-

nich wydarzeń i dopóki nie było wiadomo, kto i po co ostatej nocy zakradł się do jej pokoju, ktoś musiał nad nią czuwać.

Wyszedł z domu przez frontowe drzwi i okrążył budynek, zmierzając na boczny taras, gdzie mógł przejść się w samotności.

Lucilla wyraźnie zlekceważyła nocny zamach na jej życie – jeśli to był zamach. Odniósł bowiem wrażenie, że ponieważ ostatecznie nic się nie stało – a cały ten incydent stanowił dla niej tylko pretekst, by doprowadzić do czegoś, co od dawna chodziło jej po głowie – według niej wszystko to było... Jak to powiedziała? „Jest, czym jest i to mi wystarcza”. Chociaż miała na myśli to, co było między nimi, słowa te zdawały się wyrażać jej nastawienie do sprawy z mężczyzną, który podkradł się do niej z poduszką w rękach, kiedy spała.

Thomas poczuł, że mimowolnie zaciska szczęki. Dobrze jest mieć takie zaufanie do losu, bo do tego to się sprowadza, ale on podchodził do tego z mniejszym spokojem. Był głęboko zaniepokojony tym incydem. A jeszcze bardziej jego związkiem z innymi dziwnymi zdarzeniami, które ostatnio miały miejsce na terenie posiadłości.

Jednakże, jak powiedział Lucilli, napastnikiem mógł być każdy z klanu; wszyscy wiedzieli, że drzwi dworu nigdy nie są zamykane na klucz, a większość znała na tyle dobrze rozkład budynku, by ją odnaleźć.

Ale czy ten człowiek rzeczywiście chciał wyrządzić jej krzywdę – czy może zamierzał z nią porozmawiać, być może ją ostrzec, ale obawiał się, że po przebudzeniu mogłaby narobić rabanu?

Takie domysły były może zbyt daleko idące, lecz Thomas znał kilku członków klanu, którzy byli na tyle... prości, by tak myśleć.

Zatrzymał się z westchnieniem. Odwracając się, spojrzał niewidzącym wzrokiem na połąć trawnika. Niepokojące incydenty się nasilały. Choć on i Lucilla nie mieli żadnych dowodów, by tego dowieść, ostatnie zdarzenia były przejawem złych zamiarów. Prawdopodobnie jak nocne zajście. Co z kolei potwierdzało jego wewnętrzne przekonanie, że Lucilla jest w niebezpieczeństwie i teraz to ona może być celem ataku napastnika – mordercy.

Stał tak wpatrzony w trawnik przez kilka minut, potem z kamienną twarzą zawrócił, skierował się do drzwi i wszedł do domu.

11.

Lucilla wróciła z pogrzebu sióstr Burns, który odbył się w miejscowym kościółku we wsi Casphairn.

Podczas krótkiej jazdy powozem z Thomasem, Niniver i Norrisem obmyśliła skład środka na pobudzenie, który zamierzała przygotować dla Manachana. Ten wezwał ją do swojego pokoju zaledwie pół godziny przed planowanym wyjazdem na pogrzeb, ale pięć minut zupełnie jej wystarczyło, by się przekonać, że dzięki jej kuracji starszy pan znacznie się wzmacnił.

Czekała go jeszcze długa droga, by odzyskać pełnię sił, ale już teraz zdołał zejść po schodach, tylko wsparty na ramieniu Edgara. Szedł powoli, lecz prawie nie potrzebował pomocy. Wciąż miał słabe nogi i trudno mu było zachować równowagę, jednakże stanął przy grobie obok pastora, jedynie podpierając się laską.

Odzyskał też kolory na twarzy i miał silniejszy uścisk dłoni. Ale największą poprawę dostrzegą w oczach – widać w nich było bystrość i przenikliwość.

Czuła się więc podekscytowana i bardzo zadowolona z tego, czego dokonała – była to dla niej jako uzdrowicielki prawdziwa nagroda.

I wdzięczność, jaką okazowali jej dosłownie wszyscy obecni na pogrzebie, o czymś świadczyła, cały klan był zachwycony, widząc swego pana odzyskującego siły.

Było ważne, by zobaczyli tam Manachana. Podczas krótkiego, ale wzruszającego nabożeństwa w kościele siedział w pierwszej ławce, a potem samodzielnie wstał, by wygłosić mowę pożegnalną, która sprawiła, że wszystkim łzy napłynęły do oczu.

Następnie do ambony podeszła Lucilla. Powiedziała to, co mówiła wcześniej na podobnych uroczystościach, nawiązując do związku tych, którzy mieszkali, pracowali i umierali na tych ziemiach, z duchem samej ziemi – „proch do prochu” oznaczało coś bardzo konkretnego na terenie objętym panowaniem Pani.

Jako jedyna spoza klanu, stanęła w pewnej odległości od grobu i patrzyła na pozostałych; wspólne przeżywanie smutku jednoczyło rodziny – w tym przypadku klanowe. Wszystko to potwierdzało, z jednym wyjątkiem. Nigel nie budził zaufania klanu, nie mówiąc już o jego sympatii. Obecni zachowywali się wobec niego uprzejmie i z szacunkiem, ale zaczęła się zastanawiać, na ile jest to wyraz ich względów dla Manachana. Jej zdaniem jasno dała się wyczuć niechęć do Nigela – wyrażała to rezerwa nie tylko mężczyzn, lecz także kobiet.

Natomiast Niniver obejmowano i nawet Norrisa traktowano jak jednego ze swoich. Nolan jak zwykle stał w cieniu Nigela; Lucilla nie mogła się zorientować, jaki członkowie klanu mieli do niego stosunek.

Powóz zwolnił, zbliżając się do domu. Szybko powtórzyła w myśli recepturę i kiwnęła głową. Decyzje i wybory, których dokonała, były rozsądne.

Prawdę mówiąc, trochę ją zastanawiało, co takiego kilka miesięcy wcześniej podkopało siły Manachana; cokolwiek to jednak było, znalazła właściwy środek zarad-

czy. Zamierzała iść dalej tym tropem.

Thomas wysiadł pierwszy i odwrócił się, by podać jej rękę.

Podawała mu dłoń i przez cienką rękawiczkę ze skóry poczuła jego ciepło. Podziało to na nią raczej uspokajająco niż deprymująco. Biorąc to za znak, że ich relacje przeszły – dzięki wspólnym nocnym przeżyciom – na inny poziom i czując także na tym polu satysfakcję, weszła razem z nim do frontowego holu.

Norris, z podążającą za nim Niniver, skierował się od razu do schodów.

Lucilla zatrzymała się u wylotu korytarza prowadzącego na dół, do destylarni, i spojrzała przez ramię na Thomasa.

– Idę przyrządzić środek pobudzający dla Manachana.

Słyszając w korytarzu kroki, odwróciła głowę i zobaczyła Alice, która przyjechała z kościoła w jednym z powozów, szła szybko w stronę destylarni i teraz przystanęła u szczytu schodów.

Lucilla uśmiechnęła się i pomachała do niej.

– Otwórz drzwi, zaraz do ciebie przyjdę.

Zwracając się znowu do Thomasa, dodała:

– Nauczę Alice przygotowywać ten środek, by mogła po moim powrocie do Vale dostarczać go Manachanowi.

Thomas skinął głową; od wyjazdu na pogrzeb miał poważną minę. Spojrzał jej w oczy.

– Zawiadom mnie, kiedy już będzie gotowy... pójdę z tobą na górę.

Lucilla uznała, że chciał się upewnić, iż Manachan będzie kontynuował kurację, więc kiwnęła głową i odwróciła się w stronę schodów.

– Jeśli nie będę mogła cię znaleźć, poproszę o pomoc Fergusonsona – rzuciła na odchodnym.

Przyrządzenie środka pobudzającego zajęło niespełna dwadzieścia minut, łącznie z kilkoma próbami powtórzenia całej procedury, by Alice dobrze zapamiętała wszystkie składniki – w tym przypadku odgrywające ważną rolę.

Z zakorkowaną ciemnoniebieską flaszką w dłoni Lucilla weszła po schodach na parter i ruszyła do frontowego holu, zamierzając odszukać Fergusonsona. Zamiast niego znalazła jednak Thomasa, który siedział na fotelu pod ścianą z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami skrzyżowanymi w kostkach i brodą opartą na krawacie. Patrzył ponurym wzrokiem na czubki butów; na dźwięk jej kroków podniósł głowę.

Zobaczywszy ją, wstał. Spojrzał na butelkę, którą trzymała.

– Gotowy?

– Tak.

Podszedł do niej, razem skierowali się do głównych schodów i ruszyli na górę.

Zaczekała, aż dotrą na piętro, i powiedziała:

– Wybór składników na taki napar to trudna sprawa. Zdecydowałam się na zioła i tynktury, które według mnie są najskuteczniejsze, ale będę musiała zajrzeć jeszcze do Manachana, by się upewnić, czy proporcje są odpowiednie.

Thomas spojrzał jej w twarz, ale miała opuszczoną głowę, bo idąc po schodach, unosiła spódnice. Z wyjątkiem krótkich refleksji przy śniadaniu był tak pochłonięty myślami o śmierci Joy i Faith, o tym, co działo się we dworze, oraz o Manachanie

i jego chorobie, że nie doszedł jeszcze do żadnych konkluzji w związku z nimi, Lucillą i nim. Aż do minionej nocy nie przeczuwał, że będą „oni”, ona i on – że połączy ich coś więcej niż niespełnione wzajemne pragnienia – a jednak tak się stało... Czy to trwało, czy też skończyło się z chwilą, kiedy tego ranka opuścił jej pokój?

Nie wiedział.

Jeszcze bardziej niepokojące było to – jak teraz zauważył, kiedy o tym myślał – że nie mógł się zorientować, czego właściwie chce: czy byłby zadowolony, gdyby ich romans skończył się po jednej nocy, czy też...

Ponieważ jednak to nie miało przyszłości, może powinien zdać się na bieg spraw – tak jak ona wydawała się czynić.

W galerii zerknął na Lucillę, która puszczając spódnicę, podniosła głowę. Na jej twarzy malował się spokój, ta jej pogodna pewność siebie. Niemal ogarnęła go niechęć do niej za to jej wewnętrzne przekonanie co do swoich racji, bo sam takiego nie miał.

Szedł przy jej boku, zastanawiając się, dlaczego był przy niej wytrącony z równowagi, mimo że po wydarzeniach ostatniej nocy łatwiej mu się z nią rozmawiało i czuł się w jej towarzystwie swobodniej.

Zbliżali się już do pokoju Manachana, kiedy jego drzwi się otworzyły i stanął w nich Nolan, a tuż za nim Nigel. Widząc Thomasa i Lucillę, obaj się zatrzymali. Nigel zamknął za sobą drzwi.

Lucilla przystanęła w odległości kilku kroków.

Thomas zrobił to samo.

Bracia spojrzeli na butelkę w jej dłoni. Po chwili Nigel spytał:

– Czy to ma być to? Ten lek, który sprawi, że stan zdrowia papy będzie się poprawiał?

– Owszem – odparła Lucilla. – Jak się czuje pański ojciec?

Popatrzył jej w twarz.

– Lepiej – przyznał niechętnie. – Nawet po pogrzebie.

– Zaskakująco dobrze – dodał rzeczowo Nolan. – Mam tylko nadzieję, że to się nie zmieni.

Lucilla podniosła głowę i uśmiechnęła się cierpko.

– Nie widzę powodu, dla którego nie miałby całkowicie odzyskać siły i wigoru. – Wskazała butelkę. – To pomoże. – Urwała na krótką chwilę, po czym zapytała władczo: – Panowie pozwolą?

Rzecz jasna, tak naprawdę nie było to pytanie. Nigel i Nolan niechętnie usunęli się na bok.

Lucilla zapukała do drzwi. Kiedy Edgar je otworzył, z uśmiechem podniosła butelkę.

– Przyszłam zobaczyć się z pacjentem. – I weszła do środka.

Thomas skinął głową kuzynom, którzy wciąż stali niepewnie, i ruszył za nią. Edgar zamknął za nim drzwi.

Lucilla tymczasem była już z Manachanem w jego prywatnym saloniku. Badała mu puls, kiedy Thomas do nich dołączył. Stanął obok kominka i słuchał, podczas gdy ona zadawała jego stryjowi pytania, które najwyraźniej miały na celu ocenę formy starszego pana w porównaniu z wcześniejszym stanem, przed pogrzebem.

Kiedy skończyła wywiad, Manachan spojrzął na nią bystro.

- Zadowolona? - Wskazał ruchem głowy butelkę, którą postawiła na kominku. -

Teraz pozwoli mi pani odpocząć?

Przyglądała mu się chwilę, a potem się uśmiechnęła i wzięła flaszkę.

- Ten specyfik nie będzie miał takiego szybkiego efektu jak tamten, który dałam panu wieczorem, ale jeżeli będzie go pan brał po łyżce każdego ranka po przebudzeniu, a potem po obiedzie i przed snem, i tak przez dwa tygodnie, dostrzeże pan dalszą poprawę. - Pokazała mu butelkę, którą następnie przekazała Edgarowi. Spojrzawszy znowu na Manachana, ciągnęła: - Nie zaszkodzi panu, jeśli zażyje pan za dużo. Ale też nie pomoże szybciej, jeśli będzie pan brał go w większej ilości, niż zaleciłam. Ma działać powoli, w miarę jak będzie się panu poprawiał apetyt.

Manachan prychnął triumfalnie i zerknął na Thomasa.

- Nie mogę powiedzieć, że będę żałował, jeśli odzyskam apetyt. Jedną gorszą rzeczą od jedzenia papki jest chęć, by ją jeść, bo wszystko inne sprawia zbyt dużo kłopotu.

Thomas zmusił się do uśmiechu.

- Poinstruowałam Alice, jak ma przyrządzać następne partie środka - dodała Lucilla.

- To dobrze. A co pani sądzi o tej kobiecie, hę? - Manachan spojrzął na nią z ukosa. - Zawsze mieliśmy tu dobrych uzdrowicieli... czy ona się nada według pani?

Thomas słuchał odpowiedzi Lucilli, a Manachan upewnił się, że mimo iż tego ranka pochowali Joy, członkowie klanu będą pod dobrą opieką.

- A jeśli Alice natknie się na problem, z którym nie będzie umiała sobie poradzić - zakończyła Lucilla - zawsze może się zwrócić do mnie. Już jej powiedziałam, by w razie potrzeby odszukała mnie w Vale, jeśli tylko będę mogła pomóc.

Manachan uznał sprawę za załatwioną; Thomas, znając stryja, podejrzewał, że chciał on usłyszeć wiążącą odpowiedź. Manachan, patrząc na Lucillę, skłonił głowę tak nisko, jak tylko mógł.

- Dziękuję pani. Naprawdę nie wiem, jak ja i mój klan poradzilibyśmy sobie bez pani.

Podczas gdy Lucilla powtórzyła, że Vale zawsze służy Carrickom pomocą, Manachan zerknął na Thomasa i unosząc lekko kąciki ust, nieznacznie skinął głową - jakby chciał powiedzieć: „Sprytnie to rozegrałem”.

Nie bardzo wiedząc, co stryj ma na myśli - który aspekt obecności Lucilli - wyszedł za nią z apartamentu Manachana.

Dotarłszy do szczytu schodów, odwróciła się i spojrzała na zamknięte drzwi pokoju starszego pana. Z zamyśloną miną popatrzyła na Thomasa, kiedy się przy niej zatrzymał.

- Wciąż nie mogę zrozumieć jednego: dlaczego nie poprosił Joy, by przynajmniej go zbadała. Może nie była tak wprawną uzdrowicielką jak ja albo moja matka, ale na pewno mogła mu jakoś pomóc.

Była to jedna z licznych kwestii, nad którymi zastanawiał się przez cały ranek. Przez chwilę spoglądał jej w oczy, potem rozejrzał się wokół i wreszcie wskazał schody.

- Chodźmy na spacer.

Natychmiast zrozumiała, co miał na myśli, i skinęła głową.

- Doskonały pomysł.

Zeszli po schodach, wyszli przez frontowe drzwi, okrążyli dom i ruszyli wzdłuż tarasu.

Kiedy przybrali spacerowy krok, zapytała krótko:

- Dlaczego?

Opuszczając głowę, zastanowił się nad odpowiedzią.

- Ponieważ - zaczął w końcu - za tym wszystkim, co się tu dzieje, stoi ktoś z klanu. Przynajmniej jedna osoba, a może więcej. - Po chwili kontynuował: - A jeśli chodzi o twoje pytanie, najpierw myślałem, chyba tak samo jak ty, że Manachan nie chciał wezwać uzdrowicielki z powodu dumy, w takim czy innym sensie. Ale jak się przekonaliśmy, tobie pozwolił się zbadać. Jednak ze słów Edgara i Fergusona... oraz pani Kennedy... wynika, że od miesiący jest w stanie, w jakim go zastaliśmy. - Przerwał i zaraz potem podjął: - Pytałem o to, ale nikt nie wie, co mógł mieć przeciwko Joy, konsekwentnie jednak odmawiał, kiedy Edgar sugerował, by zasięgnął jej rady. A przecież słyszałaś, co dziś mówił na pogrzebie... jak oceniał Joy. Można mu zarzucić wiele, ale nie udaje, nie bawi się w uprzejmości.

Sarknęła:

- Jak mówią moi podopieczni, nigdy nie miał takiego zwyczaju.

- Właśnie. Więc mówił o Joy to, co myśli. A to znaczy, że nie było powodu, dla którego nie miałby poprosić ją o pomoc, chyba że... i tak musiało być, bo nie ma innego wytłumaczenia... ktoś mu wmówił, celowo czy też nie, że dolega mu wyłącznie starość.

Chwilę szła przed siebie w milczeniu; jej wzrok, tak jak jego, był utkwiony w kamiennych płytach leżących przed nimi.

- Odkąd przyjechaliśmy, słyszeliśmy takie wyjaśnienia już kilka razy.

Mówiła bardzo spokojnym głosem; musiał przyznać, że potrafiła, przynajmniej z pozoru, zachować zimną krew.

- Owszem. - On sam nie był taki opanowany, wypowiedział to słowo ostrym tonem. Ale przecież Manachan był jego stryjem. - Pomijając na razie pytanie, dlaczego nie szukał pomocy wcześniej, chciałbym zapytać o twój lek i środek na pobudzenie. Jakie jest ich działanie?

Zerkając na nią, zobaczył, że na jej czole pojawiła się mała zmarszczka.

- Chodzi ci o to, na co oddziałują te dwa preparaty?

Zawahał się, a potem potwierdził:

- Chyba to miałem na myśli. Zastanawiałem się, czy wiedząc, co u człowieka wzmacniasz, możesz się domyślić, co go osłabiło.

- Ach, rozumiem. - Podniosła głowę. - Niestety, odpowiedź brzmi: nie. Kuracja ma na celu odbudowę mięśni, a jeszcze bardziej zwiększenie energii. Czyli wpływa na krwioobieg, oddychanie i trawienie. Jednak brak energii... wigoru, siły czy jak to nazwać... może być objawem wielu dolegliwości. Gdybym zbadała go zaraz po tym, jak zachorował, pewnie potrafiłabym stwierdzić, co mu się stało, lecz po tak długim czasie osłabienia trudno określić przyczynę takiego stanu.

Skrzywił się.

- Ale co to mogło być?

- Na przykład coś całkiem zwyczajnego... jak choroba płuc. - Doszli do końca tarasu i zawrócili. Pokręciła głową. - Po takim czasie naprawdę trudno zgadnąć.

Zrobił dwa kroki przed siebie i zapytał:

- Można powiedzieć, że niezależnie od tego, co mu było, najbardziej zaszkodziło mu to, że przez tak długi czas nie szukał pomocy?

Pokiwiała głową z przekonaniem.

- Na pewno. Można tak powiedzieć.

Po chwili obróciła głowę, przyjrzała mu się i dodała:

- I owszem, gdybyś częściej przyjeżdżał z wizytą, zadbałbyś, by otrzymał tę pomoc wcześniej, i nie doprowadziłby się do takiego stanu, ale skąd miałeś wiedzieć. Teraz przyjechałeś, ja się nim zajęłam i więcej zrobić nie można.

Przystanął i zachekał, by także ona się zatrzymała. Patrząc jej w oczy, odparł po prostu:

- Tak. Więc teraz wyjedziesz? - Kiedy zamrugła, dodał: - Proszę.

Ściągnęła brwi.

- Dlaczego miałabym wyjechać?

- W destylarni nie wiadomo skąd pojawiła się żmija. Do twojego pokoju w środku nocy zakradł się mężczyzna, który najwyraźniej chciał cię napaść, kiedy spałaś. Te dwa incydenty chyba wystarczą. - Wraz z jego rosnącym przekonaniem, że ktokolwiek stał za tym, co się tam działo, już dwa razy doszło do morderstwa. Zacisnął jednak usta, zachowując to ostatnie dla siebie.

Z niewielkim pożytkiem.

Lucilla sposepniała.

- Nie. Nie ucieknę do domu, dopóki się nie upewnię, że Manachan... już oficjalnie pod moją opieką... nie znajdzie się na prostej drodze do ozdrowienia. - Ruszyła znowu przed siebie, szeleszcząc spódnicą. - I zanim spytasz, powiem, że zajmie to jeszcze co najmniej dwa dni.

Zgrzytnął zębami i pospieszył za nią.

- Czy zdajesz sobie sprawę - zniecierpliwiony machnął rękami - jaki wybuchłby skandal, gdyby coś ci się stało pod naszym dachem? - Gestykulował dalej. - Co więcej, gdybyś, będąc tutaj, doznała jakiegokolwiek krzywdy, to przy twojej pozycji na tych ziemiach w klanie nastąpiłby rozłam.

Zwabiwszy go do swego łóżka, Lucilla nie zamierzała potulnie się spakować i wrócić do domu. Przystanąła więc znowu i odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- To... - Nagle doznała złego przecucia.

Zamilkła i zadarła głowę, by spojrzeć w górę.

Rozległ się chrzęst, który zwrócił jej uwagę na dach - kamienny gargulec się zachwiało, a potem runął w dół.

Krzyknęła i chwyciła Thomasa, pchając go na bok.

On podążył za jej spojrzeniem, objął ją i jako znacznie silniejszy, rzucił się z nią do przodu.

Upadli na kamienne płyty - czy raczej on upadł; bo ona wylądowała w jego ramionach.

Usłyszała straszliwy huk, który zagłuszył wszystko inne.

Kamień spadł i roztrzaskał się na kawałki, które uderzyły w ich ubrania - tysiące

drobnych fragmentów. Skuliła się i zasłoniła głowę. Thomas, ochraniając ją, drgnął i syknął. Obok jej buta przeleciał kamień i zatrzymał się nieopodal.

Potem wzniósł się pył, który spowił ich obłokiem, i zapadła cisza.

Lucilla zakrztusiła się, zakaszła, a potem, prostując się, odsunęła ramię osłaniającego ją Thomasa.

Jego ręka opadła bezwładnie. On sam się nie poruszył.

Spojrzała mu w twarz. I poczuła, że blednie.

- O Boże.

Był nieprzytomny. Coś mu się stało.

Na chwilę uległa panice, jednak sekundę potem odezwała się w niej doświadczona uzdrowicielka. Wzięła głęboki oddech i usiadła. Delikatnie obmacała mu twarz. Ostrożnie ujęła palcami jego głowę, zamknęła oczy i wyczuła...

Nie było żadnego pęknięcia. Ani krwi. Tylko jeden wielki, już rosnący guz nad lewym uchem.

- Boże!

- Panienko!

- Nic się panience nie stało?!

- Pan Thomas!

Te okrzyki dobyły się z wielu gardeł. Szybko zjawili się stajenni, a z za domu wybiegali już inni służący.

Nie podniosła głowy, lecz kontynuowała oględziny Thomasa, sunąc wzrokiem po jego ciele - aż po lewą łydkę.

W grubym mięśniu tkwił odłamek kamienia.

- Panienko?

Uniosła wzrok, kiedy przyklęknął obok niej Sean.

Spojrzał jej w oczy.

- Nic się panience nie stało?

Potwierdziła skinieniem głowy i znowu nabrała powietrza w płuca.

Mitch i Fred, którzy przykucnęli przy Thomasie, wyciągnęli ręce, by obrócić go na plecy.

- Nie! Nie ruszajcie go. Jeszcze nie. - Jej ostry ton przyniósł skutek; wszyscy znieruchomieli i popatrzyli na nią. Ponownie kiwnęła głową, tym razem bardziej zdecydowanie, i powróciła do swego zwykłego energicznego sposobu bycia. - W jego łydce utkwiał odłamek kamienia. Widzicie? - Wskazała miejsce, którego Mitch i Fred nie zauważyli. - Najpierw go wyjmemy, a potem odwrócimy pana Thomasa, by mu nie zaszkodzić.

Sądząc z pozycji odłamka, mógł przeciąć większe naczynie krwionośne; nie zamierzała ryzykować.

Na pogrzeb włożyła jedwabny czarny szal. Wciąż miała go na ramionach i wokół szyi - idealnie nadawał się na opaskę uciskową. Zdjęła go i zaczęła skręcać w dłoniach, wyjaśniając Seanowi, Mitchowi i Fredowi - a także Fergusonowi, kilku pokojówkom i lokajom, którzy tymczasem przybiegli - co mają zrobić.

Mitch, Fred i dwaj lokaje zabrali się do usuwania roztrzaskanego kamienia, by Sean, Ferguson i ona mieli więcej miejsca do dyspozycji.

Podczas gdy Ferguson i Sean rozcinali nogawkę spodni Thomasa i pod jej kierun-

kiem zakładali mu opaskę uciskową, zebrała od służących fartuszki, złożyła je w gruby opatrunek i przyłożyła wokół rany – a potem dała znak Seanowi, by wydobyl odłamek. Gdy tylko to zrobił, trysnęła krew, ale Lucilla natychmiast ją zatamowała, z całych sił przyciskając do zranionego miejsca opatrunek. Thomas drgnął i jęknął, ale zaraz potem znowu stracił przytomność.

– I dobrze – mruknęła. Spojrzała na Seana i Fergusona. – Teraz możemy go stąd zabrać... do jego pokoju, do łóżka.

Mimo wszystko nie podobało jej się to, że Thomas był wciąż nieprzytomny. Nie po to mu się oddała, by teraz go stracić – i nie zamierzała do tego dopuścić.

Thomas ponownie odzyskał świadomość, kiedy kładli go na łóżku. Wrażenie było co najmniej dziwne. Zebrali się przy nim wszyscy – Sean, Mitch, Fred i Ferguson, a także inni służący.

Próbował sobie przypomnieć, co się stało, dlaczego kładą go ubranego do łóżka, ale miał wrażenie, że zamiast głowy ma bęben, w który ktoś uderzył, a jego ciało zostało wypchane wełną. Nie mógł składnie myśleć.

Ostrożnie ułożyli go na plecach. Jego głowa zagłębiła się w poduszki i nad lewym uchem poczuł oślepiający ból. Gwałtownie wciągnął powietrze, zauważając, że stracił dolną część nogawki spodni i ma coś na łydce – a potem pojawiła się Lucilla. Pochyliła się nad nim i podała mu szklanekę, namawiając go do picia.

Był bardzo spragniony.

Sean pomógł mu się podnieść, a wtedy Thomas pociągnął duży łyk.

Kiedy opadł znowu na poduszki, oczy same mu się zamknęły i zapadł w sen.

Kiedy obudził się następnym razem, mógł już myśleć całkiem przytomnie. Ból głowy nie ustąpił, ale nieco zelżał, zamieniając się w tępe pulsowanie. Niestety doszło do tego bardziej zdecydowane, wyraźniej umiejscowione darcie w lewej łydce. Nie otwierając oczu, skupił się na tym doznaniu; uznał, że jego przyczyną są szwy. A co do głowy, musiał nią uderzyć o kamienne płyty na tarasie...

Wróciła mu pamięć.

Otworzył oczy – i ujrzał Manachana, który siedział na krześle obok łóżka. Thomas rozejrzał się po pokoju; nie było w nim nikogo poza nimi. Zwrócił spojrzenie na twarz stryja.

– A Lucilla?

Ten pokiwał głową, jakby zrozumiał pytanie.

– Nic jej się nie stało... och, ma kilka zadrapań, ze dwa siniaki, choć nawet do tego nie chce się przyznać.

Thomas ściągnął brwi.

– Gdzie ona jest? – Była tam wcześniej, kiedy kładli go na łóżku; tyle pamiętał. I że zszywano mu nogę – niewątpliwie było to jej dzieło. Zerknąwszy w stronę okien za plecami Manachana, zobaczył niknące światło późnego popołudnia. Kiedy oboje z Lucillą wyszli na taras, było przedpołudnie... Spojrzał stryjowi w oczy. – Co się stało?

– Spacerowałeś z Lucillą na tarasie, kiedy ktoś stracił z dachu jeden z gargulców, wyraźnie dybiąc na wasze życie. Twoje, jej czy was obojga... zdaje się, że bez róż-

nicy – powiedział to bez żadnej intonacji, po prostu przedstawiając fakty. – Ferguson i Edgar poszli na górę i sprawdzili... nie ma innego wytłumaczenia.

Kiedy leżał bez ruchu, patrząc niewidzącym wzrokiem za plecy stryja i próbując uporządkować myśli, Manachan dodał:

– Słyszałem też o żmii.

Thomas ponownie skupił wzrok na twarzy starszego pana, po czym westchnął.

– Zeszłej nocy do pokoju Lucilli dostał się jakiś mężczyzna. Obudziła się i zobaczyła go, jak skradał się z poduszką w rękach. Krzyknęła, a wtedy on uciekł. Zobaczyłem go na końcu korytarza, ale nie potrafię powiedzieć, kto to był. Miał na sobie pelerynę z kapturem, więc nie widziałem jego twarzy.

Manachan jęknął.

– Jeszcze gorzej.

– Próbowałem ją przekonać, by wyjechała... daremnie... kiedy spadł ten przeklęty gargulec. – Zazgrzytał zębami i podciągnął się na poduszki, by usiąść. Zapowiedział ponuro: – Ale teraz wyjedzie, już ja się o to postaram. – Po chwili, wciąż marszcząc czoło, popatrzył na stryja. – Właściwie jestem zdziwiony, że nie kazałeś jej się pakować.

Manachan patrzył na niego przez dłuższy moment – potem, ku zaniepokojeniu Thomasa, stryj się uśmiechnął.

– Wyszedłeś na ludzi. Zawsze wiedziałem, że tak będzie. Nauczyłeś się używać rozumu, a to dobrze, zwłaszcza jeśli się prowadzi interesy. Ale, mój chłopcze, jeszcze masz przed sobą długą drogę. – Pokiwał grubym palcem w geście żartobliwego upomnienia. – Musisz się nauczyć słuchać głosu serca. To właśnie łączy nas z innymi, z najbliższymi nam ludźmi, a także ze społecznością, w której żyjemy, taką jak klan. Jak rodzina. Jeśli nie nauczysz się słuchać głosu serca, możesz zdobyć wszystkie bogactwa świata i nie będziesz miał się z kim nimi podzielić. A jeśli nie będziesz miał z kim dzielić życia, to po co ci ono?

Thomas poczuł się całkowicie zdezorientowany; nie wiedział, co niespodziewane refleksje filozoficzne stryja mają do kwestii, które musieli omówić.

Jednakże, przerywając tylko dla zaczerpnięcia tchu, Manachan mówił dalej:

– Chcę, byś odwiózł Lucillę do Vale, a potem wrócił do Glasgow.

Thomas zamrugał.

Zanim zdążył zaprotestować, Manachan podjął:

– Musisz dość do siebie, a tu to niemożliwe. – Spojrzał Thomasowi w oczy wzrokiem, któremu nie można się było sprzeciwić. – Nie możesz pozostać na terenie posiadłości, bo z jakiegoś powodu... najwyraźniej bardzo ważkiego... ktoś z klanu nie chce cię tu... ani Lucilli... i żywi do was tak głęboką niechęć, że był gotów posunąć się nawet do morderstwa. – Przerwał. – Nie mogę dopuścić, by was zabił. – Zacisnął szczęki. – Jako głowa klanu. Nie mogę.

I nagle Thomas sobie uświadomił, że ma przed sobą dawnego Carricka. Stryj odzyskał siły, i to jak. Choć ucieszył się z tej poprawy i poczuł wielką satysfakcję, że Lucilli udało się w takim stopniu przywrócić Manachana do formy, jednocześnie zdał sobie sprawę, że znacznie trudniej mu będzie rozmawiać z ozdrowiałym stryjem niż z tym osłabionym.

Jakby czytając mu w myślach, ten kontynuował:

- Jako przywódca klanu jestem odpowiedzialny za ciebie i Lucillę podczas waszego pobytu na tych ziemiach. Co więcej, jesteś synem mojego brata, równie mi drogi jak niegdyś on sam. - Poruszył się na krześle. - A jak widzisz, jeszcze nie umarłem i dzięki specyfikom Lucilli czuję się już na tyle zdrowy i sprawny, by zrobić, co trzeba. - Pochwycił i przytrzymał spojrzenie Thomasa. - Tak, coś się tu dzieje... coś, czego nie możemy tolerować. Ani klan, ani ja. Nie powiedziałaś mi wszystkiego, co wiesz, ale teraz to zrobisz... przed wyjazdem. Ponieważ nie będę w stanie dotrzeć do sedna sprawy, kiedy tu będziesz. Taka jest prawda i musisz się z tym pogodzić. - Przerwał, spojrzał w dal i wyraźnie się zamyślił, jakby patrzył na mapę, jakiś plan. - Nigdy nie miałeś być przywódcą klanu i trzeba ci oddać, a także twojemu ojcu przed tobą, że nigdy żaden z was tego nie kwestionował. Co więcej, obaj honorowaliście taki stan rzeczy, co wie, pochwała i docenia cały klan. Jeśli nie głową, to na pewno sercem. Jesteś przywódcą z urodzenia, z natury i pozycji, lecz nigdy nie miałeś być ich panem... to jedna z tych niewypowiedzianych prawd, którą każdy zna i z którą, jak wspomniałem, zawsze się godziłeś. Nigdy nie będziesz „tym” Carrickiem i właśnie dlatego musisz wyjechać. - Ponownie patrząc Thomasowi w oczy, dodał: - Nigel nigdy nie będzie tak silny jak ty... i ma tego świadomość. To zrozumiałe, choć nie poprawia sytuacji. Mimo swoich słabości jest dość sprawny i z czasem stanie się dobrym panem, bo ma takie możliwości, ale nie skłonię go, by się na tym skoncentrował, dopóki jego uwaga będzie skupiona na tobie.

Był to prosty wywód i Thomas nie miał z czym dyskutować.

Wtedy jednak Manachan wydał usta w uśmiechu.

- Poza tym Lucilla nie opuści Carrick Manor, póki ty tu będziesz. Musisz więc wyjechać i zabrać ją stąd, z dala od niebezpieczeństwa. Nie może tu zostać.

Thomas się skrzywił.

- W tej kwestii nie będę się sprzeciwiał, ale... - Ściągnął brwi. - Nie rozumiem, dlaczego nie odwołałeś się do swego autorytetu i wcześniej nie odesłałeś jej do domu. To do ciebie niepodobne, by ulegać woli innych, zwłaszcza gdy chodzi o dobro i bezpieczeństwo klanu.

Manachan prychnął.

- Wciąż nie rozumiesz. Co z tego, że mogłem ją odesłać? Na miłość boską, jest nie tylko moim gościem, lecz także córką potężnego sąsiada, z którym chciałbym pozostawać w dobrych stosunkach. Na dodatek ma być kapłanką miejscowego bóstwa... i niezależnie od moich własnych odczuć wobec Pani, które przyznaję, są dość skomplikowane, nie zamierzam narażać się tym z klanu, którzy w nią wierzą, obrażając jej przedstawicielkę.

Thomas przyjrzał się stryjowi, zaciekawiony jego słowami.

- Nie wiedziałem, że uznajesz dawne wierzenia.

- Cóż. - Manachan wzruszył ramionami. - Moja matka, a twoja babka była kuzynką tej starej czarownicy, Algarii. Wyznawała dawną religię, podobnie jak do tej pory wielu członków klanu, a ja jestem zbyt stary i doświadczony, by odrzucać coś tylko dlatego, że tego nie rozumiem. - Westchnął i popatrzył Thomasowi w oczy. - Krótko mówiąc, nie mogę kazać Lucilli wyjechać, ale jeśli coś jej się stanie podczas pobytu tutaj, Cynster żywcem obedrze mnie ze skóry... a ja nie będę się sprzeciwiał

Thomas także wydał ciężkie westchnienie. Opadając na poduszki, zapatrzył się

w sufit. Zaczął zastanawiać się nad życzeniem stryja – poleceniem głowy klanu – i tym, czego oboje z Lucillą pragnęli.

Przyjechał do Carrick Manor, by się dowiedzieć, co się dzieje, i dopilnować, by sprawy przybrały właściwy obrót. Na miejscu jednak odkrył, że posiadłość trawi poważniejsza, groźna choroba. Nie udało mu się dojść, kto za nią stoi, ani jak daleko się rozprzestrzeniła – ale po drodze sprowadził do dworu Lucillę, dzięki czemu klan odzyskał w osobie Manachana dawnego przywódcę. Nawet nie patrząc na stryja, czuł, że Manachan nabrał sił, myślał i mówił z dawną przenikliwością oraz zdecydowaniem.

Czy starszy pan był obecnie w stanie odkryć tajemnicę tego, co się tu dzieje, i rozwiązać problemy nękające klan?

I czy, jeśli odpowiedź na to pytanie brzmiała „tak”, jak było w rzeczywistości, to czy Thomas miał powód albo prawo, by sprzeciwić się przywódcy klanu? Zwłaszcza że rozumiał, z czego wynika jego żądanie – nawet jeżeli pod pewnymi względami kłóciło się ono z tym, czego sam chciał, i raniło jego dumę?

Zacisnął usta i opuścił wzrok. Spojrzał Manachanowi w twarz.

– Dobrze. – Usłyszał rezygnację w swoim głosie. – Wyjadę... i zabiorę ze sobą Lucillę.

Manachan skłonił głowę.

– Dziękuję ci. I jeśli możesz, opowiedz mi wszystko, co do tej pory pomijałeś, a co powinienem wiedzieć.

Thomas rozsiadł się wygodnie i spełnił jego prośbę. Zrelacjonował stryjowi to, czego dowiedzieli się z Lucillą, łącząc fakty i wyjawiając podejrzenia; wspomniał także o próbkach wody, które wysłali do zbadania – i wciąż czekali na wyniki. Nie mieli pojęcia, kto ponosi odpowiedzialność za ostatnie wydarzenia, ale jeśli ktoś mógł dojść do prawdy, to tylko Manachan. Manachan, który wrócił do sił i był w pełni swych możliwości – dzięki Lucilli. Tylko na niego mogli teraz liczyć.

Lucilla trzymała się z dala od pokoju Thomasa i jego samego najwyraźniej z powodu stanowczego polecenia Manachana. Po wyjściu stryja Thomas przesłał jej przez Edgara liścik, w którym pisał, że musi z nią pomówić i chciałby się z nią spotkać w salonie przed kolacją.

Z pomocą Edgara przebrawszy się na wieczór, Thomas, trzymając się balustrady i wspierając na lasce, którą znalazł dla niego Ferguson, powoli zszedł po schodach. Wciąż czuł pulsowanie w głowie, ale starał się na to nie zważać. Inną sprawą był ostry ból w nodze. Za każdym razem, kiedy na niej stawał, przypominał sobie dotkliwie, że nie powinien wstawać z łóżka.

Pokuśtykał do salonu przez otwarte drzwi i zastał już w środku Lucillę, która popatrzyła na jego nogę, jakby widziała ranę i czuła powodowany przez nią ból.

Zauważywszy, że zmrużyła oczy i wydeła usta, domyślił się, że wstrzymała się od cierpkich uwag, których nie musiał słuchać.

Kiedy dotarł do stojącego naprzeciwko niej fotela, już otwierała usta.

– Nie, proszę. – Pochwycił jej spojrzenie, kiedy uniosła wzrok ku jego twarzy; patrząc jej w oczy, usiadł powoli. – Nie byłoby mnie tutaj, gdybyśmy mogli swobodnie porozmawiać gdzie indziej.

Zmarszczyła czoło.

- Powinieneś być zostać w łóżku. Mogłam przyjść do twojego pokoju.

Nie, nie mogła; aż taki silny nie był, wiedział to na pewno. Nie odnosząc się do tego, co powiedziała, ciągnął:

- Dziś po południu odbyłem z Manachanem długą rozmowę, w której efekcie musimy omówić kilka spraw.

Od wyjścia stryja powtarzał sobie w głowie argumenty, które miał przedstawić; teraz wyłożył je logicznie i zwięźle.

Słuchała go w milczeniu. Kiedy dotarł do końca, czyli prośby Manachana, by wyjechał, zabrał ją z powrotem do Vale i wrócił do Glasgow, w jej oczach pojawił się posępny wyraz, ale wciąż nic nie mówiła.

Niepewność co do tego, z której strony zamierzała zaatakować decyzję jego i Manachana, była dla niego jeszcze gorsza niż kłótnia z nią. Kiedy cisza między nimi zaczęła się przedłużać, a Lucilla, ściągając brwi, wciąż patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby myślami była daleko, westchnął ze zniecierpliwieniem. Gdy spojrzała mu w twarz, uniósł brew.

- Cóż więc? Wyjedziesz ze mną i wrócisz do Vale?

Przyjrzała mu się, po czym odwróciła głowę i spojrzała w stronę otwartych drzwi.

Wstała, przeszła przez pokój i cicho je zamknęła, a potem dość zdecydowanym krokiem zbliżyła się do swego fotela. Nie usiadła, lecz zaczęła krążyć przed kominem pomiędzy fotelami. Nigdy wcześniej nie widział, by tak się zachowywała, i miał przeczucie, że nie jest to dobry znak.

Lucilla splotła przed sobą palce i chodząc tam i z powrotem, próbowała wymyślić jakiś sposób - najlepszy sposób - by w nowej sytuacji uzyskać to, co chciała.

Zwabiła Thomasa do łóżka - teraz zaś musi go w nim zatrzymać. Na tyle długo, by dobrowolnie zgodził się tam pozostać, przy jej boku. Najwyraźniej bowiem nie doszedł jeszcze do tego etapu; czego zresztą się nie spodziewała zaledwie po pierwszej nocy.

Potrzebowała takich nocy więcej - dni też.

Zerkając na niego, spytała:

- Satysfakcjonuje cię to, że Manachan jest już samodzielny, nie potrzebuje twojej pomocy? Że sam może znaleźć tego, kto jest odpowiedzialny za te wszystkie dziwne zdarzenia, i postawić go przed sądem?

Nie odpowiedział od razu, zastanowił się chwilę i kiwnął głową. Spojrzał jej w oczy.

- Jest w lepszej formie... znacznie lepszej, niż wydawało się to możliwe po tak krótkiej kuracji.

I dlatego że jej leczenie było tak skuteczne, mieli skrócić jej czas, który chciała spędzić z Thomasem? O nie, nie zamierza na to pozwolić.

Mogła zrozumieć, dlaczego Manachan sobie życzył, by Thomas opuścił ziemie Carricków; zgadzała się z jego oceną sytuacji i decyzją. Doszła do wniosku, że sama też powinna wyjechać, choćby po to, by zapobiec dalszym atakom na swoją osobę; tylko zwiększały one napięcie we dworze i w klanie, i bez tego wystarczająco duże. Rozumiała więc i zgadzała się, ale nie miała zamiaru mówić tego Thomasowi.

Zakładając ręce na piersi, zatrzymała się i spojrzała mu w twarz.

- Powinam tu zostać i upewnić się, że Manachan jest na drodze do zdrowia. Że będzie w stanie rozwiązać problemy, z którymi boryka się jego klan. Tak powinam postąpić, gdyż moim obowiązkiem jest służenie mieszkańcom tych ziem.

Thomas podniósł głowę, westchnął i wskazał fotel, który opuściła.

- Mogłabyś usiąść, aby łatwiej nam się rozmawiało?

Widząc napięcie na jego twarzy, sarknęła i opadła na poduszki.

- A jeśli chodzi o ciebie... nie możesz jechać do Glasgow. Zaszyłam ci ranę na nodze, ale była głęboka, poważna, z tych, które same się nie zagoją. W obecnym stanie, ze względu na jej umiejscowienie, nie dasz rady podróżować konno, a godzinnej jazdy powozem nie wytrzymasz.

Jego milczenie było wymowne.

Wyczytał z jej twarzy stanowczość, której nawet nie starała się ukryć.

Zacisnął usta i zmrużył oczy. Zabębnił palcami po rączce laski, po czy zapytał wprost:

- Co mam zrobić, byś zgodziła się wrócić do Casphairn Manor?

Otworzyła szeroko oczy; postawił sprawę bardziej bezpośrednio, niż się spodziewała, ale była gotowa stawić mu czoło mimo wszystko. Podniosła dłoń, by dać znak - dość gwałtownie - że się zastanawia, a potem powiedziała:

- Póki rana nie zagoi się na tyle, byś mógł jeździć konno, jesteś moim pacjentem. Przyznaję, że Manachanowi powinno się poprawiać bez mojej codziennej opieki, więc faktycznie z tego powodu nie muszę tu zostać. Mogę także zrozumieć, że będzie dla niego lepiej, jeśli opuścisz ten dom, więc nie będę sprzeciwiać się jego prośbie, byś wyjechał z posiadłości. Jednak, chociaż zgodzę się wrócić z tobą do Vale, będę nalegać, byś tam pozostał, to znaczy w Casphairn Manor.

Thomas zamrugał. Szybko rozważył jej propozycję w kontekście tego, co sam - wraz z Manachanem - chciał osiągnąć. Nie myślał o tym, by zatrzymać się w Vale, ale gdyby tak zrobił, gdyby został tam przynajmniej przez kilka następných dni, byłby na tyle blisko Carrick Manor, by natychmiast zareagować, gdyby Manachan potrzebował jednak jego pomocy. Stryj wracał do sił, ale ponieważ nie mieli pojęcia, kto ponosi odpowiedzialność za ostatnie incydenty, pobyt w okolicy, umożliwiający mu wkroczenie do akcji, nie był wcale takim złym pomysłem.

Thomas spojrzał na Lucillę i już otwierał usta, by wyrazić zgodę, gdy powstrzymała go, unosząc rękę.

- Mam tylko jeden warunek. - Władczo popatrzyła mu w oczy, nie pozwalając opuścić wzroku. - Podczas pobytu w Casphairn Manor będziesz dzielił ze mną łóżko.

Przeszyło go czyste pożądanie. Spoglądał na nią bez słowa.

Powinien być zgorszony, był jednak zaintrygowany.

Nie umknął przed zielonym ogniem jej oczu - nie trudził się. Na razie.

Nie zdawał sobie bowiem sprawy, jak bardzo nurtuje go kwestia, czy zależało jej tylko na jednej nocy z nim, czy z jakiegoś powodu ich romans mógł potrwać dłużej... przynajmniej te kilka dni, przy których teraz obstawała.

Jemu bowiem jedna noc nie wystarczyła - tak naprawdę tylko wzmogła apetyt; wszystko wskazywało jednak, że ona także czuła niedosyt.

To... dobrze, nieprawdaż? Dla niego? Jakoś dziwnie nie był tego pewny.

Zamrugał, uwolnił się spod władzy jej spojrzenia i ponownie na nią popatrzył, na

jej twarz i całą postać - nie tylko w te hipnotyzujące oczy.

- A twoja reputacja? Co powiedzą domownicy? Twój brat?

Machnęła ręką lekceważąco.

- Mam dwadzieścia osiem lat i wszyscy wiedzą, że jako następczyni mojej matki w Vale robię, co uważam za stosowne, choćby to było niekonwencjonalne. Nikt nie będzie kwestionował moich decyzji... nawet nie będzie czuł się uprawniony. Służba zawsze mnie wspierała i to się nie zmieni. A co do Marcusa, zna mnie zbyt dobrze, by mi się sprzeciwiać.

To wszystko brzmiało wiarygodnie, a jednak... miał wrażenie, że jest wabiony na ścieżkę, której mądrzejszy mężczyzna, mniej urzeczony, by unikał.

Ale nie był takim mężczyzną; był sobą i to, co oferowała, nie wyłączało przedstawionego właśnie warunku, odpowiadało jego interesom, osobistym i tym związanym z klanem, które w tym punkcie się zbiegały.

Wahał się jeszcze przez chwilę, lecz później uległ obezwładniającej presji instynktu i skłonił głowę.

- Zgoda. Wyjedziemy zaraz po kolacji.

Uniosła brwi z namysłem, po czym ustąpiła.

- Doskonale. - Napotkała jego spojrzenie. - A więc postanowione. Jeśli zaś chodzi o sytuację, w której zostawiamy Manachana... Wspomniał mi, że ktoś wyszedł na dach i strącił z niego gargulca.

Pokiwał głową. Domyślając się - a właściwie wiedząc - jakim torem będą podążać myśli Lucilli, zwięźle zrelacjonował jej najważniejsze odkrycia, tak jak przed kilkoma godzinami Manachanowi.

Słuchała z powagą. Kiedy dotarł do końca, zastanowiła się, a potem podsumowała:

- Podejrzewamy, co zapewne potwierdzą wyniki badania wody, że Bradshawowie oraz Joy zostali celowo otruci, jesteśmy też pewni, że ktoś zepchnął Faith ze schodów, by ją zabić... do tego wiemy, oczywiście, że ktoś wpuścił żmiję do destylarni, zakradł się zeszłej nocy do mojego pokoju i wreszcie strącił gargulca z dachu... Jednakże, dysponując tą wiedzą, nie jesteśmy w stanie nikogo wskazać palcem, ponieważ wszystko to mógł zrobić dosłownie każdy z posiadłości.

Pokiwał głową. W holu za drzwiami zabrzmiał gong wzywający na kolację.

Pochylił się do przodu i wsparł na lasce. Lucilla wstała szybko, podeszła do niego i podała mu rękę.

Zawahał się, po chwili jednak odłożył na bok dumę, ujął jej dłoń i wsparł się na niej. Stanąwszy na nogi, zaczerpnął tchu i spojrzał jej w oczy.

- Nie tylko nie jesteśmy w stanie nikogo wskazać palcem, nie możemy nawet udowodnić, że te wszystkie incydenty mają ze sobą związek... że ten, kto zabił Joy i Faith, zatrął także studnię Bradshawów, strącił kamień z dachu i...

Skrzywiła się i odwróciła w stronę drzwi.

- Więc rzeczywiście nie mamy wyboru, musimy zostawić tę sprawę Manachanowi, ponieważ koniec końców nic więcej nie możemy zrobić.

Ruszyła powoli, by mógł za nią nadażyć. Gdy wychodził z nią z salonu, w głowie dźwięczały mu jej słowa.

Miała rację. Nie mogli nic więcej zrobić, by odkryć, kto stoi za dziwnymi wyda-

rzeniami na ziemiach Carricków.

12.

Opuścili Carrick Manor powozem Manachana wkrótce po kolacji. Lucilla uparła się, by przed wyjazdem zbadać jeszcze starszego pana i dopilnować, by wziął wieczorną porcję środka na pobudzenie.

Manachan był cały czas zaskakująco spokojny, nawet jowialny; Thomas podejrzewał, że ponieważ stryj dopiął swego, nie widzi powodu, by napawać się zwycięstwem.

Kiedy ruszyli powoli długim podjazdem prowadzącym do głównej drogi, pomyślał chwilę o Duchu, który podążał za powozem na sztywnej wodzy. Wałach nie był uszczęśliwiony. Jednakże podobnie do swego pana miał piękną towarzyszkę, a to w postaci czarnej klaczy Lucilli.

Thomas czuł się tak, jak według niego musiał się czuć jego wierzchowiec. Niezadowolony ze sposobu, w jaki wyjeżdżał, ale zaabsorbowany sąsiadką.

W miarę pokonywania kolejnych kilometrów, przypominał sobie wszystkie drobne wydarzenia, których nie zdążył przemyśleć, mając poważniejsze sprawy na głowie.

Poruszył się. Lucilla miała rację, przewidując, że nie będzie mógł usiedzieć zbyt długo w podskakującym powozie.

- Nie dowiedziałem się właściwie, z jakiego powodu Nigel zmienił system dostaw zboża. Ani dlaczego wprowadził inne nowinki na terenie posiadłości. Nie poznałem też, jak podejrzewam, prawdziwej historii tych koni i powozów w starej stajni. - Marszcząc czoło i rozmasowując udo, wyciągnął przed siebie zranioną nogę.

Siedząc obok niego, Lucilla lekko wzruszyła ramionami.

- Powiedziałaś o tym wszystkim Manachanowi. Na pewno się tym zajmie.

Powóz zwolnił, potem ciężko skręcił w główną drogę i skierował się na południe, w stronę wjazdu do Vale. Kiedy przyspieszył, tocząc się szybciej po bardziej wyrównanej powierzchni, Thomas wyjrzał przez okno, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności spowijające Carrick Manor.

- Wolałbym nie wyjeżdżać... nie zostawiać go samego z tymi wszystkimi sprawami do rozwiązania.

- Nie było innego wyjścia. - Przerwała, po czym, jakby rozumiejąc przepełniającą go frustrację, bo uległ woli stryja, dodała: - Każdy ma prawo samodzielnie kierować własnym życiem i trzeba się z tym pogodzić.

Słyszając ten komentarz, ponownie skupił na niej uwagę. Światła powozu były zapalone, od czasu do czasu rozjaśniały wnętrze na tyle, by mógł dostrzec wyraz jej twarzy, pochwyć lśnienie włosów.

Zastanowiwszy się nad jej słowami, zauważył:

- Biorąc pod uwagę twój temperament, dziwię się, że tak łatwo godzisz się z wolą Pani, jak to nazywasz.

Odwróciła ku niemu głowę, w mroku spojrzała mu w oczy, a potem uniosła rękę i ponownie skierowała wzrok przed siebie.

- Słucham Pani... i jej rad... od wczesnego dzieciństwa. Nie wszyscy z nas mają ten przywilej. Jednakże doświadczenie, zwłaszcza tak długoletnie, to doskonały nauczyciel. Mimo że niektóre jej wskazówki wydawały mi się kiedyś bardzo dziwne. Nigdy jednak nie pokierowała mną źle.

To niewątpliwie tłumaczyło niezachwianą pewność, która tak wyraźnie od niej biła. Opierając bolącą głowę o poduszki, przymknął oczy i mimowolnie zaczął się zastanawiać nad tą ewidentną różnicą między nimi. Oboje mieli silną wolę i byli niezależni, lecz ona, chociaż wiedziała, co robi, potrafiła naginać się do woli przeznaczenia. On, przeciwnie, instynktownie sprzeciwiał się wszelkim decyzjom, które nie pochodziły od niego samego.

Resztę podróży odbyli w milczeniu, z czego był zadowolony. Nie znał innej damy, młodej czy nie, która zostawiłaby go w spokoju, a Lucilla nie tylko nie czuła potrzeby, aby rozmawiać, lecz także emanowała spokojem, który udzielał się także jemu i działał na niego kojąco.

Jednakże kiedy powóz zajechał na żwirowy dziedziniec przed Casphairn Manor, przed schody prowadzące do wejścia, Thomas stwierdził, że jest jeszcze daleki od wyzdrowienia. Bolała go głowa, czuł pulsowanie w skroniach i rwanie w nodze. Musiał pozwolić, by Lucilla wysiadła pierwsza i pomogła mu zejść po stopniach powozu.

Siedzący na koźle Sean także pospieszył z pomocą. Kiedy Thomas stanął pewnie na nogach, Lucilla posłała stajennego naprzód, by zadzwonił do drzwi. Sama pozostała przy boku Thomasa, podtrzymując go, kiedy wsparty ciężko na lasce, powoli ruszył na górę po niskich, na szczęście, schodach.

Właśnie dotarł na ganek i zatrzymał się, by złapać oddech, gdy drzwi się otworzyły.

W progu nie stanął bynajmniej kamerdyner, ale Marcus Cynster we własnej osobie.

Ciemnoniebieskimi oczami spojrzał przenikliwie na Thomasa, potem zlustrował go od góry do dołu. Wreszcie z surową miną popatrzył na siostrę. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Marcus uniósł brew.

Lucilla, jak to ona, przywołała go władcym gestem.

- Chodź i pomóż Thomasowi... został ranny w lewą nogę, więc bądź ostrożny.

Zanim Thomas zdążył mrugnąć powieką, Marcus znalazł się przy nim, podchodząc od właściwej strony. Równie wysoki jak on, podał mu ramię, by się na nim oparł. Marcus był jak dąb, potężny i niezachwiany.

Ku swemu zaskoczeniu, nie wyczuł wrogości ze strony mężczyzny, którego pozbawił przytomności przy świętym gaju Lucilli. Wyczuł natomiast bardzo bystry umysł, który na wszystko zwraca uwagę, i choć nie rozmawiali ze sobą dłużej, odniósł wyraźne wrażenie, że Marcus i Lucilla porozumiewają się ze sobą bez słów.

Kiedy przeszli przez zwieńczone łukiem drzwi, Lucilla oznajmiła:

- Pan Carrick zostanie u nas co najmniej kilka dni, póki jego noga nie wygoi się na tyle, by mógł jeździć konno.

Thomas, ze wzrokiem utkwionym w podłogę u stóp, pomyślał, że powiedziała to do Marcusa, ale kiedy zatrzymali się we troje i podniósł głowę, zobaczył, że otoczyło ich prawdziwe morze życzliwych uśmiechniętych twarzy, serdecznych i zatroska-

nych.

Ochmistrzyni, niejaka pani Broome, poklepała go po ramieniu i zapowiedziała, że zaraz każe przygotować dla niego pokój. Pokojówki dygnęły z uśmiechami, a potem pospieszyły za ochmistrzą. Zjawił się kamerdyner, Polby, który właśnie rozmawiał z Lucillą, gdy lokaje wyszli na zewnątrz, by pomóc Seanowi wnieść bagaż gościa, a kilku stajennych zajęło się końmi.

Jeśli Thomas miał wątpliwości, jakie spotka go w Casphairn Manor powitanie, to czegoś takiego się nie spodziewał i poczuł się trochę zbity z tropu. Przez chwilę stał pośrodku tego całego zamieszania – dopóki skrobanie pazurów o posadzkę nie zapowiedziało przybycia psów.

Nagle wypadły charty, istna sfera. Hol był duży, na nieregularnym planie; odchodziły od niego schody i liczne korytarze; psy wybiegły z największego z nich, zwińczonego pięknym łukiem. Były młode albo w kwiecie wieku; wachając i posapując, z opadającymi uszami i wywieszonymi jęzorami, otoczyły Thomasa, Marcusa, Lucillę i Polby'ego – a oni przywitani je z roztargnieniem, głaskając po wielkich łbach, drapiąc za uszami i po szyjach.

Na końcu tej czeredy przybiegły dwa zwierzęta, których Thomas nie widział od dziesięciu lat; choć były wtedy o wiele mniejsze, rozpoznał je natychmiast. Z łaską wspartą o nogę i obiema rękami zajętymi pieszczaniem pozostałych psów, zerknął na Marcusa.

– Rozmnożyłeś je? – Ruchem głowy wskazał spieszącą ku nim parę.

Marcus, również zaabsorbowany psami, pokiwał głową.

– Dostaliśmy inne od hodowców. – Przelotnie spojrzał Thomasowi w oczy. – W pewnym sensie ty jesteś za to odpowiedzialny... dałeś nam Artemis i Apolla. Od nich wszystko się zaczęło.

Dwa charty właśnie do nich dobiegły. Młodsze zwierzęta instynktownie wycofały się i ustąpiły im z drogi. Artemis i Apollo zatrzymały się przed Thomasem, podniosły łby i popatrzyły mu w twarz orzechowymi oczami, po czym oba usiadły i podniosły łapy.

Thomas poczuł się rozbrojony. Zaśmiał się, ujął i uściśnął każdą łapę, a potem zmierzwił kudłate łby psów.

– Są w doskonałej formie. – Może nie hodował już chartów, ale wciąż świetnie się na nich znał.

Marcus wzruszył ramionami.

– Przede wszystkim pochodzą ze znakomitej hodowli.

Drzwi frontowe zostały zamknięte i część zebranych się rozproszyła. Thomas wyraźnie usłyszał, że powóz Manachana odjeżdża, i kątem oka zauważył, że lokaj z jego bagażem idzie po schodach.

Odwróciła się do niego Lucilla.

– Czy masz ochotę pójść ze mną i z Marcusem do salonu, by napić się czegoś przed snem, czy wolałbyś udać się na spoczynek? Pani Broome przygotowała już dla ciebie pokój.

Nalegała, by dzielił z nią łóżko, lecz ponieważ dopiero co przyjechali, być może tego wieczoru mu darowała – co, zważywszy na to, że mąciło mu się w głowie, nie było takie złe.

- Nie myślę tak przytomnie, jak bym chciał. - Mówił całkowitą prawdę. - Chyba więc lepiej będzie, jeśli udam się do siebie. - Liczył, że jakoś wejdzie po schodach. Ale podszedł do niego potężnie zbudowany lokaj.

- Jeśli zechce się pan na mnie wesprzeć, jaśnie panie, zaprowadzę pana na górę. Marcus się cofnął. Pochwycił spojrzenie Thomasa i krótko skinął głową.

- Zobaczymy się jutro.

W jego słowach brzmiała pogroźka, której Thomas nie mógł nie usłyszeć - musiałby być martwy - lecz w wyrazie twarzy i postawie Marcusa nie było agresji.

Nad czym musiał się zastanowić, pozwalając Lucilli wziąć się pod ramię i ruszając między nią a lokajem w stronę schodów.

Wysiłek pokonania schodów sprawił, że gdy padł na cudownie miękkie łóżko, uleciały mu z głowy wszystkie myśli. Na szczęście pokój, który dostał, znajdował się na pierwszym piętrze, u podstawy jednej z wieżyczek.

Odprawił lokaja, jednakże zabrakło mu sił, by odprawić także Lucillę. Próbował, ale posłała mu spojrzenie z rodzaju „nie bądź śmieszny” i pomogła mu się rozebrać.

Wreszcie, nieskromnie ubrany tylko w spodnie od piżamy, musiał się zatrzymać i złapać oddech. Siedząc na krześle, ze zwieszoną głową i z dłońmi wspartymi na udach, mruknął:

- Mimo że nie mam ochoty pić żadnego z tych twoich napojów, jeśli masz coś, co złagodzi ból, chętnie to zażyję.

Popatrzyła na niego przez chwilę - czuł na sobie jej wzrok - po czym położyła mu dłoń na głowie.

- Poczekaj chwilę.

Nie miał pojęcia, jak długo jej nie było, choć wydawało się, że nie więcej niż chwilę, kiedy wróciła i wcisnęła mu do ręki mały kubek. Zawierał czerwony napój, nie zielonkawy jak te, które zwykle przyrządzała. Zerknął na niego, a potem wypił jednym haustem.

Wzięła od niego pusty kubek, odstawiła na bok, po czym zaprowadziła Thomasa do łóżka.

Dosłownie na niego padł. Lucilla odrzuciła kołdrę i kiedy położył się na boku, przykryła go.

Poczuł kojący spokój.

A wraz z nim powróciło wspomnienie ciepła i serdeczności, z jakimi go tu przyjęto.

Kuzyni w Carrick Manor powitali go zupełnie inaczej.

Przepełniło go wynikające z tej akceptacji zadowolenie, które z kolei uspiło jego zmysły.

Lucilla patrzyła, jak zasypiał.

Chociaż nie podobało jej się, że wciąż dolegały mu ból i osłabienie, nie była zdziwiona tymi objawami i ogromnie się ucieszyła, że poprosił o pomoc i ją przyjął.

Był w Vale, w Casphairn Manor, tuż pod sypialnią, w której ostatecznie miał się znaleźć - jej sypialnią.

Z pomocą Pani, dzięki jej łasce, tyle już osiągnęła. A co do reszty... musiała wierzyć, że w następnych dniach wszystko potoczy się zgodnie z planem i Thomas w końcu zrozumie, że należy do niej, a ona do niego.

Nie wszystko naraz.

Jego oddech się wyrównał, był już głęboki i miarowy; rysy twarzy się rozluźniły, nie zdradzając napięcia ani bólu.

Zadowolona z przebiegu dnia, wzięła lampę, wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Zamyślona przystanąła na podeście schodów, a potem pogodziła się z nieuniknionym i ruszyła na dół. Wiedziała, że czeka na nią Marcus.

Lucilla weszła do salonu i zamknęła za sobą drzwi. Chociaż korzystano z tego pokoju podczas oficjalnych zgromadzeń, rodzina zbierała się w nim także na co dzień, przed kolacją i po niej. Matka odpowiednio go urządziła, raczej wygodnymi niż modnymi meblami, wstawiając do niego miękkie obite perkalem kanapy i fotele, które zachęcały panie, by się w nich rozsiadały, a panów, by wyciągali nogi.

Zajawszy jeden z foteli przy kominku, Marcus właśnie to robił. Trzymając w długich palcach szklanę whisky, sączył trunek i patrzył na Lucillę, która podeszła do fotela naprzeciwko.

Kiedy usiadła, opuścił szklanę i spojrzał siostrze w oczy.

- Pierwsze pytanie... czy wiesz, co robisz?

Wytrzymała jego wzrok, by zobaczyć jej pewność, determinację.

- Tak. - Nie musiała więcej mówić.

Wyczytawszy wszystko z jej oczu, skłonił głowę.

- Dobrze. - Pociągnął kolejny łyk i zapytał: - Co więc dzieje się w Carrick Manor?

Opowiedziała mu od początku do końca, nie pomijając niczego z wyjątkiem relacji z Thomasem - o których jej brat nie musiał słuchać, choć podejrzewała, że mógł się ich domyślać.

Mimo to słuchał spokojnie, skupiając się - jak liczyła - na samej zagadce.

Kiedy skończyła - mówiąc o prośbie Manachana, na którą oboje z Thomasem przystali - Marcus się skrzywił. Wstał, podszedł do barku i dolał sobie whisky.

Spojrzał na nią pytająco spod uniesionej brwi, ale pokręciła głową.

Wrócił do fotela i opadł na niego. Marszcząc czoło, napił się trunku i ponuro zauważył:

- Stary Carrick podjął właściwą decyzję. Jeśli winowajca należy do klanu, a wszystko zdaje się o tym świadczyć, to tylko Manachan, jeśli jest w stanie znowu sprawować władzę, może rozwiązać zagadkę. Nie robi tego nikt z zewnątrz, nawet Thomas, mimo że jest członkiem klanu. Jego obecność w sytuacji, gdy Nigel go nie znosi, a wszyscy inni darzą sympatią, tylko pogorszyłaby sprawę. - Marcus pociągnął łyk i dodał: - I mogłaby doprowadzić do kolejnego zabójstwa.

- Owszem. - Urwała, a po chwili powiedziała: - Nie widziałam innego wyjścia, jak tylko zdać się na Manachana. Poza wszystkim przez lata zdobył powszechny szacunek... zawsze był niezwykle przedsiębiorczy, jeśli chodzi o swój klan.

- Właśnie. - Marcus skinął głową. - I chociaż bardzo mi się nie podoba, że morderca czy mordercy... nie wyłączając tego, który dybał i może wciąż dybie na twoje życie... wciąż chodzą na wolności, to teraz, kiedy Manachan wrócił do sił, wszyscy, razem z Thomasem, musimy dać mu czas i wolną rękę, by załatwił sprawę... najlepiej w ramach klanu, jeśli to w ogóle możliwe.

Mogła tylko przyznać mu rację. To właśnie sprowadziło ją do domu.

Marcus spojrział na nią poważnie; nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy, jednakże wyczuła jego aprobatę.

- Prawdopodobnie - przerwał, by wysączyć do końca whisky - po to właśnie wezwano z Glasgow Thomasa: by uratował Bradshawów i pomógł Manachanowi odzyskać siły.

Wiedziała, że brat nie mówi o listach Bradshawa i Forrestera, którzy napisali do Thomasa, ale o przeznaczeniu - któremu ona i Marcus podlegali wraz z należącymi do nich ziemiami.

- I - odchylił pustą szklanę, obserwując grę światła w ciętym kryształe - dlatego przyjechał po ciebie i w efekcie oberwałem w głowę.

Prychnęła i wstała.

- Zbadałam cię przed odjazdem... nie było z tobą tak źle. Poza tym - uniosła brwi, patrząc na niego - wszyscy wiemy, że masz twardy łeb.

Marcus uśmiechnął się powoli i raczej niechętnie.

- Wiemy o tym oboje, co nie zmienia faktu, że nie zamierzam puścić Carrickowi tego płazem.

Sarknęła i bezskutecznie powściągając uśmiech, odwróciła się i podeszła do drzwi. Otworzywszy je, zostawiła brata, by obmyślał zemstę; wiedziała, że zdaje on sobie sprawę, kim jest dla niej Thomas, i choć zechce się na nim odegrać, będzie go chronił tak samo jak ona - ryzykując życie, jeśli zajdzie potrzeba.

Lucilla weszła po schodach na piętro i skierowała się do południowo-wschodniej wieżyczki, w której znajdował się jej pokój, był na planie koła i wychodził na zielone pastwiska ciągnące się aż po horyzont po wschodniej stronie nieba.

Była wdzięczna, że Marcus powstrzymał się od pytań o nią i Thomasa, gdyż sama jeszcze nie znała na nie odpowiedzi.

Doszedłszy do pokoju dla gości u podstawy wieżyczki, tego, w którym spał Thomas, cicho otworzyła drzwi, weszła do środka i równie cicho zamknęła je na zasuwkę.

Niepotrzebnie się jednak martwiła - Thomas spał głęboko.

Zbliżyła się do łóżka i spojrzała na niego.

Obejmując wzrokiem rysy jego twarzy, ciemny lok, który opadał mu na czoło, subtelne linie dłoni i palców spoczywających na kołdrze, chłonęła całą jego istotę, to, kim był i kim miał dla niej być - kochankiem, opiekunem i mężem - tak by zapadły jej w pamięć, w duszę.

To pierwsze już się stało; byli kochankami i nie próbował się z tego związku wycofać ani go wypierać. Jeśli chodzi o drugie, chronił ją od początku; była to część jego natury, której nie starał się tłumić, zresztą, jak podejrzewała, nie mógłby tego zrobić. Najtrudniejsze było doprowadzenie do tego trzeciego; byłaby to publiczna deklaracja, że jest jej i pozostanie przy jej boku do końca życia.

Nakłonienie go, by został jej mężem, byłoby ostatecznym potwierdzeniem stanu rzeczy - jedynym, który dla niej i dla niego liczył się naprawdę.

Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Thomas nigdy nie zaznałby spokoju, nie osiągnąłby w życiu prawdziwej i trwałej satysfakcji, gdyby nie przeniósł się tutaj, nie zamieszkał z nią w miejscu, które było mu pisane.

Wypełniając wyznaczoną mu rolę, mimo wewnętrznego oporu, wynikającego z przekonania, że jego miejsce jest gdzie indziej.

Tego wieczoru nie mogła jednak zrobić nic, by przyspieszyć bieg spraw – swojej, jego i Pani.

Napój, który mu dała, zawierał wystarczająco dużo soku makowego, by złagodzić ból i sprowadzić sen; wiedziała, że Thomas nie obudzi się szybko.

Jeszcze przez chwilę stała w ciszy i patrzyła na niego, pogrążonego we śnie. Nalegała, by tu, w Vale, dzielił z nią łóżko, lecz zdobywszy to, na czym jej zależało, mogła pójść na kompromis.

Thomas obudził się i zobaczył, że przez niezastłonięte okna do pokoju wpada szare światło przedświt – i że obok leży, odwrócona do niego plecami, ciepła Lucilla.

Spoczywał na plecach, z głową wspartą na grubych poduszkach. Nie podnosząc się, przyjrzał się części pomieszczenia w zasięgu wzroku. Chociaż miał mgliste wspomnienia z poprzedniego wieczoru, był pewny, że znajduje się w pokoju, w łóżku, w którym zeszłej nocy zasypiał.

A więc zmodyfikowała strategię; nie był w jej pokoju ani w jej łóżku, niemniej spali razem.

Uniósł kąciki ust. Pozwolił, by opadły mu powieki, myśląc, że dzięki temu będzie myślał jaśniej. Jednakże, kiedy zamknął oczy, obudziły się inne zmysły i ogarnęła go dojmująca świadomość jej obecności tuż obok.

Ten moment miał w sobie coś ziemskiego i rzeczywistego. Dorosły mężczyzna, dorosła kobieta dzielący łóżko. Proste. Naturalne.

Leżeli w ciepłe pod kołdrą, odprężeni, ociężali. Drzwi były zamknięte, a za nimi nie słyhać było żadnego ruchu. Jego nerwy, skóra, ciało ożyły.

Miała na sobie koszulę nocną, cienka bawełna stanowiła słabą barierę między jedną nagą skórą a drugą. Jej krągłe pośladki dotykały jego bioder, a smukłe plecy przylegały do boku.

Ból głowy prawie ustąpił; Thomas wciąż czuł ranę w łydce, ale rwanie osłabło i można je było zignorować.

Nie tak jak coraz silniejsze pulsowanie w łydźwiach.

Wziął głęboki oddech, wciągając powietrze w płuca – i czując jej kuszący zapach. Mieszankę ziół i kwiatów, kompozycję woni, które kojarzyły mu się z wiosną przechodzącą w lato, świeżością zamieniającą się podczas dojrzewania w coś więcej niż upragnionego – coś, czego się pożąda.

Tę obietnicę miała w sobie ona i działała na jego zmysły na rozmaite sposoby, na różnych płaszczyznach.

Urzeczony, nie mogąc się oprzeć, sięgnął po nią, po tę obietnicę.

Nie chcąc się oprzeć, nie tutaj, w tym cichym odosobnionym świecie.

Otworzył oczy i odwrócił się ku niej, starając się jej nie obudzić.

Leżała skulona na boku, z twarzą skierowaną w przeciwną stronę, brodą przycięgniętą do piersi, policzkiem wtulonym w poduszkę i ramieniem pod kołdrą. Jej włosy spoczywały rozsypane na poduszkach; kilka pukli znajdowało się pod jego policzkiem.

Delikatna tkanina jej koszuli nocnej muskała jego pierś. Był już twardy, gotowy;

jego męskość napinała spodnie od piżamy. A spełnienie było tak blisko, pod ręką; czuł tak realne, namacalne pożądane, że przestał się zastanawiać, porzucając wszelkie myśli, by kontrolować rozwój spraw, a zamiast tego ulegając chwili i pozwalając, by go uniosła.

Wszystko jedno gdzie i jak.

Wyciągając rękę, wsunął ją pod jej ramię, a potem delikatnie ujął pierś, a następnie uściśnął i poczuł, że staje się twardsza. Lucilla poruszyła się leniwie. On dalej pieścił jej sutek, aż stwardniał w jego placach, po czym zajął się drugą pierśią.

Wymamrotała coś, nie były to konkretne słowa, lecz tylko odgłos przyjemności. Potem się przeciągnęła, wyginając jak kot, a wtedy jej pierś wypełniła jego dłoń, a pośladki musnęły wyprężoną męskość. Na chwilę znieruchomiała – a potem poruszyła się świadomie, ocierając się o niego, pieszcząc go prowokacyjnie. Zapraszając bez słów.

Chciał skorzystać z tego zaproszenia, ale we właściwym czasie – czy raczej zgodnie z rytmem, który dyktowały mu zmysły.

Przysunął się do niej, napierając na nią biodrami, nogami i torsem, by ją lekko unieruchomić.

Lucilla obudziła się już na tyle, by zarejestrować, że się do niej przycisnął, niemal ją otoczył, wziął w niewolę. Wciąż była senna, leniwie spokojna, że wszystko jest dobrze i o niczym nie trzeba myśleć, jednakże jego bliskość, tak ciepłego, silnego, podziałała na jej zmysły i je obudziła.

Zaintrygowana i oszołomiona, wciągnęła powietrze, wydając jęk rozkoszy, kiedy jego dłonie podjęły pieszczotę jej piersi stanowczym, choć niespiesznym ruchem.

Jedna z jego nóg spoczywała na jej nodze; prawie na niej leżał. Rozważała, czy się do niego odwrócić, paść w jego ramiona, ale wszystkie te zamiary spaliły na panewce, kiedy rozchyliwszy jej koszulę nocną, wsunął pod nią swą dużą rękę i chwycił – powoli, delikatnie, ale zdecydowanie – jedną z pełnych piersi.

Jej zmysły skupiły się wyłącznie na tym dotknięciu, prostym władczym geście.

Zaparło jej dech i wszelkie świadome myśli, które zdołała zebrać, rozproszyły się i rozwiały.

Zamknawszy oczy, odchyliła głowę i pozwoliła, by zawładnęły nią zmysły.

Przywierając do niej ramionami, podniósł głowę i dotknął ustami jej szyi. Przesunął nimi po łuku aż do zagłębienia za uchem. Potem zaczął składać gorące wilgotne pocałunki na tej samej ścieżce.

Przez cały czas pieścił jej piersi. Aż stały się nieznośnie ciężkie, a sutki boleśnie twarde.

Aż z powodu ogarniającego ją pulsującego ognia ledwie mogła oddychać.

Po omacku sięgnęła ręką za siebie, dotknęła jego twarzy i przesunęła palcami po szczupłym policzku.

- Thomas...

Nie wiedziała, że ma w sobie tyle pragnienia, ale znalazło ono wyraz w tym jednym słowie – prośbie.

Coś mruknął, lecz nie zrozumiała co; ale nie było to najważniejsze, nie w tym momencie, tam, w zmysłowym kokonie, którym byli spowici.

Wyciągnął spod jej piersi prawą rękę, ale tylko po to, by ją objąć i unieść na tyle,

by wsunąć pod nią lewą. Położył ją na niej przyciągnął do siebie. Ku jej uldze, jego lewa dłoń zastąpiła prawą, wsunęła się pod koszulę nocną, by pieścić jej piersi z takim samym ogniem, tak samo wprawnie, wzmagając falę wzbierającego w niej pożądania.

Później przesunął rękę niżej, po okrytym bawełną udzie Lucilli. Jej nerwy zaiskrzyły. Sięgając poniżej jej kolana, odnalazł rąbek koszuli. Jego dotyk przeniknął ją do szpiku kości i stężała, ale kiedy dotarł do nasady uda, zabrał dłoń.

Tył jej koszuli nocnej się podniósł i zatrzymał na jego nadgarstku oraz przedramieniu. Thomas chwycił fałdy materiału i podciągnął wyżej, nad jej talię, odsłaniając pupę. Przebiegły ją ciarki. Poczowała muśnięcia jego spodni od pizamy na swej nagiej skórze – i jego sterczącą pod materiałem męskość. Puszczając koszulę nocną, odsunął biodra – na tyle, by położyć dłoń na jej pośladkach.

I gładzić ją po nich, głaskać i pieścić. Powoli.

Ogień rozprzestrzeniał się niepowstrzymanie – wręcz nie do ugaszenia – jednak nie wyczuwała niecierpliwości ani u niego, ani u siebie, mimo wzmagającego się u nich obojga pożądania.

Które pulsowało im pod skórą, czyniąc ich zakładnikami powolnego, miarowego, coraz potężniejszego rytmu.

Na jej skórze wystąpiły kropelki potu. Przepełniło ją niespokojne bolesne pożądanie.

Potem przesunął palce niżej, zagłębił je między jej uda i eksplorował dalej.

Poczul gorącą wilgoć, która jeszcze bardziej pobudziła jego zmysły. Z oczami przesłoniętymi ciężkimi powiekami wciągnął powietrze i wepchnął dwa palce głębiej, odnajdując wejście do jej wnętrza.

Wokół nich panowała cisza. Jedyne dźwiękami, jakie do nich dochodziły, były ich własne urywane oddechy i bicie serc.

Światło było jeszcze zbyt słabe, by coś zobaczyć, poza tym wszystko zakrywała pościel i mieli zamknięte oczy.

Jednakże ich zmysły nigdy nie były tak wyostrzone, tak żywe, tak obezwładnione. Skupiony tylko na dotyku i niczym więcej, miał wrażenie, że jej skóra nigdy nie była bardziej jedwabista i gładka, tak delikatna i idealna, a jej krągłości tak ponętne, tak cudownie ukształtowane. Tak kuszące.

Jednak i ją krępowały te same zmysłowe ograniczenia, które krępowały jego. W swoim stanie pobudzenia mógł sobie tylko wyobrażać, co ona czuje. Już sama myśl o tym przydawała jego pożądaniu czegoś pierwotnego.

Ich pożądaniu, silnemu, oszałamiającemu i nie do odparcia.

Wsunął palce głębiej, jeszcze głębiej, a ona poruszyła biodrami, pożądliwie wychodząc mu naprzeciw.

Cofnął rękę i ściągnął spodnie od pizamy. Odsłonił swą męskość i zbliżył się do Lucilli. Ustawiając odpowiednio biodra, chwycił ją i unieruchomił, a następnie w nią wszedł.

Zagłębiając się coraz dalej.

Wsparty całym ciężarem na łokciu, jedną ręką pieszcząc jej pierś, a drugą trzymając na łuku biodra, zdobywał jej ciało. Przyjęło go skwapliwie, tak że aż zadrżał – z całą mocą pożądania.

Ale nawet gdy położył się na niej cały, przyjmując najlepszą pozycję, by dążyć do spełnienia, wciąż hamowało go to poczucie kontroli, które narzuciła mu chwila i które do tej pory wyznaczało tempo.

Prawie całkowicie wycofał się z jej gorącego wnętrza, a potem – powoli, stanowczo i zdecydowanie – zagłębił w nie ponownie, wypełniając ją od nowa.

Mruknęła coś i odepchnęła go, a potem przyciągnęła znowu i gdy kontynuował miarowy taniec, zbliżając się i oddalając, poddała się temu nieodpartemu rytmowi.

Który jakby wyznaczał bicie ich serc, płynął w żyłach, nie tylko jego, ale także jej.

W szarym świetle świtu tańczyli dalej, powoli, spokojnie, żarliwie – z bolesną intensywnością. Tak przepełnieni powściąganym pożądaniem, że niemal się dławili. Każdy jego nerw był nieznośnie żywy, płonął podsycany pasją, której nie mogli się oprzeć.

Mogli w każdej chwili przyspieszyć, jednakże żadne z nich nie chciało, by czar prysł, i nie wykonało w tym celu żadnego ruchu. Przytuleni do siebie, dalej wykonywali taneczne kroki – zasłuchani w słyszalną tylko dla nich muzykę.

Kiedy napięcie osiągnęło szczytowy punkt, wbiła paznokcie w jego udo i przyciągnęła go do siebie – po czym, wyginając się, wydała głośny szloch.

Z tym dźwiękiem w uszach podążył za nią, trzymając ją mocno i wchodząc w nią głęboko.

Poczuł zbliżające się spełnienie i zadrzał.

Natarł na wiotczące ciało Lucilli i poczuł, że jego nasienie wypełnia jej ciepłe łono – a wtedy opuściło go całe napięcie. Opadł na nią, nagle przepełniony ulgą; odychając ciężko, z mocno bijącym sercem, ledwie świadomy, przyciągnął ją do siebie i objął.

Poczuł, że ona wtula się w niego, biorąc go po swojemu w posiadanie.

Ogarnęła go ekstaza – i ją także – odbierając im resztki kontroli, pozbawiając zdolności myślenia. Powolną, narastającą falą, jaka przed chwilą wyznaczała tętnienie krwi w żyłach, przepełniło ich poczucie triumfu, które ustąpiło bardzo powoli, zostawiając ich zmęczonych, wręcz wyczerpanych i zaspokojonych. Nasyconych rozkoszą, którą wzmagaly wzajemnie ich doznania i która pozostawiła po sobie poczucie bliskości, nawet gdy żar pożądania został już ugaszony.

To doznanie było fascynujące, ale Thomas nie mógł skupić myśli. Wabiło go mroczne ciepło spełnienia; osuwając się pod kołdrę z Lucillą przy boku, pozwolił, by ukojone zmysły usnęły.

Może powodem było to, że znajdowali się właśnie tam, w Vale, spokojnym bezpiecznym miejscu, z dala od zagrożeń, wątpliwości i podejrzeń, które panowały w Carrick Manor. Leżąc w łóżku z rękami na karku, Thomas zastanawiał się, z czego wynika zadowolenie, niesłabnące poczucie słuszności i spokoju, które ogarnęło go po akcie miłosnym i przepełniało nawet teraz, działając na niego krzepiąco.

Obudził się pięć minut wcześniej, by stwierdzić, że przez okno wpada poranne słońce i nie ma już przy nim Lucilli – która zniknęła także z pokoju. Jednakże pościel po jej stronie była jeszcze ciepła; musiała wyjść całkiem niedawno. Żałował, że tego nie zauważył – nie zobaczył jej i nie miał okazji się przekonać, co myślała o ich niedawnych zmaganiach. Ale znowu nie było powodu, by sobie wyobrazić, że to zbliże-

nie podziałało na nią w tak samo dziwny sposób jak na niego.

W jego odczuciu do ich wzajemnych relacji wkradło się coś nowego, coś niespodziewanego, czego nie rozumiał i co jako takie go intrygowało, niepokoiło.

Według wszelkich norm był doświadczonym mężczyzną. Odkrycie czegoś nowego w miłości, którą uprawiał wielokrotnie, musiało przykuć jego uwagę. Bo rzeczywiście, pierwszy raz, kiedy posiadał Lucillę, był wyjątkowy, a teraz znowu... Nie tylko chodziło o nią samą, ile o nią i jego razem – być może w tym miejscu; to otwierało nowe ścieżki, które należało zbadać.

Co dla mężczyzny o jego apetytach stanowiło prawdziwą pokusę.

Na szczęście było jeszcze kilka nocy, podczas których miał dzielić z Lucillą łożo.

Uśmiechnął się leniwie i odrzucił kołdrę. Spuścił nogi na podłogę i usiadł na brzegu łóżka, a potem się zatrzymał, by ocenić stan swojego zdrowia. Nie czuł bólu głowy; wymacał guz nad lewym uchem i z zadowoleniem stwierdził, że wyraźnie zmalął i stał się prawie bezbolesny.

Co zaś do nogi, ta wyraźnie dawała o sobie znać, ale szybkie oględziny wykazały, że zaczerwienienie wokół rany powoli ustępowało. Maść, którą zaaplikowała w tym miejscu Lucilla, najwyraźniej działała; rana była sucha i nawet on mógł stwierdzić, że nie wdało się żadne zakażenie.

Wstał ostrożnie. Laskę zostawił opartą o stolik przy łóżku; ujął ją za rączkę i próbował zrobić kilka kroków. Poruszał się sprawniej niż poprzedniego dnia, lecz przewidywania Lucilli, że dopiero za kilka dni będzie mógł zaryzykować jazdę konną, zdawały się uzasadnione.

Dotarłszy do umywalni, odstawił laskę, wziął dzbanek i nalał wody do miski.

Zgodził się zostać w Vale, gdyż nie miał wyboru. Teraz jednak był skłonny przyznać – choćby tylko przed sobą samym – że przyjazd tutaj okazał się słuszną decyzją. Od kilku lat zamierzał się ożenić, ale z tym zwlekał. Chociaż udawał, że szuka kandydatki na żonę, w rzeczywistości nie znajdował kobiety, która zawładnęłaby jego sercem.

Co takiego powiedział Manachan? Że musi nauczyć się słuchać głosu serca, nie tylko rozumu? Jak zwykle stryj miał rację.

Potrzebował żony i po powrocie do Glasgow zamierzał poczynić starania, by ją znaleźć – wybrać odpowiednią młodą damę, oświadczyć się jej i zaprowadzić ją do ołtarza. Uznał, że romans z Lucillą posłuży temu celowi, pozwalając mu wyleczyć się z resztek zauroczenia jej osobą. Dobrze wiedział, co potrafi uczynić z człowiekiem namiętność – tłumiona i powściągnięta nie umiera, natomiast jeśli pozwoli się jej zapłonąć, wypali się i pozostawi po sobie tylko zimny popiół.

Przekształcając głęboką fascynację Lucillą, jeśli nie w chłodną obojętność, to przynajmniej w jakieś letnie uczucie, będzie mógł ruszyć dalej... Ponieważ nie zdbał o to wcześniej, wspomnienia o niej stałe przeszkadzały mu skupić się na wyborze odpowiedniej kobiety. Wciąż miał ją w pamięci, bo nie dopuszczał, by ich tłumiona namiętność zapłonęła żywym ogniem.

Teraz to uczynił i choć efekt przeszedł wszelkie jego oczekiwania, była to tylko namiętność. Jeszcze kilka dni – kilka nocy w jej łożu – i będzie mógł odjechać, by wreszcie zaprowadzić porządek w swoim życiu.

Wziął myjkę i zwilżył ją wodą. Była nieprzyjemnie zimna, ale gdy się mył, myślał

o tym, co przyniesie dzień, o konfrontacji z Marcusem i o tym, co wydarzy się później.

13.

Kierując się dźwiękami głosów, Thomas zszedł po krętych schodach i wkroczył, jak się okazało, na podest przy końcu wielkiej sklepionej sali.

Lucilla siedziała przy długim stole zajmującym większą część podestu, zwrócona twarzą do reszty pomieszczenia. Było ono zastawione stołami i ławami, które zajmowały różne grupy ludzi, jak służba dworska, stajenni czy chłopci.

Zdziwiony, rozejrzał się wokół. Zebrani zerknęli w jego stronę i uśmiechnęli się, a niektórzy ukłonili.

Nie bardzo wiedząc, co ma o tym myśleć, odpowiedział skinieniem głowy i przeniósł wzrok na Lucillę.

Zauważyła spojrzenia obecnych. Popatrzyła na Thomasa, uśmiechnęła się do niego i wskazała mu krzesło obok siebie.

Pokuśtykał w tamtą stronę, zauważając, że po drugiej stronie Lucilli siedzi Marcus, który jednak zajmował dalsze miejsce niż to, które zostało wyznaczone jemu.

Marcus podniósł głowę, krótko spojrzał mu w oczy i skinął głową.

Thomas odpowiedział tym samym. W ciemnych oczach Marcusa nie było wrogości – serdeczności też nie, ale raczej nieufna ostrożność. Jakby brat Lucilli wstrzymywał się jeszcze od ocen. Thomas, uznając, że jakoś to przeżyje, zaczął uchylać pokrywy różnych półmisek, ustawionych na blacie przed ich trójką.

Poza nimi nikt bowiem nie siedział przy – jak się domyślił – głównym stole.

Skosztowawszy wybornej owsianki, oblanej najpyszniejszym miodem, jaki kiedykolwiek jadł, zapytał cicho:

– Masz jeszcze innych braci... i tylko jedną siostrę? – Spojrzał na Lucillę. – Są we dworze?

Pokręciła głową.

– Nie, teraz nie. – Smarując grzanekę marmoladą, wyjaśniła: – Annabelle, która ma dwadzieścia cztery lata, przebywa obecnie w stolicy u stryjostwa, księcia i księżnej. Jest w podobnym wieku co ich córka, Louisa, i jeszcze dwie kuzynki, więc we cztery bawią się w sezonie.

Marcus wydał pomruk, będący komentarzem do tego, jak młode panny w tym wieku mogą bawić się w Londynie podczas sezonu towarzyskiego.

– Calvin, dwudziestojednoletni, czyli następny w kolejności, także mieszka w mieście, u jednego z kuzynów papy i jego żony. Wraz z ich synem, Martinem, i dwoma innymi młodzieńcami z rodziny spędzają tam swój pierwszy sezon.

Marcus odsunął pustą miskę po owsiance i sięgnął po przykryty półmisek z potrawką z ryżu, ryby i jaj.

– Z pewnością będzie ich roznosić, lecz stryj i kuzyni mają trzymać ich w ryzach. – Przerwał i spojrzał na siostrę. – Nie mówiąc już o ciotkach, żonach kuzynów, babce i jej towarzyszkach.

Lucilla parsknęła śmiechem.

- O tak. A co do Cartera, naszego początkującego artysty... skończył dwadzieścia lat i wyjechał z rodzicami na kontynent.

- Ale - dorzucił Marcus - podczas gdy papa z mamą będą zwiedzać zabytki, on nie przepuści ani jednemu muzeum ani galerii, jakie tylko znajdzie.

- Cóż - skomentowała Lucilla - po to wyjechał w tę podróż... by obejrzeć płótna dawnych mistrzów i inne sławne dzieła sztuki.

Thomas milczał przez chwilę, po czym zaryzykował pytanie:

- Jeśli więc dobrze się orientuję, wy dwoje zostaliście na gospodarstwie.

Marcus skinął głową.

- Owszem. - Wzruszył ramionami i spojrzał w talerz. - Ale takie mamy zadanie: czuwać nad miejscowymi.

Thomas słuchał uważnie, ale nie zauważył w niskim głosie Marcusa ani śladu niechęci, nawet lekkiej rezerwy. Przypomniawszy sobie na podstawie ich informacji o rodzeństwie, że ci dwoje, nawet bardziej niż pozostali, mogliby zasiadać przy najmodniejszych stołach w Londynie, zaczął się zastanawiać, dlaczego żadne nie wybrało się na południe; większość na ich miejscu tak by postąpiła - i to z wielką ochotą. Być może przyszli na świat w Vale i ich matka była Szkotką, ale ojciec urodził się jako Anglik, potomek księcia. Zerknął na Marcusa nad głową Lucilli.

- Pozwolisz, że o coś zapytam? - Chociaż zwrócił się do niego, skierował to pytanie także do Lucilli. Opuścił wzrok na jej twarz. - Moglibyście pojechać do Londynu i brylować na przyjęciach, a jednak zostaliście tutaj.

Popatrzyła mu w oczy, a potem odpowiedziała zwyczajnie:

- Tu jest nasze miejsce. - Przerwała i objęła spojrzeniem znajdującą się przed nimi salę. - Nigdzie indziej nie bylibyśmy szczęśliwi... - Wzruszyła ramionami i wyciągnęła rękę po filiżankę z herbatą. - Więc po co mamy tam jechać i udawać kogoś innego?

Marcus roześmiał się ponuro.

- Zresztą ku konsternacji naszej ciotki i jej znajomych. Rodzice jednak wykazują więcej zrozumienia.

Thomas przez kilka minut jadł w milczeniu. Zwrócił uwagę na niezachwianą pewnością Lucilli w kwestii dalszego biegu jej życia; wyglądało na to, że Marcus żywi podobne przekonanie co do swej przyszłości. Tego, gdzie powinien być, by wszystko toczyło się tak, jak powinno.

Pomyślał, że to musi być... krzepiące - mieć taką absolutną wiarę we własny osąd.

Odsuwając wreszcie talerz, sięgnął po dzbanek kawy i nalał jej sobie do kubka. Lucilla i jej brat skończyli już posiłek; tak jak on delektowali się gorącym napojami - on herbatą, ona kawą.

Miał tam być zaledwie przez kilka dni, a był przyzwyczajony do pracy, do aktywności od rana do wieczora, więc poczuł zaciekawienie. Większość zebranych w sali już wyszła, choć służące obsługiwały jeszcze kilku maruderów. Wskazał przed siebie.

- Rozumiem, że to pomieszczenie wspólne?

Lucilla kiwnęła głową.

- To Wielka Sala, pierwotna główna izba we dworze... i wciąż pełni taką funkcję.

Każdy, kto pracuje na należących do dworu ziemiach, łącznie z farmami, przychodzi tu na posiłki.

- To wcale nie takie dziwne, jak się wydaje - włączył się Marcus - ponieważ wszystkie farmy przylegają do Casphairn Manor. Jeśli przejedziesz się wzdłuż ogrodzenia, zobaczysz niektóre domostwa, a wszystkie można ujrzeć z wieżyczek. Dwór stanowi więc centralny punkt Vale, dosłownie i w przenośni.

- A ponieważ... podobnie jak Carrickowie... o tej porze roku bywamy zasypywani śniegiem - wyjaśniła Lucilla - dawno temu postanowiono, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy z terenu posiadłości przeniosą się wtedy do dworu. - Spojrzała Thomasowi w oczy. - Tak jest bezpieczniej.

Pokiwał głową.

- Pamiętam Boże Narodzenie, kiedy wszyscy utknęliśmy w chacie Fieldsów. Teraz też śnieżyce bywają groźne, ale sto lat temu zostać zasypanym w jednej z takich lichych chat musiało być strasznym przeżyciem. - Zabębnił palcami po stole i przyznał: - Chciałbym, aby Carrickowie mieli podobny system, ale niestety, obecnie większość rodzin jest zbyt... jak to nazwać... niezależna? Gdyby Carrickowie wprowadzili kiedyś taki zwyczaj jak wy, być może by się to sprawdziło, ale obecnie farmy są zbyt od siebie oddalone i każda rodzina, czy grupa rodzin, radzi sobie samodzielnie, prosząc o pomoc tylko wtedy, kiedy mają poważne kłopoty.

Marcus skinął głową.

- Duma. Trzeba postępować delikatnie, równoważąc niezależność i interes wspólnoty.

Przyszła ochmistrzyni, która zaczęła się krzątać. Z uśmiechem zatrzymała się przy stole, skłoniła się Marcusowi i Thomasowi, po czym spojrzała na Lucillę.

- Jeśli panienka pozwoli, chciałabym omówić menu, by posłać chłopaków do Ayr. Pod panienki nieobecność odkładaliśmy wyjazd na targ.

- Tak, oczywiście. - Lucilla odepchnęła się od stołu.

Mimo kontuzji Thomas zerwał się na nogi, zanim wstał Marcus, i odsunął jej krzesło.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Dziękuję. Możesz robić, co chcesz. Twoja rana da ci znać, jeśli się przeforsujesz, ale siedzenie przez cały dzień też nic nie pomoże. Gdybyś chciał o coś zapytać, możesz zwrócić się do każdego. Wszyscy tu chętnie ci pomogą.

Skłonił głowę.

- Spróbuję znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Zaśmiała się i zeszła z podestu, pokonując dwa niskie stopnie, by dołączyć do ochmistrzyni. Nachylając się ku sobie, obie przecięły salę.

Thomas nie wypił jeszcze kawy; opadł na oparcie krzesła i podniósł kubek.

Marcus, który już skończył kawę, spojrzał na niego.

- Nie żartowała. - W jego ciemnoniebieskich oczach widniało rozbawienie. - Możesz być spokojny, że nikt tutaj nie pozwoli ci zabłądzić i wszyscy chętnie odpowiedzą na wszystkie twoje pytania.

Thomas nie bardzo wiedział, co ma o tym sądzić - o tej uwadze i kryjącym się za nią rozbawieniu. Spodziewał się, że spotka się ze strony Marcusa z mniej przyjaznym przyjęciem, ale widocznie Lucilla miała rację i brat przejął pod jej nieobec-

ność obowiązki gospodarza.

- Muszę wybrać się na przejażdżkę, by skontrolować zasiewy u naszych farmerów. - Odstawił kubek i spojrzał Thomasowi w oczy. - Wczoraj wieczorem Lucilla opowiedziała mi o dziwnych zajściach na terenie posiadłości Carricków. Wspomniała, że są jakieś kłopoty z ziarnem na zasiewy. Spotkam się dziś z miejscowym dostawcą ziarna, ma do nas przyjechać. Handluje także z Carrickami. Jeśli sobie życzysz, mogę go spytać, co się dzieje. Ten człowiek mnie zna i ceni sobie interesy z nami, więc powie mi, co wie.

Thomas na chwilę zapatrzył się w stoły, rozważając propozycję Marcusa. Gdyby Manachan załatwiał sprawy z handlarzem, nie trzeba by było niczego sprawdzać, ale z drugiej strony... Gdyby to stryj zajmował się kupnem ziarna, pewnie w ogóle nie byłoby problemu. Podnosząc głowę, napotkał wzrok Marcusa i skinął głową.

- Dziękuję ci. Nie mam pojęcia, o co tam chodzi, ale by się tego dowiedzieć, może najlepiej spytać drugą stronę.

Marcus przytaknął i wstał.

- Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem. - Wskazał łukowe przejście po prawej, w głębi sali. - Tam jest biblioteka. Możesz swobodnie z niej korzystać, a jeśli musisz napisać listy, zrób to przy biurku. W porze obiadu przybędą gazety z Londynu, Edynburga i Glasgow. Znajdziesz je właśnie tam.

Thomas nie miał ochoty siedzieć w domu przez cały dzień - zbyt często robił to w Glasgow. Odsunął się z krzesłem od stołu.

- Gdzie są stajnie? - Uznał, że powinien zajrzeć do Ducha.

Marcus uśmiechnął się szeroko i wskazał największe wyjście.

- Tędy dojdiesz do frontowego holu... potem skieruj się na lewo. Idź prosto, wyjdź przez drzwi na końcu i skręć ścieżką w lewo. Nie jest to najkrótsza droga, ale dla ciebie najłatwiejsza.

Thomas skłonił głowę, a potem wstał, wspierając się na lasce.

- Dziękuję ci. Łatwiejsza będzie lepsza.

Marcus parsknął śmiechem i opuścił go, odchodząc w głąb sali.

Thomas przystanął, by się zastanowić, co czuje zostawiony samemu sobie - mogąc zrobić, co chce, bez żadnych ograniczeń. Od dawna nie miał takiej okazji.

Mobilizując się do działania i uznając, że na razie najlepiej będzie wyjść z sali i pozwolić służącym posprzątać ze stołu, zszedł po stopniach i ruszył do głównego wyjścia, do którego skierował go Marcus.

I kiedy przechodził pod szerokim łukiem, uświadomił sobie, co czuje.

Od dawna nie miał takiego poczucia wolności.

Thomas pokuśtykał do stajni i zapytał o głównego stajennego.

Zbliżył się do niego siwowłosa mężczyzna. Kiedy zobaczył, kto na niego czeka, uśmiechnął się tak, że na jego twarzy pojawiły się zmarszczki.

- Ach... pan Carrick! Jestem Jenks. - Z szacunkiem pochylił głowę. - Przypuszczam, że przyszedł pan zajrzeć do swego konia. Piękne zwierzę.

Wskazał Thomasowi boks nieco w głębi długiego budynku stajni.

- Wasz Sean powiedział, że wierzchowiec nazywa się Duch. Stosowne imię, jeśli wolno mi zauważyć.

- Bardzo mi przyjemnie. - Thomas spojrzął na starszego mężczyznę, który zwołał, by dotrzymać mu kroku. - Chętnie słucham komplementów pod jego adresem, bo mam do niego słabość.

Jenks się zaśmiał. Po tym obiecującym początku przeszli do innych, mniej ewidentnych zalet konia. Duch zdawał się całkiem zadowolony ze swego nowego lokum. Kiedy już pozachwycali się wielkim siwkim i wymienili uwagi o innych znanych im wierzchowcach, Jenks zaproponował Thomasowi obejrzenie pozostałych koni, które miał pod opieką.

- Mamy szczęście, że kuzyn pana Cynstera zajmuje się tresurą rasowych koni i tak dalej. Pan Demon wybiera wszystkie konie dla swej rodziny, więc trafiają do nas prawdziwe klejnoty. Jak ta ślicznotka. - Zatrzymał się i oparł o drzwi boksu. Thomas razem z nim spojrzął na karą klacz Lucilli.

Jenks westchnął.

- Jest bardzo piękna.

„Jak jej pani”. Ale ponieważ Thomas nie mógł powiedzieć czegoś tak niestosownego, odparł:

- Pamiętam, że kiedy ostatnim razem widziałem pannę Cynster na koniu... wiele lat temu... też siedziała na grzbiecie karej klaczy. Czy zawsze dosiada koni tej maści?

Jenks zacisnął usta, zastanowił się i przyznał:

- Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, rzeczywiście mam wrażenie, że zawsze jeździ na karych koniach, ale nie jestem pewny, czy wybiera je celowo. - Uniósł brwi. - Muszę spytać ją przy okazji, czy faktycznie lubi konie tej maści, czy to tylko przypadek.

Gawędzili o warunkach jeździeckich w okolicy - Thomas odwoływał się do wspomnień - a potem rozmowa zeszła na temat polowań i innych rumaków w stajni. W końcu Thomas przysiadł na ławie, by nie nadwierać zranionej nogi, i z przyjemnością patrzył, jak stajenni, których kolejno przedstawiał mu Jenks, wyprowadzają najpiękniejsze wierzchowce, jakie widział.

- Ach... a jeśli chodzi o konie do polowań, najlepsze oko ma panna Prudence, córka pana Demona. Nawet lepsze niż ojciec, choć nigdy by się do tego nie przyznał!

Thomas się uśmiechnął. Wskazał laską potężnego jabłkowitego ogiera.

- A ten jest czyj?

- To ulubieniec pana Marcusa, Edward... lepiej znany jako Ned.

- Ned?

Jenks wzruszył ramionami.

- Otrzymał imię po królu, Edwardzie Trzecim, ale jest tak narowisty, że zdaniem pana Marcusa bardziej przypomina niesfornego Neda niż majestatycznego Edwarda.

To było w stylu młodego Cynstera, pomyślał Thomas.

Rozmowa toczyła się dalej w tym stylu, o koniach i różnych dziwactwach Cynsterów, tych miejscowych i mieszkających dalej, którzy, jak Thomas się zorientował, często przyjeżdżali z wizytą.

- Zjawią się tu, kiedy sezon w Londynie dobiegnie końca i państwo wrócą do domu. Księżę z księżną oraz inne pary... zawsze trzymają się razem i, jeśli trzeba,

opiekują nawzajem swym potomstwem.

Zostało to powiedziane z aprobatą i Thomas nie zgłaszał sprzeciwu.

Po przeszło godzinie Jenks przeprosił go i odszedł, by zajrzeć do kuców na dalszych polach, a Thomas niepewnym krokiem ruszył do domu znaną mu drogą. Ścieżka biegła wokół dworu nad tarasowymi ogrodami schodzącymi w stronę wartko płynącego potoku. Wszystko tu stanowiło piękny widok, z mnóstwem kwitnących roślin, którym niewątpliwie służyło światło słoneczne odbijające się od wysokich, kamiennych ścian budynku; tylko to tłumaczyło taką bujność zieleni.

Rabaty były otoczone kamiennymi murkami, z których niższe stanowiły idealne miejsce do siedzenia, z widokiem na barwny dywan schodzący ku spienionym wodom. Thomas skorzystał z okazji, by odpocząć – i nasycić się spokojem, który unosił się w powietrzu wraz z zapachem kwiatów i jak on koił jego duszę.

Krajobraz był po prostu piękny – a stał się jeszcze piękniejszy, kiedy pomiędzy kwiatami na stoku Thomas ujrzał Lucillę. Pracowała w ogrodzie; uświadomił sobie, że zbiera zioła. Obok niej uwijały się dwie inne młode kobiety mniej więcej w tym samym wieku co ona, pewnie jej uczennice.

Kiedy tak siedział i patrzył, ogarniał go coraz większy spokój. Tego dnia, a przynajmniej ranka, nie miał nic do roboty – mógł odpoczywać i cieszyć się tym dziwnym poczuciem wolności. Rozmawiać z innymi na tematy, które lubił, i sycić wzrok obiektem swego pożądanja.

Po obiedzie w Wielkiej Sali, znowu w gwarnym gronie mieszkańców dworu i posiadłości, Thomas stwierdził, że nie może przeznaczyć całego dnia na wiejskie przyjemności. Musiał przypomnieć sobie, kim jest – Carrickiem z Carrick Enterprises.

Udał się więc do biblioteki. Lucilla, pogawędziwszy z nim nad smaczną zupą, po której wniesiono lekkie danie główne na zimno, przeprosiła go i wróciła do ogrodu.

Marcus nie zjawił się na obiedzie. Na podstawie tego, co mówił przy śniadaniu, wynikało, że wyjeżdża na cały dzień.

Biblioteka, jak się okazało, była kolejnym wielkim pomieszczeniem, dłuższym niż szerszym, wprawdzie z niewielkimi oknami – z powodu zbyt chłodnych zim – ale na tyle licznymi, że przy odsłoniętych kotarach nie brakowało w nim światła.

Jak wszędzie we dworze jego wystrój był raczej wygodny niż modny; stały w nim miękkie fotele, kanapy i wyściełane krzesła, a do tego boczne stoliki z lampami. Parkiet pokrywały duże orientalne dywany o głębokich barwach klejnotów, przydające wnętrzu atmosfery luksusu. Thomas przeszedł o lasce przez pokój, sunąc wzrokiem po regałach wzdłuż ścian. Były zastawione woluminami, przeważnie w skórzanych oprawach i dość sfatygowanych. Wszystko to świadczyło, że pomieszczenie nie tylko spełnia funkcje reprezentacyjne, lecz także służy rodzinie na co dzień.

Biurko, o którym wspomniał Marcus, stało w rogu zwrócone w stronę środka i okien. Dotarwszy do niego, Thomas oparł łaskę o pobliski regał, po czym ostrożnie usadowił się w fotelu admiralskim.

Najpierw zamierzał napisać list do Quentina, informując wuja, że wróci do Glasgow dopiero za kilka dni. Mimo szczerych zamiarów miał trudności ze skupieniem się na pracy i przypomnieniem sobie, jakie sprawy zostawił, wyjeżdżając, i co nale-

ży załatwić. Zanurzwszy zaostrzone pióro w atramencie, wyraził swoje opinie i sugestie, jak najlepiej podejść do rzeczonych spraw, a następnie wyraził nadzieję, że Quentin i Humphrey poradzą sobie ze wszystkim pod jego nieobecność.

Jeśli chodzi o to ostatnie, po zastanowieniu napisał, że przypadkiem odniósł niewielką ranę, która nie pozwoli mu przez kilka dni podróżować, i że choć Manachan czuje się słabo, już wraca do zdrowia. Jednakże stosunki, jakie wytworzyły się ostatnio na terenie posiadłości Carricków zmusiły go, by przeniósł się na rekonwalescencję do sąsiadów, czyli do Casphairn Manor. Dodał, że powiadamia o tym Quentina i podwładnych, by wiedzieli, gdzie go w razie konieczności znaleźć, ale nie chce ich niepotrzebnie martwić.

Zakończył zapowiedzą, że postara się wrócić do Glasgow w ciągu kilku dni. Przerwał i przeczytał to, co napisał, wiedząc, że powinien wyrażać się precyzyjniej, i zastanawiając się, dlaczego nie podał konkretnej daty powrotu, ale w końcu, niczego nie zmieniając, złożył podpis i osuszył go, opieczętował list i opatrzył z przodu adresem.

Na jednym z kredensów spoczywała srebrna taca, na której leżało już kilka listów. Biorąc laskę, wstał, pokuśtykał w tamtym kierunku i położył swoje pismo na stosie. Pomyślał, że po południu lokaj czy stajenny zostanie wysłany z tą korespondencją na pocztę do wsi. Wiedział, że dyliżansy przejeżdżają główną drogą co wieczór i że jego wiadomość znajdzie się w Glasgow nazajutrz rano.

Już wcześniej zauważył plik gazet na stoliku przed najdłuższą kanapą. Podeszedłszy do niej, zagłębił się w pokrytym miękką skórą siedzisku, odstawił laskę i wziął gazety.

Glasgow, Edynburg i Londyn. Przejrzał doniesienia z ostatnich trzech dni, czyli od swego wyjazdu z Glasgow; skupił się na wiadomościach biznesowych, krótko zerknął na polityczne i społeczne oraz na wstępniaki, i jeszcze szybciej przebiegł wzrokiem kolumny towarzyskie, nie znajdując jednakże nic ciekawego. Nic, co by go zainteresowało i przykuło uwagę.

Właśnie odkładał ostatnią płachtę na stos, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Marcus.

Thomas spojrzął na tykający zegar, który stał na kominku, i uświadomił sobie, że minęły ponad trzy godziny. Zerknąwszy za okno, zobaczył nad polami złote promienie zachodzącego słońca.

Marcus rzucił się na jeden z foteli naprzeciwko kanapy. Miał nieprzeniknioną minę, ale spojrzął na Thomasa, jakby myślał o nim albo czymś, co miało z nim związek.

Thomas, odchylając się na oparcie, pytająco unióśł brwi.

Marcus się skrzywił.

- Zapytałem kupca o dostawę ziarna dla Carricków. Według niego chcą kupić... czyli jak rozumiem, twój kuzyn Nigel, który obecnie zarządza posiadłością? - Kiedy Thomas potwierdził, ciągnął dalej: - Więc najwyraźniej Nigel chce kupić w imieniu Carricków coś, co handlarze nazywają resztkami, a więc to, co pozostaje po realizacji wszystkich głównych zamówień. Ponieważ ziarno z czasem traci na jakości, handlarze nie chcą go trzymać i sprzedają po znacznie niższych cenach.

Thomas ściągnął brwi.

- Ale kiedy dostarczają te resztki?

Marcus pokiwał głową, zaciskając usta.

- Dlatego właśnie kupuje je tak niewiele posiadłości w okolicy czy dalej na południe. W czasie, kiedy ziarno zostanie dostarczone, jest już za późno, by je wysiać... w każdym razie, by zebrać plony dwa razy. Kupowanie resztek stanowi natomiast powszechną praktykę na północy, gdzie można liczyć tylko na jeden porządny zbiór w roku. Tamtejsze posiadłości mogą czekać na obniżenie cen... bo to, oczywiście, pozwala zaoszczędzić pieniądze. Ale dla nas - popatrzył Thomasowi w oczy - a także dla Carricków kupno ziarna z resztek oznacza zbyt późne zasiewy, by można było zebrać plony dwa razy. Farmerzy i ja... a potem także dostawca... spotkaliśmy się dziś, by ustalić cenę ziarna. Jesteśmy już po pierwszych zasiewach i chcieliśmy potwierdzić nasze przyszłe zamówienie z głównego zapasu. I to kolejna wada kupowania resztek... ryzykujesz, że nie zostanie dla ciebie wystarczająco dużo ziarna i że spadniesz na koniec listy, jeśli chodzi o realizację dalszych zamówień.

Thomas trawił te informacje.

- Kiedy Manachan zapytał o dostawy ziarna, Nigel odpowiedział, że wprowadza nowy system i że ziarno przybędzie, tyle że z pewnym opóźnieniem. Czyli, ściśle rzecz biorąc, nie kłamał. - Uniósł wzrok i spojrzał Marcusowi w twarz. - Wiesz, jaka jest sytuacja farmerów z klanu Carricków?

- Ziarno zostało dostarczone wczoraj. - Marcus zrobił sceptyczną minę. - Nawet jeśli natychmiast je wysieją, zbiorą drugi plon tylko wtedy, gdy będziemy mieć późne lato i łagodną jesień. Najprawdopodobniej skończy się na jednych porządnym zbiorach, bo drugie zboża nie zdążą dojrzeć i będą się nadawać jedynie na paszę dla zwierząt. - Wyprostował się na fotelu. - Napijesz się czegoś?

Było jeszcze dość wcześnie, ale Thomas skinął głową.

- Dziękuję. - Patrzył, jak Marcus podchodzi do oszklonego barku pod jedną ze ścian. - Poproszę whisky, jeśli masz.

Marcus prychnął, jakby to była niedorzeczna uwaga.

Wróciwszy, podał Thomasowi kryształową szklankę z ciemnobursztynowym trunkiem nalany na dwa palce, a potem podniósł własną szklankę do ust, pociągnął łyk i usiadł z powrotem w fotelu.

Thomas przyjrzał mu się, a potem zadał pytanie, które go nurtowało:

- Jaki zarządca może mieć powód, by zamawiać ziarno z resztek?

Marcus spojrzał mu w oczy.

- Pewnie chodzi mu o pieniądze. - Zastanowił się, po czym wzruszył ramionami. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Whisky była znakomita; spływając do żołądka, pozostawiała za sobą ogień. Stukając palcem o szklankę, Thomas zapytał:

- Jeśli dobrze rozumiem, choć początkowo, kupując z resztek, można zaoszczędzić pieniądze, to później taka posiadłość jak Carricków, gdzie zazwyczaj zbiera się plony dwukrotnie, ryzykuje znacznie większą stratę, jeśli nie zbierze się drugiego plonu. - Pochwyciwszy spojrzenie Marcusa, uniósł brwi. - Czy dobrze rozumię?

Marcus potwierdził.

- Jak najbardziej. - Napił się whisky i dodał szorstko: - I twoje domysły są słuszne. - Przerwał, a potem dodał: - Nie rozumiem tylko jednego. Po co Nigel miałby

coś takiego robić. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, zwiększasz produkcję, a nie ją ograniczasz. Tak by nakazywała roztropność.

- Rzeczywiście. - Thomas upił łyk trunku i westchnął. - Niestety, zupełnie się nie orientuję w sytuacji finansowej posiadłości... może był kłopot z gotówką... ale nie znając wszystkich okoliczności, jako osoby z zewnątrz nie jesteśmy w stanie ocenić decyzji Nigela. - Zmienił pozycję, by odciążyć zranioną nogę. - Musimy zdać się na Manachana... dowie się tego wszystkiego, kiedy zacznie pytać. - Umilkł, myśląc o pozostałych zagadkach, które były niewyjaśnione, lecz w tej sprawie także nic nie mógł zrobić; musiał zdać się na stryja. - Napiszę do Bradshawa i Forrestera, farmerów, którzy sprowadzili mnie tutaj. Przynajmniej wyjaśnię im, co się dzieje... choć to nie uspokoi ani ich, ani innych farmerów.

Marcus z surową miną pokręcił głową.

- Najtrudniej mi zrozumieć, dlaczego Nigel podjął taką decyzję bez porozumienia z farmerami, którzy są najbardziej zainteresowani i najlepiej znają się na rzeczy.

- Czy wy tak postępujecie? - spytał Thomas.

Marcus skinął głową.

- Za każdym razem. - Znowu napił się whisky i wyjaśnił: - Oczywiście, Vale nie funkcjonuje tak samo jak posiadłość Carricków, nie jesteśmy związani prawem klanowym, ale raczej historycznymi zobowiązaniami i dotychczasową praktyką. Działamy na zasadach, które sprawdziły się przez wieki, a jeśli przestają się sprawdzać, wprowadzamy nowe, które odpowiadają wszystkim.

Gdyby Thomas miał zarządzać takim przedsięwzięciem jak posiadłość ziemską, postępowałby podobnie; lata spędzone na czele Carrick Enterprises nauczyły go, że najlepsze efekty osiąga się wówczas, kiedy wszyscy zainteresowani mają poczucie, że się ich słucha.

Obaj pili whisky i zapadła przyjacielska cisza. Marcus wskazał głową plik gazet i zapytał, czy wydarzyło się coś ważnego; słysząc odpowiedź Thomasa - że choć według proroków świat zbliża się do końca, w gruncie rzeczy nie dzieje się nic, co mogłoby choć w nikłym stopniu wpłynąć na życie tych wszystkich, którzy zamieszkują ich mały zakątek globu - uśmiechnął się szeroko.

W tej swobodnej atmosferze Thomas zapatrzył się w resztki naprawdę świetnej whisky, które pozostały w jego szklance. Kręcąc powoli trunkiem, zaczął:

- Dziś rano przy śniadaniu ty i Lucilla... - Ściągnął brwi, szukając właściwych słów, by dobrze się wyrazić. - Oboje jesteście silnymi ludźmi, z tych, którzy biorą od życia to, czego chcą. Typami osobowości, które stawiają żądania i szukają swego miejsca, żyją tak, jak im to odpowiada. Macie to w charakterze i odziedziczyliście po przodkach. A jednak... - Wskazał wokoło, bibliotekę i dalej. - Oboje jesteście tutaj, wypełniacie role, które wam przydzielono, robiąc, co do was należy. Spełniając oczekiwania innych. - Podniósł wzrok i napotkał spokojne spojrzenie Marcusa. - Wydaje się sprzeczne z waszą naturą, że oboje tak łatwo godzicie się z tym, iż wasza przyszłość jest tu, w Vale. - Przerwał, ale nie potrafił nic wyczytać ani z oczu, ani z miny Marcusa. - Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony... i trochę zdezorientowany. - I naprawdę chciał wiedzieć, jak zrozumieć tę sprzeczność.

Marcus odpowiedział dopiero po chwili. Pociągnął kolejny łyk whisky i opuszczając szklanekę, odparł:

- Według mnie dlatego tak łatwo akceptujemy przypisane nam role - tu uśmiechnął się z pewną ironią - że jesteśmy ich świadomi od dzieciństwa. - Opuszczając wzrok na trzymaną w dłoniach szklankę, mówił dalej: - Od zawsze wiedzieliśmy... i to z niezachwianą pewnością... że nasza przyszłość, najbardziej satysfakcjonujące i spełnione życie związane są z Vale. - Jakby się zawahał, a potem pochylił głowę i doprecyzował: - A przynajmniej, że mieszkając tutaj, robiąc to, co robimy, wypełniamy swoje zadania.

Thomas nic nie powiedział, patrzył tylko na niego i próbował zrozumieć, co kryje się za jego słowami.

Marcus upił whisky, a potem znowu uśmiechnął się ironicznie.

- Jednak mogę cię zapewnić, że świadomość, a nawet niezachwiana pewność, że dana ścieżka życiowa jest słuszna, nie oznacza bynajmniej, iż łatwiej ugiąć karku przed siłą, która według wszelkich znaków na niebie i ziemi jest silniejsza od ciebie i twojej woli. - Wzniósł szklankę, patrząc na Thomasa. - Masz rację, to nie leży w naszym charakterze.

- Mimo to oboje tak postępujecie... uginacie karku przed większą siłą.

Marcus potwierdził.

- Owszem, ale nie jest to łatwe, powtarzam. Jednak, jak powiedziałem, oboje... Lucilla i ja... mamy od wczesnych lat poczucie, że jesteśmy... powiedzmy, wybrańcami. Uczymy się od dzieciństwa, że walka z przeznaczeniem to, mówiąc łagodnie, kompletna strata czasu. - Umilkł i spojrzał na Thomasa. - Jeśli jest się wybrańcem, nie można uciec. Jeśli spróbujesz to zrobić, skończy się tak, że zrujnujesz sobie życie i będziesz nieszczęśliwy... a i tak nie uciekniesz przed losem. - Po chwili dodał spokojniej: - To lekcja, której z Lucillą nauczyliśmy się już dawno temu. A żadne z nas nie należy do tych, którzy zaczynają walkę dla samej potyczki.

Thomas pochylił głowę.

- Dziękuję za wyjaśnienie.

Ponownie zapadła cisza. Marcus wziął ze stosu z prasą londyńską gazetę i zaczął ją czytać.

A Thomas próbował uporządkować myśli i zrozumieć to, co powiedział Marcus. Jego słowa o przeznaczeniu - o niemożliwości ucieczki, choćby się robiło nie wiadomo co - przemawiały mu do wyobraźni, przypominając niepokojące uczucie, że jest kierowany, wręcz pchany na konkretną ścieżkę, prowadzony ku niej. I zawiodła go ona z Glasgow tu, gdzie był teraz - do biblioteki w Casphairn Manor.

W jego przypadku stali za tym ludzie: Bradshaw, Forrester, Lucilla, Manachan i znowu Lucilla.

W zakamarkach świadomości usłyszał sugestię, że być może są oni tylko narzędziami w rękach kogoś potężniejszego, i prawie się wzdrygnął.

Ponownie skupił uwagę na Marcusie i zadał mu następne pytanie, którego go nurtowało.

- Ty i wszyscy inni - urwał, czekając, aż ten podniesie głowę i na niego spojrzy - przyjęliście mój przyjazd tutaj z Lucillą bez zmrużenia oka. - Nie mając zamiaru wspominać o naturze swojego związku z jego siostrą, a już na pewno nie dawać niczego do zrozumienia, spytał prosto: - Dlaczego?

Jeśli miał jakieś wątpliwości co do tego, czy Marcus domyśla się natury tego

związku, rozwiały się one w jednej chwili, kiedy zobaczył twardy wyraz jego oczu; jednak po kilku sekundach ten opuścił wzrok i wzruszył ramionami.

- Nikt nie ma powodu, by cię tu nie chcieć. Przyjechałeś z Lucillą, a każdy, kogo moja siostra przywiezie do domu, zawsze będzie przyjmowany z otwartymi ramionami.

Marcus podniósł głowę, napotkał spojrzenie Thomasa - i tym razem to Thomas odniósł wrażenie, że ten mu się przygląda, starając się przeniknąć wyraz jego twarzy i poznać myśli. Potem jednak, przywołując na usta lekki współczujący uśmiech, Marcus dodał:

- Naprawdę nie ma w tym nic więcej. Jak już mówiliśmy, Lucilla jest, kim jest, i my wszyscy tutaj się z tym godzimy.

Jego słowa zabrzmiały tak ostatecznie, że Thomas musiał je uznać. Schylił głowę w milczącym wyrazie wdzięczności i zmienił temat.

Thomas zastanawiał się, czy Lucilla wycofa się z żądania, by dzielił z nią łożo, lecz tak się nie stało.

Tego wieczoru, po kolejnym posiłku w Wielkiej Sali z udziałem wszystkich domowników, podczas którego towarzystwo zabawiała grupa dzieci prezentujących madrygały, on i dwoje młodych Cynsterów udali się do salonu, gdzie przekonał się, że Lucilla gra na harfie jak anioł. Gawędzili o muzyce; czas płynął szybko, aż przyszła pora na herbatę i wypiwszy swoją filiżankę, wymówił się zmęczeniem. Nie zdziwiło go, kiedy także ona oznajmiła, że pójdzie już do siebie.

Zostawili więc Marcusa samego, pogrążonego w lekturze książki; kiedy szli po schodach, Lucilla wzięła Thomasa pod ramię. Dotarli na piętro, ale zamiast puścić jego rękę i pozwolić mu udać się do swego pokoju, przeciwnie, pociągnęła go za sobą - w kierunku wąskich krętych schodów, które kilka metrów dalej prowadziły na górę.

Tu ujęła jego dłoń i uniósłszy spódnicę, ruszyła na górę. Zaciekawiony, niepewnie ruszył za nią na wieżyczkę, do sypialni znajdującej się bezpośrednio nad jego pokojem.

To, że pomieszczenie stanowiło jej królestwo, nie budziło żadnych wątpliwości. Nie był to pokój dziewczęcia, lecz kobiety, bogato, ale elegancko urządzonego we wszelkich możliwych odcieniach zieleni - począwszy od jasnej wiosennej barwy pościeli po głęboki liściasty kolor jedwabnej narzuty oraz miękkie aksamitne zasłony zdobiące okna i wreszcie narożniki łoża z baldachimem, kojarzące się z ciemnym lasem.

Wciągnęła go dalej, po czym puściła jego rękę i odwróciła się ku niemu. Usłyszał, że drzwi za nim zamknęły się z cichym, ale stanowczym trzaśnięciem, które zabrzmiało ostatecznie.

Kinkiety po obu stronach mahoniowej toaletki rzucały łagodnie światło; na małym stoliku przy łóżku stała następna lampa, wydobywając złotawy połysk z zielonego jedwabiu.

Zauważył dwie komody i dwie szafy stojące pod ścianami, a za łóżkiem - parę wygodnych foteli zwróconych w stronę kominka, w którym płonął ogień. W powietrzu unosiła się woń perfum, pod którą wyczuwało się lekką nutę sosny. Skuszony, ode-

tchnął głębiej – i rozpoznał ten wszechobecny zapach, dziwną mieszkankę ziół, kwiatów i słońca, którą kojarzył z Lucillą.

Rozpoznałby go nawet z zawiązanymi oczami, zapadł mu głęboko w duszę.

Już miał zwrócić się ku niej, ale ona stanęła przy nim, znowu wzięła go za rękę, przelotnie spojrzała w oczy, obróciła się i pociągnęła go za sobą.

W stronę łóżka.

Zrozumiał to i chętnie za nią poszedł.

Przy łóżku zatrzymała się, puściła jego dłoń i ujęła jego twarz w ręce, przyciągnęła go do siebie i wspiąwszy się na palce, wpiła mu się w usta.

Zaskoczyła go jej pasja. Nie było żadnej zapowiedzi, powoli rosnącego pożądania, lecz nagły poryw namiętności.

Rozchyliła usta, ale gdy tylko na to odpowiedział, zmieniła taktykę i śmiało wsunęła język między jego wargi. Wzniecając ogień.

Z każdą kolejną wyrafinowaną pieśczęcią prowokowała go i igrała z nim.

Na dłuższą chwilę doznał zawrotu głowy i pod wpływem siły jej pożądania, palącego się w niej ognia, szalejącej burzy – czystej żądzy, którą go zarażała, niemal stracił równowagę.

Uległ jej – nie mógł się oprzeć. W odpowiedzi na jej pragnienie obudziła się w nim własna żądza.

Instynktownie objął ją w pasie i przyciągnął.

Laska upadła na podłogę, kiedy przytulił Lucillę do siebie w miażdżącym uścisku, odchylił jej głowę do tyłu, przejął kontrolę nad pocałunkiem i dał wyraz swojej namiętności.

Ale ona nie oddała pola. Nie cofnęła się ani o centymetr.

Wsunęła mu palce we włosy, chwyciła je i stanęła na palcach, by wycisnąć następny gorący pocałunek na jego ustach.

Poczuł ciekawość; pozbyła się wszelkich barier ochronnych, porzuciła przezorność i ostrożność. Jak daleko była gotowa się posunąć?

Jednak nie zamierzał jej tak po prostu ustąpić, nie na swoim terenie. Zacisnął palce, a potem zwolnił uścisk, czując jędrne ciało pod warstwami materiału; wiedział, że kiedy położy ręce na jej jedwabistych krągłościach, ona się podda i przekaże mu dowodzenie.

Jednak nie była jeszcze gotowa. Zatraciwszy się w pocałunku, oprzytomniał na tyle, by zabrać się do dalszych eksploracji. Tego wieczoru miała na sobie suknię z koronkowym gorsetem, zapinanym na plecach. Poczynając od wysokiego kołnierzyka sięgającego aż po kark, szybko rozpiął guziczki, wiedziony rosnącym pragnieniem, by znowu poczuć jej gładką skórę, posmakować soczystych sutków i usłyszeć jęk.

Z jednej strony kusił go pocałunek, z drugiej – inne rozkosze; niemal zakręciło mu się w głowie.

Gorset, rozpięty prawie do końca, rozluźnił się, rozchylił... Resztką przytomności umysłu, jaka pozostała mu po zachłannym starciu ust, skupił się na nim. Potem w powietrze poleciał jego fular, czarodziejka, którą trzymał w ramionach, rozsunęła poły koszuli, którą zdążyła rozpiąć – i chciwie położyła mu ręce na piersi.

Z ruchu jej dłoni, dotykających go tu i tam, po całym ciele, gdzie tylko mogła do-

sięgnąć, wynikało jasno, że chce tego wszystkiego – że pragnie to mieć.

Pod wpływem pożądania, które wyrażały te pieszczoty, zamknął oczy – i zadrżał.

Miał do czynienia z namiętnością innej próby – gwałtowniejszą, niż kiedykolwiek napotkał.

„Zawsze będę dla ciebie źródłem życia”. Życia na innym, wyższym poziomie.

Takiej pokusie nie mógł się oprzeć.

Musiał wspiąć się wyżej, musiał jej dorównać; zrozumiał to w głębi duszy i pogodził się z tym, że nie ma innego wyboru.

Rozpiął ostatni guziczek, a potem gwałtownie pociągnął gorset – więżąc jej ręce i zmuszając ją, by zabrała je z jego płonącej już skóry.

Lucilla nie miała zamiaru się wycofać, zwolnić ani pozwolić mu dyktować warunki. Intuicja podpowiadała, że to jej noc, jej czas, by pokazać mu to wszystko, co mogą mieć, kim mogą się stać. Dosłownie w jednej chwili opuściła ręce, dwoma szybkimi pociągnięciami wyswobodziła dłonie – i obiema chwyciła go za koszulę, kamizelkę i surdut, ściągając je z jego ramion i teraz z kolei krępując jemu ruchy.

Oderwała się od ust Thomasa, by zsunąć te części garderoby do jego łokci. Potem zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech.

Jej gorset opadł; usłyszała stukot guziczków o podłogę, kiedy wypuścił go z ręki.

Jego dłonie, duże i silne, spoczęły na jej plecach, paląc skórę przez cienki jedwab koszulki.

Przerwała pocałunek, lecz ich twarze pozostały blisko siebie. Oboje oddychali szybko. Ich spojrzenia się spotkały – jego oczy błyszczały niczym złoto. Przesunęła czubkiem języka po jego wargach.

Leniwie otarła się o niego jak kot, muskając prawie nagimi piersiami jego tors. Zacisnął szczęki, daremnie starając się zignorować prowokację – zawartą w tym ruchu, w intensywnym spojrzeniu zielonych oczu.

Z uwięzionymi ramionami był zdany na jej łaskę, lecz by się uwolnić, musiałby oderwać od niej ręce – i stracić resztki władzy nad nią.

Patrząc mu w oczy, zakołysała się, pocierając sterczącymi sutkami o jego skórę; zadrgały mu mięśnie brzucha, a potem napięły się jeszcze bardziej. Wymamrotał przekleństwo i zabrał dłonie. Opuszczając ramiona, ściągnął krępujące go ubranie i wyswobodził ręce.

Ale kiedy tylko się poruszył, rzuciła się na niego. Kładąc małe dłonie na jego potężnym umięśnionym torsie, złożyła gorący wilgotny pocałunek na niewielkim wgłębieniu pośrodku – napiętnowała go.

Żar tego władczego gestu ogarnął jego ciało, podsycając pożądanie, które chciał powściągnąć. Sięgnął do wiązania jej spódnicy.

Lucilla jeszcze raz przycisnęła usta do kuszącego zagłębienia, a potem zaczęła je lizać, kąsać. Zamknawszy oczy, oddała się smakowaniu go, tak jak on wcześniej smakował ją – delektując się jego lekko słonawym zapachem.

Pobudzał jej zmysły aż do szaleństwa i to ją zachwycało. Postanowiła posmakować więcej. Odnalazła jego płaskie sutki skryte w kręconych męskich włosach. Dotknęła ich palcami – ucząc się ich kształtu – a potem wzięła w usta i skosztowała, lekko kąsając.

Odczytała odpowiedź w dreszczu, który po nim przebiegł, natychmiastowym na-

pięciu twardych jak stal mięśni, coraz szybszym oddechu.

Sama oddychała płytko; gdyby sobie to uzmysłowiła, zakreśliłoby jej się w głowie, ale w tej chwili była skupiona tylko na jednym.

Na nim. Na zdobyciu go.

Poczuła gorączkowe szarpnięcia w pasie i wiedziała, że jest na dobrej drodze. Korzystając z nadarzającej się okazji, opuściła ręce, sunąc palcami po jego rzeźbionym brzuchu aż do bioder.

Ku guzikom przy jego spodniach. Dwa ruchy i były rozpięte.

Przeklął i szarpnął jej spódnicę, pociągając fałdy jedwabiu, po czym przystąpił do rozwiązywania wstążek przy koszulce.

Pozostawiając mu zmagania ze wstążkami, rozchyliła jego spodnie i wsunęła w nie dłoń.

Ujęła jego twardą męskość, poznaczoną grubymi żyłkami, a wtedy on gwałtownie zaczerpnął tchu i znieruchomiał. Zacisnęła palce, czując niezwykle delikatną skórę. I wrażliwą. Kiedy musnęła gładką główkę, aż zadrżał. Gwałtownie rozwiązał wstążki i ściągnął z niej koszulkę.

Mocniej ujmując dłonią jego męskość, drugą położyła mu na karku. Przyciągnęła go i zaczęła znowu całować.

Chcicie pochylił głowę – równie zdeterminowany jak ona, dążąc do przejęcia kontroli, ale jeszcze bardziej do spełnienia. Bez wahania, bez oporu. Ulegając pragnieniu, pierwotnej żądzy.

Przytuliła się do niego, a on objął ją mocniej. Na dłuższą chwilę przywarli do siebie, pobudzając wzajemnie swoje zmysły i tocząc zaciekle pojedynek językami, zmysłowym zjednoczeniem ust.

Przestała już myśleć – nie musiała; jedną ręką pieściła jego męskość, a drugą przesunęła po szyi, a następnie na plecy, by przyciągnąć go do siebie.

Całując ją, jęknął. Potem opuścił dłonie, do tej pory spoczywające na jej plecach, dosłownie rzeźbiąc jej ciało, osłonięte przed palącym dotykiem tylko cieniutkim jedwabiem. Przesunął je jeszcze niżej, za wcięcie w talii, by ująć władcym ruchem jej krągłe pośladki.

Kiedy je chwycił i zaczął pieścić, straciła dech.

Chociaż wciąż byli złączeni ustami, nie znajdowali się już we władzy tego pocałunku – znajdowali się we władzy własnego pożądania i targających nimi emocji. Lucilla ledwie mogła oddychać, ale uznała, że teraz znowu jej kolej.

Wzrok mu zmętniał. Puścił jej pośladki.

Wtedy wywinęła się z jego objęć i opadła na kolana.

Jedną ręką rozchyliła jego spodnie, a drugą chwyciła męskość i zbliżyła do ust.

Thomas zastygł w bezruchu. Ogarnęły go namiętność, pożądanie, niedowierzanie i niecierpliwość. Zawładnęło nim wyczekiwanie – wręcz obezwładniające. Napiął wszystkie mięśnie; nie był w stanie się ruszyć, ledwie oddychał – jedyne, co mógł zrobić, to patrzeć, jak ona, klęcząc w fałdach materiału porzuconej niedbale spódnicy, chwyta dłońmi jego męskość i delikatnie, czule całuje zwilgotniałą główkę.

Poczuł oszołomienie; umarłby, gdyby na tym poprzestała, nie posunęła się dalej. Czy wiedziała, w jakim kierunku?

Odpowiedź przyszła w następnej chwili. Lucilla rozchyliła usta i wzięła go w nie,

a wtedy jego zmysły oszalały.

Włosy wciąż miała upięte wysoko, więc kiedy pochyliła głowę, ujrzał delikatny łuk jej szyi. Patrzył na niego, kiedy zaczęła ssać, i jęknął mimowolnie.

Gdyby dalej się temu przyglądał, byłby zgubiony. Zamknąwszy więc oczy, napawał się wrażeniami, jakie wywoływały jej gorące usta. Położył dłoń na jej głowie, bo potrzebował podparcia – pretekstu, że zachowuje kontrolę, podczas gdy tak naprawdę ją stracił. Bo pokonała kolejno jego bariery ochronne. I dążyła do pokonania ostatniej.

Odchodził od zmysłów, desperacko starając się zachować resztki przytomności umysłu; niemal całkowicie tracił panowanie nad sobą i miał ochotę od razu ją pojąć.

Jeśli była tego świadoma, wyczuwała to i nie ustawała.

Jej spinki do włosów spadły na podłogę, kiedy z odchyłoną do tyłu głową rozpaczliwie próbował zachować pozory opanowania, podczas gdy ona usiłowała gorącymi ustami i niestrudżonymi dłońmi odebrać mu nawet to.

Powoli była tego coraz bliższa.

„Zawsze będę dla ciebie źródłem życia”.

Jednak coś w nim umierało. Pod wpływem jej pełnych oddania i pasji zabiegów ta jego część, która nie była w nim autentyczna, powoli znikła.

I pozostało w nim tylko to, co prawdziwe – nie ten Thomas Carrick, którego znały panie z Glasgow, lecz mężczyzna jeszcze bardziej namiętny, o potrzebach, które sięgały głębiej, niż którakolwiek z nich mogła wiedzieć i których żadna nie zaspokoiła.

Pod dotykiem jej dłoni i ust płonął prawdziwy Thomas Carrick.

Potem przechyliła głowę i wzięła go w usta jeszcze głębiej.

A on zrozumiał ponad wszelką wątpliwość, że dłużej nie wytrzyma.

– Wystarczy. – Z trudem wyrzucił z siebie to słowo, było prawie niesłyszalne, lecz ona je pochwyciła i znieruchomiła – a wtedy skorzystał z okazji i pociągnął ją w górę.

I przytulił. Ujmując jej głowę w dłonie, złożył gorący pocałunek na nabrzmiąłych ustach.

Poczuł w nich swój smak i wtargnął głębiej, atakując językiem, od nowa zdobywając kawałek po kawałku ich wnętrze. Potem puścił jej głowę i objął ją, całując dalej; przystąpił do zdobywania reszty jej ciała.

Lucilla nie zamierzała dać się zdobyć – w każdym razie nie tak łatwo. Zwłaszcza nie w sytuacji, kiedy wreszcie zrzucił pancerz i był przy niej sobą. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jaka jest różnica między tamtym mężczyzną a tym, którego właśnie poznała. Ten był twardszy, bardziej wymagający – nawet bardziej władczy.

Nie przeszkadzało jej to – tego mężczyzny pragnęła. Swego prawdziwego kochanka, męża, towarzysza.

Tymczasem jego dłonie sunęły po jej ciele, brutalnie budząc pożar pod skórą.

Z chęcią odwzajemniła się tym samym i posuwała się w pieszczotach nawet dalej – drażniąc się z nim i przekomarzając. W jej żyłach tętniła namiętność; przepełniło ją pożądanie, a każdy nerw był źródłem przyjemności.

Płoneła prawie takim samym ogniem jak on; jego skóra była tak gorąca, że niemal

parzyła przy dotknięciu, wypalając ślad w jej zmysłach. Czuła u siebie i u niego rosnącą niecierpliwość – w napięciu mięśni, w desperacji, jaką emanowała każda pieszczota, w ich urywanym oddechu, ale wciąż walczyli, tocząc coś w rodzaju zmysłowego pojedynku, nie chcąc się poddać, mimo że każde z nich zbliżało się do granic wytrzymałości. Zmierzali prosto do krawędzi, za którą nie było powrotu.

On dotarł do tego punktu pierwszy.

Wydał gardłowy odgłos, a potem się odwrócił i pchnął ją na łóżko. Dotknęli udami wysokiego twardego materaca.

Wyciągnął spod niej ręce, ale zamiast chwycić ją w pasie i podnieść – albo rzucić ją na łóżko, albo przyciągając do siebie – ujął obiema dłońmi rozchyłony kołnierzyk jej halki. Jego oczy, gdy w nie spojrzała, płonęły złotym blaskiem. A potem rozerwał materiał.

Jednym gwałtownym ruchem pozbawił ją bielizny.

Jej zarumienioną skórę owiało chłodne powietrze.

Biorąc płytki oddech, sięgnęła ku jego spodniom, które wciąż miał na biodrach. Jej palce ledwie dotknęły tkaniny, kiedy chwycił ją za ramionami i odwrócił twarzą w stronę łóżka.

Jeszcze zdążyła spojrzeć mu w oczy, i to, co w nich płonęło, było tak potężne, tak namiętnie żywiołowe, że już zupełnie zabrakło jej powietrza.

Później poczuła jego dłoń między łopatkami i nie miała wyboru, musiała pochylić się nad łóżkiem. Obracając głowę na bok, próbowała coś zobaczyć przez opadające włosy, usiłowała sięgnąć w tył, ale on chwycił jej ręce i unieruchomił, przyciskając je do pleców, a następnie położył się na niej całym ciężarem.

Stopami rozchylił jej nogi.

Zaczął pieścić gołe pośladki, a potem wsunął palce w zagłębienie między nimi.

Poczuł śliską wilgoć. Znalazł wejście do jej wnętrza, okrążył je czubkiem palca i wsadził go tak głęboko, jak tylko mógł.

Drgnęła, ale ją przytrzymał. Pieścił ją, a ona oddychała ciężko.

Potem do pierwszego palca dołączył drugi; jęknęła, kiedy wsunął je głęboko.

Czuła, jak jego dłoń manewruje między jej udami, kiedy wsuwał i wysuwał palce. Łapiąc oddech, płonąc, zaczęła poruszać biodrami. Opadły jej powieki. Przygryzła dolną wargę, usiłując powstrzymać krzyk, który wzbierał w jej gardle.

Była bliska szczytu, znalazła się niemal na krawędzi rozkoszy, balansując na niej – kiedy nagle zabrał place.

Zanim jej zmysły zdążyły to zarejestrować, puścił jej ręce, chwycił ją bezlitośnie za biodra i jednym szybkim ruchem wszedł w nią do samego końca.

Z jej gardła dobył się okrzyk, na wpół stłumiony przez narzutę na łóżku. Ogarnięta pasją, przyłgnęła do niego mocno.

A tymczasem on wchodził w nią raz po raz. Przejmując całkowicie kontrolę, zmuszając ją do pierwszej kapitulacji. A zaraz potem drugiej.

Nie sądziła, że rozkosz może być jeszcze większa, ale mogła – i była. Dzięki niemu. Nerwy miała napięte do granic możliwości, jej zmysły skupione były wyłącznie na ziemskich aspektach aktu miłosnego – uderzeniach jego brzucha o jej pośladki, mocnym uścisku, w jakim trzymał jej biodra, kiedy w nią wchodził, tarcu policzka o jedwabną narzutę, woni podniecenia każdego z nich, płytkich oddechach wydoby-

wających się z jej ust i nieubłaganym żarze, pod wpływem którego wiała się na łóżku.

Nie przypuszczała, że może osiągnąć spełnienie, nie po raz drugi - nie tak szybko. Ale on wprowadzał ją coraz wyżej, napierając na nią biodrami, wchodząc jeszcze głębiej, aż w końcu wykrzyknęła znowu, kiedy ogarnęła ją obezwładniająca ekstaza.

Rozpadła się na kawałki, całkowicie, lecz kiedy z niej wyszedł, uświadomiła sobie, że sam jeszcze nie zaznał spełnienia.

Uznała, że było to świadome. I czekała, co będzie dalej.

Usłyszała, że zdjął buty i rozebrał się do naga. Potem wziął ją za rękę, przycisnął do piersi i zbliżył się do łóżka.

Położył ją na plecach na wielkim stosie poduszek; przez to prawie siedziała, ale chyba o to mu chodziło. Ustawiając się między jej udami, oparł łokieć obok jej ramienia, pochylając się nad nią tak, by ją widzieć - widzieć całe jej ciało.

Już dawno straciwszy zdrowy rozum i zdawszy się tylko na instynkt, przyjrzała się jego twarzy. Dostrzegła w niej twardość, zaciętość, których wcześniej nie było, jakby pod wpływem chwili wyzbył się wszelkich pozorów łagodności i ukazał swoje prawdziwe ja.

Ten widok - to, co zobaczyła - wręcz ją zafascynował. Podniosła rękę i przesunęła czubkami palców po rzeźbionym policzku.

On tymczasem wpatrywał się w jej ciało; odwrócił głowę i spojrzał w oczy.

Jego były bursztynowożłote i płonął w nich płomień namiętności.

Zmrużył powieki. Lekko obrócił głowę i cmoknął opuszki jej palców. Potem chwycił ją za rękę i złożył we wnętrzu dłoni gorący pocałunek.

Ponownie uniósł wzrok i przytrzymał jej spojrzenie - a następnie położył drugą dłoń na jej piersi.

I znowu rozniecił w nich ogień - wzajemny, zrodzony z ich namiętnej natury i pragnień, a podsycany żądzą, której żadne z nich nie mogło się wyprzeć.

Rozchylił jej uda szerzej i znowu wszedł w nią głęboko.

Zamknął oczy i całkowicie skupił się na tym momencie, na niej.

Podniosła ręce, objęła go i przyciągnęła do siebie. Aż ich ciała całkowicie się zespoliły. Poddała się, rozłożyła ramiona i wzięła go w posiadanie - razem ze wszystkim.

Thomas pochylił głowę, w ostatnim geście desperacji odnalazł jej usta i zaczął całować ją namiętnie, ulegając pasji i dążąc do niemożliwie wysokiego, ostrego szczytu, jakim było ostateczne spełnienie.

Ona płonęła pod nim, tak roznamiętniona jak on, gdy oboje dążyli do jednego celu - oszałamiającego zjednoczenia.

Prawdziwej bliskości.

Rozkosz była blisko i Lucilla ją osiągnęła. Rozpadła się na kawałki, a on sycił się nią, pił jej krzyk, wszystkimi zmysłami napawając się jej poddaniem, które zapadło mu w duszę - a zaraz potem całkowicie przestał myśleć. Był tylko mgliście świadomy, że zagłębia się w jej ciało, wnika w nie, i że jego ciało znajduje w tym pierwotną satysfakcję - a w chwili rozkoszy, kiedy ujrzał pod powiekami rozbłysk światła, poczuł niewiarygodny spokój.

Ogarnęła go pewność, że znalazł swoje miejsce.

Był zbyt wycieńczony, by się tego przestraszyć, zbyt bezbronny, by zrobić coś innego niż tylko uświadomić sobie, jakie to cenne.

I pogodzić się z tym.

Mając ją wciąż pod sobą, opadł w ramiona Lucilli i pozwolił jej się objąć, gdy ich zmysły, zaspokojone, powoli zasypiały.

14.

Thomas w swoim pokoju pod sypialnią Lucilli mył się i przygotowywał do kolejnego dnia w Casphairn Manor.

Zanim znalazł się w pokoju Lucilli, był przez cały poprzedni wieczór subtelnie przez nią uwodzony; pod wieloma względami także przez cały dzień. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi jej sypialni, został uwiedziony całkiem jawnie, ale... choć z jednej strony nie czuł się całkiem swobodnie na terenie, na który wkroczyli, to wciąż napawał się wrażeniem, które ogarnęło go później – dziwnym poczuciem wolności.

Była jedyną jego kochanką – w ogóle jedyną kobietą – z którą mógł być po prostu sobą. Tak dawno przywdział maskę dżentelmena z towarzystwa, że zapomniał, jak to jest odrzucić pozory i zachowywać się naturalnie.

Zapomniał, jak to jest być sobą. Z tym, co lubił naprawdę, co do niego przemawiało.

Poprzedniego dnia przypomniał sobie to wszystko, co podobało mu się kiedyś w życiu na wsi; te chwile obudziły w nim dawno stłumioną nostalgię za drobnymi zdarzeniami, które składały się na wiejską codzienność. W takim zakątku kraju jak ten.

Urodził się niedaleko stąd. Najważniejsze lata, które go ukształtowały, spędził w pobliżu, na tych ziemiach.

Nie zdawał sobie sprawy, że poczucie związku z tą okolicą wciąż w nim żyje, pod fasadą światowca, za którą krył się po przeprowadzce do Glasgow, mieszkając tam... gdzie, jeśli miał być szczery, był coraz bardziej znudzony. Nie interesami, prowadzeniem firmy, lecz innymi aspektami tamtejszego życia.

Tęsknił za okolicami, z których się wywodził. Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, korzenie jego rodu były dla niego ważne.

Jednakże, dopóki rana na nodze nie zagoi się na tyle, by dał radę wrócić konno do Glasgow, mógł zaspokoić potrzeby swej duszy; właściwie czekał z niecierpliwością, co przyniesie dzień.

Usłyszał kroki Lucilli schodzącej po kamiennych schodach; chwilę później zapukała do jego drzwi. Włożywszy surdut, otworzył je i zobaczył ją czekającą za progiem.

Przenikliwie spojrzała mu w oczy, a potem się uśmiechnęła – był to jeden z tych bezpośrednich, szczerych uśmiechów, które ujmowały za serce.

Bez skrupowania odwzajemnił się tym samym, tyle że z lekkim samozadowoleniem, które wyczuła, ale nie miał powodu, by przy niej udawać kogoś innego. Nieznacznie uniosła głowę, wyrażając całą postawą prowokację.

Zrobiła krok w tył.

– Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

Wziął laskę, zamknął za sobą drzwi i ruszył za nią.

– To może być efekt dobrze przespanej nocy.

Stłumiła śmiech.

Przy stole na podeście zastali już Marcusa. Thomas usadził Lucillę na jej zwykłym miejscu, potem usiadł obok, tam, gdzie zazwyczaj. Oboje nałożyli sobie na talerze i zabrali się do jedzenia.

Wokół nich zapadła niekrępująca cisza, której najwyraźniej żadne z nich nie czuło potrzeby przerywać. Thomasa wciąż ciekawiły relacje między Lucillą a Marcusem; każde z nich zdawało się wiedzieć, co myśli i być może zamierza drugie. Zadawali sobie nawzajem nieliczne pytania w rodzaju: „Jakie masz plany” – pewnie dlatego, że znali odpowiedzi.

Dziwnie było poczuć się jednym z nich; może Thomas nie był taki jak oni, ale został przyjęty do ich małego świata jako swój, ktoś, kogo nie trzeba zabawiać uprzejmą, zdawkową rozmową.

Odsunęli od siebie talerze, opadli na oparcia krzeseł i delektowali się kawą albo herbatą, póki, jak dzień wcześniej, Lucilla nie została wezwana w jakiejś sprawie dotyczącej prowadzenia domu. Przeprosiła towarzystwo, wstała i odeszła, zostawiając jego i Marcusa przy stole.

W końcu Marcus odstawił kubek i spojrzał na Thomasa.

– Zamierzam spędzić kilka godzin z psami, więc może masz ochotę się do mnie przyłączyć? Tresuję młodsze z nich i gdybyś miał jakieś rady, chętnie posłucham.

– Gdzie jest psiarnia?

Marcus wskazał głową na południowy zachód,

– W dalszym rogu tylnego dziedzińca. To dość blisko. A wybieg znajduje się zaraz za psiarnią, więc nie będziesz musiał daleko chodzić.

Choć wciąż odczuwał dyskomfort w nodze, a kiedy chodził, nieprzyjemne kurcze chwytaly mięśnie, ból już mu nie dolegał; jeśli nie poruszał się ani nie stał zbyt długo, rana nie dawała już o sobie tak znać. Skinął więc głową i też odstawił kubek.

– Dziękuję. Z przyjemnością. Dawno nie zajmowałem się psami.

Kiedy wstali, Marcus na niego zerknął.

– Przestałeś się zajmować hodowlą Carricków?

Wziąwszy laskę, zszedł za Marcusem z podestu.

– Kiedy zdałem sobie sprawę, jak mało będę miał na to czasu, zrezygnowałem. To nie byłoby w porządku wobec psów, a w Glasgow nie mogłem trzymać nawet pary. – Na pewno nie w modnej dzielnicy, w której mieszkał. – Charty by zwariowały, gdyby nie miały przestrzeni do biegania.

Marcus chrząknął. Skierował się ku wyjściu, które, jak sądził Thomas, prowadziło do kuchni. Doszedłszy do łuku, Marcus się zatrzymał.

– Kto więc zajmuje się hodowlą Carricków? Wiem, że część psów została, mimo że Nigel sprzedał ich ponad połowę... co jest, nawiasem mówiąc, kolejną dziwną decyzją. Kupiłem od niego kilka suk i pięknego psa.

Thomas wzruszył ramionami.

– Nigel nigdy zbytnio nie interesował się psami... inaczej niż łowiectwem. Nie widział sensu w ich hodowaniu. – Zawahał się, po czym dochodząc do wniosku, że istnieje małe prawdopodobieństwo, by Marcus w jakiś sposób zaszkodził psom, dodał: – Dowiedziałem się, że kilku ludzi z klanu sprzeciwiało się jego decyzji o likwidacji psiarni i w tajemnicy przeniosło najcenniejsze zwierzęta rozplodowe na sąsiednie farmy. Nie mam pojęcia, kto teraz prowadzi hodowlę, ale Nigel nic o tym nie wie.

- Ach, rozumiem. - Marcus ruszył pierwszy szerokim korytarzem.

- A jeśli mowa o hodowli psów - odezwał się Thomas, kuśtykając za nim - gdzie są Artemis i Apollo? Były tu, kiedy przyjechałem... czy może mi się przyśniło?

- To nie był sen. - Marcus wszedł przez kolejne sklepione przejście do kuchni, w której panowała krzątanina. Usunął się na bok, schodząc z drogi służącym, i przystanął. Thomas do niego dołączył. - Tamtego dnia poleciłem przyprowadzić psy, by pokazać je dzieciom. Robię to co jakiś czas, aby zwierzęta nauczyły się, że dzieci to nie zwierzyna, którą należy gonić, a dzieci oswoiły się z nimi. Artemis i Apollo są jedynymi psami, które mają wstęp do domu i mogą swobodnie się po nim poruszać. Kiedyś bez przerwy trzymały się mnie i Lucilli, ale teraz są takie stare, że przez całe dni przenoszą się sprzed jednego kominka do drugiego. - Wskazał ruchem głowy parę kosmatych zwierząt wyciągniętych przed głównym paleniskiem. - O tej porze dnia zawsze są tutaj, czekając na kiełbasę czy bekon, które pozostały ze śniadania.

Thomas się uśmiechnął, przez chwilę przyglądał się zwierzętom.

- Wyglądają, jakby śniły.

Marcus zareagował tak samo.

- I zostawmy je tak. Wyjdziemy tędy.

Thomas podążył za gospodarzem w głąb innego korytarza, który prowadził do tylnych drzwi dworu. Wyszli na brukowany dziedziniec i skierowali się powoli w stronę południowo-zachodniego rogu wielkiego podwórka.

Thomas rozglądał się po drodze. Za sprawą licznych zabudowań gospodarczych Casphairn Manor przypominało wioskę; zauważył kuźnię, coś, co wyglądało na garbarnię, i działający browar z beczkami piwa ustawionymi starannie pod jedną ścianą.

Marcus zauważył zainteresowanie Thomasa, który spojrzał na niego, unosząc brew.

- Zajmujecie się dziwnymi rzeczami, nie tylko uprawą roli.

Marcus pokiwał głową.

- Od początku wspieraliśmy różne rzemiosła. Kiedyś, z uwagi na to, że przez większość roku byliśmy zasypani śniegiem, miało to sens, ale nawet teraz dzięki temu nie musimy w kryzysowych sytuacjach liczyć na nikogo z zewnątrz. Mamy tu przedstawicieli wszystkich fachów niezbędnych do życia, albo w samym dworze, albo na farmach, które, jak już wspomniałem, leżą stosunkowo blisko.

Thomas rankiem wyjrzał przez okno pokoju Lucilli i zobaczył kilka domów na farmach. Choć niewidoczne z poziomu ziemi, rzeczywiście nie były zbyt oddalone od dworu.

Jak się okazało, psiarnia była stosunkowo nowym budynkiem, przynajmniej w porównaniu z innymi w Casphairn Manor.

- Zbudowaliśmy ją, kiedy postanowiłem... razem z Lucillą... zająć się poważnie hodowlą psów. - Marcus poprowadził go centralnym przejściem ku otwartej przestrzeni na końcu. Po drodze otwierał drzwiczki sporych zagród, z których wybiegały psy, różnej wielkości i maści, pragnące przypodobać się swemu panu, wyruszyć na polowanie i wyhasać się porządnie.

Thomas zaśmiał się, kiedy zwierzęta zaczęły ocierać się o niego i go popychać;

młodsze kręciły się wokoło, starsze jednak, okrążywszy go, obwąchawszy i uznawszy, że nie stanowi zagrożenia, powiodły ruchliwą gromadę, zaciekawioną i niecierpliwą, w stronę wybiegu.

Następne godziny zeszły mu na dawno zapomnianych przyjemnościach. Musiał sobie odświeżyć, jak postępować z dużymi, silnymi i zawsze ciekawskimi chartami; pomógł Marcusowi wyprowadzić na spacer starsze zwierzęta, a kiedy te, zadowolone, z wywieszonymi jęzorami, miały już ochotę odpocząć, wzięli na ćwiczenia roczniaki. Szczenięta były zbyt jeszcze młode na tresurę, ale musiały zacząć uczyć się sygnałów, gwizdów, cmoknięć, za których pomocą łowca kierował sforą.

Pod koniec zajęć z dwoma pracownikami psiarni zapędzili psy z powrotem do zagród. Thomas zatrzymał się, by pogłaskać po kosmatym łbie jednego z moregowatych roczniaków.

Marcus oparł się o drzwi pobliskiej zagrody.

- To jeden z potomków Apolla.

- Naprawdę? - Thomas odsunął psa, by przyjrzeć się jego sylwetce. - Tak... niewiarygodne.

Marcus się wyprostował.

- Może powinniśmy zamknąć krąg. - Kiedy Thomas na niego spojrział, wskazał psa. - Dałbym ci parę szczeniaków... jednego od Apolla, a drugiego od Artemis.

Ta propozycja coś w nim obudziła, ale tylko pokręcił głową i cofnął się, by jeden z pracowników mógł zamknąć zwierzę w zagrodzie.

- To jedno mi się w Glasgow nie podoba... że nie można w nim trzymać psów.

Przez kilka sekund Marcus przyglądał mu się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy - z której zawsze trudno było cokolwiek wyczytać - lecz kiedy Thomas spojrział na niego pytająco, pochylił głowę i odparł:

- No cóż. - Dając mu znak, by poszedł za nim, ruszył w stronę wyjścia.

Thomas w czasie zabawy z psami przykucał kilka razy; zraniona łydka znowu zaczęła o sobie przypominać.

Marcus, choć nic nie powiedział, a Thomas nie zamierzał niczego dać po sobie poznać, jakby wyczuł jego dyskomfort i zwolnił kroku.

Byli jeszcze dość daleko od drzwi kuchennych, kiedy ktoś zawołał:

- Panie Carrick!

Obaj spojrzeli w stronę, z której dobiegł głos, i ujrzeli farmera z Vale - którego Thomas widział w Wielkiej Sali, choć nie znał jego nazwiska. Stał po drugiej stronie ogrodzenia, które biegło wokół dziedzińca, i opierał się o górną belkę.

- Tak się właśnie zastanawiałem, proszę pana, czy miałby mi pan za złe, gdybym poprosił o radę w sprawie owiec... tych długowłosych, które hodują Carrickowie. Zajmuję się tu stadem owiec o białych pyskach i pomyślałem, że mógłby mi pan udzielić jakichś wskazówek.

Marcus zerknął na Thomasa z pytaniem w oczach. Ten w odpowiedzi skrzywił i pokuśtykał do ogrodzenia, na którym się wsparł. Młody Cynster ruszył za nim i przedstawił mu farmera, pana Gatehouse'a. Thomas skinął mu głową.

- Z tego, co pamiętam, to rasa Lincoln.

- Ano. - Gatehouse z przejęciem skinął głową. - Tak sobie właśnie myślałem - zwrócił się także do Marcusa - że moglibyśmy kupić kilka takich, na próbę.

- Wszystko zależy, jaki macie cel - zaczął Thomas, opierając się wygodniej o ogrodzenie. - Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że wciąż dobrze pamięta cechy rasy, którą hodowało kilku farmerów na rubieżach posiadłości, by uzupełnić dochody z obróbki drewna. - Zagrodnicy Carricków decydują się na lincolny, ponieważ mają niezły zwrot już na kilku sztukach, a to z powodu wagi runa.

Stali we trzech przy ogrodzeniu, wymieniając uwagi i rozważając zalety owiec długowłosych w stosunku do miejscowych, o białych pyskach, które były wysoko cenione ze względu na jedwabistą wełnę i soczyste mięso.

W pewnym momencie Thomas, przypominając sobie wcześniejszą rozmowę z Marcusem, zapytał:

- A co myślą o tym tkacze?

To zapoczątkowało kolejną ożywioną wymianę zdań.

Minęła prawie godzina, kiedy pożegnali się z Gatehouse'em i powoli ruszyli z powrotem do tylnych drzwi dworu.

W połowie drogi przez otwartą część dziedzica Thomas się zatrzymał. Opierając się na lasce, by odciążać nogę, potoczył wzrokiem po okolicznych wzgórzach, porośniętych lasem stokach i łysych wierzchołkach.

Marcus, zauważając, że nie ma za nim Thomasa, także przystanął i odwrócił się w jego stronę.

Thomas, patrząc na grzbiet gór oddzielający Vale od ziem Carricków na północy, mruknął:

- Dawno tu nie byłem, na tej ziemi, nie czułem jej pod stopami. Nie spodziewałem się, że tak dobrze ją pamiętam. Wszystkie wspomnienia są takie wyraźne i przejrzyste.

Marcus przyglądał mu się przez dłuższą chwilę; Thomas czuł na sobie jego poważne spojrzenie, ale zanim się odwrócił, młody Cynster także przeniósł wzrok na północny grzbiet.

- Kiedy już ta ziemia cię przyjmie, zapada ci głęboko w duszę i z tego, co widziałem, co wiem, już nie da o sobie zapomnieć.

To zabrzmiało jak stara mądrość ludowa. Zważywszy na to, co Thomas wiedział o Marcusie - że jest on całkowicie pogodzony ze swoją przyszłością w Vale - nie bardzo miał co odpowiedzieć, więc tylko skłonił głowę i skierował się w stronę domu.

Marcus przypatrywał mu się przez chwilę, po czym westchnął i ruszył za nim.

Późno w nocy, kiedy dwór pogrążył się w ciszy i wszyscy byli już w łózkach, Thomas leżał na plecach w jasnozielonej pościeli Lucilli, z głową na jej poduszkach i nią samą, zaspokojoną i śpiącą, przy boku.

On też już zasypiał, równie zaspokojony i tak głęboko usatysfakcjonowany - odprężony, zarówno duchowo, jak i fizycznie - że miał wrażenie, jakby jego umysł unosił się, dryfował w powietrzu i obserwował wszystko z góry.

Zaczął dostrzegać aspekty swojej osobowości, które zazwyczaj pozostawały w ukryciu.

I rozumieć powody, dla których ostatnio czuł się tak swobodnie, naturalnie, jak chyba nigdy dotychczas.

Mimo ograniczeń, jakie narzucała mu rana, przebieg dnia – tego dnia, bardzo mu odpowiadał. Nieoczekiwanie przyniósł mu zadowolenie. Było przyjemnie od początku – przyjemnie, ciekawie i satysfakcjonująco jak mało kiedy – a dzięki temu, co na koniec zapłonęło tak gorącym ogniem między nim a Lucillą, zakończyło się wręcz rozkosznie.

Zastanawiał się nad przyczyną, szukając odpowiedzi na pytanie, czego potrzebuje, by tak się czuć. Nie zadawał go sobie wcześniej, bo do tej pory po prostu nie zdawał sobie sprawy, że można odczuwać takie zadowolenie. Wręcz być nim przepelnionym.

Teraz to wiedział, ale miał świadomość, że to nie może długo potrwać. Myślał o tym, że jego rana się zagoi i będzie musiał wyjechać do Glasgow – a do tego czasu to... szaleństwo z Lucillą, czymkolwiek było, już się skończy. Że ich wzajemna namiętność, jeśli nie wygaśnie, to przynajmniej zacznie przygasać. Tracić siłę.

Musiało do tego dojść. Takie jest życie.

„Dla ciebie zawsze będę źródłem życia”.

Może, ale wszystko się kiedyś skończy. Jak rezerwa, którą początkowo odgrodził się od niej i która runęła w ogień.

Musiał przyznać, że możliwość bycia sobą – po prostu sobą, bo tak się przy Lucilli czuł, była wyjątkowym darem i choć chciał go zachować, wiedział, że nie będzie to możliwe. Miał świadomość, że wszystko to się skończy, kiedy wyjedzie z Vale i wróci do Glasgow, do swojego – bezpieczniejszego, kontrolowanego, spokojnego – życia.

Lucilla się poruszyła. Objął ją mocniej i oparł brodę o czubek jej głowy. Ona się rozluźniła i do niego przytuliła. Kiedy spowiała go woń jej cudownych perfum, którą do niego przemawiała, oddziałując na jego sny, znowu ogarnęło go to błogie uczucie – nieuchwytnie, ale silne i bardzo rzeczywiste – które budziły w nim ona i to miejsce, a wtedy się uśmiechnął.

Być może musiało się to skończyć, lecz nie było powodu, by do tego czasu nie miał się tym cieszyć – nawet delektować.

Wpadł w ramiona Orfeusza i dał się im unieść.

Lucilla poczuła, że zapadł w sen. Wyostrzyła zmysły, by się co do tego upewnić, i znowu poczuła falę spokoju. Odbierała jego zadowolenie jako coś namacalnego. Choć nie umiała czytać w myślach i nie mogła mieć pewności, co mu chodzi po głowie, coraz lepiej odbierała jego emocje, zwłaszcza teraz, kiedy przestał się maskować.

Obalenie jego barier było pierwszym widowym znakiem sukcesu, a głębokie zadowolenie, jakie go teraz ogarnęło – kolejnym.

Tego wieczoru zatrzymał ją w korytarzu Marcus. Spojrzał jej w oczy i zapytał wprost:

– Czy naprawdę wiesz, co robisz?

Nie musiał wyjaśniać, o co mu chodzi. Zdziwiła się trochę, ale odpowiedziała zgodnie z prawdą:

– Tak.

Skrzywił się, lecz nic więcej nie powiedział i poszli razem do salonu.

Zaniepokojona tym, że Marcus – ponownie – kwestionuje jej postępowanie, przez

cały wieczór uważnie obserwowała Thomasa, zwracając uwagę na ton jego głosu, gesty, wszystko, co mogło stanowić dla niej jakąś informację – i oczywiście odwoływała się do własnych odczuć, a także wskazówek Pani, ale to niczego nie zmieniło.

A teraz wszystko zaczęło się układać tak, jak na to liczyła.

Była więc na właściwej drodze, szła w odpowiednim kierunku – w którym miała poprowadzić Thomasa. Wiedziała, że musi sprowadzić go do Vale i tu zatrzymać, dopóki nie zrozumie, kim dla niej jest; nie przewidziała jednak, że uświadomi sobie jednocześnie, kim ona i Vale są dla niego. Chciała jeszcze, by pojął, że jego rola jako jej towarzysza polega nie tylko na tym, iż zajmie miejsce przy jej boku, lecz także będzie miał do wypełnienia konkretną misję w społeczności, wśród ludzi, którzy byli gotowi przyjąć go do siebie.

Tak właśnie miało być – łącznie z cudownym przebiegiem tej nocy w jej łóżku.

Wszystko było dobrze i przebiegało jak należy.

Uspokojona, usatysfakcjonowana i równie zadowolona jak on, zapadła w sen.

Thomas jeszcze przez dwa dni cieszył się w Vale wiejską sielanką; potem musiał wyjść z miłego kokonu, którym został otoczony.

Wiedział, że ten dziwny czas dobiegnie końca, nie spodziewał się jednak, że nastąpi to w tak dramatycznych okolicznościach.

Ostatni akt jeszcze się nie rozegrał, wciąż był przed nim. Najlepszą porą na rozmowę zdawał się wieczór, kiedy on i Lucilla udadzą się do jej pokoju, więc zdeterminowany przetrwał kolację, by następnie zasiąść z nią i Marcusem w salonie.

Tak jak w poprzednie wieczory obaj z bratem Lucilli swobodnie rozprawiali o tym i o tamtym albo przeglądali czasopisma dla dżentelmenów, w które dwór był dobrze zaopatrzony, podczas gdy Lucilla umilała czas im i sobie grą na harfie.

Podczas gdy tamte wieczory były dla niego niezwykle przyjemne, tego dnia nie mógł się już doczekać, kiedy przyjedzie wózek z herbatą. Potrafił jednak skrywać emocje, była to niezbędna umiejętność podczas negocjacji w interesach. Marcus w każdym razie jakby nie wyczuwał napięcia w powietrzu i nie spodziewał się bury.

Lucilla była bardziej wyczulona. Przyglądała mu się od chwili, kiedy zobaczyli się po tym, jak poskładał elementy układanki i przejrzał jej grę, lecz nie potrafiła przeniknąć przez fasadę, za którą znowu się skrył. Zauważyła jednak, że się zmienił, i to obudziło jej czujność.

Nic nie mógł na to poradzić; musiała zaczekać, aż będą mogli porozmawiać na osobności, kiedy zamierzał zrzucić maskę i pokazać, jaki jest zagniewany.

Patrząc wstecz, widział, że tropy były od początku wyraźnie widoczne, od chwili gdy tylko przekroczył próg dworu, ale ponieważ nie wiedział, co się dzieje, nie zwracał na nie uwagi. Jednakże tego ranka, kiedy Lucilla udała się do swych codziennych obowiązków, a Marcus został wezwany w sprawie naprawy uszkodzonego ogrodzenia, zostawiając go przy stole z kawą, pojawił się mężczyzna, który przedstawił się jako główny nadzorca bydła i spytał go o opinię na temat hodowli miejscowej szkockiej rasy wyżynnej.

Thomas wyjaśnił, że nie zna się na tych zwierzętach, ale człowiek ten bardzo chciał mu pokazać dworskie zwierzęta na pobliskich pastwiskach. Nie mając nic in-

nego do roboty, pomyślał: „Czemu nie?” i poszedł. I tak chciał udać się na spacer, by sprawdzić, jak daleko da radę przejść bez laski. Choć szwy miały być zdjęte dopiero za parę dni, stwierdził, że rana mu już nie dolega. Przeszedł się więc po polach, obejrzał bydło, dowiedział się całkiem dużo od nadzorcy i odkrył, że tak samo jak w przypadku owiec nie zapomniał dawno zdobytej wiedzy i ma sporo do powiedzenia. Że może się na coś przydać.

Rozstali się z nadzorcą bydła w dobrej komitywie.

Zaraz po obiedzie, kiedy wychodził z Wielkiej Sali, zatrzymał go główny leśniczy dworu, siwowłosa mężczyzna nazwiskiem Gibbins, i zapytał o opinię na temat wyciębu lasu. Na tym akurat znał się lepiej niż na hodowli owiec czy bydła. Gibbins z ochotą słuchał o jego doświadczeniach z importem i eksportem drewna; wokół nich zebrało się kilku innych ludzi – farmerów – i spędzili bardzo miłą godzinę, dyskutując o stanie miejscowych lasów oraz popycie na różne rodzaje drewna.

Spotkanie z tymi ludźmi wywarło na nim dziwne wrażenie – wydawało mu się, że patrzyli na niego specyficznie, jakby oczekiwali od niego czegoś więcej, jakiegoś przewodnictwa, a przecież nie taka była jego rola.

Szedł właśnie w stronę biblioteki, zastanawiając się, co może kryć się za tym oczekiwaniem, kiedy dogoniła go kucharka.

– Panie Carrick. – Zatrzymawszy się przed nim, rumiana kobieta dygnęła. Wycierając ręce o fartuch, powiedziała: – Chciałam spytać, proszę pana, czy mógłby pan sporządzić listę swoich ulubionych dań. – I ciągnęła z błyszczącym wzrokiem: – Stał się pan domownikiem, a my w kuchni staramy się od czasu do czasu przyrządzać członkom rodziny ich ulubione potrawy...

Paplała dalej, ale przestał jej słuchać, bo skupił się na słowach „domownik” i „członkowie rodziny”.

Była to pierwsza rysa na idyllicznym obrazku.

Zdezorientowany zgodził się sporządzić taką listę – czego nie zamierzał zrobić nawet wtedy – bo gdyby odmówił, za wiele by zdradził, ryzykując, że ujawni wzburzenie, jakie go ogarnęło.

Kucharka się ucieszyła, dygnęła ponownie i pospiesznie wróciła do kuchni.

A on poszedł do biblioteki i stwierdziwszy z ulgą, że nie ma w niej Marcusa, zamknął za sobą drzwi.

Przez następne dwie godziny krążył przed kominkiem, zastanawiając się nad wydarzeniami ostatnich dni, odtwarzając każdą rozmowę i oceniając ją z nowej perspektywy, w kontekście swych podejrzeń.

Analizował zwłaszcza każde słowo, jakie zamienił z Lucillą.

I w efekcie teraz czekał na rozmowę z nią.

Wreszcie wjechał wózek z herbatą. Lucilla skończyła grać, a on i Marcus odłożyli czasopisma, które przeglądali.

Herbata została nalana do filiżanek i zaczęli pić. Pomiedzy kolejnymi łykami prowadzili zdawkową rozmowę, w której dzięki swemu długiemu pobytowi w Glasgow i przyswojonym tam manierom radził sobie całkiem dobrze.

Jednak rosła w nim niecierpliwość i Lucilla w końcu to wyczuła.

Kiedy odstawił pustą filiżankę i oznajmił, że uda się na spoczynek, wstała razem z nim.

Zostawiwszy Marcusa z czasopiśmie, do którego wrócił, opuścili bibliotekę. Weszli po schodach i jak zwykle minawszy jego pokój, skierowali się na wieżyczkę.

Lucilla weszła do swojej sypialni, on podążył za nią i zamknął drzwi.

Odwrócił się – i zobaczył ją przed sobą; patrzyła na niego badawczo i po raz pierwszy, odkąd ją znał, w jej szmaragdowych oczach dostrzegł niepewność.

– Co się stało? – zapytała spokojnie. Zorientował się, że naprawdę nie miała pojęcia.

Spojrzał jej w oczy; mimo że chciał zachować obojętność, zacisnął szczęki.

– Co powiedziałaś o mnie miejscowym... służbie i innym w Vale? Że dlaczego tu jestem?

Ściągnęła brwi w wyrazie nieudawanego zdziwienia.

– Nic im nie mówiłam. – Pokręciła głową. – W ogóle nie rozmawiałam z nimi o tobie.

– Ach tak. – Zostawił laskę w swoim pokoju; żałował, że nie ma jej ze sobą, miałby czym zająć ręce. Stał w miejscu, zwrócony plecami do drzwi, i patrzył jej w oczy. – Więc tak wielu z nich pytało mnie o zdanie... na temat uprawy zbóż, hodowli owiec i bydła, nowej kuźni, wycinki drzew i tak dalej... wyłącznie po to, by okazać mi życzliwość? – Dostrzegł w jej oczach błysk, jakby zaczęła rozumieć, o czym on mówi. – A co z prośbą kucharki o listę moich ulubionych dań? Bo od czasu do czasu kuchnia lubi dogadzać członkom rodziny?

Domyśliła się, co miał na myśli; świadczyła o tym jej mina.

– Aha. – Zamrugnęła, a potem się skrzywiła. Po chwili znowu skupiła na nim wzrok. – Jak powiedziałam, nic nikomu nie mówiłam, co oczywiście nie znaczy, że się nie domyślili, że nie wiedzą.

– Czego mianowicie? – Wyrzuciwszy z siebie to pytanie, poczuł, że fasada, za którą znowu się schował, zaczyna się rozpadać. – Co oni wiedzą, a czego ja nie wiem?

Przyjrzała mu się przez moment, jakby zauważyła, że zrzucił maskę. Potem zaczerpnęła tchu i podniosła głowę.

– Że według Pani masz być moim towarzyszem.

Poczuł dziwne falowanie w powietrzu i przypisał to zaskoczeniu. Wciągnął powietrze raz, potem drugi i przez dłuższą chwilę próbował rozeznaczyć się w swych zadziwiająco sprzecznych emocjach, opanować je i stłumić. Kiedy wreszcie mu się to udało, ponownie spojrzał jej w oczy i z powściąganą agresją zapytał:

– Co to znaczy?

Musiał poznać całą historię, i to z jej różanych ust.

– Towarzysz to mężczyzna, który ma zostać moim kochankiem, opiekunem, mężem, ojcem moich dzieci.

Znowu doznał tego dziwnego wrażenia – tym razem silniej, jakby dokonał się w nim jakiś wyłom. Nietrudno było wskazać przyczynę – jej słowa wzbudziły w nim burzę emocji, których połowy nie potrafił określić – odsunął je więc od siebie, odepchnął. Nie chciał być jej towarzyszem – nie mógł chcieć niczego, co wiązało się z tą rolą, z życiem, które symbolizowała.

Choć ona sama i wszyscy inni w Vale oczekiwali, że będzie inaczej.

Dodała, jakby na potwierdzenie:

– Ma tu rządzić przy moim boku.

Zmarszczył czoło.

- A Marcus?

Pokręciła głową.

- Jego droga wiedzie gdzie indziej. Nie może rządzić tu, w Vale... to przywilej wybranki Pani, wyznaczanej przez nią w każdym następnym pokoleniu. Oraz jej towarzysza.

„Mnie i ciebie”. Nie wypowiedziała tych słów, ale je usłyszał.

To nie miało znaczenia. Nie takiego życia pragnął - nie takie wybrał, nie takie wiódł po latach pracy nad sobą. Nie takie sobie wymarzył.

Tamto, do którego dążył, było w Glasgow.

Wezbrały w nim gniew i uraza - że do tego doprowadziła, że przez nią poczuł to coś. Związek z nią i z tym miejscem - że idąc za głosem serca, powrócił do korzeni, do tych przyjemności, które tak wytrwale chciał wyrzucić z głowy.

Do tego wszystkiego, od czego dawno temu się odwrócił. Co uparcie odrzucał w ciągu kolejnych lat. Nie wyłączając jej samej.

A jednak go tu sprowadziła - z powrotem do miejsca, gdzie uczucia, do których nie chciał się przyznać i które wyparł, wzbudziły w nim zamęt.

I uczyniła to celowo, choć wyjaśnił, że tego nie chce.

Nie zamierzał przystać na to życie, tu z nią.

- Od jak dawna sądzisz, że twój los jest związany z moim? - Był tego ciekaw, chciał się dowiedzieć.

Zawahała się, ale potem podniosła głowę i wciąż patrząc mu w oczy, odparła:

- Od Bożego Narodzenia, które spędziliśmy w chacie Fieldsów. Domyślałam się wcześniej, ale potem już miałam pewność.

- I nigdy mi o tym nie wspomniałaś? - Z trudem mógł ustać w miejscu; zmuszał się, by pozostać tam, gdzie był, i patrzeć jej w oczy. - Od tamtego czasu spotykaliśmy się dość często, a ty nie raczyłaś powiedzieć mi o tym ani słowa nawet w ostatnim tygodniu, który spędziliśmy razem?

Uniosła brodę z uporem. Zmrużyła oczy, które stały się jeszcze bardziej zielone i zaczęły miotać błyskawice.

- A kiedy miałam ci powiedzieć? Nie uwierzyłybyś... wciąż nie wierzysz. Co bym osiągnęła, skoro nie poddałeś się sile Pani, jej wpływowi, podszeptom, że jesteś jednym z jej wybrańców... wyznaczonym na mojego towarzysza?

Mówiła coraz głośniejszym, coraz bardziej stanowczym głosem. Zanim zdążył odpowiedzieć, podjęła:

- Było jasne, że pogodzisz się z wyznaczoną ci rolą tylko wtedy, gdy spędzisz tu, w Vale, razem ze mną, wystarczająco dużo czasu, by samemu zrozumieć. - Założyła ręce na piersi i popatrzyła mu w oczy. - Tylko tyle mogłam zrobić... nic więcej. Mogłam jedynie sprowadzić cię tutaj i czekać, byś przejrzał na oczy.

Jej plan zadziałał, ale Thomas nie zamierzał, nawet teraz, się do tego przyznać.

- Wszystko doskonale, ale nie odpowiada mi życie w roli twojego towarzysza.

Powiedział to zimno i wyraźnie - celowo brutalnie. Chociaż się nie poruszyła, nawet nie drgnęła, wyczuł jej reakcję - równie dobrze mógłby wymierzyć jej policzek.

Ale wtedy w jej oczach pojawił się gniew; stała się jakby wyższa, kiedy opuściła ramiona i zadarła głowę. Spojrzała mu w twarz.

- A więc to tak. Wszedłeś na jakąś drogę i niezależnie od napotkanych dowodów... choćby były najbardziej przekonujące... nie zamierzasz z niej zawrócić. - W jej głosie wyraźnie brzmiała siła - siła jej osobowości. Szorstko, z goryczą oznajmiła: - Droga, którą podążasz, jest zła, ale ponieważ sam ją wybrałeś, nie zawrócisz. Nie wystarczy powiedzieć, że jesteś uparty jak osioł, bo przy tym jeszcze krzywdzisz samego siebie.

- Niektórzy mężczyźni nie lubią być trzymeni pod pantoflem.

- A inni są tak ślepi, że to przekracza granice rozsądku.

Jej ton wyrażał urazę i wściekłość.

Opanował emocje, które groziły wybuchem - zbyt gwałtowną reakcją, ale jaką, tego nie był pewien, a nie ufał swoim uczuciom, zwłaszcza w stosunku do niej.

To ona ruszyła się z miejsca i zaczęła krążyć po pokoju.

- Pokazano ci właściwą ścieżkę i ją zobaczyłeś... rozpoznałeś. - Rzuciła mu ostre spojrzenie. - Nie zaprzeczaj, to nie ma sensu. Widzę. I wiem.

Cofnęła się, rozpaczliwie próbując okiełznać swój temperament, furie - i strach. Z jej ust padały słowa, które nie wiadomo skąd się brały, a jednak wydobywały się potokiem. Nie miała pojęcia, czy to dobrze, że je mówi - czy istniała mądrzejsza odpowiedź. Tak wiele od tego zależało, a jednak nie była w stanie myśleć; rzadko kiedy czuła niepewność, a jaszcz rzadziej strach.

Zrobiła wszystko, co mogła, aby zobaczyć, dała mu wszystko - dosłownie wszystko, co miała do zaoferowania, samą siebie - i zdołała przeprowadzić, co zamierzała, a mimo to on wciąż stawiał opór. Odrzucał - ją i pozycję jej towarzysza. Każdą rzecz.

Poczuła ściskanie w piersi, nie mogła oddychać. Była bliska utraty zmysłów. A jednak musiała mówić dalej - musiała do niego dotrzeć i skłonić do przemyślenia swego stanowiska.

Do zmiany zdania.

- Więc jeśli dobrze rozumiem - podjęła, patrząc w podłogę i wciąż słysząc w swoim głosie wzburzenie - chociaż zdajesz sobie sprawę... bo tak jest... że pozostanie tutaj, przy moim boku, byłoby słuszną decyzją, nie chcesz tego zrobić, ponieważ nie jest to droga, którą wybrałeś, ale którą podsuwają ci inni: ja, los, Pani. - Odwracając się do niego, spojrzała mu w oczy. - Czy mam rację? Kieruje tobą duma... nawet w takiej sprawie?

Twarz mu stężała, jej wyraz się zmienił. Zacisnął zęby.

Po chwili oświadczył:

- Myśl, co chcesz. Nie zmienię zdania. Pozwól, że powtórzę: nie odpowiada mi rola twojego towarzysza.

Coś w niej pękło. Wewnątrz targana emocjami, stała w miejscu nieruchomo jak skała. Wciągnęła powietrze, podniosła głowę i znowu patrząc mu w oczy, odparła:

- Możesz sprzeciwić się losowi, ale to nie wyjdzie ci na dobre. - Nadała tym słowom tak wielką moc, jak tylko mogła. - Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Nie ma dla nas, dla ciebie i dla mnie, nikogo innego... i nigdy nie będzie. Jeśli mnie odtrącisz, odrzucisz to, czym moglibyśmy być, nie zaznasz szczęścia nigdzie i z nikim innym.

Starając się zachować nieporuszony wyraz twarzy, patrzył jej w oczy dłuższą chwilę, a potem z lekceważeniem i nonszalancją uniósł brew.

- Czy to przekleństwo?

Prawie straciła nad sobą kontrolę; zaciskając dłonie w pięści przy bokach, starała się opanować wściekłość. W końcu równie zimnym tonem jak on odparła:

- Zadając to pytanie, zdradzasz tylko, jak niewiele rozumiesz, jak słabo to prze-myślałeś. Nie można uciec od przeznaczenia... nie ujdiesz przed nim niezależnie od tego, czego pragniesz, jak wielka jest twoja determinacja.

Umilkła, a potem, przypomniawszy sobie, że mimo swej tępoty jest jej pisany, po-czyniła ostatnią próbę, by go przekonać.

- Nie mogę cię zatrzymać... masz swoje życie. Ale skazując samego siebie na dłu-goletnie nieszczęście, skazujesz na nie także mnie.

Wciąż patrzył na nią kamiennym wzrokiem, ale gdy usłyszał jej ostatnie słowa, wyraz jego oczu jakby trochę złagodniał. Dostrzegła to i znowu obudziła się w niej nadzieja - ale potem spojrzał za jej plecy, na łóżko. Kiedy ponownie na nią popa-trzył, był już jak granit; choć nawet nie drgnął, oddalił się od niej jeszcze bardziej.

Odchodził od niej.

Ogarnęła ją panika. Co jeszcze mogła powiedzieć? Zamknął się przed nią - przed nią i wszystkim innym w Vale; czuła, że ich odrzuca. Nie chce słuchać. Ani wierzyć - ani nawet jeszcze się zastanowić.

Nie miała pojęcia, z czego wynika ta jego bezwzględność, wręcz brutalna, i gwał-towny sprzeciw. Nie miała pojęcia, co może się za tym kryć, co to wszystko napędza - a jednak pod wpływem tego jego serce zamieniło się w kamień, twarz stała się twarda, a w oczach pojawiła się stal.

Nic więcej nie mogła zrobić.

Ta myśl sprawiła, że jej serce przeniknął chłód.

W okrutnej rzeczywistości wolna wola zatriumfowała nawet nad przeznaczeniem.

Nawet nad Panią.

Zawalił jej się świat.

Kiedy się odezwał, mówił nieobecny głosem, jakby już patrzył na ich związek jak na coś, co odeszło w przeszłość.

- Jestem zawiedziony. Powiedziałem ci uczciwie, jak widzę swoją przyszłość... wiedziałaś, co myślę... a jednak wbrew mojej woli próbowałaś zawrócić mnie z mo-jej drogi. Ty i twoja Pani poniosłyście porażkę i będziesz musiała z tym żyć. - Nie-znacznie skłonił głowę. - A teraz dobrej nocy. Wyjadę o świcie.

Lucilla milczała, nie miała nic do powiedzenia.

Patrzyła, jak jej jedyny odwraca się i wychodzi z jej pokoju.

Zamknęła za nim drzwi.

Zapatrzyła się na nie. Musiała pozwolić mu odejść. Mimo targających nią emocji miała tego świadomość. Rozumiała to.

Nawet się z tym godziła.

Mimo to czuła się tak, jakby wyrwano jej serce z piersi i podeptano.

I wiedziała, że nigdy tego nie zapomni.

15.

Stała w oknie swego pokoju i patrzyła, jak Thomas odjeżdża. Dopiero świtało, kiedy ruszał w drogę, zmierzając na swoim siwku ku przyszłości. Wybranej przez siebie przyszłości, w której nie było dla niej miejsca.

Nie miała już łez, by płakać – nie czuła też wściekłości ani bólu – choć wiedziała, że będzie cierpieć. Jeśli tak miało być, to trudno; złość i płacz niczego nie zmieniały. Tak jak powiedział, nie zdołała go przekonać, by zawrócił i ruszył z nią inną drogą.

Według niego jej strata, jego zysk.

Odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął za zakrętem na podjeździe.

Dopiero wtedy zaczerpnęła głęboko powietrza. Stojąc z rękami na piersi, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem i w końcu wejrzała w głąb siebie.

Zobaczyła samotność. Niekończącą się pustkę przepelnioną potężnymi, ale silnymi emocjami.

Zaczerpnęła tchu. I czekała.

Nic w życiu nie było przesądzone, jeśli w grę wchodzili ludzie. Każdy człowiek ma wolną wolę; każdy, choćby i słaby, może decydować o swym losie.

On wybrał drogę, na którą się wcześniej zdecydował, zrobił to świadomie i celowo, ale tak stanowczo odrzucając drugą ścieżkę, którą oferowały mu ona i Pani, wpłynął także, przynajmniej częściowo, na jej los.

I to nieodwracalnie.

A co z nią? Co z jej prawem do decydowania o swoim życiu – życiu, do którego przygotowywała się od dzieciństwa?

Co jej teraz pozostało?

Przez długi czas patrzyła na ziemię, które przysługiwały jej z urodzenia, które zobowiązała się chronić i pielęgnować. W końcu odetchnęła głęboko, zamknęła oczy... i ku swemu zaskoczeniu znalazła w sobie zwykły spokój. Czekał już, by ją ogarnąć, przynieść ukojenie.

Przypuszczała, że będzie się czuła mniej pewnie, mniej stabilnie.

Życie najwyraźniej toczyło się dalej – a ona sama była na tyle silna, by przetrwać. Jeszcze raz zaczerpnęła powietrza i poczuła, że przepelnia ją determinacja. Lucilla pochodziła z długiej linii kobiet, które odnajdywały swą drogę w trudnych czasach – wśród zarówno fizycznych, jak i uczuciowych burz i porażek; tak jak one nie zamierzała się poddać ani porzucić swych obowiązków.

Postanowiła, że przetrwa.

Taki był jej los – niezależnie, jak się potoczył – i chciała iść dalej w tym kierunku.

Już spokojniejsza, zaczęła rozważać swoje uczucia, starając się je poznać i zrozumieć. Owszem, była zraniona, na różnych poziomach, także zdruzgotana – nie wierzyła, że naprawdę wyjechał, nawet nie postarawszy się zrozumieć – i wreszcie zrozpaczona. Czuła pustkę; tego się spodziewała, jak również udręki, wynikającej z myśli, że mogła – powinna była – zrobić to albo tamto, coś jeszcze, coś innego, by

go zatrzymać i ze sobą związać.

Od początku zdawała sobie sprawę, że to on musi zdecydować. Sam, bez żadnych nacisków z jej strony. Bez presji wynikającej z jej miłości.

Czy ją kochał? Wątpiła w to, bo jak mogła nie wątpić, skoro nie chciał zostać przy jej boku. Odwrócił się, nie dając szansy tej miłości, nie biorąc nawet tego pod uwagę.

Czy ona go kocha?

Wzdrygnęła się, nie chcąc zagłębiać się w to dalej.

Otworzyła oczy, popatrzyła za okno i z wysiłkiem przyznała się nawet do tego.

„Tak”.

To była prawda, niepodważalna, niezmienna.

Kocha go od lat; ziarno cierpliwej, wyrozumiałej, bezwarunkowej miłości zostało zasiane w jej duszy tak dawno temu, że uważała ją za coś pewnego. Ale jej miłość nie była już delikatnym pączkiem. Chociaż z biegiem lat uczucie to ulegało zmianom, aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ewoluowało w ostatnich dniach: że w wyniku ich dorosłych bliskich stosunków tamten pączek zamienił się rozkwitły kwiat.

Nad miłością nie można zapanować. Pojawia się, kiedy chce, rządzi się własnymi prawami i nie potrzebuje pozwolenia, by rozkwitnąć, stać się potężną siłą, od której nie można się wyzwolić.

Tak było z jej miłością i jedyne, co mogła zrobić, to się jej poddać – być wierną sobie i jej i czekać, by wrócił po obie.

Czas miał pokazać, czy tak się stanie.

Znowu więc była skazana na czekanie, musiała stłumić głos serca i wyrzec się prywatnego życia.

Zaczerpnęła tchu i wciągnęła powietrze głęboko w płuca. Potem je wypuściła i odwróciła się do drzwi, by rozpocząć dzień.

Życie toczyło się dalej.

Pogodziła się z tym, że musi pozwolić mu odejść i czekać, by zrozumiał i sam też skapitulował, lecz po raz pierwszy w życiu straciła wiarę, że jeśli będzie postępować zgodnie z nakazem Pani, wszystko się ułoży – nie w tym przypadku. Nie dla niej i dla niego.

Odjeżdżając, pozbawił ją tej wiary, i Lucilla wątpiła, by mogła ją jeszcze odzyskać.

Thomas nie dotarł jeszcze do Ayr, kiedy ogarnęło go uczucie, że popełnił największy błąd w życiu. Miał wrażenie, że jakiś ciężar coraz bardziej miażdży jego pierś, nie pozwalając mu oddychać.

Nie zamierzał jednak się temu uczuciu poddać, zacisnął zęby i jechał dalej.

Cztery dni później, chłodnego wieczoru zamknął za sobą drzwi swego mieszkania, włożył kapelusz, wziął laskę – znowu raczej modny dodatek niż niezbędną podpórę – i ruszył w krótką drogę do stryja i jego żony, mieszkających w domu przy Stirling Street. Ciotka urządziła wieczorek i jak zwykle nalegała, by się na nim zjawił. Przyszła nawet do firmy, by się upewnić, czy otrzymał zaproszenie, i cierpliwie zaczęła mu tłumaczyć, że nigdy się nie ożeni, jeśli nie będzie poznawał młodych dam

na wydaniu.

Nie mógł się z tym nie zgodzić. Zrozumiał nawet, że powinien zdecydować się na którąś z nich prędzej niż później. Im szybciej wybrałby na żonę jedną z panien, tym szybciej zbladłoby w jego pamięci niedające mu spokoju wspomnienie Lucilli i pokus, które symbolizowała.

Przystając na rogu, by przepuścić powóz, zgiął lewą nogę. Dzień wcześniej udał się do lekarza na zdjęcie szwów; ten przez cały czas zachwycał się wprawnym szyciem Lucilli i niezwykłą skutecznością zastosowanej przez nią maści. Thomas starał się tego nie słuchać; chciał, by zdjęto mu wreszcie szwy, usuwając ostatnią pamiątkę po Lucilli i czasie spędzonym na wsi.

Gdyby tylko równie łatwo mógł pozbyć się jej piętna w duszy.

W miarę jak zapadała noc i robiło się coraz ciemniej, uliczki dzielnicy mieszkalnej pustoszały. Tu i tam dał się słyszeć turkot powozów, kiedy panie jechały na spotkania towarzyskie, a coraz silniejsze światło latarni gazowych wydobywało blask mosiężnych i srebrnych elementów upręży oraz samych pojazdów. Lekka mżawka, która przeszła, oczyściła powietrze i sprawiła, że chodniki oraz ulice stały się śliskie i jakby ciemniejsze niż w rzeczywistości, lśniąc w miejscach, gdzie małe kałuże między kamieniami odbijały światło. Kilku dżentelmenów jak on skorzystało z okazji, jaką stanowiło wydawane w pobliżu przyjęcie, i postanowiło rozprostować nogi, ale poza tym ta część miasta udawała się już jak zwykle na spoczynek.

Spoczynek, który skłaniał do refleksji; choć ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zastanawianie się nad wydarzeniami ostatnich dni, to kiedy skręcił w Candlerigg Street i szedł nią przed siebie, nie mógł – po prostu nie mógł – przestać o nich myśleć.

Po wyjeździe z Vale – ucieczce od Lucilli – przybył do Glasgow późnym popołudniem. Uczucie ściskania w piersi złożył na karb dusznej, przesyconej siarką atmosfery miasta – nie było wiatru, a nad miastem unosiły się dymy.

Zupełnie inaczej niż w Vale, gdzie powietrze było kryształowo czyste.

Odsuwając od siebie to porównanie, zaprowadził Ducha do stajni, a następnie pokuśtykał z bagażem do mieszkania, starając się ignorować rwanie w łydce, które wyraźnie się nasiliło. Musiał opuścić Vale – musiał natychmiast stamtąd wyjechać, by uniknąć ponownego spotkania z Lucillą – i przynajmniej był tu, w Glasgow, bezpieczny, mogąc podążać naprzód własną drogą.

Zamknawszy tę sprawę, wszedł do mieszkania i uzmysłowił sobie, że jest niedziela. Zamierzał od razu rzucić się w wir pracy, miał klucz do firmy; mógł do niej pójść, lecz wiedział, że biura będą zimne i puste – i że nie znajdzie tam zapomnienia. Rozważał możliwość odwiedzenia stryjostwa, by powiadomić ich o swym przyjeździe, ale z uwagi na porę dnia musiałyby zasiąść z nimi do obiadu i opowiedzieć o pobycie w Carrick Manor i Vale. A nie miał na to ochoty – tak jak nie miał ochoty odpowiadać potem na pytania.

Poszedł więc do pobliskiego pubu na piwo i obiad, a następnie udał się do siebie, by spędzić resztę dnia i wieczór w domu. Pokoje, które zajmował, były wygodne i przyjemnie urządzone, wręcz luksusowe, lecz nagle wydały mu się małe i ciemne. Ogarnęło go dziwne przygnębienie.

Mógł tylko napisać list do Manachana, informując stryja o swym powrocie do

Glasgow, ale to z kolei uświadomiło mu, że nie zdołał rozwiązać zagadki problemów nękających klan, co tylko wzmogło jego przygnębienie.

Powiedział sobie, że poczuje się lepiej, kiedy tylko znowu wejdzie w rolę głównego wspólnika Carrick Enterprises i zajmie się obowiązkami.

Mimo zmęczenia wywołanego długą podróżą w nocy źle spał.

Wstał wcześniej i ze stanowczym zamiarem podjęcia dawnego życia udał się do pracy. Musiał wrócić do rutyny, znowu znaleźć przystań i poczuć grunt pod nogami.

Wszedł przez drzwi ze złoconym znakiem firmowym. Pani Manning i Dobson byli już na stanowiskach; oboje powitali go serdecznie, a on odpowiedział jak zwykle i czekał, aż ogarnie go poczucie, iż jest w domu.

Ale się nie doczekał.

Thumiac niepokój, ruszył korytarzem do swego gabinetu. Wszedł do niego, zamknął drzwi, zbliżył się do biurka i usiadł za nim. Spojrzał na leżące przed nim teczki oraz dokumenty i poczuł... pustkę.

Straszliwą ziejącą pustkę w miejscu, gdzie spodziewał się znaleźć ulgę i zapał.

Wytrącony z równowagi, popatrzył na teczki i listy; nie mógł pogodzić się z tym, że nie jest w stanie wzbudzić w sobie ani odrobiny entuzjazmu dla tego, co kiedyś tak go zajmowało. Dla tego, co jeszcze niedawno stanowiło jego pasję, centralny punkt życia.

Znowu wracając pamięcią do przeżytych chwil, wciągnął powietrze, podniósł głowę i zaczął krążyć z laską po gabinecie. Chciał przestać myśleć o swej nowej obsesji – przestać wspominać ostatnie dni i wszystkie niedostatki obecnej sytuacji, które zamierzał usprawiedliwić i zapomnieć – ale wspomnienia wciąż wracały, nie pozwalając się pogrzebać, czego tak rozpaczliwie pragnął.

Tamtego przedpołudnia po powrocie musiał zdać sobie sprawę z czegoś, czego wciąż nie chciał uznać – może było to tylko złudzenie, przejściowy stan ducha, ale nic więcej. I nie zamierzał pozwolić, aby stało się czymś więcej. Od dziesięciu lat kształtował swoje życie, tu, w tym gabinecie, jako główny wspólnik Carrick Enterprises, a teraz miał uwierzyć, że to nic nie znaczyło? Że podążając tą drogą, od początku się mylił?

I nic nie zauważył, bo nie wkładał w to serca?

„Musisz nauczyć się słuchać głosu serca tak samo jak rozumu”.

Tamtego ranka, siedząc za biurkiem, poruszony i zaskoczony, usłyszał w głowie głos Manachana. Stryj był bystry i przebiegły, ale skąd mógł wiedzieć? O tym, w jakiej Thomas znalazł się sytuacji?

Zamknął oczy – a potem, zaciskając zęby, pokręcił głową i zabrał się do pracy.

Powiedział sobie, że ten zamęt w duszy spowodowany pobytem na wsi niebawem się uspokoje.

Przyjechali Quentin i Humphrey i po raz pierwszy w życiu musiał przybrać maskę, by się z nimi przywitać, rozmawiać i wymieniać wiadomości, cały czas kryjąc otępiającą pustkę, którą czuł w sobie.

Wkrótce się okazało, że pod jego nieobecność interesy szły dobrze. Quentin doskonale znał sprawy, które razem prowadzili, a Humphrey świetnie sobie radził, zastępując Thomasa na co dzień.

Dlaczego Thomas tak postąpił, tego nie wiedział, ale wykorzystał swoją ranę jako

wymówkę, by nie przejąc od kuzyna tego wszystkiego, czym ten się teraz zajmował.

Ta jego reakcja, gdy ją sobie uświadomił, zaniepokoiła go bardziej niż wszystkie inne.

„Co ja robię?”

Zadawał sobie to pytanie przez pozostałą część dnia aż do wieczora, który spędził przy butelce whisky.

W pewnym momencie stanął wobec możliwości, że tak naprawdę nie chciał wrócić na swe poprzednie miejsce.

Nie był potrzebny Carrick Enterprises, firma w gruncie rzeczy funkcjonowała całkiem sprawnie bez niego. Nie musiał tu być, w biurze, by firma prosperowała.

A skoro tak, pozycja, którą w niej zajmował, nie mogła dać mu tego, czego pragnął, bazy czy też przystani, a ostatecznie satysfakcji. Nie mogła, nie była w stanie zaspokoić jego głębokiej potrzeby posiadania własnego miejsca, w otoczeniu ludzi, dla których byłby nie do zastąpienia.

Mimo że przez długi czas myślał inaczej, pozycja głównego wspólnika Carrick Enterprises nie zapadła mu w duszę i nie była czymś, bez czego nie mógłby żyć.

Natomiast coś innego – ktoś inny i inne miejsce – zapadło.

Opróżnił szklanekę i w pierwszej chwili odrzucił tę myśl. Niemożliwe. Brak chęci, by odzyskać dawną pozycję, równałby się brakowi chęci powrotu do dawnego, z takim trudem kształtowanego życia, a to nie mogło być prawdą.

Uznał, że za dużo wypił. Zakorkował karafkę i położył się do łóżka.

Ale nie zasnął, nawet po wypiciu takiej ilości whisky.

Od tego czasu uparcie żył tak jak kiedyś, robił to wszystko co wcześniej, tak samo jak poprzednio, i czekał, by wspomnienie jego pobytu na wsi zbladło – i pozwoliło mu żyć.

Ale tak się nie stało.

Jak dotąd.

Wierzył niewzruszenie, że z czasem to nastąpi. Że z czasem będzie mógł ruszyć naprzód, tak jak zamierzał, podążając starannie wytyczoną drogą.

Nie chciał przyjść na przyjęcie za wcześnie, stać w kolejce do salonu i gawędzić z matronami ani ich pełnymi nadziei córkami, by w końcu przywitać się ze stryjostwem, więc wybrał okreśną trasę ze swego mieszkania przy Bell Street; skierował się na północ Candlerigg Street, potem przeszedł przez ulicę, by przeciąć ogrody wokół kościoła Świętego Dawida. Dotarłszy na Canon Street, ruszył na wschód, by skrócić na południe w stronę Stirling Square, a następnie dotrzeć Stirling Street do domu Hemmingsów.

Niestety, dłuższa droga stała się doskonałą okazją, by powrócić myślą do tego wszystkiego, o czym starał się zapomnieć. Jak potrzeby, które wyczuwał – które tak wyraźnie zademonstrowała Lucilla i tyle innych osób w Vale.

Nie od razu zrozumiał, co tak do niego przemówiło. Jeśli chodzi o nią, postrzegał to po prostu jako inne uczucie widoczne w jej hipnotyzujących szmaragdowych oczach, inny element jej wewnętrzznego ognia, inny aspekt jej miłości.

Dopiero teraz, gdy zaczął zastanawiać się nad własnymi potrzebami – by służyć innym – wreszcie pojął, czym było i jest to coś w jej oczach.

Nie kryła się z tym, ujawniła to – swą całkowitą bezbronność, wierząc, że on do-

ceni ten gest i go uszanuje.

On tę bezbronność zobaczył, ale nie pozwolił sobie zrozumieć, czym tak naprawdę jest. Ponieważ to, że był jej potrzebny, przemawiało do tego, czego z kolei on potrzebował.

Jego umysł to odrzucał, choć serce chyba rozumiało. To, że nie chciał pogodzić się z prawdą, bynajmniej go nie ocaliło – przed jej skutkami, jej rażeniem.

I czuł oddziaływanie nie tylko ze strony Lucilli; wrażenie, że jest potrzebny – chciany – towarzyszyło mu wszędzie, stwarzało je tylu ludzi w Vale, że był nim wręcz odurzony.

Zaciskając usta, napiął mięśnie ramion, jakby chciał odrzucić te wspomnienia.

Niezależnie od wszelkich pokus, niezależnie od wszelkich potencjalnych korzyści, nie mógł ustąpić. Bezwiednie zacisnął zęby; mimo milczącego założenia Lucilli, Marcusa i pozostałych w Vale, że zrozumiał, jaką rolę ma według przeznaczenia odgrywać, podda się i zostanie, nie mógł tego zrobić – a tym samym nie mógł nagiąć się do woli Pani.

Dawno temu stwierdził, że nic w jego życiu nie liczy się bardziej – nie może się liczyć – niż utrzymanie nad nim kontroli, i postanowił, że sam będzie nim kierował, nie podlegając wpływow nikogo ani niczego.

Kiedy wreszcie zrozumiał, co dzieje się w Vale – że zastawiono na niego pułapkę, choćby w najlepszej intencji – poczuł się... krótko mówiąc, zdradzony. Nie zdawał sobie z tego sprawy, póki nie przejrzał na oczy... niemal za późno, by się z tej pułapki wydostać. Został niemal zmuszony, by wieść zupełnie inne życie – i do tego jeszcze o wiele niebezpieczniejsze – niż to, które wybrał.

Rozumem – bo nie sercem.

Te słowa podpowiadała mu świadomość, kiedy wreszcie doszedł na Stirling Square; nie pamiętał, kiedy skręcił na południe, ale nogi same zniosły go na miejsce. Idąc wzdłuż ogrodzenia z kutego żelaza, przypomniał sobie, dlaczego niemądrze jest podążać za głosem serca. Niebezpiecznie. Dlaczego lepiej iść za głosem chłodnego, przezornego rozumu.

Skręcając w Stirling Street, ściągnął ramiona, by przygotować się na czekające go wyzwanie, jakie stanowiły młode damy i stare swatki. Pomyślał, że naprawdę wolałby być gdzie indziej.

Przed oczami stanęła mu przelotna wizja owego „gdzie indziej”, z Lucillą. Z perspektywy czasu gotów był przyznać, że jego gniew – słuszny gniew, który poczuł, kiedy zrozumiał, co i dlaczego zrobiła – był skierowany przeciwko niewłaściwej osobie. I przesadny. Za sprawą losu i machinacji kilku niegodziwców wpadł w ręce Lucilli, która choć skorzystała z sytuacji, zrobiła to jedynie po to, by pokazać mu, co może być, roztoczyć przed nim wizję przyszłości, dając sobie i Vale szansę ukazania mu jej w całej gamie pokus. Przynajmniej jednak nie próbowała zatrzymać go siłą. Puściła go – nie chciała, ale musiała to uczynić, jakby rozumiała, że nie może go przywiązać, nie wbrew jego woli i zamierzeniom.

Musiał jej to przyznać, oddać sprawiedliwość – a także Pani.

„Musisz nauczyć się słuchać głosu serca tak samo jak rozumu”.

Manachan, znowu.

Dotarłszy do otwartej bramy przed domem Quentina i Winifred, Thomas odsunął

od siebie wspomnienia i wszedł po schodach prowadzących do drzwi frontowych. Chwilę później stanął w nich kamerdyner. Wziął od niego kapelusz i laskę, a potem zaprowadził go do salonu.

Otoczyła go kakofonia kilkudziesięciu głosów, z których każdy chciał być w tej wieży Babel słyszany. Został dostrzeżony przez Winifred stojącą kilka kroków od drzwi; kiedy pochylił się nad jej dłonią, rozpromieniła się z nieudawanego zachwytu. Prostując się, złożył pocałunek na jej policzku.

- Prawdziwy tłum, ciociu. Jesteś zadowolona?

- Najbardziej z twojego widoku, drogi chłopcze. - Odczekała, aż skinął głową Quentinowi, który rozmawiał z jednym z miejscowych polityków. - A teraz... - Klepnęła go po rękawie złożonym wachlarzem. - Jest tu kilka młodych dam, które powinieneś poznać.

Westchnął cicho, ale nie protestował. Przekonał się, że jeśli chodzi o ciotczyne zapędy do swatania, lepiej było od razu złożyć broń. Teraz, kiedy Humphrey zaręczył się z Andream, Winifred skupiła całą uwagę na znalezieniu odpowiedniej partii dla siostrzeńca - a ponieważ mieli wspólny cel, mógł tylko być jej wdzięczny.

Ciotka przedstawiła mu pannę Mack, która niedawno przyjechała z Perth w odwiedziny do siostry i z którą zamienił kilka słów. Potem Winifred pociągnęła go za sobą, by skłonił się lady Janet Crawley, którą poznał już wcześniej, a która tego wieczoru przyprowadziła ze sobą kuzynkę, pannę Vilbray.

Po kilku takich prezentacjach Thomas poczuł, że ogarnia go głębokie znużenie; twarze pań zaczęły mu się zlewać przed oczami - wszystkie były miłe, urocze, słodkie, skromne i nieśmiałe, jednak żadna z nich nie przykuła jego uwagi na dłużej niż kilka minut, kiedy z nimi rozmawiał, zanim został przez Winifred porwany dalej.

Ten wieczorek nie różnił się od innych, na których bywał, lecz z jakichś powodów wydawał mu się bardziej męczący. Bardziej bezsensowny.

Winifred wreszcie dała mu spokój i przez chwilę stał pośrodku salonu, w zgiełku rozmów, czując się dziwnie osamotniony, kiedy nagle dotarła do niego prawda.

I ogarnęło go wręcz dławiące wrażenie, że popełnia straszliwy błąd.

„Dla ciebie zawsze będę źródłem życia”.

Każdej z panien, które poznał tego wieczoru, brakowało właśnie tego - życia. Prawdziwej energii, takiej, która rodzi się w duszy i płonie w oczach, przydając blasku całej postaci.

Ucieleśnieniem tej cechy była Lucilla, przynajmniej dla niego. I obudziła w nim życie. Życie w pełni, takie, jakiego nikt wcześniej nie był w stanie obudzić.

I teraz, kiedy wreszcie zrozumiał, co mogło być, co mógł mieć - co czekało na niego w Vale - nie mógł dłużej udawać, że jakakolwiek kobieta, tu czy gdziekolwiek indziej, potrafi jej dorównać.

Przyniosła mu życie, tak jak obiecała, głębszą, prawdziwszą świadomość tego, czym może ono być.

Pojał, że teraz, kiedy otworzyły mu się oczy, nie będzie mógł zapomnieć tego, co zobaczył.

Nie mógł dłużej udawać, że zadowoli go jakakolwiek inna kobieta.

Zrozumiał w sercu, że może to zrobić tylko ona.

Od tego objawienia - głębokiego, wszechogarniającego - aż się zatoczył.

To była pułapka - prawdziwa pułapka - zastawiona przez niego samego, jego upór, jego... tchórzostwo.

Mimo zawrotu głowy zdołał zachować na twarzy wyraz leniwego zadowolenia, kierując się pod ścianę. Znalazł miejsce na obrzeżach tłumy, gdzie mimo ściskania w płucach mógł zaczerpnąć tchu.

„Nie ma dla nas, dla ciebie i dla mnie, nikogo innego... i nigdy nie będzie. Jeśli mnie odtrącisz, odrzucisz to, czym moglibyśmy być, nie zaznasz szczęścia nigdzie i z nikim innym”.

Ostrzegała go, ale myślał, że dramatyzuje. Teraz zrozumiał, że nie.

Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby spędzić z inną kobietą więcej niż kilka minut; na myśl, że miałby zbliżyć się do którejś z nich, robiło mu się zimno.

Czuł przenikliwy chłód i samotność.

Ostrzegała go, że będzie nieszczęśliwy do końca życia; wydawało mu się, że to przenośnia.

I tak naprawdę nie tyle dolegało mu poczucie nieszczęścia, ile pustki - coraz większej, przepojonej tęsknotą pustki, której nic nie mogło wypełnić, nawet w małym stopniu.

Zostawił serce i duszę w Vale. Stojąc teraz pośród miejscowej socjety, musiał stać czoło świadomości, co to oznacza - że opuszczenie Vale nie pozostało bez wpływu na niego.

Glasgow to nie było miejsce dla niego; nie miał tu nic do roboty. Jego prawdziwe miejsce, zadanie do wypełnienia - nie tylko ze względu na innych, ale także samego siebie - znajdowały się gdzie indziej.

Swoją prawdziwą rolę, tę, która dawałaby mu satysfakcję, mógł odegrać tylko na południu, w Vale. Przy jej boku.

Na ziemiach, które zawojowały jego serce i duszę, jak właśnie sobie uświadomił.

Czy kocha Lucille?

Naprawdę nie wiedział.

Czy jej pragnie?

Tak. Bardzo.

Myślał o niej od ponad dziesięciu lat, a kiedy dorośli, jej powab działał na niego jeszcze silniej.

Czy naprawdę był w stanie wyobrazić sobie życie - przyszłość - bez niej?

Odpowiedź na pytanie - przecząca - wręcz nim wstrząsnęła.

Skupił wzrok na zebranych przed nim tłumie; niezależnie od tego, jak bardzo wyrefinowani, elegancy, piękni, mili i potężni byli ci wszyscy ludzie, z każdą spędzoną w ich towarzystwie chwilą coraz bardziej uświadamiał sobie prawdę. Dla niego oni i cała ich społeczność byli nieważni; nie mieli znaczenia. A co więcej, tu, między nimi, on sam stawał się zaledwie cieniem tego, kim mógł być.

Jeśli chciał wieść satysfakcjonujące życie, jeśli chciał odzyskać serce i duszę, musiał wrócić do Vale, stanąć przed Lucillą i zrobić wszystko, by odzyskać to, co mu oferowała i co tak arogancko i pochopnie odrzucił.

Musiał zmienić kierunek. I to zaraz, jeszcze tego wieczoru.

Odetchnął głęboko.

Od czasu, kiedy opuścił Vale, chęć powrotu narastała w nim z godziny na godzinę,

z minuty na minutę, aż w tej chwili nic nie było od tego ważniejsze.

Już nie mógł się jej oprzeć. Nie miał siły, by stawiać opór tej sile, nieodpartemu pragnieniu.

Coś w nim pękło. Puściło.

Wyłonił się z niego człowiek, którym mógł być, którego tak starał się spętać, którego ze strachu przed ryzykiem się wypierał.

Potoczył spojrzeniem po salonie i wreszcie wypatrzył Winifred oraz Quentina. Kryjąc niecierpliwe pragnienie, by jak najszybciej wyjść, przedarł się do nich przez tłum gości.

Quentin spojrział na niego pytająco.

Winifred się uśmiechnęła:

- Jakież możliwości?

On jednak myślami był już daleko. Mimo rozgoryczenia - jak mógł być takim głupcem? - usiłował przywołać na twarz uśmiech, ale widząc, jak Winifred rzednie mina, pomyślał, że nie bardzo mu się to udało.

- Dokucza mi noga. Przyszedłem tu dłuższą drogą i chyba się przeforsowałem.

- Och. - Winifred szczerze się zmartwiła. Poczul się podle. - Ale - powiedziała, klepiąc go po ramieniu - przynajmniej się pokazałeś i poznałeś kilka pań. Następnym razem będziesz miał więcej czasu na rozmowy.

Nie mógł się zmusić, by skinąć głową. Zamiast tego wyciągnął rękę do Quentina.

- Stryju.

- Dbaj o siebie, mój chłopcze. - Quentin mocno uściśnął mu dłoń. - I daj nodze odpocząć.

Skinął głową, a potem pod wpływem impulsu schylił się, by cmoknąć ciotkę w policzek. Była dla niego jak matka, wątpił jednak, by w przyszłości uczestniczył w ich życiu.

Winifred zalotnie zamrugala, daremnie starając się wyczytać coś z jego twarzy. Znowu poklepała go w ramię, ale tym razem dobrotliwie.

- Tak, Thomasie... uważaj na siebie.

Skłoniwszy się, wyszedł z salonu, odebrał kapelusz i laskę, a następnie opuścił dom.

Obejrzał się na chodniku, a potem popatrzył na ciche uliczki. Pomyślał, że być może przyjedzie tu z wizytą, ale to nigdy nie będzie - nie może być - jego dom.

Ruszył do domu krótszą, prostsą drogą.

Czul, jak bije serce Glasgow, ale to nie tu było jego serce, jego dusza.

Jego serce należało do kogoś innego, a dusza odnalazła prawdziwy dom.

Zamierzał rankiem wyjechać i już tu nie wrócić.

Miał dużo do załatwienia - całe życie do wywrócenia. Usiadł przy biurku w swoim mieszkaniu i podkręciwszy płomień lampy, zaczął starannie wszystko planować.

Z Carrick Enterprises sprawa była zadziwiająco prosta. Pozostawała tylko kwestia, na ile w przyszłych latach chce angażować się w jej prowadzenie. Nie był tego pewny; kiedy wejrzał w siebie i zaczął zastanawiać się nad nową wizją swego życia, znalazł w niej miejsce dla firmy, dostrzegł zalety zachowania w niej udziałów oraz utrzymania związku z importem i eksportem towarów. Vale była posiadłością ziem-

ską i niektóre z jej produktów można było sprzedawać za granicę.

Zdziwił się, że tak łatwo przyszło mu podjąć decyzję w sprawie firmy; teraz, kiedy zmierzył się z rzeczywistością i ujrawszy ją w ostrym świetle, zmienił kierunek, w którym zmierzał, poczuł, że wcale nie jest tak przywiązany do Carrick Enterprises, jak sądził. Przedsiębiorstwo to było marzeniem ojca, więc Thomas sądził, że i jego samego. Ale nie, nigdy nie wkładał w nie serca. Pomyślał, że będzie mu brakowało ludzi, ale nie firmy.

Wszystko to świadczyło, że podjął słuszną decyzję i wreszcie podążał właściwą drogą.

Uznał, że na razie pożegna się listownie. Nie mógł już powstrzymać pragnienia, by wrócić do Lucilli i do Vale; nie zamierzał pozostać w Glasgow ani chwili dłużej, niż było to niezbędne. Wiedział, że kiedyś tu przyjedzie – być może z Lucillą – by odwiedzić bliskich i wyjaśnić im wszystko osobiście, ale na razie słowo pisane musiało wystarczyć.

Przy akompaniamencie trzeszczenia stalówki napisał listy do Quentina, Winifred i Humphreya, a także krótkie wiadomości do kilku pracowników firmy i jeszcze krótsze do pani Manning oraz Dobsona, życząc im powodzenia, dopóki nie zobaczą się znowu.

Gospodyni, bankier, radca prawny – tych powiadomił, że wyjeżdża na wieś, być może na stałe, ale nie zamierza zmieniać uzgodnień, przynajmniej na razie.

Później przystąpił do spisywania licznych klientów, umów i potencjalnych kontraktów, których nie przekazał jeszcze Humphreyowi. To było tak, jakby robił w głowie porządki, usuwając przeszłość, by znaleźć miejsce dla przyszłości.

To przyniosło mu spokój i jasność umysłu – pewność, jakiej nie czuł od dzieciństwa. Wyraźną perspektywę, poczucie sensu i przekonanie, że wszedł na właściwą ścieżkę.

Kiedy wreszcie opróżnił biurko i wyłączył lampy, było po drugiej w nocy. Za oknami Glasgow spało.

Pół godziny później był już spakowany; jeśli o to chodzi, miał niewiele cennych rzeczy. Umieścił kufer przy drzwiach, wraz z prośbą do gospodyni, by mu go łaskawie przysłała.

Spaliwszy za sobą mosty, padł na łóżko. Czy pozbawiał się wszystkich szans na powrót, tak że niezależnie od tego, co wydarzyłoby się w Vale, nie mógłby stamtąd uciec, wybierając łatwiejszą drogę?

Musiał się zastanowić.

Spodziewał się, że ogarnie go zmęczenie – nie fizyczne, ale emocjonalne, będące skutkiem zamętu w duszy. Czuł się oczyszczony jak wtedy, kiedy nie mógł już wypierać się fundamentalnej prawdy, musiał ją uznać, pogodzić się z nią... i wszystko inne odrzucić.

Otworzył się na prawdę i jej poddał.

Pozwolił, by zastąpiła wszystko inne i stała się jego nową rzeczywistością.

Zamknął oczy. Odprężył się. Wtedy poczuł fizyczne wyczerpanie, które objęło także umysł.

W ostatnim przebłysku, w jasności, która zapanowała w jego głowie, zobaczył wyraźnie, gdzie był wcześniej i gdzie znajduje się teraz – a także gdzie była i jest ona.

Lucilla miała jedną cechę, której mu brakowało. Wiarę, która była podstawą oddania. Wiarę w to, że po prostu wie, i wynikające z tej wiedzy oddanie sprawie.

Kierowała się tą wiarą przez całe życie. On... mógł przynajmniej iść za nią.

Czy sam potrafił zrozumieć, co wie – jakie kierują nim impulsy – nie miał pojęcia. Uznał, że pewnie się o tym przekona, ponieważ teraz, kiedy ruszał nową drogą, te impulsy, instynkty, stanowiły jedyną wskazówkę, jaką miał.

„Nie ma dla nas, dla ciebie i dla mnie, nikogo innego... i nigdy nie będzie”.

Liczył na to. Nie miał złudzeń co do tego, jak bardzo ją zranił, odwracając się od niej i tak po prostu odchodząc.

Był wtedy tak zły – a przy tym jeszcze przestraszony i poruszony – że nie w pełni zdawał sobie sprawę, co chciała mu dać – ile chciała mu dać – ale teraz?

Nie wiedział, czy ona go kocha – czy jest w stanie pokochać, czy to element relacji, które miały ich połączyć. Nie wiedział też, czy sam ją kocha – czy jest w stanie pokochać. Czym była miłość? Co oznaczała dla nich? Tego oboje musieli się dowiedzieć.

Wiedział jednak, że nie mógłby bez niej żyć. Zdawał sobie sprawę bez żadnych wątpliwości, że aby stać się tym, kim chciał być, musi do niej wrócić i zająć miejsce przy jej boku.

Powoli morzył go sen. Zaświtała mu ostatnia świadoma myśl.

Może nie wie, czym jest miłość – nie na tyle, by ją zdefiniować i przyznać się do niej – ale Lucilla już dawno zdobyła jego serce. Teraz on musi zdobyć jej.

Wyruszył z Glasgow zaraz po wschodzie słońca, jadąc na południe ku swej prawdziwej przyszłości.

Do domu.

Jeśli go tam przyjmą.

To była jedyna kwestia, która go jeszcze niepokoiła; reszta została rozwiązana albo nie miała znaczenia.

Z wiatrem we włosach, pędził drogą, która się przed nim rozwijała.

Wreszcie zmierzał ku właściwemu celowi. Był zdeterminowany, umysł miał jasny, a myśli skupione. Może brakowało mu jeszcze wiary, ale był pełen oddania.

W taki czy inny sposób, niezależnie od tego, co miałyby zrobić, zamierzał odzyskać Lucillę.

16.

Na pierwszą niespodziewaną przeszkodę natrafił, kiedy w odpowiedzi na jego dzwonek do drzwi, w progu Casphairn Manor stanął Polby.

Kamerdyner rozpromienił się na jego widok.

- Pan Carrick! Witamy ponownie. Pan bardzo się ucieszy z pańskiej wizyty.

Thomas zamrugał. Pan. Przechodząc przez próg, zapytał:

- Pan Marcus?

- O nie, nie, proszę pana. Mam na myśli pana Richarda. Księżę i księżna wrócili dwa dni temu. - Spojrzał na Ducha, który stał spokojnie na podjeździe. - Powiem któremuś ze stajennych, by zajął się koniem, i każę zanieść bagaż do pańskiego pokoju. - Zamknął drzwi i znowu zwrócił się w stronę Thomasa; uśmiechał się od ucha do ucha. - Pani mówiła, że niebawem pan wróci. A wiadomo, że rzadko kiedy się myli.

Pani... Jeśli „pan” oznaczał Richarda Cynstera, to mówiąc „pani”, Polby zapewne miał na myśli Catrionę, obecną panią w Vale.

Thomas pożałował, że był tak głupi, iż w ogóle wyjechał.

Polby, składając dłonie, popatrzył na niego wyczekująco.

- Chyba chciałby się pan zobaczyć z panem Richardem, prawda?

Thomas zastanowił się nad tym. Jeśli już musiał rozmawiać z którymś z męskich krewnych Lucilli, to wolałby z Marcusem, ale musiał od czegoś zacząć. Potwierdził skinieniem głowy.

I znowu sprawił Polby’emu niekłamana przyjemność.

- Proszę tędy. Pan jest w bibliotece.

Thomas ruszył za Polbym szerokim korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami biblioteki, podczas gdy kamerdyner zaanonsował jego przyjazd i spytał, czy jego księżęca mość go przyjmie.

Księżę się zgodził, jego niski głos brzmiał groźnie.

Polby szerzej otworzył drzwi i zaprosił Thomasa do środka.

Ten wkroczył do biblioteki, jakby wchodził do klatki lwa. Dźwięk cicho zamykających się za nim drzwi jeszcze spotęgował to wrażenie.

Richard stał przy stoliku, na którym spoczywały przynęty do łowienia ryb i urządzenie do ich wytwarzania; najwyraźniej podniósł się z krzesła, które znajdowało się obok.

Był w średnim wieku i jego czarne włosy siewiały już na skroniach. Poza tym czas obszedł się z nim łaskawie; wciąż miał wojskową postawę, ręce i nogi dobrze umięśnione, a ramiona szerokie. W bryczesach z kozłej skóry i wysokich butach, a także kamizelce i kurtce do jazdy konnej prezentował się bardzo sztywnie.

Jego twarz przypomina rzeźbę w granicie, a mina nie mogła być surowsza. Spojrzenie ciemnoniebieskich oczu, które spoczęło na Thomasie, było ostre jak brzytwa.

Gdy Thomas się zatrzymał, Richard mruknął:

- Carrick.

Nie zabrzmiało to jak powitanie.

Thomas skłonił głowę.

- Książę. - Wytrzymał jego wzrok. - Chciałbym prosić o pozwolenie, by złożyć wyrazy szacunku pańskiej córce, Lucilli.

Richard nie zmienił wyrazu twarzy. Po dłuższej chwili uniósł czarne brwi.

- Doprawdy?

Zachowując równie nieprzeniknioną minę, Thomas odparł krótko:

- Owszem.

- Słyszałem, że był pan u nas niedawno. Przez kilka dni.

W pokoju pod sypialną jego córki. Thomas nie miał wątpliwości, że Richard to wie - a reszty się domyśla. Nie zamierzał jednak dążyć do starcia z ojcem Lucilli, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Najlepiej w tej sytuacji było zachować milczenie.

- Może powinienem wspomnieć - podjął Richard z nieukrywaną wrogością w głosie - że choć nie wiem dokładnie, co zaszło między panem a Lucillą, widziałem tego skutki. - Jego oczy, utkwione w Thomasie, pociemniały. - W jej imieniu chętnie poszukałbym rewanzu, podobnie jak niewątpliwie Marcus. Jednak choć takie działanie mogłoby stanowić ujście dla naszych emocji, niestety odbiłoby się na paniach naszych serc, a to nie poprawiłoby sytuacji.

Thomas ponownie nic nie powiedział, tylko spokojnie patrzył Richardowi w oczy.

Ten, przyjrzawszy mu się, w końcu prychnął:

- Przynajmniej pan wrócił... i myślę, że to dopiero początek. - Jakby nieco złagodniał. Odwrócił się, a potem spojrzał przez ramię i zapytał: - Zdaje pan sobie sprawę, że niezależnie od tego, co powiem, czy udzielię panu pozwolenia, czy nie, ostatecznie najważniejsze będzie jej zdanie?

- Oczywiście. - Thomas nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej.

- Cóż, przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy. - Rzuciwszy pod nosem tę uwagę, porzucił pozę surowego, opryskliwego ojca i podszedł do dużego biurka. Wskazawszy Thomasowi stojące przed nim krzesło, Richard usiadł naprzeciwko po drugiej stronie. Położywszy płasko dłonie na blacie, spojrzał na Thomasa. - Więc ustalmy warunki. - Opadłszy na oparcie, machnął rękami. - Obaj wiemy, czym ona dysponuje. Jeśli uzyska pan jej zgodę, co pan wniesie do tego małżeństwa?

Thomas spodziewał się, że zostanie o to zagadnięty, i podczas podróży przećwiczyl odpowiedź. Ku jego zdziwieniu, Richard znał się na interesach i zadał mu kilka przenikliwych pytań, ale ostatecznie wydawał się usatysfakcjonowany - a przynajmniej udobruchany - jego wyjaśnieniami.

On z kolei zapytał Richarda, jak wyobraża sobie zarządzanie Vale, i z ulgą usłyszał - pozbawione jakiegokolwiek rezerwy - zapewnienie, że zostanie przez niego osobiście wprowadzony we wszystkie szczegóły, które będą go interesować. Powstrzymał się od pytania na temat Marcusa; Lucilla wspomniała, że miejsce brata jest gdzie indziej.

Kiedy obie strony wyczerpały już pytania i były zadowolone z odpowiedzi, Richard przyjrzał mu się ponownie. Potem energicznie pokiwał głową.

- Dobrze. Ma pan moje pozwolenie, jeśli tylko się panu na coś przyda.

Obaj wstali. Wyszedszy z biurka, Richard ujął krzesło przy stoliku; siadając przy nim, wskazał przynęty.

- Łowi pan na muchy?

Thomas skinął głową. Wziął jedną ze starannie wykonanych przynęt.

- Ale nie zrobiłem żadnej od lat.

Richard mruknął.

- To nasza rodzinna pasja... przynajmniej wśród mężczyzn. Musi pan do tego wrócić.

Thomas odłożył muchę. Richard najwyraźniej skupił uwagę na przynęcie, którą zajmował się wcześniej, lecz Thomas nie odniósł wrażenia, że został odprawiony.

I rzeczywiście, chwilę później, Richard, patrząc na piórko, które mocował, odezwał się znowu:

- Zanim pójdzie pan szukać szczęścia, chciałbym udzielić panu pewnej rady.

Thomas milczał. Po prostu czekał.

- Wyjechał pan. - Richard wzruszył ramionami. - Ja też wyjechałem. I tak jak pan wróciłem.

Thomas tego nie wiedział; słuchał z rosnącą uwagą, gdy Richard ciągnął ze wzrokiem utkwionym w przynęcie:

- Musiałem okazać skruchę i pana to też nie ominie. Ja jednak pokonałem ogień i uratowałem ją przed śmiertelnym zagrożeniem, czym udowodniłem odmianę serca i co oszczędziło mi dalszych deklaracji. Jeśli o pana chodzi, to ponieważ Marcus i ja jesteśmy tu, na miejscu, nie ma potrzeby staczać żadnych bohaterskich walk, więc będzie pan musiał znaleźć inny sposób, by dowieść swych intencji.

Thomas przewidywał, że skrucha będzie niezbędną, i choć krzepiąca była świadomość, że Richard przeszedł podobną próbę i poddał się tak jak on, to jednak nie stanowiła wielkiej pomocy. Już chciał spytać, czy książę ma jakieś sugestie dotyczące tego „innego sposobu”, kiedy ojciec Lucilli mruknął:

- Zwykle najlepsza jest ofiara.

- Ofiara? - Ściągnął brwi.

Richard zerknął na niego z lekką irytacją w oczach.

- Co pan takiego ma, czego jeszcze nie złożył u jej stóp?

Thomas zamrugnął i zaczął się zastanawiać.

Richard prychnął i przeniósł wzrok na muchę.

- To proste, człowieku... i jeśli będziesz musiał paść na kolana, to padnij.

Zostawiwszy Richarda zajętego swym hobby - jeśli nie udawał i naprawdę był nim pochłonięty - Thomas wrócił do holu, by odnaleźć Polby'ego i spytać, gdzie jest Lucilla.

Zamiast tego natknął się na Marcusa.

Brat Lucilli najwyraźniej właśnie wrócił ze stajni; trzymał szpicrutę, a jego wysokie buty były pokryte pyłem.

Miał powściągliwą minę. Skinął Thomasowi głową.

- Widziałem twojego konia.

Thomas spojrzał mu w oczy, tak samo jak u ojca ciemnoniebieskie niczym niebo i równie nieprzeniknione. O dziwo, nie wyczuł z jego strony żadnych emocji - wro-

gości ani sympatii, gniewu ani życzliwości. Spytał ostrożnie:

- Przyjechałem, by zobaczyć się z Lucillą. Nie wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

Marcus wskazał ruchem głowy w głąb korytarza, z którego nadszedł i który prowadził do bocznych drzwi dworu.

- Jest w ogrodzie, ścina zioła. Uważaj na jej nożyce... są ostre.

Thomas zamrugął.

Marcus się skrzywił.

- Nie zauważyłeś, że ma rude włosy?

- Ach tak. - Więc była na niego zła... aż tak, by się na niego rzucić z nożycami?

Marcus się zawahał, po czym dodał:

- Na wypadek, gdybyś nie wiedział, to matka twierdziła, że wrócisz. Lucilla nic na ten temat nie mówiła.

Thomas zaczął się zastanawiać, co to może znaczyć - zwłaszcza w ustach brata Lucilli.

- Matka powiedziała także, że warto będzie czekać. - Marcus spojrzał mu w twarz i w jego twardych oczach była jeśli nie groźba, to przynajmniej wyzwanie.

- Na twoim miejscu i dla dobra wszystkich - dorzucił - postarałbym się, by przepowiednia mamy się spełniła.

Później Marcus się odwrócił i ruszył po schodach.

Thomas powiódł za nim wzrokiem, myśląc o ostrzeżeniach, które usłyszał.

Wynikało z nich, że ktoś tu wierzy w zakończenie całej sprawy, wierzy w niego, choć czy tym kimś była Pani, czy po prostu Catriona - i czy jej słowa wyrażały nadzieję czy przekonanie - tego nie wiedział.

Odwrócił się i ruszył korytarzem do bocznych drzwi. Zbliżała się najważniejsza chwila; musiał zebrać myśli i trzymać się scenariusza, który przećwiczył.

Właśnie przypominał sobie mowę, którą zamierzał wygłosić, kiedy drzwi się otworzyły i weszła Catriona. Natychmiast podniosła wzrok do jego twarzy; odniósł przemożne wrażenie, że wiedziała, iż go tu spotka, w korytarzu - i przyszła specjalnie, by z nim pomówić.

Uśmiechnęła się i ten jej uśmiech wyrażał zrozumienie i akceptację.

- Thomasie. - Zamknęła za sobą drzwi i zbliżyła się do niego posuwistym krokiem damy, który odziedziczyła po niej starsza córka.

Przystanąwszy, skłonił się jej.

- Lady Cynster.

Zaśmiała się cicho.

- Proszę, mów do mnie po prostu lady Catriona. - Zatrzymała się przed nim i spojrzała mu w oczy. - Cieszę się, że cię widzę, Thomasie. Wiedziałałam, że przyjedziesz.

- Marcus wspomniał mi o tym. - Stał w miejscu, jakby ktoś go tam trzymał, podczas gdy Catriona badawczo popatrzyła mu w oczy. Nie miał pojęcia, co z nichyczyła, ale cokolwiek to było, wyraźnie ją zadowoliło.

Z lekkim zachęcającym uśmiechem wskazała głową drzwi.

- Lucilla jest w ogrodzie, ale początkowo może jej pan nie zauważyć, zeszła nad strumień. - Zrobiła krok do przodu i ominęła go. - Nie wiem, czy wie, że pan przyjechał, ale to możliwe.

Po tych słowach odeszła.

Thomas, odwróciwszy się, popatrzył za nią. Kiedy doszła do frontowego holu i zniknęła, zastanowił się nad tym, co powiedziała, potem pokręcił głową i ruszył do drzwi.

Doszedłszy do nich, przystanął, by mimo ściskania w piersi zaczerpnąć tchu. Podniósł zasuwkę, otworzył drzwi i poszedł na spotkanie z losem.

Lucilla podniosła głowę i spojrzała na Thomasa, gdy tylko pojawił się na skraju górnego tarasu ogrodowego.

Z wrażenia – natłoku silnych emocji, które ją ogarnęły – aż zabrakło jej tchu.

Przez chwilę czuła zawrót głowy, ale zaraz potem burza w jej duszy ucichła, a emocje przybrały jedną spójną postać.

Wyjechał – ale teraz wrócił, zgodnie z zapowiedzią jej matki.

Widocznie silni mężczyźni, którzy byli pisani paniom z Vale, mieli zwyczaj wyjeżdżać i wracać. Dopóki matka jej nie powiedziała, Lucilla nie wiedziała, że jej ojciec postąpił kiedyś tak samo, i ta informacja pomogła jej zobaczyć ucieczkę Thomasa w nieco lepszym świetle.

Mimo to... wyjechał. I daleka była od wybaczenia mu tego wszystkiego, co temu wyjazdowi towarzyszyło.

„Niektórzy mężczyźni nie lubią być pod pantoflem”.

Z tego, co sobie powiedzieli, to zdanie zapamiętała najbardziej. To prawda, nie była szczerą co do swych intencji, ale biorąc pod uwagę jego upartą ślepotę, jak inaczej mogła postąpić?

Podnosząc się znad krzaczka werbeny, którą ścinała, zerknęła na dwie uczennice zbierające niedaleko piołun i rutę.

– Agnes, Matildo... proszę, zanieście to, co nazbierałyście, do destylarni. Wiecie, jak wieszać pęki, by szybko wyschły.

– Tak, panienko – odpowiedziały unisono.

Wzięły koszyki, łącznie z tym, do którego Lucilla składała werbenę, a potem zaczęły wspinać się po stoku ogrodu.

Dziewczęta nie widziały Thomasa, ale on je widział. By się z nimi nie minąć, zszedł po tarasach ogrodowych inną ścieżką.

Lucilla stała na najniższym położonym chodniku. Grządka z werbeną, którą wciąż ścinała, była wysoka, szerokie zwieńczenie kamiennego murku sięgało jej do ud. Za nią znajdowała się jeszcze jedna szeroka rabata, tym razem na poziomie ziemi – ostatnia na dolnym tarasie przed ścieżką, która biegła nad strumieniem.

Tego dnia strumień płynął wartko, szumiąc i bulgocząc na skałach oraz pojedynczych kamieniach. Powietrze nad jego brzegiem było nieco chłodniejsze i wilgotniejsze niż gdzie indziej. Odświeżające.

Mimowolnie odnotowała te wszystkie ziemskie szczegóły, kiedy usłyszała miękkie kroki Thomasa na darni, którą wyłożony był chodnik. Wyczuła go z daleka.

Podszedł bliżej, a ona rozpoznała jego chód, który obudził w niej bolesne wspomnienia. Jej pobudzone zmysły się wyostrzyły. Odbierając sygnały.

Zatrzymał się tuż za nią.

Nie odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

Czuła na sobie jego wzrok, coraz bardziej natarczywy, kiedy przechylił głowę

i przyjrzał się jej twarzy.

- Lucillo.

Jedno słowo, a zawierało się w nim powitanie, pytanie, prośba i o wiele więcej.

Wciągnęła powietrze w nagle ściśnięte płuca, po czym zerknęła na niego krótko - zbyt krótko, by mógł zatrzymać jej spojrzenie.

- Co tu robisz?

Patrząc znowu na werbenę i ścinając uważnie kolejny długi pęd, czekała - by usłyszeć odpowiedź na jedyne pytanie, które miało znaczenie.

Westchnął cicho, tak cicho, że nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Potem spojrzał w stronę strumienia. Po chwili przysiadł na kamiennym murku obok, opierając dłonie po bokach na jego zwieńczeniu.

Nie był zbyt blisko niej, lecz w zasięgu ręki.

Spojrzała na jego lewą nogę.

- Jak rana?

Pytała jako uzdrowicielka; nie zamierzała okazywać mu zainteresowania, przynajmniej na razie, ale obudziła się w niej druga część jej natury.

- Znacznie lepiej. Lekarz w Glasgow zdjął mi szwy. - Urwał, a potem dodał: - Nie mógł się nadziwić twojemu dziełu... zarówno szyciu, jak i maści, którą zastosowałeś.

Prychnęła. I czekała, co będzie dalej.

Minęła ponad minuta, zanim powiedział niskim głosem:

- Zapytałaś, co tu robię... dlaczego wróciłem. Odpowiedź brzmi: dlatego, że byłem tchórzem.

Nie był to fragment przećwiczonego przemówienia, ale kiedy tak siedział tam, w cichym ogrodzie, z kobietą, która tak wiele dla niego znaczyła, wreszcie zrozumiał, co miał na myśli Richard, kiedy zapytał: „Co pan takiego ma, czego jeszcze nie złożył u jej stóp?”.

Nie powiedział Lucilli prawdy - zwykłej, pozbawionej ozdobników - bo nie mógł odłożyć na bok dumy.

Opuścił głowę i spojrzał na czubki butów. Kątem oka widział jej twarz; zobaczył, że przestała pracować, znieruchomiała. Była równie zaskoczona tym wyznaniem jak on.

To był dobry początek - czegoś takiego się nie spodziewała.

Wciągając powietrze, wykorzystał tę okazję i ciągnął:

- Odpowiadając na twoje pytanie, wyjaśniłem ci, dlaczego opierałem się istniejącemu między nami przyciąganiu... bo nie miałem tego w planie, w planie na życie. - Utkwił wzrok w spienionym nurcie potoku. - Opowiedziałem ci o nim... ale nie wspomniałem, skąd się wziął. Dlaczego trzymanie się go było dla mnie takie ważne.

Zauważył, że zamrugła i jej wzrok stał się nieobecny, kiedy powróciła myślami do tamtego wieczoru na korytarzu i tego wszystkiego, co jej wtedy powiedział - zanim jakiś niegodziwiec dostał się do jej pokoju i cała reszta stała się nieważna.

Przechylając lekko głowę, szepnęła:

- A mnie nie przyszło do głowy, by o to spytać.

- Byłaś zbyt zaabsorbowana tym, co powiedziałem. - Przypomniał sobie jej skupienie, koncentrację; już wtedy, jeszcze zanim stali się kochankami, łączyła ich głę-

boka więź.

Po chwili zerknęła na niego, tym razem odpowiadając na jego spojrzenie.

- Więc - podjęła - skąd się wziął twój plan... ten, którego tak długo i z takim uporem się trzymałeś? - Przeniosła wzrok z powrotem na wybująy krzak werbeny i brutalnie ścięła długą gałązkę. - Z jego powodu wróciłeś do Glasgow, prawda?

Kiwnął głową, potem uświadomił sobie, że nie mogła tego zobaczyć i potwierdził:

- Tak. - Spojrzał znowu na potok; zaczerpnął oddechu i wstrzymał go, porządkując myśli. - Pamiętam, kiedy zacząłem nad nim pracować. Miałem dziesięć lat. Było to miesiąc po śmierci moich rodziców. - Wskazał za strumień, na północ, w stronę posiadłości Carricków. - Mieszkałem wtedy w Carrick Manor. Gdy straciłem rodziców, Manachan sprowadził mnie do siebie. Spędziłem pod jego opieką następny rok. - Zamilkł.

Lucilla spojrzała na niego, ale go nie ponaglała. Bardzo chciała zrozumieć, a by było to możliwe, musiała usłyszeć tę historię z jego ust, opowiedzianą w jego tempie.

Po chwili podjął niższym głosem, nieco ochryple:

- Byłem jedynakiem... mocno związanym z rodzicami. Bardzo mocno. Spędzaliśmy wakacje w szkockich górach, ale miałem guwernera i wciąż pobierałem lekcje. Rodzice zostawili mnie z książkami i wybrali się powozem na przejażdżkę. - Opuścił wzrok. - Wróciły z niej tylko ich martwe pogruchotane ciała.

Powstrzymała chęć, by położyć mu dłoń na ramieniu. To była dawna rana, już zagojona.

Po chwili uniósł głowę i wciągnął powietrze w płuca.

- Kiedy wreszcie... obudziłem się ponownie... bo tak się czułem, gdy doszedłem do siebie i wróciłem do normalnego życia... byłem w Carrick Manor, wśród członków klanu. Postanowiłem nie dopuścić, by coś takiego... spotkało mnie ponownie. Zacząłem więc starannie planować swoje życie... Myślałem, że jeśli zapanuję nad najważniejszymi jego sferami, to cokolwiek się stanie, nie będę już tak cierpieć. Lecz nawet jako dziesięciolatek byłem świadomy, że jeśli naprawdę mam uniknąć cierpień, nie mogę nikogo pokochać... tak jak kochałem rodziców. - Wbił wzrok w ziemię przed sobą. - Byłem dzieckiem, chłopcem... nie znałem wtedy słowa „miłość”. Ale to miałem na myśli... że muszę zachować kontrolę nad swoim życiem, by nikogo nie obdarzyć taką miłością. By, w razie gdyby tej osobie coś się stało, ponownie nie pękło mi serce. - Odetchnął i podniósł głowę. - Za moim planem kryło się takie właśnie rozumowanie... Chciałem mieć pewność, że nie będę znowu cierpieć... Dlatego trzymałem się go tak kurczowo. - Ściszył głos. - I dlatego w moim starannie zaplanowanym życiu nie było dla ciebie miejsca.

Popatrzyła na niego.

Odwrócił głowę i napotkał jej spojrzenie; w jego bursztynowych oczach nie było rezerwy, tylko szczerłość i uczciwość.

- Nie mogłaś stać się częścią mojego życia, ponieważ wiedziałem, że bym cię pokochał. Właśnie tak, jak nie chciałam pokochać nikogo. Byłaś moją piętą achillesową i od dawna zdawałem sobie z tego sprawę. Tak samo jak ty czułem, że coś między nami jest, że ciągnie nas do siebie.

Jego oczy świadczyły, że mówił prawdę, i zaczęło jej mięknąć serce.

On tymczasem skupił się na tym, co chciał powiedzieć.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat, kiedy nie wyszłaś za mąż i stało się jasne, że moja fascynacja twoją osobą nie słabnie, zacząłem celowo cię unikać. Jednak potem zachorowali Bradshawowie, zdarzyły się kolejne rzeczy... i pokonałaś wszystkie bariery, jakie wznosiłem, a ja nie byłem na tyle silny, by ci przeszkodzić... czy trzymać się od ciebie z daleka. - Przerwał, a potem przyznał: - I przez jakiś czas się łudziłem, że romans nam nie zaszkodzi. Ja pragnąłem ciebie, ty pragnęłaś mnie, więc wmawiałem sobie, że dopóki będę pamiętał, co sobie postanowiłem i dlaczego... nic się nie stanie.

Spojrzał pod nogi i odniosła wrażenie, że mówiło mu się coraz trudniej - że niełatwo mu było się przed nią odsłonić.

Zaczerpnął powietrza, rysy jego twarzy się zaostrzyły.

- Ale wtedy, gdy w końcu zdałem sobie sprawę, że jestem bliski rezygnacji z mojego planu... że pod wpływem tego, co do ciebie czuję, wiedziony urokiem waszych wspólnych zabiegów, twoich i Pani, jestem skłonny uczynić to, czemu zawsze byłem tak bardzo przeciwny... kiedy to sobie uświadomiłem, wpadłem w panikę i uciekłem. - Mówił dalej, nie dając sobie czasu, by cofnąć wypowiedziane słowa, ocenzurować je. - Zachowałem się jak tchórz, bo przez cały czas wiedziałem, przed czym uciekam i dlaczego... była to świadoma decyzja, przemyślana, nie instynktowna. Wiedziałem, że uciekam przed... - Zerknął na nią przelotnie. - Jeśli nie przed miłością, to przed jej perspektywą. Uciekłem więc, bo... nawet po tych wszystkich latach... bałem się ryzykować, że będę cierpiał z miłości. - Oddychając płytko, kopnął kamyk. - Dlatego cię odrzuciłem i zraniłem. Odwróciłem się od tego wszystkiego, co mogłem mieć, i wróciłem do swego uporządkowanego, bezpiecznego życia w Glasgow.

Patrząc niewidzącym wzrokiem na rwący potok, poczuł lekki zawrót głowy od wysiłku, jakiego wymagało od niego wypowiedzenie tych słów, a jednak równocześnie zrobiło mu się dziwnie lekko na duszy - może nie jak po spowiedzi, ale jakby wyliczając głośno swoje uczynki, przynajmniej zdał sobie sprawę z popełnionych błędów i przez to odzyskał honor.

- I?

To pytanie, wypowiedziane raczej z lekką zachętą niż władczo, dotarło do niego dopiero po chwili.

Odpowiedź była oczywista i szczerą.

- Okazało się, że uporządkowane, bezpieczne życie już mi nie odpowiada. - Podniósłszy wzrok, spojrzał na północ, a potem na wschód, w stronę Glasgow. Wzruszył ramionami. - Kiedy tam przyjechałem, coś się stało... Nie byłem tym samym człowiekiem. Spróbowałem... ambrozji, jeśli wolisz. Zakosztowałem innego życia, takiego, które odpowiada mi znacznie bardziej niż życie w Glasgow. Pobyt tutaj, w Vale, przy twoim boku, okazał się dla mnie satysfakcjonujący pod zaskakująco wieloma względami. Tych kilka dni zapadło mi głęboko w duszę, zaspokajając potrzeby, których nie byłem nawet świadom.

Odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy.

- Spytałaś, co mnie tu sprowadza. Przyjechałem, bo zmieniłem zdanie. Chcę przyjąć wszystko, co mi zaoferowałaś... miejsce przy twoim boku. Pragnę być twym ko-

chankiem, obrońcą, towarzyszem... małżonkiem.

Liczył, że zobaczy w jej szmaragdowych oczach przebaczenie, współczucie, może nawet zrozumienie. Ale jedyne, co ujrzał, to barierę – nieprzeniknioną barierę, jakiej nie widział tam wcześniej. Nigdy dotąd tak się przed nim nie opancerzyła. To odkrycie nim wstrząsnęło, ale prawie natychmiast się uspokoił; przecież wiedział, że nie będzie łatwo.

Nie wiedział tylko, że Lucilla odetnie się od niego tak całkowicie – stworzy taki dystans.

Zamiast, patrząc mu w oczy, odnieść się do tego, co powiedział, powoli – wyniosło i z pewną nonszalancją – uniosła kształtne brwi.

– A więc uciekłeś przed miłością? Czy to znaczy, że mnie kochasz?

Miał nadzieję, że o to nie spyta, a jednak się tego spodziewał. Zamierzał odpowiedzieć „tak”, ale po tym, co zrobił, kłamstwo nie wydawało się dobrym pomysłem. Spojrzał jej badawczo w oczy, lecz niczego w nich nie zobaczył; można było odnieść wrażenie, że skryła się za lustrzaną taflą, by nie zdradzać swych uczuć. Mimowolnie zacisnął zęby, ale wcześniej powiedział z wysiłkiem:

– Jeśli mam udzielić szczerzej odpowiedzi, to tak naprawdę nie wiem. Przez dwadzieścia lat, przez całe dorosłe życie, unikałem miłości... niezłomnie i z powodzeniem. Nie bardzo znam to uczucie. Może cię kocham... Wiem tylko, że jeśli tu zostanę, przy tobie, pokocham cię na pewno. – Mówił prawdę. Absolutną prawdę. Choć wiele go to kosztowało; ale jadąc tutaj, przysiągł sobie, że będzie wobec niej uczciwy. Był jej to winien. Ciągnął więc: – Pytasz, czy cię kocham. Choć nie potrafię na to odpowiedzieć, wiem ponad wszelką wątpliwość, że nie mogę... i nie chcę... bez ciebie żyć. – Odetchnął i wyrzucił z siebie resztę deklaracji, jedynej, jaką mógł z całą szczerością złożyć: – Mam świadomość, że jeśli mnie teraz odrzucisz i odeślesz z powrotem, nie zajdę daleko. – Mimo opanowania wyrwał mu się gorzki śmiech. – Tak mnie zniewoliłaś, że bardzo wątpię, bym mógł spuścić cię z oczu, pozwolić ci się oddalić. Nawet jeśli ty nie zechcesz mnie widzieć, będę w pobliżu, by cię strzec.

– Mówiłam ci, że nie uciekniesz. – Odwróciła się od niego spokojnie. Opuszczając wzrok na krzak werbeny, ścięła bujny pęd. – Że zawsze będziesz się tak czuł, bo niezależnie od swojej woli jesteś moim towarzyszem, obrońcą i opiekunem. Ostrzegłam cię, że przed tym, co nas łączy, nie ma ucieczki.

Nie zamierzała ułatwić mu sprawy; przypuszczał, że na to zasłużył. Powstrzymując zgrzytanie zębów, wskazał błąd w jej rozumowaniu:

– Nie łączy nas to, że jestem twoim towarzyszem, obrońcą i opiekunem.

Nieznacznie skinęła głową, jakby przeszedł jakąś próbę.

– Nie, rzeczywiście. To skutek, nie przyczyna.

Ponieważ nie powiedziała nic więcej, zmrużył oczy i patrząc jej w twarz, zapytał:

– Więc co nas łączy?

Miała odpowiedź na podorędziu.

– Siła potężniejsza niż wszystkie inne... która nie pozwoli ci odejść.

Westchnął i ujął palcami nasadę nosa.

– Jak mam to rozumieć? Muszę być w tobie zakochany, bo za wszelką cenę pragnę cię chronić?

Nie odpowiedziała, więc rozłożył ręce w błagalnym geście.

- Co chcesz, bym powiedział, Lucillo? Nie mogę ci wyznać miłości, jeśli nie wiem, czy ją czuję.

Wciąż milczała. Kiedy tylko obcięła następną gałązkę, zaczął tracić nad sobą panowanie. Potem sobie przypomniał.

- Ostatniego popołudnia, gdy byliśmy w Carrick Manor, Manachan, przekonując mnie, bym odwiózł cię do Vale, powiedział pewną rzecz. Zwrócił mi uwagę, że powinienem nauczyć się słuchać głosu serca tak jak głosu rozumu. Wtedy nie zrozumiałem, co ma na myśli, teraz chyba już wiem. Staralem się... ze wszystkich sił... zamknąć przed tobą serce. Ale mi się nie udało. Ze względu na tę więź między nami, czymkolwiek jest, serce nie pozwala mi od ciebie odejść. - Próbował powstrzymać następne słowa, ale wydobyły się z jego ust: - Bo to z pewnością nie rozum kazał mi do ciebie wrócić.

Dostrzegł, że jej bariera pęka - świadczyło o tym drgnienie ust, jakby usiłowała powstrzymać uśmiech. Wciąż jednak milczała.

Przyglądał jej się otwarcie i nie zauważył ani śladu zachęty z jej strony, ale też nie czuł, by go odpychała. By się przed nim zamknęła. Tyle że nie wpuszczała go do środka, nie przyjmowała z powrotem.

Westchnął. Zrozumiał, że mogliby to ciągnąć godzinami, a nawet całymi dniami, snując rozważania, czy ją kocha, czy nie - i czy jest w stanie wypowiedzieć słowa miłości, nawet jeśli nie był ich pewny.

Opuszczając głowę, splótł palce i po chwili powiedział:

- Wróciłem do Glasgow, ponieważ wydawało mi się, że miejsce przy twoim boku nie jest dla mnie... dla mężczyzny, którym chciałem być. Lecz w Glasgow zrozumiałem prawdę: że nie mogę być mężczyzną, którym chcę być... że mogę być tylko mężczyzną, którym jestem.

Patrzył na nią - czekał i czekał, aż w końcu na niego spojrzeła. Pochwyciwszy jej wzrok, dodał zwyczajnie:

- Mężczyzna, którym jestem, należy do ciebie, Lucillo... Nie pragnę innego życia niż przy tobie, jako twój towarzysz i mąż, ze wszystkim, co się z tym wiąże. - Wziął głęboki oddech i zakończył: - Więc jeśli to miejsce jest jeszcze wolne, chciałbym je zająć. Przyjmiesz mnie?

Lucilla nie miała wyboru. Wiedziała to, ale jeszcze się wstrzymywała. Nie dlatego, że chciała przedłużyć tę rozmowę, by wydobyć z niego więcej wyznań albo utrudnić mu sprawę. Wrócił do niej z własnej woli, tak jak chciała, tak jak prosiła w modlitwach. Jednakże jego wcześniejsza ucieczka obudziła w niej niepewność, z którą nie umiała sobie poradzić; a rzadko kiedy bywała niepewna.

Wahała się więc jeszcze; pragnęła odpowiedzieć po prostu „tak”, ale...

Wciąż patrzyła mu w oczy. Był szczery i otwarty, tak jak ona.

- A jeżeli przyjmę twoje oświadczenia, to jaką mam pewność, że kiedyś w przyszłości nie pożałujesz swojej decyzji... nie zaczną cię męczyć wynikające z niej obowiązki... i nie porzucisz mnie znowu?

Te jej proste słowa dotknęły Thomasa do żywego. Nie odstąpiła się przed nim, nie zdradziła mu swych uczuć, a jednak to bezpośrednie pytanie mówiło o nich tak wiele. Nigdy wcześniej nie wątpiła w swą siłę - nie zakwestionowałyby potęgi, o której

mówili.

Ale on odwrócił się od niej i odszedł.

Powoli, głęboko wciągnął powietrze w płuca – po czym, wciąż patrząc jej w oczy, wstał z murku i podszedł do niej.

Odwróciła się do niego z nożycami w dłoni. Przypomniał sobie ostrzeżenie Marcusa, ale odsunął je od siebie. Nie zamierzała go zadźgać; do głębi zraniła go swymi słowami, świadectwem bezbronności, której był winien.

Wiedział, czym jest bezbronność; właśnie o niej mówił i potrafił dostrzec ją u innych.

Powoli, dając jej czas na reakcję, gdyby chciała się sprzeciwić, ujął jej twarz w dłonie.

Spojrzał jej w oczy tak głęboko, jak tylko mu pozwoliła. Oznajmił z całą mocą:

– Nigdy więcej... przenigdy... cię nie opuszczę. Nigdy nie porzucę miejsca przy twoim boku. Pragnę cię, ale przede wszystkim cię potrzebuję... ciebie i tylko ciebie. Jesteś osią mojego życia, wokół której zawsze będę się kręcić, podporą i kotwicą. – Tonąc w szmaragdowej zieleni, przerwał, by odetchnąć. – Jesteś i zawsze będzie wszystkim, czego chcę... i wszystkim, czego potrzebuję.

Uniosła wolną rękę, by położyć ją na jego dłoni.

I wreszcie w tym lekkim jak piórko dotyku, za opadającą tarczą, którą tak długo się zasłaniała, dostrzegł aprobatę.

Pochylił głowę i przyciągnął Lucillę do siebie, by ją pocałować, by przynajmniej zdobyć jej usta.

Nie cofnęła się, a nawet wspięła na palce, by wyjść mu naprzeciw.

Ich głodne usta dzieliła już niewielka odległość. Thomas czuł, że jej potrzeba dorównuje jego potrzebie. Kiedy złączyli się w pocałunku, nic już nie zostało do powiedzenia.

Odezwał się, tchnąc w jej usta:

– Czy chcesz mnie za męża, już na zawsze?

Uniosła powieki. Ujrzał zielony ogień.

– Tak.

Odetchnął i na moment przymknął oczy.

– Więc przepowiednia Pani... naszej Pani... się spełniła.

Nie odpowiedziała, tylko położyła mu dłoń na karku i przyciągnęła jego usta do swoich warg.

„Więc przepowiednia Pani... naszej Pani... się spełniła”.

Ale nie całkiem. Nie do końca.

Thomas to wiedział, tak jak wiedział, że jest różnica między wynegocjowaną umową a prawdziwą współpracą. To pierwsze już osiągnęli; teraz zmierzali ku drugiemu.

Wyszli z ogrodu, trzymając się za ręce, świadomi nawzajem swojej obecności, a to za sprawą tego pocałunku i kilku następnych, znowu pełni mocy i poczucia akceptacji, krzepieni ciepłem swych dłoni i okazywaną sobie czułością.

Była to ciekawa przemiana. Oboje starali się powrócić na ścieżkę, z której zboczyli na skutek jego wyjazdu.

I nawet wówczas nie była to ta sama ścieżka; ale weszli na nią znowu, pokonawszy kilka zakrętów.

Kiedy szli w stronę domu, zabrzmiał gong wzywający na obiad. Thomas odruchowo stężał. Lucilla rzuciła mu uspokajające spojrzenie, milcząco zapewniając, że wszystko będzie dobrze; ściskając mocniej jego dłoń, pociągnęła go za sobą.

I okazało się, że miała rację. Catriona rozpromieniła się na ich widok; Marcus życzliwie skinął im głową i zaczął mówić o psach. Tylko Richard zdawał się zachowywać powściągliwość, niczego nie wyrokując, tylko czekając, jak potoczą się sprawy.

Co jednak było dla Thomasa najważniejsze, Lucilla zachowywała się wobec niego nie tylko tak jak dawniej, ale jeszcze dodatkowo z nieśmiałą poufałością, wyróżniając go spośród innych.

Był temu bardzo rad – chciał, by to, co ich łączyło, rozwijało się i pogłębiało, znajdując wyraz w działaniach i wzmacniając powstałe między nimi więzy.

Kierowane ku nim przez wszystkich zebranych w sali uśmiechy świadczyły, że istnienie tych więzów dla nikogo nie jest tajemnicą.

To było bardzo uspokajające, ale kiedy tak siedział obok Lucilli, jadł i pił, uświadomił sobie, że pragnie i potrzebuje więcej. I poznając ją lepiej, wiedział w głębi duszy – tam, gdzie kryła się świadomość jej pragnień i potrzeb – że ona także potrzebuje więcej. Po tych wszystkich dramatycznych chwilach związanych z jego wyjazdem i powrotem oboje musieli szybko i zdecydowanie ruszyć naprzód.

Spotkanie z Catrioną i Richardem w salonie po obiedzie było nieuniknione, ale ponieważ Thomas się tego spodziewał i był przygotowany na niechybne pytania, a Lucilla odzyskiwała grunt pod nogami, rozmowa przebiegła zadziwiająco dobrze – i Richard przestał patrzeć na przyszłego zięcia tak krytycznie.

Pozostał czujny, ale raczej po to, by się upewnić, że wszystko idzie dobrze.

Thomas nie miał wątpliwości, że implikacje jego powrotu do Lucilli są już jej najbliższym doskonale znane. Wszyscy zdawali się coraz lepiej bawić jego kosztem. Ale to mu nie przeszkadzało; był gotów przyznać, że powracając do Vale, zgadza się zostać wzięty pod pantofel – pewnej rudowłosej kobiety; i pod koniec dnia nie mógł się wręcz doczekać, kiedy się pod nim znajdzie.

Nie uszło jego uwagi, że nikt nie poruszył tematu, jakim była data ich ślubu. Wszyscy najwyraźniej zamierzali zostawić to Lucilli i jemu.

Ta kwestia chodziła mu po głowie przez całe popołudnie, kiedy Lucilla udała się do destylarni, by porozmawiać ze swymi uczennicami, a Polby, wciąż szeroko uśmiechnięty, przyszedł go zapytać, co zrobić z kufkami, które przysłała jego gospodyni.

Do kolacji podjął kilka decyzji. Przeczekał posiłek – na który jak zwykle przybyli wszyscy domownicy – a także wspólne przemówienie Richarda i Catriony, którzy ogłosili zaręczyny jego i Lucilli, co zostało przyjęte głośnymi wiwatami i powszechną radością.

Uśmiech, jaki skierował do zebranych w sali, był tak szczery, jak serdeczność w spojrzeniu, które zwrócił na Lucillę.

Koniec z tarczami i pancerzami. I w jej, i w jego przypadku.

To, co wyczytała w jego oczach, sprawiło, że oblała się pąsem; podniósłszy serwetkę, przytknęła ją do ust i wzięła kielich z winem.

On uśmiechnął się jeszcze szerzej i odwrócił wzrok. Był zadowolony, przynajmniej na razie.

Jak zwykle jako pierwsze wyszły z sali panie. Catriona otoczyła Lucillę ramieniem; ze strzępków rozmowy, które doleciały do jego uszu, kiedy ruszył za Richardem i Marcusem, wynikało, że rozmawiały o materiałach do salonu, który miał być odnawiany.

Richard chrząknął. Przyciszonym głosem mruknął:

- Żeby tylko nie zabrały się do odnawiania biblioteki!

- Nawet o tym nie myśl, ojciec - wymamrotał Marcus. - Wiesz, że to wystarczy, by podsunąć im taki pomysł.

Dotarłszy do wyjścia, Thomas zwolnił; w holu przystanął, patrząc za paniami.

Richard i Marcus zatrzymali się odruchowo i odwrócili w jego stronę.

Thomas zgiął lewą nogę i skrzywił się boleśnie.

- Opuściłem Glasgow o świcie i jechałem bez przystanku... chyba się sforsowałem.

Nie wyglądało na to, by któryś z Cynsterów mu uwierzył, ale żaden nic na ten temat nie powiedział.

Uświadamiając sobie, że - jako mężczyźni - prawdopodobnie zrozumieli jego intencje i być może nawet je pochwalali, ciągnął:

- Gdybyście mogli przeprosić w moim imieniu lady Catrionę i Lucillę, udałbym się na spoczynek.

Marcus przechylił głowę, jakby zastanawiał się nad jego prośbą.

Richard powoli zamrugał, po czym wyraził zgodę.

- Rozsądny pomysł. Lepiej zbierać siły, niż trwonić je w salonie. Wy tłumaczmy cię.

Thomasowi więcej nie było trzeba. Odwrócił się i ruszył po schodach na górę.

Lucilla nie bardzo wiedziała, czy rzeczywiście dokucza Thomasowi noga, czy jego odwrót oznacza coś innego.

Tylko co? To było pytanie.

Dowiedziawszy się, że poszedł do siebie, została tylko na herbatę - doczekawszy do niej, by nie wyjść przed rodziną na zbyt niecierpliwą - po czym przeprosiła zebranych i skierowała się do schodów. Właśnie szła szybkim krokiem w stronę pokoju Thomasa, zamierzając wstąpić do niego i spytać o zdrowie, kiedy ogarnęła ją niepewność.

Zatrzymała się i popatrzyła na drzwi.

Co się z nią dzieje?

On poszedł do siebie - by odpocząć - a ona już zaczęła za nim biegać.

Byli zaręczeni, owszem, ale co z tego wynika?

Jeśli doskwiera mu rana, jeśli nadwreżył nogę w trakcie jazdy z Glasgow, powinna zostawić go w spokoju, by doszedł do siebie. Mieli przed sobą całe życie, jeszcze tyle nocy, by się do siebie zbliżyć - nie powinna być tak niecierpliwa, by żądać już tej.

A jeśli to ma być jakiś sprytny wybieg z jego strony?

Nie podejrzewała go o to - jak dotąd nie widziała, by stosował takie sztuczki - ale

przecież nie ukrywał, co sądzi o jej manipulacjach. Może więc sam się do nich uciekł, by sprawdzić, czy potrafi? Czy jeśli odpowiednio pociągnie za sznurki, wywoła jakąś jej reakcję?

Jeśli tak, to także nie powinna do niego iść.

Ale chciała tego, chciała znaleźć się w jego ramionach, by mogli odzyskać to, co ich łączyło; wiedziała, że do tego czasu – co najmniej – nie pozbędzie się tej nowej niepewności, lęku, którego wcześniej nie знаła.

Życie było o wiele łatwiejsze, kiedy czuła się pewnie.

Westchnęła. Była w rozterce. Na moment przymknęła oczy, wciąż czując w sercu, w duszy niepewność, a potem spojrzała przed siebie i zmusiła się, by odejść od drzwi jego pokoju.

Weszła po schodach na wieżyczkę. Z opuszczonym wzrokiem, pochłonięta myślami, weszła do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi, a potem odwróciła się i zrobiła dwa kroki naprzód.

I zauważyła, że lampa pali się niezwykle jasno. Powoli zamrugnęła, podniosła głowę – i ujrzała na łóżku Thomasa.

Rzeczywiście, nie miał już szwów na nodze.

Zachwiała się, niemal potknęła o własne nogi.

Otworzyła szeroko oczy, zaschło jej w ustach.

Leżał na jej poduszkach, eksponując wspaniały tors. Jedną umięśnioną rękę trzymał pod głową; druga zapraszająco spoczywała na pościeli przy jego boku.

Zafascynowana, chłonąc linie jego potężnych ramion i klatki piersiowej, przesunęła wzrok niżej, ku zagłębieniu pośrodku piersi – do którego z takim upodobaniem przytykała usta – i dalej, ku mięśniom brzucha i wąskim biodrom, okrytym prześcieradłem... które, kiedy tak patrzyła, jakby się uniosło.

Drgnęła i spojrzała mu w twarz. Stwierdzając, że jest jej gorąco. To było śmieszne. Ile razy byli już ze sobą blisko? Ale takiego go jeszcze nie widziała – nagiego, odsłoniętego.

Zrozumiała tę deklarację. W ten sposób mówił, że należy do niej, i oto leżał w jej łóżku, prawie niczym niezakryty.

I postarał się, by wszystko widziała; przesunął lampy tak, że otaczały łóżko i rzucały na nie złote światło.

A ona popatrzyła i poczuła zawrót głowy.

Najwyraźniej na nią czekał.

– Ach... – Tak, odebrało jej mowę. Ale co miała powiedzieć... na coś takiego?

On – przeciwnie, nie miał tego problemu.

– Byłem ciekaw, kiedy przyjdiesz. – Spojrzał na nią znacząco, a w jego bursztynowych oczach płonął ogień. Podniósł rękę i skinął delikatnie.

– Chodź do mnie.

Nie było to polecenie, lecz prośba.

Którą spełniła. Uległa instynktowi.

Zbliżyła się do łóżka, uniosła spódnicę i uklękła na brzegu materaca. Podała mu dłoń, a on przyciągnął ją do siebie. Zbliżyła się do niego na kolanach, wciąż wyprostowana. Trzymając go za rękę i patrząc mu w oczy, ujrzała w ich głębi obietnicę – przyszłość.

Tego pragnęła, tego potrzebowała.

Jego. Całego.

Pozbyła się wszelkich ograniczeń i pozwoliła mu się poprowadzić – dała się ponieść sile, która nimi zawładnęła.

Pochyliła się, jedną ręką wsparła na jego dłoni, a drugą ujęła jego twarz i pocałowała go.

Rozchyliła usta, a on na to odpowiedział.

Rozpletli palce; rozłączyli dłonie, ale tylko po to, by położyć je na sobie wzajemnie. By na nowo uczyć się swoich ciał. Poznawać zmysłami rozkosze, które sobie dawali; kosztować i wdychać siebie nawzajem – aż ich serca zaczęły bić w jednym rytmie i wezbrała w nich znajoma niecierpliwość.

W powietrzu czuło się pasję, wręcz namacalną, kiedy zaczęli powoli zdejmować z Lucilli ubrania. Gdy razem w niespiesznym rytmie świadomie i chętnie poddawali się sobie i coraz bardziej ulegali miłości.

Nawet jeśli do tej pory Thomas nie wiedział, czy ją czuje, musiał przyznać, że ma wszystkie jej symptomy.

I to wystarczyło; co pojęła, kiedy się uniosła i – cała w ogniu, płonąć z pożądania – opadła na niego, biorąc go w siebie, wciągając głęboko, otaczając sobą. Wystarczyło aż nadto w przypadku kogoś, kto tak bał się kochać.

Na jego i jej skórze igrało światło lamp, nie pozwalając żadnemu z nich ukryć w cieniu tego, kim teraz byli, ani jacy mogli być razem.

I wspólnie dążyli do tej chwili pierwotnego zespolenia.

Osiągnęli rozkosz i drżąc, rozpadli się na kawałki.

Oboje, dysząc, ledwie łapiąc oddech, odsłoniwszy się do końca, pokonawszy wszystkie dzielące ich bariery, ze splecionymi palcami, sercami bijącymi w jednym rytmie, osiągnęli spełnienie. A wtedy ogarnęła i przepełniła ich miłość, dzięki której w końcu stopili się w jedno.

W końcu Thomas się poruszył. Mógłby tak leżeć do końca świata, ale wciąż płonęły lampy.

Wydając prawie niesłyszalne przeciągłe westchnienie, delikatnie odsunął ją od siebie.

Odruchowo zacisnęła palce, wbijając je w jego ciało, i podniosła głowę.

- Ciii. Chcę tylko zgasić lampy.

Zamrugała wielkimi zielonymi oczami, wciąż jeszcze odurzona aktem miłosnym, potem puściła go i pozwoliła mu wstać z łóżka, ale przewróciwszy się na plecy, przyglądała mu się, kiedy okrążał łóżko i przykręcał płomienie.

Wcześniej nie zasłonił okien; wrócił do niej w blasku księżyca.

W jej miękkie ramiona, które czekały, by znowu wziąć go w objęcia.

Położył się przy niej i na moment zamknął oczy – gdyż nie potrafił sobie wyobrazić, jak jeszcze nie tak dawno mógł od niej odejść.

Od swego cudownego skarbu.

Gdyby wiedział, czym jest prawdziwe oddanie, nie walczyłby tak – ani przez chwilę.

Ułożyła się obok niego, opierając na jego ramieniu rudą głowę, a na sercu rozło-

żoną dłoń. Objął ją delikatnie i przytulił.

Zastanawiał się przez moment, czy to odpowiednia pora, ale uznał, że lepszej nie będzie. Uniósł głowę i pocałował ją we włosy.

- Nasz ślub... - Nie wiedział, jak to wyrazić. W końcu zapytał: - Kiedy twoim zdaniem powinniśmy się pobrać?

Prychnęła i podsunęła pytająco:

- Jutro?

Uśmiechnął się szeroko.

- Chciałbym, ale podejrzewam, że twoi rodzice nie byliby zachwyceni. I muszę wyznać, że ponieważ nie byłem pewny, z jakim spotkam się tu przyjęciem, nie uzyskałem po drodze specjalnego pozwolenia. Jeśli więc nie znasz miejscowego biskupa, który mógłby je nam wydać, chyba będziemy musieli zgodnie ze zwyczajem odczekać trzy tygodnie... - Zmrużył oczy, badawczo patrząc jej w twarz. - Czy może się mylę i tu obowiązują inne procedury?

Westchnęła.

- Chciałabym, aby tak było... i jestem pewna, że gdyby to zależało od Pani, cała ta sprawa byłaby znacznie prostsza... ale cóż. Musimy pobrać się w kościele jak wszyscy inni, bo inaczej ślub będzie nieważny.

Tak przypuszczał.

- Więc kiedy?

- Niedziela jest pojutrze, więc od dziś za cztery niedziele. - Przytuliła się do niego mocniej. - To będzie wszystkim odpowiadało... zjedzie się rodzina. - Podniosła głowę i w mroku spojrzała Thomasowi w oczy. Uniosła kąciki ust. - A ty będziesz miał czas, by się do nas przyzwyczaić. Uchodzimy za specyficzny ród.

Wziął ze swojej piersi jej dłoń, podniósł do ust i ucałował, patrząc Lucilli w oczy.

- Dopóki będę miał cię przy sobie, wytrzymam wszystko.

Uśmiechnęła się w zamyśleniu. Oswobodziła dłoń i przesunęła palcami po jego policzku.

- Wiem, że tak. Jesteśmy razem, tak jak miało być. Wreszcie należysz do mnie, a ja do ciebie. - Wciągnęła powietrze, a potem szepnęła rozmarzonym głosem: - Nigdy już się od siebie nie odwrócimy, niezależnie od trudności, upływu lat. Zawsze będziemy razem i nigdy się nie rozstaniemy.

Te słowa poniosły się w noc.

Otoczył ją ramionami, a ona ułożyła się w jego objęciach i oboje wreszcie poczuli, że znaleźli swoje miejsce.

Tych, których połączyło przeznaczenie, nikt ani nic nie może rozdzielić.

Thomas zamknął oczy. To, co powiedziała Lucilla, zapadło mu głęboko w serce i duszę. Wiedział, że zawsze będzie jej. Że zawsze już będzie tutaj, bo tu było jego miejsce na ziemi - jego przeznaczenie.

17.

Pobrali się przed ołtarzem kamiennego kościółka we wsi Casphairn.

Cynsterowie przybyli tłumie; pewną przeciwwagę stanowili dla nich krewni Thomasa z Glasgow, kilku jego przyjaciół i wszyscy mieszkańcy posiadłości Carricków.

Panna młoda miała na sobie perły i suknię z koronki; pan młody, wysoki i barczysty, był w tradycyjnej czerni. Goście zgadzali się, że stanowili najpiękniejszą parę w okolicy.

Kiedy Thomas i Lucilla przystąpili do wygłaszania przysięgi małżeńskiej, wśród zebranych, którzy wypełnili wszystkie zakątki kościoła, zapadła cisza. Potem, gdy przyszło do pocałunku, zabrzmiały triumfalnie organy i zapanowała powszechna radość.

Wreszcie rozległo się bicie dzwonów i młoda para wyszła za próg, by przyjąć życzenia gości, którzy tymczasem z uśmiechami na twarzach wysypali się na trawnik; Thomas był nieustannie klepany po ramieniu, a Lucilli aż poróżowiały policzki od pocałunków, które składali krewni i przyjaciele, życząc im obojgu pomyślności.

Catriona, stojąc w rogu otwartego ganku kościoła, spojrzała na tłum zebranych i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Szczęśliwa? - Richard zatrzymał się przy niej, również obejmując wzrokiem zgromadzonych.

- Bardzo - przyznała. - Naprawdę nie spodziewałam się tylu gości z Londynu. Przebyli długą drogę.

- Mieliby nie przyjechać na ślub najstarszej wnuczki Heleny? - sarknął. - Jestem zdziwiony, że nie zjawilo się ich więcej, ale pewnie Helena powiedziała, że spodziewana jest tylko rodzina.

- Jednak w przypadku Cynsterów „tylko rodzina” to ile osób? Ponad setka?

Richard otoczył żonę ramieniem.

- Nie liczyłem ostatnio, ale chyba tak. Chodź, matko panny młodej, przywitajmy się z gośćmi.

Catriona zaśmiała się cicho i zesza z mężem na trawnik. Przystanąwszy, by przywitać się z kuzynką Angelicą i jej przystojnym mężem, hrabią ze szkockich gór, zerknęła na Lucillę i Thomasa, którzy, jak zobaczyła, stali w otoczeniu „starszej młodzieży”, jak to określali z Richardem.

Ich przywódcą był Sebastian, markiz Earith; wysoki, niemal kruczowłosey, o jasnozielonych oczach odziedziczonych po ojcu, stanowił centralną postać, nie tylko ze względu na posturę, ale także cechy osobowości. Przy boku miała brata Michaela - co samo w sobie już wiele mówiło. Uwaga grupy skupiała się na stojącym obok niego Christopherze Cynsterze, który coś opowiadał; był urodzonym gawędziarzem, choć Catriona wyczuwała, że za tą maską kryła się znacznie bardziej złożona osobowość. Oczywiście do grupy należał także Marcus, a z płci pięknej, oprócz Lucilli, wspartej na ramieniu Thomasa, jeszcze tylko Prudence, blondynka o kręconych włosach.

sach i niebieskich oczach, pasjonatka koni i jeździectwa.

Jak wiedziała Catriona, Prudence nie myślała o małżeństwie, uważając, że z końmi znacznie łatwiej dojść do ładu niż z mężczyznami.

Biorąc pod uwagę przedstawicieli płci męskiej, z którymi miała do czynienia, trzeba było przyznać, że jej rozumowanie jest uzasadnione. Mężczyźni z rodu Cynsterów i im podobni nie byli skłonni do ustępstw – chyba że ulegali swojej pani.

Czy miłości, jak to zwykle bywało.

Catriona spojrzała na Cynstera przy swoim boku. Byli małżonkami od prawie trzydziestu lat i wciąż namiętnie się kochali. W przypadku takich jak oni miłość była najlepszą płaszczyzną porozumienia – najważniejszym elementem, który scalał małżeństwo.

Kiedy szli przez tłum, Catriona usłyszała śmiech Lucilli. Zerknęła w jej stronę i zobaczyła, że córka patrzy na mężczyznę, którego wzięła do swego łóża – którego, czy był wybrany przez Panią, czy nie, poślubiła, znajdując w tym związku, tak jak on, namiętną miłość.

Mieli dobry fundament; Catriona nie miała wątpliwości, że będą szczęśliwi.

Richard pochylił się ku niej i szepnął jej do ucha:

– Jedna już wydana za męża, pozostały jeszcze cztery.

Catriona się uśmiechnęła.

– Tamte mają jeszcze czas. Dziś jest święto Lucilli i Thomasa.

A jednak... wśród tłumu, pod drugiej stronie trawnika, Catriona zauważyła jasnowłosą młodą kobietę.

Niniver Carrick. Kuzynka Thomasa podarowała młodej parze młodziutką charci-cę; nikt nie wiedział, skąd wzięła to piękne moregowate stworzenie, ponieważ powszechnie sądzono, że psiarnia Carricków została zlikwidowana. Marcus zaś ofiarował Thomasowi i Lucilli młodego charta, z linii, którą hodował. Nie umówili się; był to czysty przypadek.

W świecie Catriony jednak takie przypadki często stanowiły znak.

Thomas i Lucilla, z powodów, które nie bardzo potrafili wyjaśnić, chcieli, by charty były podczas ślubu w kościele. Niniver zaproponowała, że będzie je trzymać. Ponieważ Marcus był jednym ze świadków Thomasa, jej propozycja została przyjęta z wdzięcznością.

Teraz Niniver trzymała szczenięta na smyczach z dala od tłumu, jednak psy przyciągały uwagę gromady dzieci, Cynsterów i nie tylko, które przyjechały na ślub.

Niniver była cichą, skromną pięknoscią. Catriona wątpiła, czy dziewczyna lubi tłumy, a tymczasem stała w otoczeniu licznej czeredy, która zarzucała ją pytaniami.

Marcus chyba też to zauważył. Ruszywszy w tamtym kierunku i stanąwszy obok Niniver, przezornie nie próbował wziąć od niej smyczy, lecz po prostu zaczął odpowiadać na pytania – a dzieci, znające go lub nie, skupiły się na nim, pozwalając jej złapać oddech.

Nawet z tej odległości Catriona dostrzegła ulgę na twarzy dziewczyny i pełne wdzięczności spojrzenie, które rzuciła Marcusowi, nawet jeśli on sam tego nie zauważył.

Catriona przyglądała im się jeszcze przez chwilę, po czym – zadowolona, że na tym froncie też wszystko idzie dobrze – ruszyła dalej.

- A jak szybko potrafią biec? - Stojąca na końcu gromady jedenastoletnia Persephone Cynster skierowała pytanie nie do Marcusa, ale do jasnowłosej bogini przy jego boku. - Szybciej niż koń?

- Przez jakiś czas. - Niniver spojrzała na kędzierzawy łeb szczenięcia, które właśnie głaskała; młode charty się wrywały, chciały pobiegać i poskakać, najlepiej na tych wszystkich miłych ludzi w odświętnych strojach.

- Mogą biec szybciej niż konie, ale na krótkim odcinku - odpowiedział Marcus, zanim Persephone, z niezachwianą pewnością siebie, jaką dawało jej pochodzenie, zdążyła osaczyć Niniver. - Długo jednak tak nie wytrzymają... koń jest w stanie biec znacznie dłużej.

Widział, że dziewczynka - zaintrygowana tym, że to kobieta trzyma psy na smyczy - chciała porozmawiać z Niniver, ta natomiast czuła się przytłoczona; była tu wyłącznie z jego powodu, więc nie mógł pozwolić, by dzieci ją zamęczyły. Patrząc na kilku miejscowych chłopców, którzy przykucnęli jak najbliżej psów, gestem zachęcił ich do pytań - a ci skwapliwie skorzystali z zaproszenia. Większość z nich, jak zauważył, należała do klanu Carricków.

Zważywszy na zainteresowanie, od którego aż błyszcząły im oczy, musiał się zastanowić, skąd Niniver wzięła Eir, charcicę, którą podarowała Thomasowi i Lucilli. Gotów był przysiąc, że suka pochodzi z dawnej linii hodowlanej Carricków, a Thomas wspomniał, że gdzieś na terenie ich posiadłości wciąż trzyma się charty - nie zdziwił się więc, kiedy zobaczył, że Niniver przybyła z niesfornym szczeniciem na rękach.

Thomas musiał wiedzieć albo przynajmniej się domyślać, od kogo miała tego psa; postanowił zagadnąć o to świeżo upieczonego szwagra.

Marcus spojrzał przez tłum na siostrę oraz jej męża i uśmiechnął się szeroko. Zamierzał zapytać Thomasa, ale może nie tego wieczoru.

- Nie - odpowiedział na następne pytanie. - Ich sierść nigdy nie jest prosta i gładka.

A skoro była mowa o gładkości, podziękował niebiosom, że zebrany tłum oraz szerokie ramiona Thomasa zasłaniały go przed wzrokiem Sebastiana, Michaela i Christophera. Gdyby tylko któryś z nich zobaczył Niniver, już by się tu zjawiał, słuchając jej pomocą, ale ponieważ wszyscy stali przed kościołem, nie wiedzieli, że dziewczyna wyszła z niego jako jedna z pierwszych i znalazła dla siebie i psów miejsce na uboczu.

Chociaż miał świadomość, że żaden z kuzynów celowo nie zrobiłby nic takiego, czym mógłby zranić czy skrzywdzić Niniver, żywił przekonanie, że byłoby dla wszystkich najlepiej, gdyby nikt z nich jej nie zauważył.

Nie bardzo wiedział, jak uchronić ją przed tym podczas weselnego śniadania w Wielkiej Sali, ale stwierdził, że później będzie się o to martwił.

Teraz musiał zająć uwagę dzieci i obronić Niniver przed ich natarczywością. Dał znak trzem chłopcom, którzy za bardzo się zbliżyli.

- Cofnijcie się trochę. Nie możemy wystraszyć psów.

Ani Niniver; była bardzo płochliwa. Wyczuł, że jest spięta.

Żałował, że nie może pomóc bardziej, lecz jedyne, co mógł zrobić, to zabawiać dzieci, zdejmując jej z ramion przynajmniej ten ciężar.

Tymczasem w tłumie gości, korzystając z okazji, jaką stworzyła Antonia Rawlings, podchodząc do grupy, Thomas skłonił głowę ku Lucilli i zapytał:

- Czy widziałaś Manachana?

Rozejrzała się wokoło.

- Nie. A go wypatrywałam.

Podobnie jak on. Po ogłoszeniu swych zaręczyn oboje chcieli odwiedzić Manachana, by się upewnić, czy dalej dochodzi do zdrowia, a także dowiedzieć się od niego, czy poczynił postępy w zdemaskowaniu winnego tajemniczych wypadków na terenie posiadłości, ale dzień po pierwszych zapowiedziach w kościele Manachan napisał do nich list, gratulując im serdecznie i prosząc, by na razie nie przyjeżdżali.

Wyjaśnił, że wśród członków klanu panują napięte stosunki i byłby wdzięczny, gdyby przez jakiś czas oboje trzymali się z daleka.

Oczywiście postąpili według jego życzenia. Trochę się uspokoili, kiedy przyjął zaproszenie na ślub, w imieniu klanu, rodziny i swoim, zapowiadając, że wszyscy będą obecni.

Nie zjawił się jednak, by zająć zarezerwowane dla niego miejsce w pierwszej ławie. Zarówno Thomas, jak i Lucilla zauważyli, że go tam nie ma, ale też nie dostrzeżli nikogo z rodu Carricków, oprócz Niniver, która miał pełne ręce roboty.

- Nie wyobrażam sobie - orzekła Lucilla - by nie przyjechał po tym, co napisał. Może nie czuł się na tyle dobrze, by zagłębić się w tłum, i został gdzieś z boku.

Thomas zgodził się z nią. Jeśli Manachan trzymał się na uboczu, to Nigel, Nolan i Norris musieliby pójść jego śladem. Zadzierając głowę, zlustrował gości.

- Może powinniśmy pokrażyć wśród nich i sprawdzić, czy nie ma go gdzieś na obrzeżach.

Lucilla ścisnęła jego ramię.

- Tak by wypadało.

Zwracając się do kuzynów oraz Antonii, przeprosiła ich i oboje z Thomasem zagłębili się w tłum.

Teren kościoła był otoczony kamiennym murem, przez co wśród gości panował tłok. Dzień był piękny, jeśli nawet chłodny, i nikomu się nie spieszyło, by wsiąść z powrotem do powozu. Dla wszystkich obecnych ślub stanowił okazję, by dowiedzieć się, co słyhać u rodziny i znajomych; każdy był zadowolony, że może odetchnąć świeżym powietrzem i pogawędzić.

Z kościoła wyniesiono kilka krzeseł, które porozstawiano tu i tam. Na jednym z nich siedziała Helena, matka obecnego księcia St. Ives - wiekowa i słaba, ale z tak dobrym wzrokiem, że nic nie uszło jej uwagi - która dyrygowała małym kręgiem przybocznych; Lucilla i Thomas już złożyli jej wyrazy szacunku, więc teraz nie zatrzymali się przy niej, lecz szli dalej.

Wreszcie znaleźli Manachana; stał na rogu trawnika, wsparty na dwóch laskach, z kamiennym murem za plecami.

Kapelusz miał nasunięty na twarz, a wokół szyi szalik, który sięgał mu prawie do nosa.

Kiedy Lucilla i Thomas zbliżyli się do niego, schylił głowę najniżej, jak mógł.

- Gratuluję wam obojgu. - Wyprostował się i spojrzał Thomasowi w twarz przenikliwymi oczami, ledwie widocznymi w cieniu ronda. - Jestem z ciebie bardzo dumny,

chłopcze. Twoi rodzice byliby uszczęśliwieni. – Wokół jego oczu pojawiła się sieć zmarszczek. – Mówiłem ci, byś nauczył się słuchać głosu serca, a nie tylko rozumu.

– Tak, rzeczywiście. – Thomas skłonił głowę; chociaż stryj był opatulony od stóp do głów i widać było tylko niewielką część jego twarzy, nie ulegało wątpliwości, że nie odzyskał zdrowia. Zapytał przyciszonym głosem: – Jak się czujesz, stryju?

Jak zwykle przy boku Manachana stał wiernie Edgar. Thomas, mówiąc to, zerknął na służącego – i poczuł się jeszcze bardziej zaniepokojony martwym wyrazem jego twarzy. Zamiast spojrzeć mu w oczy, Edgar patrzył przed siebie.

Manachan lekceważąco machnął ręką.

– Nie najgorzej... na tyle dobrze, by przybyć na twój ślub.

Lucilla przyjrzała mu się, mrużąc oczy.

– To znaczy, że nie czuje się pan tak dobrze, jak powinien. – Podeszłaby bliżej i zajrzała mu w oczy, ale odgrodził się od niej jedną z lasek.

– Nie martwcie się o mnie. Jak powiedziałem mojej drogiej rodzinie... – Wskazał laską Nigela i Nolana, którzy zobaczywszy, że Manachan rozmawia z Lucillą i Thomasem, odłączyli się od innych gości i właśnie podchodzili. – Nie będę złą wróżką na waszym ślubie.

Nigel zatrzymał się przy Thomasie, patrząc na ojca.

– Próbowaliśmy go przekonać, że zważywszy na stan jego zdrowia, nie miałbyś mu za złe, gdyby nie przyjechał, ale nie chciał słuchać.

– Wciąż jestem głową klanu, chłopcze – warknął starszy pan. – Nie zapominaj o dobrych manierach... Złożyłeś Thomasowi i Lucilli życzenia pomyślności?

Nigel zaciął usta; zwracając się do Thomasa, wyciągnął rękę.

– Gratulacje, kuzynie.

Za jego przykładem poszedł Nolan; puszcżając dłoń kuzyna, skłonił się jego żonie.

– Panno... – Urwał, by się poprawić. – Pani Carrick. – Uniósł brwi i zerknął na Thomasa. – Zdaje się, że teraz należy pani do naszego klanu.

Lucilla się uśmiechnęła.

– Owszem. A moja nowa pozycja daje mi jeszcze większe prawo, by zająć się głową klanu, nieprawdaż? – Przeniosła spojrzenie swych zielonych oczu na Manachana.

Ten podniósł dłoń w geście kapitulacji.

– Jutro. Może pani... możecie oboje... przyjechać do mnie jutro po południu. A teraz proszę, obiecajcie mi, że będziecie się cieszyć tym dniem... to dzień waszego ślubu i jeśli Bóg i Pani pozwolą, drugiego takiego mieć nie będziecie.

Chociaż był słaby i najwyraźniej czymś przytłoczony, wciąż miał władcze spojrzenie; Thomas to odczuł, kiedy spoczęło na nim i Lucilli, domagając się posłuszeństwa.

Wzdychając cicho, pochylił głowę.

– A więc do jutra. Przyjedziemy.

Manachan chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zabrakło mu tchu. Zgiął się w pół i zaczął oddychać chrapliwie – lecz kiedy Thomas z Lucillą zbliżyli się, by mu pomóc, odpędził ich. – Nie... idźcie sobie. Macie jeszcze innych gości, którymi powinniście się zająć. – Udało mu się odetchnąć głębiej. Prostując się, ciągnął: – Teraz, gdy już się z wami zobaczyłem i złożyłem wam życzenia, mogę wrócić do domu. – Spojrzał na Lucillę. – Niech pani przekaże rodzicom wyrazy uszanowania i przepro-

si ich, że nie zostałem dłużej, by z nimi porozmawiać.

- Oczywiście. - Lucilla rzuciła Thomasowi pytające spojrzenie.

Zrozumiał, o co jej chodzi, ale Manachan wyraźnie sobie nie życzył, by robili zamęt wokół jego osoby.

Duma. Znał to uczucie. A ponieważ stryj wydawał się jeszcze słabszy niż wcześniej i zawrócił ku bramie ciężko wsparty na ramieniu Edgara, być może należało uszanować jego wolę.

Biorąc Lucillę za rękę, zatrzymał ją przy sobie.

- Do jutra. - Starszy pan lekko skłonił głowę i bardzo powoli ruszył w stronę bramy.

Thomas widział, że dalej, w alejce, stoi powóz stryja. Z tyłu były do niego przywiązane dwa piękne konie pod siodło.

Patrząc za Manachanem, Nigel zatrzymał się jeszcze przy Thomasie.

- Pojedziemy za nim. - Odwrócił się i spojrzał na Norrisa.

Thomas podążył za jego wzrokiem.

Najmłodszy z braci zatrzymał się z boku, na obrzeżach tłumu. Skinął głową Thomasowi i Lucilli, mamrocząc gratulacje.

- Lepiej odszukaj Niniver - rzucił do niego Nigel. - Oboje pojedziecie powozem, razem z ojcem.

Norris zachował kamienną twarz, ale lekko kiwnął głową.

- Pójdę po nią. - Pożegnał się z Thomasem i Lucillą, po czym odwrócił się i zagłębił w tłum.

Lucilla zerknęła na Thomasa, wyraźnie chcąc pójść za Norrisem, by porozmawiać z Niniver, jedyną osobą, która mogła coś im powiedzieć na temat stanu zdrowia Manachana.

Thomas skinął głową; ujął jej dłoń i pożegnał się krótko z Nigelem oraz Nolanem.

Oboje z Lucillą wkroczyli między gości, podążając za Norrisem - jednakże wielu z przybyłych nie miało jeszcze okazji z nimi porozmawiać i złożyć im życzeń. Posuwali się więc powoli. Kiedy zaszli już na tyle daleko, że Thomas mógł dosięgnąć wzrokiem miejsce, gdzie wcześniej stała Niniver, już jej tam nie zobaczył. Westchnął.

- Za późno. Odjechała.

Lucilla spojrzała mu w twarz. Nie ukrywał swego niepokoju o Manachana; wyczytała to z jego wzroku i w jej oczach pojawił się taki sam lęk. Zbliżywszy się, uścisnęła jego ramię.

- Myślę, że to jedna z tych okazji, kiedy trzeba się pogodzić ze stanem rzeczy. Co ma być, to będzie.

Pochylił głowę i musnął ustami skroń żony.

- Naprawdę chciał, byśmy cieszyli się tym dniem.

- Rzeczywiście. - Wyprostowała się. - To jedno możemy dla niego zrobić... spełnić jego życzenie. - Kładąc mu dłoń na ramieniu, skierowała go ku następnej grupie gości, którzy chcieli zamienić z nimi kilka słów. - Poproszę rodziców, by pojechali z nami.

Thomas uznał, że to doskonały pomysł.

Odkładając zmartwienia na jutro, spełnili razem ze świeżo poślubioną małżonką

prośbę stryja, ciesząc się tym dniem na wszelkie możliwe sposoby.

Weselne śniadanie było huczne i gwarne. Jego porządek wyznaczały przemówienia, liczne i w odmiennym tonie, poważne i żartobliwe; wygłaszały je różne osoby, począwszy od Heleny, matki księcia St. Ives, po Christophera Cynstera.

Głos zabrali nawet Quentin, Winifred i Humphrey, a także kilku przyjaciół Thomasa, jeszcze z czasów szkolnych.

Zabawa trwała od dwunastej do późnego popołudnia.

Później, pomachawszy na pożegnanie tym wszystkim, którzy wracali do domu, ci, którzy pozostali, przynajmniej do następnego dnia, rozeszli się do salonu, biblioteki, Wielkiej Sali, dużego pokoju do nauki albo pracowni Cartera na poddaszu, zależnie od wieku, płci i upodobań.

Thomas i Lucilla wylądowali na kanapie w głębi biblioteki, w towarzystwie młodych Cynsterów, a także Antonii Rawlings, która zajęła małą dwuosobową sofę naprzeciwko młodej pary. Sebastian rozparł się w jednym fotelu, Marcus w drugim, Prudence zaś spoczęła na drugim końcu kanapy. Michael i Christopher rozciągnęli się na podłodze pomiędzy fotelami a kanapą.

- Więc - mruknął Sebastian, obejmując wzrokiem zebranych - kto będzie następny?

Michael odparł z zamkniętymi oczami:

- Na pewno nie ty.

Wszyscy się zaśmiali, ale nikt nic więcej nie powiedział.

Antonia spytała, czy Thomas i Lucilla zamierzają tego roku pojechać na południe, i rozmowa potoczyła się dalej.

Thomas słuchał i uczył się. Nie miał dotąd tak licznej rodziny jak Cynsterowie, lecz w krótkim czasie nawiązawszy porozumienie z Marcusem, równie szybko odnalazł się w tym gronie - osób najbliższych Lucilli, jej kręgu w obrębie rodziny.

I choć rodzina przypominała klan, choć istniały pewne podobieństwa, nieco się od niego różniła. W końcu doszedł do wniosku, że klan jest bardziej zhierarchizowany, z władzą skupioną w rękach przywódcy, podczas gdy Cynsterowie stanowili grupę indywidualności, połączonych więzami krwi i wspólnego dziedzictwa, ale odrębnych i posiadających różne umiejętności - dzięki czemu przeważali pod względem siły zwykły klan.

A w każdym razie współdziałali ze sobą i troszczyli się o siebie nawzajem bardziej niż członkowie klanu.

Na dowód tego parę godzin później Marcus, Prudence i Antonia tak zaaranżowali sytuację, by Thomas i Lucilla, unikając niechybnych przekomarzań, mogli dyskretnie udać się do siebie.

Chwytną Thomasa za rękę, Lucilla ze śmiechem wbiegła po schodach na wieżyczkę. Wciągnęła go do ich wspólnego pokoju i zamknęła za sobą drzwi, które następnie zarygłowała.

Thomas, śmiejąc się także, oparł się o nie plecami. Wskazał głową rygiel.

- Czy to naprawdę konieczne?

- O tak. - Miała zarumienioną twarz i błyszczące oczy. - Nie znasz moich kuzynów. Już Sebastian, Michael i Christopher to nicponie, choć przypuszczam, że może

ich hamować instynkt samozachowawczy, ale najmłodszy? – Pokręciła głową, uśmiechając się z czułością. – Wierz mi... rankiem, wychodząc z pokoju, będziemy musieli wykazać wielką czujność.

Przyjrzał się jej – błyszczącym szmaragdowym oczom, promiennej ze szczęścia cerze, pięknym bujnym włosom. Przebrała się wcześniej, zdjęła delikatną suknię ślubną i włożyła prostą, o suto marszczoną spódnicę, ale to niewiele zmieniało; zważywszy na budzące się w nim uczucia, wątpił, by zdołał oszczędzić koronki.

Ona także mu się przyjrzała.

Lucilla napawała się nowym stanem rzeczy – tym, że miała męża. O jego sile jak zwykle świadczyły wyraźnie ramiona i tors, mięśnie ramion i ud. Przesunęła po nim spojrzenie, zwracając uwagę na gęste włosy, które w dotyku przypominały jedwab, oraz na wiele mówiące wybrzuszenie spodni. W powietrzu zaiskrzyła namiętność.

Lucilla podniosła wzrok do jego twarzy, zauważyła ogień palący się w bursztynowych oczach.

Opuścił powieki; patrzył na nią jak lew, obserwujący swój przyszły posiłek.

Wezbrał w nich chichot.

Wybuchnęła śmiechem, odwróciła się i zebrawszy spódnicę, pobiegła do łóżka.

Została jednak złapana, zanim dotarła na miejsce.

Wziął ją w ramiona i razem z nią padł na łóżko.

Na jedwabną miękką narzutę, w której się zagłębili.

Rzucili się na siebie, pieszcząc się i całując. Ubrania poleciały w powietrze, a oni zwarli się w miłosnym tańcu.

Przepelnieni pożądaniem, pragnieniami, nadziejami i marzeniami na przyszłość.

Wszystko wokół nich zawirowało.

I tamtej nocy zdobyli wszystko – dawali, brali i wymieniali się.

Do samego końca, po ostatnie tchnienie rozkoszy.

– Kocham cię.

– Nigdy mnie nie zostawiaj.

– Jesteś moja, a ja jestem twój.

– Będę twoja, aż do śmierci.

Te słowa padały z ich ust – jej i jego – wydychane z pełną świadomością i dobrą wolą. Z szacunkiem i oddaniem, za którymi nic nie mogło się skryć. Bo nic już przed sobą nie kryli; jedno nie mogło zasłonić swego serca przez wzrokiem drugiego.

Byli jednością, która zapadła im w dusze.

Tego nie można im było odebrać.

Nic ich już nie mogło rozdzielić.

Zaspokojeni i usatysfakcjonowani, wreszcie spokojni i ukojeni ponad wszelkie pojęcie, padli sobie nawzajem w ramiona i odpłynęli w przyszłość.

Lucilla obudziła się przed świtem i zrozumiała, co ma zrobić. Obróciła się w łóżku i wsparta na łokciu, pochyliła się nad Thomasem. Wciąż spał, i to głęboko, a jego ciężkie ciało było bardziej odprężone niż kiedykolwiek do tej pory.

Ujęła w dłonie jego twarz i obudziła go pocałunkiem.

A potem zabrała w długą niespieszną podróż, którą mieli odbywać regularnie. Ciesząc się tymi słodkimi chwilami, które należały wyłącznie do nich, pławiąc się

w rozkoszach swej miłości.

Nie musiała słyszeć z jego ust żadnych wyznań; były nimi przepełnione jego serce, umysł, dusza i miała pewność, że nic ich nie osłabi ani nie stłumi.

Później, nadzwyczaj zadowolona z takiego początku dnia, wsparła się na jego piersi i słuchała bicia serca.

Kiedy nieco się uspokoiło, zadarła głowę i spojrzała mu w oczy.

Czując, że się poruszyła, uniósł powieki. Spojrzał na nią spod rzęs.

- Co takiego?

- Powinam... muszę... pojechać do świętego gaju.

- By się pomodlić?

Kiedy potwierdziła, lekko potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się resztek snu.

- Czy to nie dziwne, że przemawia do mnie tak szalony pomysł?

Cudownie ją rozśmieszał - przeważnie w najbardziej zaskakujących chwilach. Poważniejąc, spojrzała mu w oczy.

- Należy do tradycji, że dziedziczka Vale... w moim przypadku przyszła... w gaju przedstawia Pani swego towarzysza. Jest także tradycją... której mój ojciec przestrzega po dziś dzień... że gdy ona się modli, on nad nią czuwa. - Miała nadzieję, że Thomas będzie robił to samo, ale nie była pewna. - Pojedziesz ze mną?

- Oczywiście. - Usiadł na łóżku, podtrzymując ją. - Mam czuwać nad tobą jak Marcus tamtego dnia, kiedy przyjechałem cię prosić, byś pomogła Bradshawom?

Wstając z łóżka, skinęła głową.

- Właśnie. Nie chodzi o bezpieczeństwo... to raczej symboliczny gest.

Kiedy podchodziła do umywalni, Thomas objął wzrokiem jej nagą gibką postać. Do diabła z symboliką. Była jak najbardziej rzeczywista, a on zawsze chciał ją chronić. Odrzucił kołdrę i wstał.

- A więc jedziemy.

Tak zrobili. O zaraniu wiosennego chłodnego poranka pocwałowali przez pola - pola, na które spoglądał już okiem pana. Wiedział, że od tej pory będzie razem z Richardem zarządzał Vale.

Dotarłszy do świętego gaju, zsiadli z koni i zostawili jej w tym samym miejscu, w którym kiedyś znalazł jej karą kłacz i wierzchowca Marcusa. Miał wrażenie, że było to dawno temu - tyle się od tamtej pory zdarzyło - choć w rzeczywistości od czasu, kiedy szedł krętą ścieżką w głąb gaju, upłynęło zaledwie sześć tygodni.

Tym razem czuł się zupełnie inaczej.

Sądził, że nie wierzy, ale gdzieś, w jakimś ciemnym zakamarku duszy, musiał wierzyć, bo teraz dzięki Lucilli, dzięki uroczystym słowom, które wypowiedziała, poczuł otaczającą go moc.

Pradawną moc.

I wtedy już musiał uwierzyć.

Zamknawszy oczy, zachwiał się lekko, gdy ta moc go spowiła, a potem przeniknęła do jego duszy, stanowiąc kotwicę.

Kiedy prezentacja się zakończyła, Lucilla zaprowadziła go do kamienia na początku ścieżki. Kiedy na nim usiadł, wróciła w głąb gaju, by dokończyć modłów.

Siedząc na kamieniu, ogarnął wzrokiem rozciągające się przed nim ziemie i oddał

się rozmyślaniom. Uległ urokowi tego miejsca i jego mieszkańców, swojej rodziny i klanu.

Tu była ich przyszłość, jego i jej; mieli prowadzić tych ludzi, chronić ich i opiekować się nimi.

Tu było jego miejsce na ziemi, przy jej boku.

Wreszcie znalazł swój dom i misję. Życie, które miało dać mu spełnienie.

Odetchnął głęboko. Zamknąwszy oczy, zatrzymał powietrze w płucach i podziękował – przeznaczeniu, Bogu, Pani – za to wszystko, co odnalazł, co oferowało mu życie.

Za to, czego zamierzał się trzymać do końca swych dni.

Epilog

Po wesołym i gwarnym śniadaniu, przerywanym licznymi wybuchami śmiechu, większość pozostałych gości wyjechała.

Lucilla stała na ganku i trzymając za rękę Thomasa, machała im na pożegnanie.

- Cieszę się, że wszyscy przyjechali, ale muszę przyznać, że jestem rada, mogąc ich pożegnać. - Spojrzała na niego i zobaczywszy, że pytająco uniośł brwi, uśmiechnęła się łobuzersko. - Chciałabym już zacząć życie małżeńskie.

Parsknął śmiechem i pochylił się, by pocałować ją lekko, a potem splatając z nią palce, dał się jej zaprowadzić z powrotem do domu.

Kiedy weszli za próg, rozległ się gong wzywający na obiad, więc skierowali się do Wielkiej Sali. Podsunąwszy Lucilli krzesło, a następnie zajmąwszy swoje miejsce obok niej, Thomas rozejrzał się wokół, spoglądając na wchodzących i na tych, którzy siedzieli już przy stołach. Nie wszyscy przyszli na obiad; mimo to z zadowoleniem stwierdził, że zna już imiona i zajęcia większości z obecnych.

- Chciałem cię zapytać - zaczął Marcus, który właśnie usiadł po drugiej stronie Lucilli - skąd Niniver wzięła Eir? Bo przecież suczka nie pochodzi z psiarni, którą zlikwidowano... jest zbyt młoda. Kto teraz prowadzi hodowlę... bez wiedzy Nigela, jak rozumiem?

Thomas przełknął esencjonalny rosół z kurczaka.

- Nie wiem. Trzymają pozostałe psy w starym gospodarstwie Egana.

Marcus podniósł do ust łyżkę z zupą, ale zatrzymał się w połowie drogi. Ściągnął brwi.

- Czy to możliwe, że zajmuje się nimi sama Niniver? Świetnie zna się na psach i doskonale radziła sobie ze szczeniętami.

- Wątpię, by robiła to samodzielnie, ale niewątpliwie komuś pomaga. - Thomas spojrzał w talerz. - I może kieruje hodowlą. Wydaje mi się, że zachowali jej połowę, i to lepszą. Ale nie mów o tym nikomu. Myślę, że Nigel widział w kościele Eir, ale może nie wie, że to prezent od Niniver, a jeśli nawet wie, to raczej się nie domyśli, skąd wzięła szczenię.

Marcus rozglądał się po sali, ale skinął głową.

- Będę milczał jak grób. - Zamieszał zupę, po czym dodał: - Nigel głupio zrobił, sprzedając psiarnię... Szczenięta zawsze przynosiły posiadłości niezły dochód. Nikt nie rozumie, czym się kierował.

- Ja na pewno. - Thomas mimowolnie zacisnął szczęki.

Lucilla położyła mu dłoń na ramieniu. Pochyliwszy się, pochwyciła wzrok matki i wyjaśniła, że wszyscy martwią się o zdrowie Manachana, a w związku z tym mają obawy, że problemy nękające posiadłość Carricków być może nie zostaną rozwiązane.

Thomas spojrzał na Richarda.

- Jak wiadomo, Manachan nie chciał, byśmy przyjechali przed ślubem do Carrick Manor, a kiedy wczoraj z nim rozmawialiśmy, prosił, byśmy nie psuli sobie radości...

- Ale zgodził się na odwiedziny dziś po południu. - Lucilla spojrzała na matkę,

a potem popatrzyła na ojca. – Pomyśleliśmy, że może dobrze by było, gdybyście pojechali z nami. – Znowu przeniosła wzrok na Catrionę. – Oboje.

Richard się zastanowił, a potem wymienił spojrzenie z żoną i skinął głową.

– To bardzo dobry pomysł. – Urwał, a potem podjął: – Ostatniego roku w posiadłości Carricków zaszło wiele dziwnych zmian i choć nikt z nas, sąsiadów, nie chciałby się wtrącać... – Zaśmiał się, nie kończąc. – Wprawdzie Manachan by nam na to nie pozwolił, ale pewne rzeczy dają do myślenia.

– Co znaczy, że wasz plan jest rozsądny. Wyruszymy w drogę zaraz po obiedzie.

Zamiast wziąć powóz, pojechali konno, choć bitą drogą. Lucilla i Catriona miały w sakwach zioła i wywary; Thomas wyczuł buteleczki, przywiązując sakwę żony do jej siodła.

Marcus też chciał się z nimi wybrać, ale uznali, że gdyby ich grupa była zbyt liczna, mogłoby to wyglądać na najazd. Manachan słyszał z tego, że obrażał się z równie drobnych powodów, biorąc je za afront.

Jechali więc długim podjazdem do Carrick Manor we czworo, Thomas i Lucilla na czele, Catriona i Richard tuż za nimi.

Pokonali ostatni zakręt i na końcu zwirowej drogi ujrzeli dwór. Na szczycie schodów siedziała drobna postać. Zbliżywszy się, rozpoznali po jasnych włosach Niniver. Miała opuszczone ramiona; wyglądała na przybitą i zaniepokojoną. Mięła w dłoniach chusteczkę.

Kiedy zatrzymali konie i zsiadli z nich przestraszeni, uniosła ku nim zapłakaną twarz z podpuchniętymi zaczerwienionymi oczami.

– Och! – Catriona przykucnęła obok niej i otoczyła ją ramieniem. – Co się stało?

Wspierając się na niej, dziewczyna przełknęła łzy.

– Nie żyje... ojciec nie żyje. Nie obudził się dziś rano. W końcu Edgar... jego słuchający... zorientował się, że... – Zaszlochała. – Uparł się, że pojedzie na ślub... wszyscy mu to odradzaliśmy, ale nie chciał zostać w domu... a teraz nie żyje. – Złapała powietrze. – A Nigel zniknął.

Opuściła głowę, ocierając policzki wilgotną chusteczką.

Thomas zaciął usta. On i Richard spojrzeli na siebie znacząco. Catriona dała im znak, by weszli do domu; zostawiwszy ją przy Niniver, weszli po stopniach do środka. Lucilla po chwili namysłu ruszyła za nimi.

Przystanąwszy w holu, Thomas się rozejrzał, ale nikogo nie zobaczył – ani lokaja, ani Fergusona. Jednakże z pomieszczeń dla służby dochodził zgiełk głosów.

Thomas zawołał więc:

– Ferguson!

Po chwili w korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Pojawił się kamerdyner. Spojrzawszy na Thomasa, Richarda i Lucillę, wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Panie Thomasie! Dzięki Bogu, że pan przyjechał... jaśnie pan nie żyje, pan Nigel zniknął, pan Nolan nie chce posłać po doktora, pan Norris nie nadaje się do niczego, a panna Niniver jest w rozpacz... i nikt z nas nie wie, co robić.

Za Fergusonem nadciągnęli pozostali; w holu za kamerdynerem tłoczyli się Sean, Mitch, Fred, pani Kennedy, Gwen oraz kilka pokojówek i lokajów. Wszyscy wyglądali na wstrząśniętych, a nawet zagniewanych.

Sean wyjaśnił przyczynę ich gniewu.

- Pan Nigel wyjechał i nie wiadomo, gdzie jest, a powinien tu być. Jaki z niego pożytek?

Inni potwierdzili pomrukami.

Thomas przyznał im rację.

- A gdzie Nolan? - spytał.

- Siedzi przy zwłokach ojca w jego pokoju - wyjaśnił Sean. - Razem z Edgarem.

Thomas pokiwał głową.

- Zaraz tam pójdziemy. - Następnie zwrócił się do Fergusona: - Lady Cynster została na schodach z Niniver, zapytaj, czy nie chciałyby się przenieść do salonu, i podaj im herbatę. Na pewno dobrze im zrobi.

- Tak, oczywiście, proszę pana. - Pani Kennedy wystąpiła do przodu. - Chodź. - Pociągnęła Fergusona za rękaw. - Musimy jakoś pocieszyć panienkę Niniver... tylko ona płacze po ojcu.

Thomas wymienił spojrzenie z Lucillą, kiedy ramię przy ramieniu skierowali się w stronę schodów. Richard ruszył za nimi.

Dotarli do pokoju Manachana. Drzwi były otwarte. Pchnąwszy je cicho, Thomas pierwszy wkroczył do środka i zatrzymał się tuż za progiem sypialni. Stryj leżał na plecach, z dłońmi złożonymi na piersi. Jego twarz ocieniał baldachim wieńczący szczyt wielkiego łóżka; można by pomyśleć, że starszy pan po prostu śpi.

Przy łóżku siedział Nolan, trzymając ojca za rękaw; pochyloną głowę wsparł na wyciągniętej ręce. Po drugiej stronie łóżka stał Edgar, niemal w kącie. Twarz miał szarą jak popiół, a na niej wyraz rozpacz. Służył Manachanowi od bardzo dawna.

Thomas skinął mu głową i wszedł dalej do sypialni.

Słyszając szelest sukni Lucilli, Nolan podniósł wzrok. Spojrzał na nich nieprzytomnie, jakby właśnie się obudził, zamrugał i głęboko wciągnął powietrze. Zawsze blade, wyglądał na zmęczonego, wręcz wycieńczonego. Prostując się powoli, wskazał na ojca.

- Umarł, jak widzicie.

Do Thomasa wreszcie dotarła prawda - że stryj naprawdę nie żyje - i poczuł na sercu ogromny ciężar, ale Lucilla ujęła go za rękę i lekko uściśniła, a wtedy zrobiło mu się lżej. Smutek pozostał, ale ściskanie w piersi nieco ustąpiło. Odpowiedział nieznacznym uściskiem.

- Trzeba wezwać doktora.

Nolan prychnął.

- Po co? - Zgarbił się i zapatrzył w ciało ojca. - On nie żyje i żaden medyk nie przywróci mu życia.

- Wszystko jedno - odezwał się Richard. - Prawo stanowi, że w razie śmierci właściciela ziemskiego należy wezwać lekarza, by wydał akt zgonu.

Nolan zachmurzył się jeszcze bardziej; z uporem pokręcił głową.

- Nie dopuszczę do niego żadnego łapiducha. - Spojrzał na Thomasa i Lucillę. - Wiecie, jaki miał stosunek do lekarzy.

- To, czego on sam by sobie życzył, nie ma nic do rzeczy - odparł spokojnie Richard. - Prawo obowiązuje wszystkich, nawet starego Carricka.

Nolan osunął się na krzesło. Założył ręce na piersi i patrzył ponuro na zwłoki Ma-

nachana. Podniósłszy dłoń, zaczął obgryzać paznokiec kciuka; nie spojrział już na Thomasa, Richarda ani Lucillę.

Thomas przeniósł wzrok na Edgara.

Ten drgnął i zerknął szybko na Nolana.

- Powiem Seanowi, by posłał jednego ze stajennych po doktora.

Thomas skinął głową.

- Dziękuję.

Kiedy służący wyszedł, zamknął za nim drzwi i ponownie zwrócił się do Nolana:

- Gdzie jest Nigel?

Lucilla puściła jego rękę; spokojnie obeszła łóżko, zmierzając do stolika u jego szczytu, gdzie stała butelka z lekiem.

- Kiedy ostatnio widział pan Nigela? - spytał Richard.

Patrząc na obgryzany paznokiec, Nolan odparł bezbarwnym tonem:

- Wczoraj. Po ślubie ruszyliśmy konno do domu zaraz za ojcem, ale nie trzymaliśmy się traktu... - Zmienił pozycję na krześle, lekko się prostując. - Nigel zatrzymał się w połowie drogi przez pola. Powiedział, że chce się jeszcze przejechać. Przypomniałem mu, w jakim stanie jest ojciec, ale nie zamierzał słuchać, odparł, że jeśli chcę, mogę wracać do domu. A potem odjechał. Dostał tych swoich humorów. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli go zostawię i wrócę sam, i tak też zrobiłem.

- Od tego czasu się nie pokazał? - spytał Richard.

Nolan odparł posępnie:

- Nie mam pojęcia... nie wiem jak inni, ale ja go nie widziałem. Nie przyszedł na śniadanie i nie można go nigdzie znaleźć. W stajni, jak mówi Sean, nie ma jego konia.

Thomas przestąpił z nogi na nogę.

- Jak się czuł Manachan po przyjeździe do domu?

Nolan wzruszył ramionami.

- Tak samo jak ostatnio. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał niechętnie: - Tracił siły z każdym dniem. - Wskazał na drzwi. - Edgar i inni mogą potwierdzić.

Tymczasem Lucilla, na wpół zasłonięta baldachimem, oglądała butelkę z lekiem, który przepisała Manachanowi kilka tygodni wcześniej. Skosztowała kroplę. Lek smakował tak, jak powinien. Manachanowi nie pogorszyło się z winy Alice. Odstawiwszy butelkę, odwróciła się ze zmarszczonym czołem - i spojrzała na twarz zmarłego.

Przez chwilę nie docierało do niej to, co widzi, co rejestrował jej wzrok. Ale potem dotarło i znieruchomiała.

Oczy jej się rozszerzyły. Szybko ogarnęła spojrzeniem wszystko, co mogła zobaczyć, po czym przełknęła ślinę i powiedziała cicho:

- Powinniśmy pójść po mamę... ona będzie wiedziała na pewno. Sądzę jednak, że powinniśmy wezwać sędziego pokoju. - Nabrawszy powietrza, odwróciła się i spojrzała na Thomasa: - Wydaje mi się, że twój stryj został otruty.

Wszyscy zebrani zastygli w bezruchu, Thomas przeklął pod nosem i zaczął szukać sznura z dzwonkiem.

Richard położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie trudź się, pójdę po nią.

Dziesięć minut później Catriona i Lucilla, każda oddzielnie, zakończyły szczegółowe oględziny zwłok. Catriona z powrotem nakryła Manachana prześcieradłem, wyprostowała się i spojrzała na trójkę jego dzieci, które zebrały się przy łóżku.

- Muszę powiedzieć z żalem, że Lucilla się nie myli. Waszego ojca otruto. - Przeniosła wzrok na Thomasa i Richarda, którzy stali nieco dalej. - Myślę, że arszenikiem.

Nolan ściągnął brwi.

- Ale nie ma pani pewności, nieprawdaż?

- Nie, nie mam. - Catriona zbliżyła się do nich, gestem poprosiła, by wyszli. - Ale sędzia pokoju może zlecić dalsze badania i wtedy wszystko wyjdzie na jaw. Proponuję, byśmy udali się na dół i poczekał na sir Godfreya, który przyjedzie z lekarzem.

Jak zwykle przeprowadziła swoje. Nolan, Niniver i Norris sprawiali wrażenie oszołomionych. Usiedli w salonie i patrzyli albo na swoje dłonie, albo w przestrzeń. Reszta domowników była w podobnym stanie.

Thomas wiedział, jak muszą się czuć.

Lucilla usadowiła się obok niego na kanapie, jedną ręką ściskając jego dłoń, a drugą uspokajająco gładząc go po plecach. Pochyliwszy się ku niemu, mruknęła:

- Jeśli ktoś... choćby Nigel... zamierzał otruć Manachana, ty i ja nie mogliśmy temu zapobiec.

Skinął głową; wiedział, że Lucilla ma rację, ale mimo to czuł się winny. Wciąż się zastanawiał...

Z upływem kolejnych minut, mimo przygnębienia, przejaśniło mu się w głowie na tyle, by zrodziły się w nim pewne pytania. Ferguson i pani Kennedy przywieźli herbatę na wózk. Thomas wziął Lucillę za rękę, wstał i pociągając ją za sobą, ruszył na koniec salonu. Przystanąwszy przy oknie i niby wyglądając na zewnątrz, ucisnął jej dłoń.

- Jeśli przyczyną śmierci Manachana był arszenik, jak sądzicie obie z matką, czy jego choroba też była spowodowana tą trucizną? Gdzieś czytałem, że jej działanie się kumuluje.

Lucilla uniosła brwi.

- Możesz mieć rację.

Podeszła do nich Catriona.

- Mamo... mówiłam ci, że Manachan chorował od wielu miesięcy? Czy to także mogło być spowodowane arszenikiem?

Catriona wypytała Thomasa o objawy stryja. Lucilla zaś opowiedziała, co zaobserwowała u Manachana podczas pobytu w Carrick Manor. Jej matka się skrzywiła.

- To możliwe. U człowieka o końskim zdrowiu, jak Manachan, stopniowe podawanie arszeniku mogło wywołać takie skutki. - Popatrzyła na Lucillę. - A skoro o tym mowa... z czego zrobiłaś dla niego napar i późniejszy środek na pobudzenie?

Lucilla wyrecytowała listę ziół. Thomasowi to nic nie mówiło.

Catriona jednak pokiwała głową.

- Już wiem, dlaczego twoja kuracja zadziałała. Kilka składników, których użyłaś, związało truciznę i oczyściło z niej organizm. Nie zrobiłaś tego świadomie, ale twój napar zahamował działanie arszeniku i dlatego Manachan poczuł się lepiej.

Lucilla westchnęła.

- Nie mogę uwierzyć, że nie dostrzegłam oznak zatrucia, kiedy tu byłam... i gdy go badałam.

Catriona sposepniała.

- Nie rób sobie wyrzutów... dlatego właśnie działanie arszeniku jest tak trudne do wykrycia. Może doprowadzić do śmierci, a wszystkie objawy da się łatwo wytłumaczyć... na przykład wiekiem, jak u Manachana. Dopiero gdy ofiara umrze... - Wzruszyła ramionami. - A nawet wtedy, jeśli lekarz nie bada zmarłego zbyt uważnie albo nie przybędzie na czas, zgon można przypisać naturalnym przyczynom... zawałowi serca, zatorowi w płucach i tak dalej. Zewnętrzne oznaki szybko znikają.

Lekarz przybył wkrótce. Poszedł na górę z Catrioną i wrócił z bardzo poważną miną. W tym czasie zjawiał się sir Godfrey. Medyk z wyraźną ulgą zreferował mu sprawę i po krótkiej naradzie, którą odbyli po cichu, odjechał.

Potęźnie zbudowany, bezpośredni i w normalnych okolicznościach dobroduszny sędzia pokoju stanął przed kominkiem w salonie. On, Catriona i Richard byli starymi przyjaciółmi, a Manachana znał równie dobrze, jak innych okolicznych właścicieli ziemskich. Najpierw szorstko złożył rodzinie i klanowi wyrazy współczucia, a potem poinformował dzieci Manachana, że ponieważ według wszelkich dowodów ich ojciec został zamordowany, musi przeprowadzić w tej sprawie śledztwo i sporządzić raport.

Richard powiadomił go już o zniknięciu Nigela. Pytania sir Godfrey'a, skierowane głównie do Nolana, ale także do Niniver i Norrisa w celu potwierdzenia uzyskanych informacji, dotyczyły mniej więcej tych samych faktów, które wcześniej ustalili Richard i Thomas.

Sędzia pokoju, jak można się było spodziewać, doszedł do tych samych wniosków co wszyscy inni. Chrząknął i pogładził się po brodzie.

- Cóż, nie mamy jeszcze dowodu, że to był arszenik, ale próbki pobrane przez lekarza niewątpliwie go dostarczą, więc tymczasem... bo cóż, arszenik nie bez powodu jest nazywany środkiem na dziedziczenie, nieprawdaż? - Spojrzał spod krzaczastych brwi na trójkę Carricków, siedzących przed nim na kanapie. - Obawiam się, że ponieważ Nigel zaginął, muszę prosić o udostępnienie jego pokoiów w celu przeszukania.

Niniver i Norris popatrzyli na niego ze zdziwieniem, a potem oboje przenieśli wzrok na Nolana.

Ten w końcu zdał sobie sprawę, że zwracają się do niego, i marszcząc czoło, wyraził zgodę.

- Tak. Oczywiście. - Zerknął na drzwi, w których cały czas stał Ferguson.

Nie czekając na polecenia, kamerdyner skłonił się sir Godfreyowi.

- Zaprowadzę pana do pokoju pana Nigela.

Thomas nie mógł usiedzieć na miejscu, ruszył za Fergusonem, sir Godfreyem i Richardem na górę. Był w połowie schodów, kiedy usłyszał za sobą kroki Lucilli. Zatrzymał się i odwrócił. Gdy do niego podeszła, powiedział:

- Nie musisz tam iść.

Spojrzała mu w oczy.

- Może twój stryj był irytującym starym zrzędą, ale też moim podopiecznym. -

Uniosła brodę. – Poza tym czy któryś z was wie, jak wygląda arsenik?

– To biały proszek – powiedział.

Prychnęła i wyminęła go.

– Może także być we wszystkich odcieniach szarości.

Jak się okazało, arsenik, którym Nigel truł ojca, był śnieżnobiały. Zapakowany w brązowy papier, z wciąż czytelną etykietką na torebce, spoczywał ukryty na dnie jednej z szuflad jego komody.

Sir Godfrey mruknął:

– Niestety, ten środek łatwo kupić u każdego aptekarza.

Richard westchnął i usiadł w nogach łóżka.

Sędzia pokoju położył obciążający dowód na komodzie.

– Chyba wszyscy się zgadzamy, że to jest powód ucieczki Nigela... – Zamrugął. – Ale dlaczego właściwie? Gdybyście we czworo nie przyjechali w odwiedziny, a Lucilla niczego nie zauważyła, za kilka godzin śmierć Manachana zostałaaby uznana za naturalną. Mnie by nie wezwano i Nigel zagarnąłby to wszystko, na czym mu zależało... przywództwo klanu i posiadłość Carricków.

– Nigel wiedział, że dziś przyjedziemy. – Lucilla roztarła ramiona, bo nagle przeniknął ją chłód. – Umówiliśmy się wczoraj przed kościołem, w jego obecności. Wprawdzie, jak twierdziła Niniver i inni, Manachan się uparł, by przyjechać na nasz ślub, ale według Nolana, a także Edgara, jego stan w zeszłym tygodniu znacznie się pogorszył.

Thomas ją objął i przyciągnął do siebie. Spojrzał ponuro na sir Godfreya.

– Jeśli to sprawka Nigela, wiedział o ślubie, wiedział, że Manachan chce być na nim obecny i że coś może pójść nie tak... na przykład że lady Catriona może zauważać symptomy otrucia... – Zerknął na Lucillę i napotkał jej spojrzenie, kiedy uniosła ku niemu wzrok. – Więc pewnie przed wyjazdem wszystkich na ślub podał Manachanowi dużą dawkę trucizny, by go zabić... albo przynajmniej zmusić do pozostania w domu, gdzie by umarł pod nieobecność rodziny... To by załatwiło sprawę.

– Z całą pewnością – przyznał sir Godfrey. – Ale Manachan był starym uparciuchem... chciał pojechać na ślub, więc pojechał, do licha. I wytrzymał. Ale gdyby pozostał w domu, zamiast wybrać się do kościoła, plan Nigela by się powiódł i nikt niczego by się nie domyślił.

– Więc – podjął Richard – podał Manachanowi potężną dawkę, chcąc, by ten źle się poczuł, zrezygnował z wyjazdu na ślub i umarł sam w domu, tylko pod opieką Edgara. Ale nie zdołał go powstrzymać, tak jak nie zdołał zapobiec jego spotkaniu z wami. Zauważyliście, w jak złym jest stanie, zapowiedzieliście się z wizytą... i wszystko się skomplikowało, więc uciekł.

– Nie wiadomo gdzie. – Lucilla zadrżała.

Richard zmrużył oczy.

– Jeśli o to chodzi... pewnie się ukrył, ale będzie obserwował posiadłość, by wiedzieć, co się dzieje. Jeśli nie pojawią się pogłoski o morderstwie, to będzie znaczyło, że uszło mu płazem, a ponieważ już wcześniej miał zwyczaj znikać bez zapowiedzi, po prostu wróci i przejmie dziedzictwo.

– Po moim trupie – warknął sir Godfrey. – Kiedy tylko wrócę do domu, ogłoszę poszukiwania szubrawca.

Zamordowanie Manachana Carricka przez najstarszego syna, Nigela, poruszyło całe hrabstwo. Wszyscy w okolicy byli wstrząśnięci; Manachan może był dla wszystkich spoza klanu człowiekiem trudnym i despotycznym, ale słynął z tego, że zawsze dbał o swoich; zawsze cieszył się z tego powodu szacunkiem i po śmierci został odpowiednio uhonorowany.

Do poszukiwań Nigela Carricka przyłączyła się większość miejscowych, od farmerów po właścicieli ziemskich, lecz po niegodziwcu nie było ani widu, ani słyhu.

Po trzech dniach bezowocnego przeczesywania okolicy uczestnicy obławy wrócili do domów zmęczeni i rozczarowani, by przygotować się do pogrzebu najważniejszego Carricka.

Dzień zaczął się mgliście i szaro, przez cały ranek niebo było zachmurzone, co pasowało nastrojem do tak smutnej okoliczności. Wyszorowana dwukółka, przystrojona barwami klanu, z Manachanem w trumnie, toczyła się powoli w łagodnym porannym świetle. Za nią szło troje dzieci zmarłego, a za nimi reszta klanu.

Pozostali, którzy przybyli na ślub, by złożyć wyrazy szacunku Manachanowi, jego pograżonej w żałobie rodzinie i klanowi, zebrali się przed kościołem. Przyjechali sir Godfrey z żoną oraz inni sąsiedzi, którzy jednak ustąpili miejsca Richardowi i Catrionie, a także pozostałym gościom z Vale.

Wszyscy stali ze złożonymi przed sobą rękami, pochylając głowy, kiedy ośmiu członków klanu Carricków, między innymi Ferguson, Sean, Mitch i Fred oraz Thomas, na ramionach wносиło do kościoła trumnę. Propozycja niesienia trumny, złożona przez Fergusona, wydała się Thomasowi uciążliwa, ale ją przyjął, zachęcony przez Lucillę – był to jego ostatni obowiązek wobec stryja, któremu tyle zawdzięczał.

Jednakże, kiedy trumna spoczęła na podeście przed ołtarzem, dołączył do rodziny z Vale w ławkach naprzeciwko tych zajmowanych przez klan Carricków.

Był to niuans, ale ważny. Thomas wciąż należał do klanu, lecz teraz był bardziej związany z Vale.

Od ślubu miał ważniejsze zobowiązania.

Lucilla, gdy usiadł obok niej, wzięła go za rękę. On uścisnął jej dłoń i przygotował się do nabożeństwa.

Była to wzruszająca uroczystość, z licznymi mowami wygłaszanymi przez członków klanu – Bradshawa, Seana i Fergusona – a także przedstawicieli innych społeczności, jak Richard czy sir Godfrey. Ku zaskoczeniu zebranych, w imieniu dzieci Manachana wystąpiła Niniver. Choć z trudem powstrzymywała się od płaczu, mówiła czystym spokojnym głosem; przedstawiony przez nią portret ojca był wszystkim znajomy, ale jednocześnie bardzo osobisty, przejmujący i wzruszający. Kiedy wreszcie zeszła z ambony, każdy miał w oczach łzy.

Po nabożeństwie żałobnicy, którzy nieśli trumnę, zdjęli ją z podestu. Powoli, równym krokiem przez boczne drzwi wyszli za pastorem na cmentarz, gdzie w części Carricków czekał już świeżo wykopany dół, w którym miały spocząć doczesne szczątki Manachana.

Wiele z pań zostało z tyłu, zamierzając poczekać na trawniku przed kościołem, ale Lucilla podeszła do Niniver, by ją wesprzeć, a Catriona wzięła pod ramię Richarda.

Marcus zajął miejsce po drugiej stronie Lucilli. Zauważył, że zarówno Nolan, jak Norris byli roztargnieni, pochłonięci myślami; żaden nie wykazywał troski o siostrę. Zdegustowany zachowaniem ich obu, w drodze na cmentarz w końcu stanął przy drugim boku Niniver. Gdyby zemdłała albo zasłała – kto mógłby ją za to winić? – chciał być blisko, by służyć jej wsparciem.

Z pomocą Lucilli Marcus zaprowadził Niniver bezpiecznie na miejsce; choć Lucilla nie była wysoka ani potężna, Niniver wydawała się przy niej bardzo drobna i wręcz eteryczna.

Ceremonia pochówku była na szczęście krótka. Kiedy rodzina rzucała na trumnę ostatnie garście ziemi, pozostali, którzy zebrali się przy grobie, zaczęli wracać pod kościół, by dołączyć do czekających na trawniku.

Thomas podszedł do Lucilli. Znalazłszy się przed kościołem, usunęli się z drogi wracającym z cmentarza żałobnikom i przystanęli z boku. Thomas spojrzął na Niniver, która szła z opuszczoną głową.

– Wygłosiłaś piękną mowę... byłby zadowolony.

Dziewczyna podniosła wzrok. Napotykając spojrzenie Thomasa, skłoniła głowę.

– Dziękuję. Wiem, że kochałeś go tak jak ja.

Zacisnął usta, by ukryć wzruszenie.

– Jego śmierć wyznacza koniec epoki... Miałaś rację, mówiąc, że nie będzie już takiego Carricka jak on.

Niniver potwierdziła. Przeniosła wzrok na Nolana, który stał pośrodku trawnika, przyjmując kondolencje od dalszych znajomych, którzy jeszcze nie zdążyli z nim porozmawiać.

– Obawiam się, że tak.

Marcus zauważył jej spojrzenie. Nie uszło ono także uwagi Thomasa.

– Co klan sądzi o tym, że teraz Nolan zostanie jego przywódcą?

Marcus zerknął na innych, ale oprócz niego nikt chyba nie zwrócił uwagi, że Thomas zadał to pytanie Niniver – córce Manachana; jednak z tego, co słyszał od siostry i szwagra, wynikało, że właśnie ona jest z klanem związana najbardziej i że jego członkowie wypowiadają się przy swobodnie.

Niniver wzruszyła ramionami i zsunęła na ramiona czarny szal, którym okryła głowę podczas długiej drogi do kościoła.

– Mimo że ojciec był szorstki, wszyscy z klanu go lubili i szanowali. Nie znam nikogo, kto lubiłby Nigela albo miał do niego zaufanie. Gdyby został przywódcą, w pewnym momencie pojawiłby się problem. A Nolan był zawsze w jego cieniu... to Nigel podejmował wszystkie niepopularne decyzje... więc teraz ludzie wstrzymują się od ocen, czekając, kim się okaże.

Thomas jak Niniver przyglądał się Nolanowi, który rozmawiał właśnie z sąsiadami.

W pewnej chwili drgnął. Opuścił głowę i pochwycił spojrzenie Niniver.

– Jeśli ty i klan potrzebowałibyście pomocy, wiecie, gdzie mnie szukać.

Lucilla również pospieszyła ze słowami wsparcia, podobnie jak Richard i Catriona, którzy tymczasem do nich dołączyli i usłyszeli koniec rozmowy.

I jak Marcus.

Niniver posłała im lekki uśmiech, na końcu spoglądając nieśmiało na Marcusa,

a potem opuściła głowę.

- Dziękuję. Będę o tym pamiętała. - Podniosła wzrok i spojrzała na trawnik, po czym wzięła głęboki oddech. - A teraz, jeśli państwo pozwolą, dołączę do rodziny. Bracia na pewno będą chcieli niebawem wrócić do domu.

Wypowiadając cicho słowa pożegnania, pozwolili jej odejść. Kiedy Thomas, Lucilla i jej rodzice ruszyli dalej, by porozmawiać z innymi, Marcus zatrzymał się na chwilę, patrząc za Niniver, która odnalazła w tłumie Norrisa, wzięła go pod rękę i pociągnęła w stronę Nolana. Jego jednak nawet nie dotknęła. Marcus odniósł wrażenie, że z młodszym bratem łączy ją o wiele bliższa więź niż ze starszym.

Uzgodniono - na takiej zasadzie, na jakiej miejscowe rody dochodziły do porozumienia - że biorąc pod uwagę charakter śmierci Manachana, stypa będzie miała charakter prywatny, ograniczając się do członków klanu. Ich odczucia były różne; uznano, że najlepiej będzie, jeśli spotkają się we własnym gronie i sami osiągną konsensus. Nikt z sąsiadów nie chciał, by wśród Carricków nastąpił rozłam.

Patrząc na Niniver i przyglądając się bacznie Norrisowi, a jeszcze baczniej Nolanowi, który najwyraźniej usiłował znaleźć wspólny język z sąsiadami - i tracił grunt pod nogami, kiedy natykał się na członków swego klanu - Marcus także zaczął się zastanawiać, jak zapewne ona, kim okaże się jej starszy brat.

Cztery tygodnie później Marcus zabrał na polowanie swoją małą sforę.

Choć wziął ze sobą broń, tak naprawdę nie zamierzał ustrzelić żadnej zwierzyny; wyprawa miała być tylko pretekstem, by przejść się w spokoju po lesie.

Teraz, kiedy jego siostra wyszła za mąż, w Vale zachodziły zmiany. Thomas pracował z zaangażowaniem przy boku Richarda, poznając szczegóły funkcjonowania posiadłości. Chociaż do ślubu Lucilli to Marcus był partnerem ojca, już od chwili jego narodzin było wiadomo, że nie jest mu przeznaczona rola przyszłego pana na Vale.

I nie zazdrościł jej Thomasowi; był nawet lekko rozbawiony tym, że świeżo upieczony szwagier rzuca się w to wszystko z taką determinacją - chce poznać i rozumieć każdy najdrobniejszy aspekt zarządzania posiadłością.

Marcus wiedział, że kiedy Richard w końcu przekaże mu władzę, Vale będzie w dobrych rękach.

Ta zmiana jednak spowodowała, że Marcus nie miał co ze sobą począć - nie widział przed sobą celu.

I to, jak się przekonał, wcale mu nie odpowiadało - tak samo jak nie odpowiadałoby jego siostrze, Thomasowi, rodzicom ani żadnemu z krewnych.

Teraz zrozumiał, jak silna może być potrzeba, by mieć cel w życiu, stanowiąca tak głęboko zakorzenioną cechę wszystkich Cynsterów.

Rozmawiał z matką i Lucillą - choć nie musiał siostrze wiele mówić; wiedziała, z czym do niej przyszedł, zanim jeszcze otworzył usta. Obie „wejrzały w głąb”, każda na swój sposób - Catriona wróżąc, a Lucilla po prostu zamykając oczy i wsłuchując się w siebie - jednak żadna nie potrafiła rzucić światła na pisaną mu przyszłość, mówiąc tylko, że czeka go ona, jeśli nie w Vale, to gdzieś blisko, na ziemiach Pani, i że jeszcze nie przyszła pora, by się o nią upomniął.

Jeszcze nie. A dzięki odkryciom Lucilli pojęli, że „ziemie Pani” rozciągają się znacznie dalej, niż wcześniej sądzili.

Tak więc nie wiedział nic oprócz tego, że ma przed sobą jakąś przyszłość – rolę, którą wyznaczyła mu Pani – ale na razie musi czekać.

I czekając, od kilku tygodni myślał i opracował plan tymczasowy. Wiedział, że jeśli nie będzie miał jakiegoś zadania, oszaleje. Kiedy więc przedstawił swój pomysł ojcu, ten zrozumiał i chętnie wyraził zgodę.

Przystąpili zatem do kupna dawnej posiadłości Hennesseya. Leżała na północ od wsi Casphairn, ale po przeciwnej stronie traktu. Składała się głównie z łagodnych wzgórz, na których w przeszłości hodowano liczne stada owiec, ale stary Hennessey z czasem z tego zrezygnował, odprawiając ludzi. Od dziesięciu lat żył jak odludek w starym domu pośrodku swych ziem.

Richard znał tego człowieka; wiedział także, gdzie znaleźć jego dzieci. Złożył rodzinie hojną ofertę, którą ci, zastanowiwszy się, przyjęli.

Wkrótce więc ziemie starego Hennesseya miały stać się własnością Marcusa, który zyskałby własny kąt, miejsce, gdzie mógłby mieszkać i prowadzić psiarnię, a także uprawiać inne swoje pasje – czerpiąc zyski z pasterstwa. Jeśli chodzi o to ostatnie, zdobył już nawet świetnego wspólnika w osobie Thomasa, który poprzez swoją firmę, Carrick Enterprises, miał kontakty i wiedział, co należy hodować, by jak najwięcej na tym zarobić.

Wciągnęli już do rozmów kuzyna Thomasa, Humphreya, który zastąpił go w Glasgow.

Przemierzając ciche chłodne lasy porastające wschodnie stoki Rhinns of Kells, Marcus zajrzał w siebie i poczuł, że niepokój, który towarzyszył mu przez ostatni miesiąc, w końcu jakby ustał.

Nie był jak siostra, nie miał jak ona stałego związku z Panią. Dopiero kiedy wychodził na dwór i stapał po należących do niej ziemiach, wyczuwał jej obecność.

Tego dnia miał wrażenie, że wszystko jest i będzie dobrze. Jego tymczasowy plan się sprawdzał.

Czuł, że Pani aprobuje jego poczynania.

To działało na niego uspokajająco. Rzadko brakowało mu pewności siebie; od urodzenia miał jej aż w nadmiarze, a rodzina i jej pozycja jeszcze ją dodatkowo wzmocniły. Nie znaczyło to jednak, że nie miał wątpliwości, nie zadawał sobie najważniejszych życiowych pytań. Na przykład, co tu robi i co chce osiągnąć? Co zostawi po sobie potomnym? Ile będzie dla nich znaczyło jego nazwisko?

Wiedział, że wszyscy w pewnym momencie zastanawiają się nad tym. Podejrzewał jednak, że ci, którzy przyszli na świat z większą pewnością siebie niż inni, doświadczają także większej niepewności, gdyż wątpliwości, zrodzone z tych naturalnych i nieuniknionych pytań, podkopują w nich coś, co uważali za niepodważalne.

Szedł w otoczeniu psów. Zatrzymawszy się na ocienionej polanie, zamknął oczy i odetchnął głęboko – i wreszcie poczuł, że znowu znalazł przystań.

Właściwą ścieżkę – nową, ale odpowiednią, przynajmniej na razie.

Odzyskawszy spokój, uśmiechnął się i otworzył oczy.

Właśnie w chwili, kiedy psy po jego prawej stronie nabrały czujności.

Ale nie zwietrzyły zwierzyny. Szóstka chartów, które ze sobą zabrał, zwróciła się w jedną stronę, podnosząc łby i strzygąc uszami.

I powoli machając ogonami.

Wtedy stojąca na ich czele suka – doświadczone zwierzę – obejrzała się na niego i zamachała ogonem bardziej zdecydowanie. Prosząc o pozwolenie, by pobiec dalej.

Skierował się w tamtą stronę; ściółka leśna tłumiała jego kroki. Zbliżywszy się do psów, spojrzął przed siebie, ale nie dostrzegł nic, co by tłumaczyło ich zachowanie. Jednak nie sięgał wzrokiem zbyt daleko; widok zasłaniały rosnące tam gęściej drzewa i ich grube pnie.

Cicho nakazując psom, by się go trzymały, ruszył dalej.

Suka szła tuż przed nim; podążał w kierunku, który wyznaczała.

Cokolwiek mieli przed sobą, budziło to żywe zainteresowanie jego psów.

Gęstwina drzew kończyła się kilka metrów przed skarpą. Marcus wyszedł z cienia – i ujrzał inną większą sforę chartów, które właśnie zerwały się na nogi. Wcześniej drzemały w słońcu wokół szerokiej, płaskiej skały, na której siedziała samotna postać, obejmując ramionami podciągnięte do piersi kolana i patrząc w dal, na ziemie Carricków.

Widząc poruszenie wśród psów, Niniver odwróciła głowę.

Marcus przystanął i zatrzymał charty.

Spojrząwszy dziewczynie w oczy nad wąskim pasem ziemi między lasem a skarpą, machnął ręką na psy, najpierw swoje, a potem jej. Obie sfory – jej większa o kilka sztuk – zachowywały czujność, ale nie reagowały, czekając na coś, co by wskazało, czy mają do czynienia z wrogiem, czy przyjacielem.

Uniósł brew.

– Czy wszystko w porządku?

Uśmiechnęła się lekko i kiwnęła głową. Powiedziała coś do psów – chyba usłyszał słowo „przyjaciel” – i te usiadły.

Rzucił to samo do swoich chartów i ruszył do przodu.

Psy pobiegły za nim i chwilę potem obie gromady weszły pomiędzy siebie, wachając się nawzajem i poznając.

Doszedłszy do kamienia, na którym siedziała Niniver, Marcus spojrzął na rozciągającą się przed nimi panoramę.

– Jak mają się sprawy u Carricków?

Tak jak on ogarnęła spojrzeniem większość posiadłości klanu.

– Dobrze. Nolan zajął się prowadzeniem posiadłości... Tak szybko przejął ster, że jak podejrzewaliśmy z Norrisem, to on musiał wprowadzać w życie decyzje podejmowane przez Nigela, odkąd ojciec zaniemógł, i zarządzać sprawami na co dzień. – Przerwała, patrząc na pola przed sobą, a potem kontynuowała: – Więc Nolan robi, co może, ale nigdy nie będzie jak ojciec... nie uda mu się go zastąpić. Ale jest... mniej arogancki niż Nigel. Dlatego łatwiej go zaakceptować niż Nigela. Jednakże ludzie nadal wstrzymują się z oceną. Mają wątpliwości, czy Nolan zdoła utrzymać jedność klanu.

W wyniku formalnego dochodzenia przeprowadzonego po śmierci Manachana, Nigel został oskarżony *in absentia* o ojcobójstwo. Jednak mimo wszelkich wysiłków ze strony władz i klanu jak dotąd go nie znaleziono. Wielu uważało, że zbiegł z kraju, być może wsiadając na statek do Ameryki.

Przez to Nolan Carrick mógł zostać wybrany na głowę klanu.

Marcus zastanawiał się, czy zapytać Niniver, co by się stało, gdyby klan odrzucił

kandydaturę Nolana. Było to całkiem prawdopodobne; mogli wybrać na przywódcę kogoś innego, a wtedy ród Carricków musiałby przekazać majątek klanu – mianowicie posiadłość – nowemu panu i jego rodzinie. Marcus nie wiedział, co by się wówczas stało z Niniver i jej braćmi.

Choć o nich się nie martwił.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Jeśli kiedykolwiek będzie potrzebowała pani pomocy, proszę pamiętać, że zawsze może się pani zwrócić do nas... do Thomasa i Lucilli, moich rodziców i mnie. – Kiedy obróciła głowę, spojrzał jej w oczy. – Wystarczy, że pani poprosi.

Kiedy Thomas powiedział mniej więcej to samo na pogrzebie Manachana, Niniver odparła uprzejmie, ale zdawkowo: „Będę o tym pamiętać”. Marcusowi wciąż dźwięczała w głowie tamta odpowiedź, ale jeszcze lepiej pamiętał nutę odmowy w głosie dziewczyny; nie zamierzała skorzystać z ich propozycji.

Więc teraz ją ponowił, bo czuł, że to ważne – dla niej i być może dla niego.

Przyjrzała mu się; na jej twarzy nie było ani śladu przebiegłości, miała poważną, jakby lekko zaniepokojoną minę, która zdawała się stanowić jej cechę.

Wtedy jakby zrozumiała, że jego oferta zasługuje na inną odpowiedź, i skłoniła głowę.

– Dziękuję panu. – Znowu spojrzała na ziemie, które niewątpliwie uważała za swoje dziedzictwo. – Zapamiętam pańskie słowa. Nigdy nie wiadomo... może któregoś dnia się do nich odwołam.

Zastanawiał się nad odpowiedzią, ale nic nie przychodziło mu do głowy, więc pozwolił, by zapadła cisza.

Patrząc na nią, kiedy tak spoglądała na rodzinne ziemie, zauważył jej zatroskanie – poczuł, że w nim samym budzi się niepokój.

Poruszył się i gwizdnął na psy. Spojrzał na Niniver i pochwycił jej spojrzenie.

– Zostawię panią z jej myślami.

Zamiast odpowiedzieć na lekki wyrzut w jego głosie, skłoniła głowę z królewską łaskawością, niemal taką jak u Lucilli.

– Dziękuję panu. Do widzenia.

Pożegnał się, a potem odszedł w towarzystwie hasających psów.

Wkroczył w cień między drzewami, zatrzymał się i obejrzał.

Niniver siedziała na kamieniu i patrzyła przed siebie tak samo jak wtedy, kiedy się zjawił – samotna sylwetka, dumająca o przyszłości swego klanu.

Przez chwilę chłonał ten obraz, a później się odwrócił i ruszył w dalszą drogę.

Niniver słyszała jego cichnące kroki. Odczekała, aż zniknie z zasięgu jej słuchu, po czym nie mogąc się powstrzymać, spojrzała za nim.

Nie była wybrana przez Panią jak on, jego siostra i matka, lecz...

Czym było boskie natchnienie, a czym zwykła intuicja?

Spojrzała na rozciągające się przed nią pastwiska i zagajniki. Powiodła wzrokiem po odległych polach, już zaoranych i obsianych. Wiele rzeczy szło źle, ale też wiele dobrze – było o co walczyć.

Nie spodziewała się, że będzie wśród tych walczących, a już na pewno nie, że stanie na ich czele, ale nad grobem ojca złożyła milczącą przysięgę, że uczyni wszystko, co tylko będzie mogła, by uratować klan i honor rodu Carricków. I wiedziała już

- przeczuwała - dokąd to prowadzi, jaką drogą podążają niepewnie Carrickowie i ich klan, wszyscy oszołomieni i przybici.

Cienie się wydłużyły, gdy tak siedziała i myślała, rozważając wszystkie możliwości.

W końcu uznała, że może tylko się modlić, mieć nadzieję i czekać, co będzie.

I przygotować się do działania, gdyby nie było innego wyjścia.

Wreszcie wstała. Zmarznięta od siedzenia na zimnym kamieniu, zebrała fałdy spódnicy, przywołała psy, odwróciła się i ruszyła w stronę jedyne miejsce, które kiedykolwiek nazywała domem.

Tytuł oryginału: The Tempting of Thomas Carrick
Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2015

Opracowanie graficzne okładki: Robert Dąbrowski
Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne: Anna Kubalska
Korekta: Jolanta Nowak

© 2014 by Savdek Management Proprietary Limited
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1772-9

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

Epilog

Strona redakcyjna